

LEGENDA  
**PATRIOTA**



MARIE LU

ZIELONA  
SOWA

**MARIE LU**

**LEGENDA  
PATRIOTA**

Tłumaczenie  
Marcin Mortka

**ZIELONA  
SOWA**

Tytuł oryginału: Champion

Copyright © 2013 by Xiwei Lu

Cover art: Lori Thorn

All rights reserved including the right of reproduction in whole  
or in part in any form.

This edition published by arrangement with G.P. Putnam's Sons,  
a division of PENGUIN YOUNG

READERS GROUP, a member of Penguin Group (USA) Inc.

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp.  
z o.o., Warszawa 2014

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości  
albo fragmentów książki

możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-7895-870-3

Tłumaczenie: Marcin Mortka

Redaktor prowadzący: Agnieszka Sobich

Korekta: Magdalena Adamska, Agnieszka Skórzewska

Skład i łamanie: Bernard Ptaszyński

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 96

tel. 22 576 25 50, fax 22 576 25 51

[www.zielonasowa.pl](http://www.zielonasowa.pl)

[wydawnictwo@zielonasowa.pl](mailto:wydawnictwo@zielonasowa.pl)

Moim czytelnikom





**SAN FRANCISCO, KALIFORNIA  
REPUBLICA AMERYKAŃSKA**

**POPULACJA: 24 646 320**

# DAY

ZE WSZYSTKICH PRZEBRAŃ, JAKIE KIEDYKOLWIEK NOSIŁEM, najbardziej lubię to. Mam ciemnorude włosy, zupełnie nie przypominające typowego dla mnie jasnego blondu, przycięte do ramion i ściągnięte w kitkę. Założyłem zielone soczewki, które idealnie maskują błękit moich oczu. Noszę zmiętą koszulę z kołnierzem z małymi, srebrnymi guzikami, które migoczą w ciemnościach, cienką wojskową kurtkę, czarne spodnie i okute stałą buty. Szyję, podbródek i usta zasłoniłem grubym, szarym szalem. Na głowie mam ciemną, żołnierską czapkę, którą naciągnąłem mocno na oczy. Lewą stronę mojej twarzy zakrywa karmazynowy, malowany tatuaż, dzięki któremu wyglądam na kogoś zupełnie obcego. Ponadto mam ze sobą małą słuchawkę w uchu oraz mikrofon, z którymi nigdy się nie rozstaję. Takie są wymogi Republiki.

W innych miastach przypuszczalnie przyciągałbym więcej uwagi ze względu na ten ogromny tatuaż. Przyznam, że do subtelnych raczej nie należy. Tu, w San Francisco, jest jednak inaczej. Bez trudu wtapiam się w tłum. Przeprowadziłem się tu z Edenem osiem miesięcy temu i pierwszą rzeczą, którą zauważyłem, był miejscowy trend. Młodzież tatuowała sobie najrozmaitsze czarne bądź czerwone wzory na twarzach, niekiedy drobne i raczej delikatne, przypominające pieczęcie Republiki na czaszkach lub inne znane symbole. Bywały też wielkie i rozległe, jak na przykład kontur ziem Republiki. Ja wybrałem dziś coś stosunkowo niewyróżniającego się. Nie jestem aż tak lojalny wobec państwa, by pokazywać to na twarzy. Tym niech się zajmie June. Najbardziej spodobały mi się stylizowane płomienie. Fajnie wyglądają.

Dziś w nocy znów dopadła mnie bezsenność i zamiast spać chodzę po dzielnicy zwanej Marina. Z tego, co widzę, przypomina ona sektor Lake w LA, z tą różnicą, że teren jest tu bardziej zróżnicowany. Noc jest chłodna i cicha, znad zatoki nadciąga lekka mżawka. Ulice są wąskie, a nawierzchnia lśni wilgocią. Tu i ówdzie widać dziury. Po obu stronach wyrastają eklektyczne budynki, w większości tak wysokie, że nikną wśród nisko wiszących chmur. Ich ściany pokryte są łuszczącą się czerwoną, złotą i czarną farbą



oraz wzmocnione potężnymi stalowymi słupami, chroniącymi przed trzęsieniami ziemi, które zdarzają się tu co kilka miesięcy. JumboTrony o wysokości pięciu lub sześciu pięter, znajdujące się na każdej przecznicy, z dudnieniem wyrzucają z siebie typowe dla Republiki bloki informacyjne. W powietrzu czuję sól i gorycz, zupełnie jakby dym i odpady przemysłowe zmieszały się z morską wodą. Gdzieś w tym wszystkim odnajduję ulotny zapach suszonej ryby. Bywa, że skręcam w kolejną ulicę i naraz prawie wdeptuję w wodę i moczę buty. Łąd schodzi tu prosto w zatokę, a horyzont przesłaniają setki częściowo zatopionych budynków. Udaje mi się też dostrzec Złotą Ruinę – poskręcane resztki jakiegoś mostu, zwalone wzdłuż przeciwległego brzegu. Od czasu do czasu mijają mnie nieliczni przechodnie, ale miasto jest nadal uśpione. Tu i ówdzie widzę ogniska, przy których gromadzą się ludzie mieszkający na ulicy. Zupełnie jak w Lake.

Cóż, istnieje zapewne kilka różnic. Zacznijmy od tego, że stadion, na którym odbywają się Próby w San Francisco jest pusty i ciemny. W uboższych dzielnicach nie ma tyle policji. Wszędzie widać graffiti. Wystarczy rzucić okiem na najnowsze, a od razu wiadomo, o czym ludzie myślą. Wiele z ostatnich napisów wskazuje na to, że ludzie naprawdę popierają nowego Elektora Republiki. Gdzieś wyczytałem: „On jest naszą nadzieją”. Widziałem też: „Elektor wyprowadzi nas z mroku”. Jeśli o mnie chodzi, ciut za dużo w tym optymizmu, ale to raczej dobre sygnały. Anden chyba sprawuje się jak należy. Póki co. Od czasu do czasu widzę też napisy takie jak: „Elektor to ściema”, „Wyprano nam mózgi” lub „Nie wierzcie w to, że Day żyje”.

Sam nie wiem. Czasem nowe porozumienie między Andenem a ludem przypomina mi sprężynę, z tym, że to ja jestem ową sprężyną. Poza tym może owe optymistyczne napisy nie są prawdziwe, ale zostały wykonane przez urzędników do spraw propagandy? Czemu nie?

Czy ktoś naprawdę zna zamysły Republiki?

Ja i Eden oczywiście dostaliśmy mieszkanie w bogatym sektorze zwanym Pacifica. Mieszkamy tam z naszą opiekunką Lucy. W końcu Republika musi się troszczyć o swego najbardziej poszukiwanego, siedemnastoletniego przestępcę, który stał się bohaterem narodowym, prawda?

Pamiętam, że gdy Lucy po raz pierwszy stanęła w progu naszego mieszkania w Denver, natychmiast poczułem, że nie ufam jej za grosz. Była surową, barczystą pięćdziesięciodwuletnią kobietą, ubraną w państwowe barwy.

- Republika przydzieliła mnie wam do pomocy, chłopcy - oznajmiła, wtargnąwszy do mieszkania. Jej wzrok natychmiast padł na Edena. - Mam się przede wszystkim zająć tym małym.

Jasne. Nie spodobało mi się to. Zaczniemy od tego, że przez pierwsze dwa miesiące w ogóle nie spuszczałem Edena z oczu. Jedliśmy razem, spaliśmy obok siebie i nigdy, przenigdy nie zostawiałem go samego. Stałem nawet pod drzwiami, gdy wchodził do łazienki, zupełnie jakby żołnierze Republiki mogli w jakiś sposób wleźć tam przez otwór wentylacyjny, zabrać do laboratorium i znów podłączyć do jakichś maszyn.

- Eden cię nie potrzebuje - warknąłem. - Ma mnie. Ja się nim zajmuję.

Sęk w tym, że zacząłem później podupadać na zdrowiu. Bywało, że przez jakiś czas czułem się świetnie, a potem dopadały mnie takie bóle głowy, że nie mogłem się podnieść z łóżka. W najgorszych chwilach Lucy przejmowała opiekę nad Edenem i po kilku wściekłych kłótniach zdołaliśmy wypracować jakąś niechętną rutynę. Trzeba jej oddać, że robi świetne ciastka z mięsnym nadzieniem. Gdy przenieśliśmy się do Frisco, przyjechała z nami. Jest przewodniczką dla Edena i przygotowuje dla mnie lekarstwa.

W końcu mam już dość szwendania się. Zauważam, że opuściłem granice Mariny i dotarłem do bogatszej dzielnicy. Zatrzymuję się przed wejściem do klubu o nazwie Obsydianowy Salon, wrytej na metalowej kłodzie, którą założono na drzwi. Opieram się o ścianę i kucam, wspierając ramiona na kolanach. Czuję wibracje muzyki dobiegającej ze środka. Przez materiał spodni wyczuwam lodowato zimny metal protezy. Na ścianie budynku po przeciwnej stronie ulicy ktoś nabazgrolił na czerwono: „Day to zdrajca”. Wzdycham, wydobywam srebrną papierośnicę z kieszeni i wyciągam papierosa z napisem „Centralny Szpital San Francisco”. Przeciągam po nim palcem. Dostaję je na receptę. Polecenie lekarza, no nie? Drżącymi palcami wkładam go do ust i zapalam. Zamykam oczy. Biorę macha. Otaczają mnie chmury błękitnego dymu. Czekam na słodki smak i pierwsze halucynogenne efekty działania.

Tej nocy nie trwa to długo. Wkrótce tępy, nieustający ból głowy znika. Gdzie nie spojrzę, świat jest nieco rozmyty i błyszczący. Wiem, że powodem nie jest tylko i wyłącznie deszcz. Naprzeciwko mnie siedzi jakaś dziewczyna. To Tess.

Obdarza mnie uśmiechem, który tak dobrze poznałem na ulicach Lake.

- Jakieś wieści z JumboTronów? - pyta, wskazując pobliski ekran.

Wydecham chmurę błękitnego dymu i leniwie kręcę głową.

- Nie. Znaczą się, widziałem kilka nagłówków związanych z Patriotami, ale wygląda na to, że zniknęliście z rządowych radarów. Gdzie teraz jesteście? Dokąd zmierzacie?

- Tęsknisz za mną? - Tess pyta zamiast odpowiedzieć na moje pytanie.

Wpatruję się w jej migotliwą sylwetkę. Wygląda dokładnie tak, jak ją zapamiętałem z ulic. Jej czerwonawobrazowe włosy są niestarannie uplecione w warkocz, oczy wielkie i błyszczące, emanuje dobrocią i delikatnością. Drobną, małą Tess. Jak brzmiały ostatnie słowa, które powiedziałem do niej wtedy, gdy pokrzyżowaliśmy zorganizowany przez Patriotów zamach na Andena? „Proszę, Tess, nie mogę cię tu zostawić”.

Szkoda, że właśnie to zrobiłem.

Odwracam się i znów się zaciągam. Tęsknię za nią?

- Codziennie - odpowiadam.

- Próbowalesz mnie odnaleźć - mówi Tess i przysuwa się bliżej. Mógłbym przysiąc, że czuję jej ramię przy swoim. - Widziałam cię, jak wpatrywałeś się w JumboTrony, przeszukiwałeś stacje radiowe i podsłuchiwałeś rozmowy na ulicach. Patrioci jednakże zeszli do podziemia.

Pewnie że tak. Po co mieliby teraz atakować, skoro Anden zdobył władzę i zawarł pokój z Koloniami? O co mieliby teraz walczyć? Nie mam pojęcia. Może utracili sens działania? Może już nie istnieją?

- Chciałbym, byś wróciła - szepczę do Tess. - Miło byłoby cię znów ujrzeć.

- A co z June?

Zadawszy to pytanie, zaczyna się rozmywać. Jej miejsce zastępuje June. Widzę jej długie, spięte w kucyk włosy oraz ciemne,

połyskujące złotem oczy – poważne, analizujące, nigdy nie przestające analizować. Opieram głowę o kolano i zamykam powieki. Wystarczy złudzenie June, by moje serce przeszył ból. Cholera, ależ ja za nią tęsknię.

Pamiętam nasze pożegnanie w Denver, nim wraz z Edenem przenieśliśmy się do Frisco.

– Jestem pewien, że wrócimy – powiedziałem jej przez mikrofon, próbując przegnać niezręczną ciszę między nami. – Gdy terapia Edena dobiegnie końca.

Oczywiście kłamałem. Wyjechaliśmy do Frisco ze względu na mój stan zdrowia, a nie Edena. June jednakże nie miała o niczym pojęcia i po prostu powiedziała:

– Wróćcie szybko.

Miało to miejsce prawie osiem miesięcy temu. Nie odezwała się ani razu. Nie znam przyczyny. Być może oboje boimy się odezwać. Być może żadne z nas nie chce usłyszeć, że druga osoba nie chce rozmawiać. A może każde z nas jest zbyt dumne i nie chce wyjść na tego, który desperacko szuka kontaktu. Może po prostu jej nie zależy? Tak to już bywa. Mija tydzień bez kontaktu, potem miesiąc i nagle przerwa robi się taka długa, że głupio jest chwycić za słuchawkę. A więc nie dzwonię. Zresztą, co miałbym powiedzieć? Nie martw się, lekarze próbują ocalić mi życie? Nie przejmuj się, właśnie próbują zmniejszyć niebezpieczny obszar w moim mózgu przy pomocy stosu lekarstw, by móc przystąpić do operacji. Nie ma czego się bać, Antarktyka może zezwolić mi na leczenie w jednym z ich najlepszych szpitali. Spoko, nic mi nie będzie.

Po co mam utrzymywać kontakt z dziewczyną, za którą szaleję, skoro umieram?

Na samo wspomnienie powraca pulsujący ból głowy.

– Tak jest lepiej – powtarzam sobie po raz setny.

Nie ma wątpliwości, tak jest lepiej. Nie widzieliśmy się tak długo, że wspomnienie naszego pierwszego spotkania staje się coraz bledsze i rzadziej myślę o jej związku z zabitymi w mojej rodzinie.

W przeciwieństwie do iluzji Tess, wyobrażenie June nigdy nie odzywa się ani słowem. Próbuję zignorować migotliwy miraż, ale ten nie odchodzi.

„Uparta jak zwykle”.

W końcu wstaję, gaszę papierosa na chodniku i przechodzę przez próg Obsydianowego Salonu. Może muzyka i światła przegnają ją jak najdalej.

Przez moment niczego nie widzę. W klubie panują ciemności, a muzyka jest wprost ogłuszająca. Natychmiast zatrzymuje mnie dwóch ogromnych żołnierzy. Jeden kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Nazwisko i formacja? - pyta.

Nie mam najmniejszego zamiaru zdradzać prawdziwej tożsamości.

- Kapral Schuster, siły powietrze - wymieniam pierwsze nazwisko, które przychodzi mi do głowy. Zawsze myślę w takich sytuacjach o lotnictwie, głównie ze względu na Kaede. - Stacjonuję w Drugiej Bazie Morskiej.

Strażnik kiwa głową.

- Stoliki chłopaków z lotnictwa są z tyłu po lewej, niedaleko kibli. Niech no tylko usłyszę, że wszczynasz jakieś awantury z armią, a wylecisz stąd, a twój zwierzchnik dowie się o wszystkim jeszcze dziś rano, kapujesz?

Kiwam głową i żołnierze pozwalają mi przejść. Idę ciemnym korytarzem i przechodzę przez drugie drzwi, a potem mieszam się z tłumem, oślepiony światłami.

Parkiet jest pełen ludzi w luźnych koszulach z podwiniętymi rękawami. Widzę suknie i pomięte mundury. Odnajduję stoliki przydzielone siłom powietrznym z tyłu sali i dostrzegam kilka wolnych miejsc. O, dobrze. Siadam, opieram buty o miękkie krzesło i odchylam głowę do tyłu. Przynajmniej pozbyłem się iluzji June. Głośna muzyka rozgania wszystkie moje myśli.

Po kilku minutach widzę jakąś dziewczynę, która przepycha się przez zatłoczony parkiet i potykając się, zmierza w moim kierunku. Jest nieco zarumieniona, a jej oczy błyszczą. Stojące nieco dalej koleżanki przyglądają się nam i chichoczą. Zmuszam się do uśmiechu. Na ogół lubię, gdy ktoś zwraca na mnie uwagę w klubie, ale czasami chcę jedynie zamknąć oczy i pozwolić, by chaos mnie pochłonął.

Nachyla się i muska ustami moje ucho.

- Przepraszam! - usiłuje przekrzyczeć hałas. - Moje przyjaciółki chcą wiedzieć, czy ty jesteś Dayem!

Już mnie rozpoznano? Kulę się instynktownie i kręcę głową, by wszyscy widzieli.

- Pomyłka - odpowiadam z krzywym uśmiechem. - Ale dzięki za komplement!

Twarz dziewczyny niemalże całkowicie ginie w ciemnościach, ale mimo to widzę, że rumieni się mocno. Jej przyjaciółki wybuchają śmiechem. Najwyraźniej żadna z nich mi nie wierzy.

- Zatańczysz? - pyta dziewczyna i najpierw zerka na migoczące niebieskie i złote światła, a potem na mnie. Chyba przyjaciółki podpuściły ją do czegoś.

Zastanawiam się nad jakąś uprzejmą odmową, ale przyglądam się rozmówczyni. W klubie jest zbyt ciemno, bym mógł dobrze ją obejrzeć i widzę jedynie błyski neonów na jej skórze i długich włosach. Rejestruję, że jest szczupła i wiotka, a jej usta lśnią, rozciągnięte w uśmiechu. Ma na sobie krótką spódniczkę i wojskowe buty. Odpowiedź zamiera mi na ustach. Coś w niej przypomina mi June. Odkąd June została Princeps-Adeptką, właściwie nie interesowały mnie żadne dziewczęta, ale teraz mam przed sobą spowitego cieniami sobowtóra, który chce mnie zaciągnąć na parkiet. Pozwalam sobie na odrobinę nadziei.

- Czemu nie - odpowiadam.

Dziewczyna uśmiecha się jeszcze szerzej. Wstaję i biorę ją za rękę, a jej przyjaciółki najpierw wzdychają ze zdumienia, a potem zaczynają głośno wiwatować. Dziewczyna, prowadząc mnie, przebija się przez tłum i niespodziewanie jesteśmy już na samym środku parkietu.

Przyciskam ją do siebie, ona muska mój kark, a potem pozwalamy, by porwał nas rytm.

„Fajna” - przyznaję, oślepiiony światłami, zagubiony w tłumie tańczących. Utwór zmienia się raz za razem. Nie mam pojęcia, jak długo tkwimy na samym środku parkietu, ale gdy dziewczyna pochyla się i muska wargami moje usta, zamykam oczy i pozwalam jej na to.

Czuję nawet dreszcze na plecach. Całuje mnie dwukrotnie, jej usta są miękkie, wręcz płynne, wyczuwam smak wódki i owoców.

Kładę jej dłoń na plecach i przyciskam mocniej. Pocałunki nieznajomej stają się coraz bardziej łąpczywe.

„To June” - wmawiam sobie i z tą chwilą zaczynam ulegać wyobrażeniom. Zamykam oczy. W moim umyśle nadal panuje zamęt po wypaleniu halucynogennego papierosa i przez moment wierzę w tę wizję. Wyobrażam sobie, że to June mnie całuje i odbiera mi ostatni oddech. Dziewczyna przypuszczalnie wyczuwa zmianę w moim nastawieniu oraz zauważa narastające pospiesznie pożądanie, gdyż uśmiecha się, nie przerywając pocałunku.

„To June”.

Moją twarz omiatają ciemne włosy June. Moje policzki muskają długie rzęsy June, szyję otacza ręka June, przyciska się do mnie ciało June. Z ust wyrywa mi się cichy jęk.

- Chodź - szepcze. W jej głosie słyhać ochotę na kolejne psoty. - Wyjdźmy zaczerpnąć tchu.

Jak długo to trwało? Nie chcę wyjść, bo wtedy będę musiał otworzyć oczy i przekonam się, że June znikła, a w jej miejsce pojawiła się jakaś nieznana dziewczyna. Ta jednakże ciągnie mnie za rękę i muszę się rozejrzeć. Oczywiście June nigdzie nie ma. Natychmiast oślepiają mnie światła dyskoteki. Nieznajoma prowadzi mnie przez tłumy tańczących, wkraczamy razem w ciemny korytarz, a potem wychodzimy przez nieoznaczone tylne drzwi. Znajdujemy się w cichej uliczce. Tu i ówdzie stoją działające reflektory, dzięki czemu wszystko dookoła przybiera niesamowitego, zielonkawego poblasku. Nieznajoma przyciska mnie do ściany i przytłacza kolejnym pocałunkiem. Ma wilgotną skórę, a mój dotyk wywołuje u niej gęsią skórę. Całuję ją namiętnie, a potem łapię ją za ramię i obracam. Moja kolej, by przycisnąć ją do ściany. Z ust dziewczyny wyrywa się chichot zaskoczenia.

„To June” - powtarzam bez przerwy w myślach.

Moje usta przesuwają się wzdłuż jej szyi i chciwie spijają zapach dymu i perfum.

W słuchawce słyszę ciche zakłócenia, bębnienie deszczu i skwierczenie jajecznicy. Ignoruję połączenie, nawet gdy odzywa się jakiś mężczyzna. Dzięki za zepsucie zabawy.

- Panie Wing.

Nie odpowiadam.

„Spadaj. Jestem zajęty”.

Kilka sekund później głos odzywa się ponownie.

- Panie Wing, tu kapitan David Guzman z Czternastej Jednostki Miejskiej Policji Denver. Wiem, że mnie pan słyszy.

Ach, to ten gość. Nieborak, któremu zawsze przypada zadanie skontaktowania się ze mną.

Wzdycham i odsuwam się od dziewczyny.

- Przepraszam - mówię, z trudem łapiąc oddech. Marszczę brwi przepraszająco i wskazuję ucho.

- Dasz mi chwilę?

Uśmiecha się i wygładza sukienkę.

- Będę wewnątrz - odpowiada. - Poszukaj mnie.

Potem przekracza próg i znika w środku.

Włączam mikrofon i ruszam powoli przed siebie.

- Czego pan chce? - szepczę podirytowany.

Kapitan wzdycha i przekazuje wiadomość.

- Panie Wing, jest pan proszony o stawienie się jutro wieczorem w Bergen w Głównej Wieży na uroczystym balu z okazji Dnia Niepodległości. Jak zwykle ma pan prawo odmówić. Na ogół się pan nie krępuje - ostatnie zdanie wygłasza szeptem, a potem kontynuuje normalnym głosem. - Tym razem jednak będzie to nadzwyczajne spotkanie wielkiej wagi. Jeśli zechce pan do nas dołączyć, rano będzie na pana czekał prywatny odrzutowiec.

„Wyjątkowe spotkanie wielkiej wagi?”. Czy kiedykolwiek słyszałem tyle wielkich słów w jednym zdaniu? Przewracam oczami. Mniej więcej co miesiąc dostaję zaproszenie na jakąś przekłętą uroczystość w stolicy, jak choćby bal dla wszystkich wysokich rangą generałów czy obchody oficjalnego zakończenia Prób. Sęk w tym, że zapraszają mnie tylko po to, by się mną pochwalić i przekazać ludziom: „Popatrzcie tutaj! Na wypadek, gdybyście zapomnieli, Day jest po naszej stronie!”.

„Nie przeginaj, Anden”.

- Panie Wing - odzywa się kapitan, gdy milczę przez chwilę, zupełnie jakby chciał wykorzystać finalny argument. - Prześwietny



Elektor we własnej osobie prosi o pańskie przybycie. Princeps-Adeptce również na tym zależy.

Princeps-Adeptce.

Zatrzymuję się w pół kroku. Zapominam o oddychaniu.

„Spokojnie, tylko się nie ekscytuj. Przecież jest troje Princeps-Adeptów, ów kapitan mógł mieć na myśli któregokolwiek z nich”.

Mija kilka sekund, aż wreszcie pytam:

- Którego z Princeps-Adeptków ma pan na myśli?

- Tę, która ma dla pana znaczenie.

Czerwienieję, słysząc złośliwość w jego głosie.

- June?

- Tak, panią June Iparis - odpowiada kapitan. Chyba ulżyło mu, że wreszcie przykuł moją uwagę. - Mam przekazać, że to jej osobista prośba. Bardzo by chciała zobaczyć pana na balu.

Boli mnie głowa, z trudem uspokajam oddech. Natychmiast zapominam o tej dziewczynie z klubu. June nie interesowała się mną od ośmiu miesięcy. Po raz pierwszy zależy jej, bym się pojawił publicznie.

- O co tak naprawdę chodzi? - pytam. - Tylko o imprezę z okazji Dnia Niepodległości? Dlaczego to nagle takie ważne?

Kapitan waha się.

- To ma związek z bezpieczeństwem narodowym.

- A cóż to ma oznaczać?

Moja ekscytacja z wolna gaśnie. Może facet tylko blefuje?

- Niech pan posłucha, kapitanie, muszę się zająć pewnymi niedokończonymi sprawami. Niech pan spróbuje mnie przekonać z rana.

Oficer przeklina pod nosem.

- Dobrze, panie Wing. Jak pan chce.

Mruczy coś, czego nie jestem w stanie dosłyszeć i rozłącza się. Marszczę brwi podirytowany. Czuję tylko gorzkie rozczarowanie. Może czas wrócić do domu? Tak, trzeba wrócić i sprawdzić, co u Edena. Niezły numer. Rzekoma prośba June to przypuszczalnie bujda na resorach. Gdyby naprawdę jej tak zależało, bym wrócił do stolicy, zapewne...

- Day?

W słuchawce odzywa się nowy głos. Zamieram. Czy halucynogen przestał działać? Czy tylko wyobraziłem sobie jej głos? Nie słyszałem go od tylu miesięcy, ale rozpoznałbym go wszędzie. Wystarczy słowo, a natychmiast widzę June stojącą obok mnie, zupełnie jakbym wpadł na nią przypadkowo na ulicy.

„Proszę, tylko nie to. To nie może być ona. Proszę, niech to będzie ona”.

Czy jej głos zawsze tak na mnie działał?

Nie wiem, jak długo stoję jak wryty, ale chyba upływa dłuższa chwila, gdyż słyszę:

- Day, to ja, June. Jesteś tam?

Przeszywają mnie dreszcze.

To się dzieje naprawdę. To ona.

Ton jej głosu uległ zmianie. Mówi formalnie, z lekkim wahaniem, jakby zwracała się do obcego. W końcu odzyskuję pewność siebie na tyle, by włączyć mikrofon.

- Słyszę cię - odpowiadam.

Mój ton również się zmienił. Jestem równie oficjalny jak ona i też mówię z niepewnością. Mam nadzieję, że nie słyszy lekkiego drżenia głosu. Mija krótka chwila i June odzywa się:

- Cześć. Jak się miewasz?

Nagle czuję natłok słów. Cisną mi się na usta i grożą przerwaniem tamy. Łapię się na tym, że chcę jej powiedzieć wszystko - myślę o tobie od dnia naszego rozstania, przykro mi, że się nie kontaktowałem, żałuję, że ty się nie odezwałaś, tęsknię za tobą, tęsknię, tęsknię.

Udaje mi się opanować i mówię tylko:

- Dobrze. Co słychać?

- Och, to dobrze. Przepraszam, że odzywam się tak późno. Wiem, że zapewne próbujesz spać, ale Senat i Elektor prosili mnie, bym osobiście się do ciebie zwróciła z tą prośbą. Normalnie nie zawracałabym ci głowy, ale wiem, że to ważna sprawa. Podczas balu z okazji Dnia Niepodległości urządzamy spotkanie kryzysowe, dotyczące spraw bezpieczeństwa. Chcemy, byś wziął w nim udział.

- Dlaczego?

Wygląda na to, że ograniczyłem się do krótkich zdań. W rozmowie z June nie jestem w stanie zdobyć się na nic bardziej ambitnego. June wypuszcza powietrze z płuc, czym wywołuje słabą falę zakłóceń, a potem mówi:

- Słyszałeś o tym traktacie pokojowym między Republiką i Koloniami, tak?

- Jasne.

Ba, wszyscy o tym wiedzą. Przecież największym marzeniem naszego małego, wspaniałego Andena było położenie kresu wojnie, która toczyła się nie wiadomo jak długo. Wyglądało na to, że wydarzenia rozwijają się w odpowiednim kierunku. Zmagania straciły impet i na froncie od czterech miesięcy trwała cisza. Kto by pomyślał, że kiedyś nadejdzie taki dzień? Tego, że stadiony Prób stracą rację bytu, też nikt nie przewidział.

- Najwidoczniej Elektor robi wszystko, by stać się bohaterem Republiki, co?

- Nie ciesz się z tego zbyt szybko. - W słowa June wkrada się mrok i mam wrażenie, że widzę wyraz jej twarzy. - Wczoraj otrzymaliśmy nieprzyjemny komunikat od Kolonii. W ich miastach frontowych pojawiła się zaraza. Są przekonani, że ich przyczyną jest stosowana przez nas broń biologiczna. Znaleźli resztki pocisków, które ich zdaniem przeniosły zarazki przez granicę. Zdobyli nawet ich numery seryjne.

Jestem tak wstrząśnięty, że jej słowa nagle stają się niewyraźne. Przez mój umysł przewijają się wspomnienia Edena i jego czarnych, krwawiących oczu oraz owego chłopca w pociągu, którego wykorzystywano w zmaganiach wojennych.

- Czy to oznacza, że zerwano rozejm?

- Tak. - Głos June się załamuje. - Kolonie uznały zarazę za akt wypowiedzenia wojny.

- A co to ma wspólnego ze mną?

Kolejna długa, złowieszcza przerwa. Przepęlna mnie takim zimnem, że drętwieją mi palce.

„Epidemia. Epidemia wróciła”.

- Opowiem ci o wszystkim, gdy będziesz na miejscu - mówi

w końcu June. - Nie ufam środkom łączności.

# JUNE

GARDZĘ SOBĄ ZA TĘ PIERWSZĄ ROZMOWĘ Z DAYEM PO OŚMIU miesiącach bez kontaktu. Niedobrze mi się robi, jak sobie o niej przypominę. Kiedy stałam się taką manipulatorką? Dlaczego zawsze muszę wykorzystywać jego słabości przeciwko niemu?

Zeszłej nocy Anden przyszedł do mojego mieszkania o 23:06 i zastukał do drzwi. Był sam. Wydaje mi się, że w korytarzu nie było nawet żadnej ochrony. To pierwszy sygnał, że zamierzał rozmawiać o czymś poważnym. O czymś, co należało utrzymać w tajemnicy.

- Chcę cię prosić o przysługę - powiedział, gdy go wpuściłam.

Anden do perfekcji doprowadził sztukę bycia młodym Elektorem. Jest spokojny, opanowany, uprzejmy, unosi wysoko podbródek w chwilach stresu, a gdy jest rozgniewany, doskonale panuje nad głosem. Tym razem od razu ujrzałam, że jest czymś bardzo zafrasowany. Wyczuł to nawet mój pies, Ollie, i próbował go pocieszyć, wpychając mu wilgotny nos do ręki.

Odgoniłam Olliego i odwróciłam się do Andena.

- O co chodzi?

Anden przeczesał dłonią ciemne loki.

- Nie chciałem zawracać ci głowy o tak późnej porze - powiedział i pochylił głowę, by okazać troskę - ale obawiam się, że ta rozmowa nie może poczekać.

Stał tak blisko mnie, że gdybym chciała, mogłabym unieść głowę i musnąć wargami jego usta. Serce zaczęło mi bić szybciej na samą myśl o tym. Anden chyba wyczuł napięcie w mojej postawie, gdyż z przeproszącą miną zrobił krok w tył i pozostawił mi więcej przestrzeni do oddychania. Poczułam dziwne połączenie ulgi i rozczarowania.

- Traktat pokojowy to już przeszłość - szepnął. - Kolonie przygotowują się do ponownego wypowiedzenia nam wojny.

- Co takiego? - odpowiedziałam szeptem. - Dlaczego? Co się stało?

- Dowiedziałem się od dowódców wojskowych, że kilka tygodni temu na terenach frontowych zajmowanych przez Kolonie pojawił

się śmiertelny wirus, szerzący się jak dziki ogień po stepie.

Otworzyłam szeroko oczy, gdy dotarł do mnie sens jego słów, a Anden pokiwał głową. Wydawał się taki znużony, wręcz przytłoczony ciężarem bezpieczeństwa całego narodu.

- Najwyraźniej powinienem się bardziej pospieszyć z wycofywaniem naszej broni biologicznej z frontu.

Eden. Eksperymentalne wirusy, którymi ojciec Andena usiłował wywołać epidemię w Koloniach. Od wielu miesięcy odpycham tę myśl jak najdalej od siebie. W końcu Eden jest już bezpieczny, przebywa pod opieką Daya i z tego, co ostatnio usłyszałam, powoli przyzwyczajają się do normalnego życia. Przez ostatnich kilka miesięcy na froncie panowała cisza, a Anden usiłował opracować traktat pokojowy z Koloniami. Miałam nadzieję, że dopisze nam szczęście i próby z bronią biologiczną nie obrócą się przeciwko nam. Pobożne życzenia.

- Czy senatorzy już wiedzą? - spytałam po chwili. - A inni Princeps-Adepci? Czemu mówisz o tym wszystkim akurat mnie? Przecież nie jestem twoim najbliższym doradcą?

Anden westchnął i ścisnął grzbiet nosa.

- Wybacz. Żałuję, że cię w to wciągamy. Kolonie uważają, że mamy antidotum na tego wirusa w naszych laboratoriach, ale nie chcemy się nim podzielić. Domagają się, byśmy im je udostępnili i grożą, że w przeciwnym razie przypuszczają zmasowane uderzenie na Republikę. Tym razem nie będzie już mowy o powrocie do dawnego konfliktu. Kolonie zdobyły bowiem sojusznika. Podpisały układ handlowy z Afryką, która w zamian za udzielenie pomocy wojskowej ma otrzymać połowę naszych ziem.

Naraz ogarnęło mnie złe przeczucie. Wiedziałam, co zaraz od niego usłyszę.

- Nie mamy tego antidotum, prawda?

- Nie. Ale możemy je pozyskać dzięki ofiarom wcześniejszych eksperymentów.

Zacząłam kręcić głową. Anden chciał mnie pochwycić za łokieć, ale odsunęłam się.

- Nie ma mowy. Nie możesz mnie o to prosić. Nie zrobię tego.

Anden wyglądał na zranionego.

- Zwołałem na jutrzejszy wieczór prywatne przyjęcie, by ściągnąć wszystkich senatorów. Jeśli chcemy położyć kres tej wojnie i znaleźć sposób na zawarcie pokoju z Koloniami, nie mamy wyboru.

Jego głos nabrał stanowczości.

- Zdajesz sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja. Chcę, by jutro pojawił się na przyjęciu i nas wysłuchał. Musimy zdobyć jego zgodę, by móc wrócić do badań na ciele Edena.

„On nie żartuje” - uświadomiłam sobie wstrząśnięta.

- Nigdy go do tego nie nakłonisz. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Społeczeństwo nadal przygląda ci się z uwagą, a poparcie Daya jest w najlepszym wypadku umiarkowane. Naprawdę wydaje ci się, że zgodzi się na coś takiego? A co się stanie, jeśli rozwścieczysz go do tego stopnia, że wezwie lud do rewolucji? Każe im chwycić za broń? Ba, a co będzie, jak poprosi o pomoc Kolonie?

- Wiem. Przemyślałem sobie to wszystko. - Anden pociera skronie. Jest wyczerpany. - Jeśli istnieje jakaś inna opcja, z chęcią z niej skorzystam.

- I chcesz, bym go do tego nakłoniła - dodałam. Byłam tak wściekła, że nawet nie chciałam tego przed nim ukrywać. - Nie ma mowy. Namów innych senatorów, by przekonali Daya albo zrób to sam. Lub poszukaj jakiegoś sposobu, by przeprosić Kanclerza Kolonii. Omówcie nowe warunki.

- Jesteś największą słabością Daya, June. Ciebie posłucha. - Anden skrzywił się przy tych słowach, jakby nie chciał tego przyznać. - Wiem, jak to brzmi. Nie chcę wyjść na okrutnika. Nie chcę, by Day ujrzał w nas wrogów. Zrobię jednak wszystko, co w mojej mocy, by ochronić lud Republiki. W przeciwnym razie zostaniemy zaatakowani, a wtedy, jak sama wiesz, wirus rozniesie się również u nas.

Anden nie powiedział tego na głos, ale sytuacja przedstawiała się o wiele gorzej. Gdyby Kolonie zaatakowały nas wspólnie z Afryką, nasza armia nie zdołałaby nas ochronić. Tym razem moglibyśmy przegrać.

„Ciebie wysłucha”.

Zamknęłam oczy i pochyliłam głowę. Nie chciałam tego przyznać, ale wiedziałam, że Anden ma rację.

Zrobiłam więc to, o co mnie prosił. Skontaktowałam się z Dayem i poprosiłam go, by przybył do stolicy. Na samą myśl o naszym spotkaniu serce bije mi żywiej i aż boli po miesiącach rozłąki. Nie widziałam go tak długo... Dlaczego nasze spotkanie ma wyglądać akurat tak? Co on sobie o mnie pomyśli?

Co pomyśli o Republice, gdy dowie się, co jej władza chce zrobić z jego młodszym bratem?

**GODZINA 12:01**

**OKRĘGOWY SĄD DENVER, ZAJMUJĄCY SIĘ PRZESTĘPSTWAMI KRYMINALNYMI**

**TEMPERATURA NA ZEWNĄTRZ:**

**72 STOPNIE FAHRENHEITA/22 STOPNIE CELSJUSA**

**SZEŚĆ GODZIN DO SPOTKANIA Z DAYEM NA WIECZORNYM BALU**

**289 DNI I 12 GODZIN OD ŚMIERCI METIASA**

Thomas oraz komandor Jameson uczestniczą dziś w rozprawie. Mam już serdecznie dosyć procesów. Przez kilka ostatnich miesięcy wielu byłych senatorów zostało osądzonych i skazanych za uczestnictwo w spisku na życie Andena. Wraz z Dayem zdołaliśmy ten plan powstrzymać, ale wiele nas to kosztowało. Wszyscy ci senatorowie zostali skazani na śmierć. To samo spotkało Razona. Czasem mam wrażenie, że co tydzień sąd skazuje kogoś innego.

Dzisiejszy proces wygląda jednakże inaczej. Doskonale wiem, kto zostaje skazany i dlaczego.

Siedzę na balkonie, wychodzącym na okrągłą scenę sądu. Mam na sobie kamizelkę, czarną pomarszczoną kurtkę oraz wysokie buty. Moje dłonie w białych, jedwabnych rękawiczkach są niespokojne. Wiercę się na krześle i bez przerwy cicho stukam o tralę balustrady. Krzesło, na którym siedzę, zostało wykonane z syntetycznego drewna dębowego i zostało obite miękkim, szkarłatnym aksamitem, ale wydaje mi się bardzo niewygodne. Muszę się uspokoić i czymś zająć, a więc ostrożnie rozwijam cztery biurowe spinacze i splatam je w niewielki pierścień. Mam za sobą dwóch strażników. Wokół sceny zasiada dwudziestu sześciu senatorów w trzech rzędach. Mają na sobie identyczne czerwono-czarne garnitury ze srebrnymi epoletami, odbijającym



światła sali sądowej. Ich głosy niosą się echem pod kopulastym sklepieniem pomieszczenia. Wydają się mało zainteresowani przebiegiem procesu, jakby zajmowali się szczegółami transakcji handlowych, a nie ludzkimi losami. Jest wśród nich wielu nowych, którzy zastąpili zdrajców, usuniętych przez Andena. Wyróżniam się w moim czarno-złotym stroju. Nawet siedemdziesięciu sześciu żołnierzy pilnujących obrad jest ubranych w purpurowe mundury (dwóch na każdego senatora, dwóch na każdego z Princeps-Adeptów, w tym mnie, czterech pilnuje Andena, a czternastu strzeże obu wejść do budynku). Rozmiary ochrony oznaczają, że oskarżeni - Thomas oraz komandor Jameson - uważani są za ludzi niebezpiecznych i gotowych do wykonania nieprzewidzianego ruchu.

Nie jestem senatorką. Jestem Princeps-Adeptką i należy to podkreślić.

Pozostałe dwie osoby, zasiadające na sąsiednich balkonikach, noszą identyczne mundury. Zerkam na nie. Gdy Anden wyznaczył mnie, bym podjęła szkolenie na Princeps-Adeptkę, Kongres szybko nakłonił go do wybrania kilku innych. Nie można przecież pozwolić na to, by była tylko jednak osoba przygotowująca się do objęcia roli przywódcy Senatu, zwłaszcza, jeśli jest to szesnastolatka nie mająca w ogóle doświadczenia politycznego. Anden się zgodził. Wybrał dwie inne osoby do roli Princeps-Adepta, obie piastujące już pozycje senatorów. Jedna z nich nazywa się Mariana Dupree. Spoglądam na nią i widzę zadarty nos oraz surowe, poważne oczy. Ma trzydzieści siedem lat i jest senatorką od dziesięciu. Nienawidzi mnie od chwili, gdy ujrzała mnie po raz pierwszy. Odwracam od niej wzrok i spoglądam na drugie z nich, nerwowego trzydziestodwulatka Serge Carmichaela. Ten człowiek to wielki umysł polityczny i od razu dał mi poznać, że nie w smak mu moja młodość i brak doświadczenia. Serge i Mariana. Dwoje rywali w walce o tytuł Princepsy lub Princepsa. Na samą myśl o tym czuję się zmęczona.

Na innym balkonie, odległym o kilkadziesiąt metrów, siedzi Anden w towarzystwie ochroniarzy. Wydaje się spokojny i omawia coś z jednym z żołnierzy. Ma na sobie dobrze skrojoną, szarą kurtkę wojskową ze świecącymi, srebrnymi guzikami, srebrnymi epoletami i insygniami na rękawach w tym samym kolorze. Od czasu do czasu

zerka na więźniów, stojących w samym środku sali sądowej. Przyglądam mu się przez moment, podziwiając wprawę, z jaką udaje spokój.

Thomas oraz komandor Jameson zostaną skazani za przestępstwa popełnione na narodzie.

Mam wrażenie, że Thomas jest jeszcze bardziej schludny niż zwykle, o ile to w ogóle możliwe. Włosy ma starannie zaczesane do tyłu i widzę, że zużył przynajmniej po jednej tubce pasty na każdy but. Stoi na baczność w centrum kręgu i wpatruje się przed siebie z karnością, która zachwyciłaby każdego dowódcę. Zastanawiam się, o czym myśli. Czy wyobraża sobie ową noc na ulicy za szpitalem, kiedy zamordował mojego brata? Może myśli o niezliczonych rozmowach z Metiasem? O wszystkich chwilach, kiedy zdobywał jego bezgraniczne zaufanie? A może o owej nieszczęsnej nocy, kiedy zamiast pomóc memu bratu postanowił go zdradzić?

Komandor Jameson z kolei wygląda na nieco zaniedbaną. Jej zimne, pozbawione wyrazu oczy wpatrują się we mnie. Przyglądam mi się od ponad dwunastu minut, nie drgnąwszy ani razu. Przez moment odpowiadam spojrzeniem, próbując dojrzeć w jej oczach choć cień ludzkich uczuć, ale nie widzę tam nic poza lodowatą nienawiścią i całkowitym brakiem skrupułów. Odwracam więc wzrok, oddycham powoli, głęboko i próbuję skupić się na czymś innym. Moje myśli wracają do Daya.

Od jego wizyty w moim mieszkaniu i naszego pożegnania upłynęło dwieście czterdzieści jeden dni. Czasem chciałabym, by znów mnie objął i pocałował tak, jak tej ostatniej nocy. Chciałabym znaleźć się tak blisko, bym nie mogła oddychać i poczuć smak jego miękkich ust. Przeganiem jednakże to pragnienie. Po co mi ono? Przypomina jedynie o stracie. Podobnie czuję się teraz - wpatrywanie się w ludzi, którzy zabili moją rodzinę, przypomina mi o wszystkim tym, co kiedyś miałam. Przywodzi również poczucie winy i zwraca uwagę na wszystko to, co Day miał, nim mu to odebrałam.

Poza tym Day pewnie nie będzie już chciał mnie całować. Niech no tylko się dowie, dlaczego chciałam, by wrócił do Denver.

Anden spogląda na mnie. Łapię jego spojrzenie i widzę, jak kiwa głową, opuszcza swój balkon i minutę później pojawia się na

moim. Wstaję i salutuję energicznie, a moja ochrona idzie w moje ślady. Anden macha ręką niecierpliwie.

- Siadaj, proszę.

Odprężam się na krześle, a on pochyla się, patrzy mi w oczy i pyta:

- Jak się trzymasz, June?

Usiłuję powstrzymać rumieniec, rozlewający się po moich policzkach. Minęło osiem miesięcy, odkąd po raz ostatni widziałam Daya, a tymczasem łapię się na tym, że uśmiecham się do Andena, cieszę się uwagą, jaką mi poświęca, a nawet czasem mi jej brakuje.

- Nieźle, dzięki. Nie mogłam się doczekać tego dnia.

- Jasne. - Anden kiwa głową. - Nie martw się, jeszcze trochę i oboje znikną z twego życia na zawsze.

Kładzie mi dłoń na ramieniu i ściska je, by dodać mi otuchy, a potem znika równie szybko, jak się pojawił. W jednej chwili słyszę ciche pobrzękiwanie jego medali i insygniów, a potem widzę, jak pojawia się na swoim balkonie.

Unoszę głowę, na próżno udając odwagę. Wiem przecież, że lodowate oczy komandor Jameson z pewnością nadal się we mnie wpatrują. Każdy z senatorów powstaje i ogłasza własną decyzję w głosowaniu. Wstrzymuję oddech i skrupulatnie odpycham każde wspomnienie związane z tymi oczami. Spycham je gdzieś na skraj świadomości. Głosowanie trwa całą wieczność, choć każdy z senatorów skwapliwie mówi to, co jego zdaniem ucieszy Elektora. Tytu ich kolegów zostało osądzonych i straconych, że nikt nie chce ryzykować gniewu Andena. Gdy nadchodzi moja kolej, mam wyschnięte podniebienie. Przetykam kilkakrotnie ślinę i mówię:

- Winna.

Mój głos jest czysty i opanowany. Serge i Mariana oddają głosy po mnie. Następnie głosujemy w sprawie wyroku Thomasa i po sprawie. Trzy minuty później na balkoniku Andena pojawia się łysy człowiek o okrągłej, pomarszczonej twarzy, ubrany w szkarłatną, sięgającą do ziemi szatę, którą trzyma lewą dłonią. Pospiesznie składa Elektorowi ukłon, a ten pochyla się ku niemu i szepcze mu do ucha. Przyglądam się scenie z ciekawością, zastanawiając się, czy jestem w stanie odczytać wyrok z samych gestów. Po krótkiej naradzie przybysz i Elektor kiwają głowami.

- Jesteśmy gotowi ogłosić werdykt w sprawie kapitana Thomasa Alexandra Bryanta oraz komandor Natashy Jameson z Ósmego Oddziału Miejskiej Policji Los Angeles - oznajmia człowiek w szkarłatnej szacie. - Powstańcie przed prześwietnym Elektorem!

Rozlega się szelest mundurów, gdy wszyscy podnosimy się jednocześnie. Komandor Jameson odwraca się do Andena, a na jej twarzy maluje się bezbrzeżna wzgarda. Thomas salutuje z trzaskiem obcasów. Nie opuszcza dłoni. Anden wstaje, wyprostowuje się i splata dłonie za plecami. W ciszy czekamy na ostateczny werdykt, na jedyny głos, który naprawdę ma znaczenie. Tłumię ochotę, by zakaszleć. Znów zerkam na pozostałych Princeps-Adeptów - od jakiegoś czasu nie mogę zapanować nad tym odruchem. Mariana marszczy brwi z zadowoleniem, a Serge po prostu wydaje się znudzony. Mocno zaciskam dłoń na trzymanym w niej pierścieniu ze spinaczy. Wiem, że będę miała ranki na dłoni.

- Senatorowie Republiki przedstawili decyzję - ogłasza Anden formalnym tonem, odpowiednim dla uroczystości uświęconych tradycją. Nie mogę się nadziwić jego głosowi, który jest taki cichy, a mimo to niesie się daleko. - Wziąłem ich werdykt pod uwagę, a teraz chcę przedstawić własny.

Anden przerywa i spogląda w dół na oboje czekających oskarżonych. Thomas nadal salutuje i wpatruje się intensywnie w przestrzeń przed sobą.

- Kapitanie Thomasie Alexandrze Bryant z Ósmej Oddziału Miejskiej Policji Los Angeles - oznajmia. - Republika uznaje pana za winnego...

W sali panuje cisza. Usiłuję utrzymać równy rytm oddychania.

„Myśl o czymś. O czymkolwiek. Może o książkach politycznych, które czytałam w tym tygodniu?”.

Próbuję odtworzyć kilka faktów, ale nagle uświadamiam sobie, że niczego nie pamiętam. Przedziwne.

- ...śmierci kapitana Metiasa Iparisa w nocy trzydziestego listopada. Zabicia obywatelki Grace Wing bez upoważnień potrzebnych do przeprowadzenia egzekucji. Samowolną egzekucję dwunastu demonstrantów na placu Batalla po południu...

Jego słowa zlewają się w szum w mojej głowie. Kładę rękę na oparciu krzesła i powoli wypuszczam powietrze z płuc, usiłując

zachować równowagę. „Winny”. Thomasa uznano winnym śmierci mego brata i matki Daya. Ręce mi drżą.

- ...skazuje się na śmierć przez rozstrzelanie. Egzekucja odbędzie się za dwa dni o siedemnastej. Komandor Natasho Jameson z Ósmego Oddziału Policji Miejskiej Los Angeles, Republika uznaje panią winną...

Głos Andena zamienia się w niezrozumiały szum. Czas wydaje się teraz płynąć tak powoli, zupełnie jakbym żyła w zbyt szybkim tempie i już dawno zostawiła świat za sobą. Rok temu stałam na zewnątrz Batalla Hall na nieco innej scenie sądowej i słuchałam, jak inny sędzia skazuje Daya na dokładnie tę samą karę. Day jednakże żył i był teraz jedną z największych osobistości Republiki. Znów otwieram oczy. Komandor Jameson zacisnęła usta tak mocno, że tworzą cienką kreskę. Anden odczytuje jej wyrok śmierci. Po Thomasie nie widać żadnych emocji. Czy to możliwe?

Znajduję się zbyt daleko, ale mam wrażenie, że jego brwi są zmarszczone, co oznacza, że przeżywa jakąś osobliwą tragedię.

„Chyba powinnam się z tego cieszyć” - napominam się. Thomas zabił Metiasa. Bez wahania, z zimną krwią zastrzelił matkę Daya.

Naraz sala sądowa rozplywa się i widzę jedynie wspomnienia z dawnych lat, gdy wraz z Metiasem i Thomasem jadłam zupę w ciepłej, azjatyckiej knajpce na ulicy, a na zewnątrz padał deszcz. Pamiętam chwilę, gdy Thomas chwalił się przede mną pierwszą przydzieloną sobie bronią. Pamiętam nawet dzień, kiedy Metias przyprowadził mnie na popołudniowe ćwiczenia. Miałam wówczas dwanaście lat i właśnie zaczęłam zajęcia w Drake. To wszystko wydawało się teraz tak niewinne... Metias odebrał mnie tego dnia po lekcjach. Przybył punktualnie, a potem udaliśmy się do sektora Tanagashi, gdzie trenował swoich podkomendnych. Nadal czuję gorące promienie słoneczne na moich włosach, widzę łopoczącą czarną pelerynę Metiasa i błysk srebrnych epoletów, wciąż słyszę stukanie jego wypolerowanych butów na asfalcie. Usiadłam sobie na ławeczce i włączyłam komputer, by zająć się jakąś skomplikowaną lekturą (albo poudawać, że się nią zajmuję), a Metias ustawił ludzi w szeregu. Zatrzymywał się przed każdym z nich i wskazywał na niedociągnięcia w umundurowaniu.

- Kadecie Rin! - warknął na jednego z nowych żołnierzy. Ten aż podskoczył, słysząc stal w głosie mego brata, a potem

zawstydzony zwiesił głowę, gdy Metias postukał palcem w medal przypięty do kurtki.

- Gdybym sam założył taki medal, komandor Jameson bez wahania pozbawiłaby mnie rangi. Chcesz zostać usunięty z tej jednostki, żołnierzu?

- Nnnie - wyjąkał młodziak.

Metias kontynuował inspekcję, nadal trzymając dłonie splecione za plecami. Zbeształ jeszcze trzech ludzi, aż dotarł do Thomasa, stojącego na końcu szeregu. Uważnie, surowo otaksował wzrokiem jego mundur, który oczywiście był w idealnym stanie. Nie było na nim ani jednej nitki, a każdy epolet, guzik i medal został wypolerowany do połysku. Buty lśniły tak bardzo, że pewnie mogłabym się w nich przejrzeć. Nastąpiła długa przerwa. Odłożyłam komputer i wychyliłam się, by im się lepiej przyjrzeć. Mój brat w końcu pokiwał głową.

- Dobra robota, żołnierzu - powiedział do Thomasa. - Oby tak dalej, a dopilnuję, by komandor Jameson awansowała was przed końcem roku.

Twarz Thomasa nawet nie drgnęła, ale zauważyłam, jak unosi podbródek z dumą.

- Dziękuję, sir - odpowiedział. Metias przyglądał mu się jeszcze przez sekundę, a potem zajął się kolejnymi żołnierzami. Gdy inspekcja dobiegła końca, mój brat zwrócił się do całego oddziału:

- Jestem wielce rozczarowany tą inspekcją, żołnierze! - zawołał. - Jesteście teraz pod moim dowództwem, co oznacza, że waszym zwierzchnikiem jest komandor Jameson. Pani komandor ma wobec was wysokie oczekiwania, a więc lepiej dajcie z siebie wszystko! Jasne?

- Tak jest! - Żołnierze zasalutowali z trzaskiem obcasów.

Metias znów zerknął na Thomasa. Na twarzy mojego brata malował się szacunek, może nawet podziw.

- Gdyby każdy z was poświęcał tyle uwagi szczegółom co kadet Bryant, stalibyśmy się najlepszym oddziałem w kraju. Niech on będzie przykładem dla was wszystkich.

Zasalutował wraz z nimi.

- Niech żyje Republika!

Kadeci powtórzyli jego wezwanie. Po ulicy poniosło się echo.

Wspomnienie powoli blednie, a wyraźny głos Metiasa zamienia się w szept ducha. Pograżona w smutku, czuję się słaba i wyczerpana.

Metias zawsze mówił, że Thomas ma obsesję na punkcie zostania idealnym żołnierzem. Pamiętam jego ślepe oddanie komandor Jameson. Tę samą wierność okazuje teraz nowemu Elektorowi. Naraz przypomina mi się chwila, gdy siedziałam naprzeciwko niego w pokoju przesłuchań. Przypomina mi się udręka w jego oczach. Powiedział mi wówczas, że chciał mnie bronić. Co się stało z tym nieśmiałym, niezdarnym chłopakiem z biednych sektorów Los Angeles, z tym chłopakiem, który każdego dnia ćwiczył z moim bratem? Coś przyćmiewa mi wzrok, pospiesznie ocieram dłonią oczy.

Mogłabym okazać współczucie. Mogłabym poprosić Andena, by oszczędził go, pozwolił odsiedzieć winę w więzieniu, a potem dał szansę na odkupienie grzechów. Zamiast tego stoję jednak z zaciśniętymi ustami, całkiem nieporuszona, a moje serce jest jak z kamienia. Metias okazałby więcej miłosierdzia w tej sytuacji, ale ja nigdy nie byłam tak dobra jak mój brat.

- Proces w sprawie kapitana Thomasa Alexandra Bryanta oraz komandor Natashy Jameson dobiegł końca - mówi Anden. Wyciąga rękę w kierunku Thomasa i kiwa raz głową.

- Kapitanie, czy chciałby pan powiedzieć coś Senatowi?

Ten jest całkiem nieporuszony. Na jego twarzy nie ma ani śladu lęku, poczucia winy czy gniewu. Przyglądam mu się bacznie. Po sekundzie bądź dwóch Thomas spogląda na Andena i kłania się nisko.

- Prześwietny Elektorze! - odzywa się mocnym głosem. - Moje czyny, które cię rozczarowały i oburzyły, przyniosły hańbę Republice. Z pokorą przyjmuję mój wyrok.

Unosi głowę i znów salutuje.

- Niech żyje Republika!

Spogląda na mnie w chwili, gdy wszyscy senatorowie aprobuja wyrok wydany przez Andena. Nasze spojrzenia spotykają się. Odwracam na chwilę głowę, a gdy znów na niego patrzę, Thomas wpatruje się w dal.

- Pani komandor? - Anden wyciąga dłoń w rękawiczkę ku Jameson. Unosi podbródek po królewsku. - Czy chciałaby pani powiedzieć coś Senatowi?

Komandor nieporuszona wpatruje się w młodego Elektora. Jej oczy są zimne i mroczne. Po chwili kiwa głową.

- Tak, Elektorze - odzywa się ochryplym głosem. Słuchać w nim drwinę, co stanowi ostry kontrast w stosunku do słów Thomasa. Senatorowie i żołnierze okazują niepokój, ale Anden unosi dłoń, domagając się ciszy.

- W istocie, chciałabym ci coś powiedzieć. Nie byłam pierwszą, która chciała twej śmierci i na pewno nie jestem ostatnią. Piastujesz rangę Elektora, ale jesteś tylko młodym chłopakiem. Sam nie wiesz, kim jesteś.

Jameson mruży oczy i niespodziewanie się uśmiecha.

- Ale ja wiem. Widziałam w życiu o wiele więcej od ciebie. Wykrwawiałam więźniów dwa razy starszych od ciebie, zabijałam ludzi dwakroć od ciebie silniejszych, pozostawiałam w celach zmaltretowane kaleki, które miały dwa razy więcej odwagi od ciebie. Uważasz siebie za zbawcę narodu, tak? Ja znam prawdę. Jesteś nieodrodnym synem swego ojca i nic się od niego nie różnisz. Poniesiesz porażkę tak jak i on.

Uśmiecha się coraz szerzej, ale jej oczy pozostają lodowate.

- Jeśli utrzymasz ster rządów, ten kraj pożrą płomienie, a mój duch będzie śmiał się z piekła.

Wyraz twarzy Andena nie zmienia się nawet przez chwilę. W jego oczach nie widać strachu. Wpatruję się w niego jak ptak w błękitne niebiosy. Elektor ze spokojem znosi spojrzenie komandor Jameson.

- Rozprawa dobiegła końca - oznajmia, a jego głos niesie się echem po sali. - Pani komandor, proponuję zachować swe groźby dla plutonu egzekucyjnego.

Splata ramiona z tyłu i zwraca się do żołnierzy.

- Zabierzcie mi ich z oczu.

Nie wiem, jak Anden może okazać tak niewiele strachu w obliczu komandor Jameson. Zazdroszczę mu tej umiejętności, gdyż ja nadal czuję przerażenie, nawet w chwili, gdy żołnierze wyprowadzają skazańców z sali. Mam wrażenie, że Jameson jeszcze z nami nie



skończyła. Że ostrzega nas, byśmy mieli oczy dookoła głowy.

# DAY

LĄDUJEMY W DENVER RANO NA DŁUGO PRZED NADZWYCZAJNYM przyjęciem kryzysowym. Nawet samo sformułowanie mnie śmieszy. Przyjęcie kryzysowe? Moim zdaniem przyjęcie to tylko i wyłącznie impreza i jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by jakikolwiek kryzys mógł stać się powodem do wyzerki, nawet jeśli to Dzień Niepodległości. Czy Senatorowie w ten właśnie sposób radzą sobie z kryzysami? Napychają kałduny żarciem?

Wraz z Edenem próbujemy się rozgościć w przydzielonym nam mieszkaniu. Mój brat zasypia, wyczerpany po wczesnym locie. Niechętnie pozostawiam go pod opieką Lucy, ale muszę spotkać się z asystentem, który ma mnie przygotować na wieczór.

- Jeśli ktokolwiek będzie chciał się z nim zobaczyć - szepczę do Lucy, nie chcąc obudzić Edena - zadzwoń do mnie, bez względu na przyczyny. Jeśli ktoś będzie chciał...

Lucy, która przywykła do mojej paranoi, odpędza mnie machnięciem dłonią.

- Niech się pan przestanie przejmować, panie Wing - odpowiada i poklepuje mnie po policzku. - Nikt tu nie wejdzie podczas pana nieobecności. Obiecuję. Jakby co, natychmiast do pana zadzwonię.

Kiwam głową. Patrzą jeszcze przez moment na Edena, jakby ten miał lada chwila zniknąć.

- Dzięki.

By wziąć udział w tak eleganckim przedsięwzięciu, muszę się dobrze ubrać. W tym celu Republika przydziela mi córkę jakiegoś senatora, która ma mnie zabrać na główną ulicę miasta. Spotykamy się na stacji kolejowej w centrum. Od razu ją rozpoznaję - od stóp do głów ubrana jest w stylowy mundur. Ma jasnobrązowe oczy, ciemną karnację i grube, czarne loki zaplecione w warkocz. Uśmiecha się, gdy mnie rozpoznaje. W sekundę później łapię ją na tym, że omiata mnie wzrokiem, jakby już chciała skrytykować moje ubranie.

- Day, prawda? - pyta, ściskając mi dłoń. - Nazywam się Faline Fedelma. Elektor przydzielił mi rolę twojej przewodniczki.

Znów spogląda na to, w co jestem ubrany, i unosi brew.

- Mamy sporo pracy przed sobą.

Patrzę po sobie. Noszę spodnie wsunięte w zdarte buty, pomiętą koszulę oraz stary szal. Raczej nie wzięto by mnie za eleganta.

- Cieszę się, że mój styl przypadł ci do gustu - odpowiadam, ale Faline wybucha śmiechem i bierze mnie pod rękę. Prowadzi mnie na ulicę z rządowymi sklepami, specjalizującymi się w sprzedaży eleganckiej odzieży. Przyglądam się mijającym nas tłumom. To dobrze odziani ludzie z wyższych klas. Mija nas trójka rozchichotanych studentów, ubranych w nieskazitelne mundury wojskowe i wypolerowane buty. Skręcamy w inną uliczkę, a wtedy uświadamiam sobie, że kręci się na niej wielu żołnierzy. Bardzo wielu żołnierzy.

- Czy centrum zawsze jest tak silnie strzeżone? - pytam.

Faline wzrusza ramionami i przystępuje do szukania odpowiednich rzeczy dla mnie, ale w jej oczach widać niepokój.

- Nie - odpowiada. - Raczej nie. Ale jestem pewna, że nie masz się czym przejmować.

Nie zadaję więcej pytań, ale czuję falę niepokoju. Denver wzmacnia ochronę. June nie wyjaśniła mi, dlaczego tak bardzo chce, bym wziął udział w tym przyjęciu. A musi być zdesperowana, skoro skontaktowała się ze mną po tylu miesiącach bez słowa. Czego ona ode mnie chce? Czego chce Republika?

Jeśli Republika rzeczywiście wybiera się na wojnę, być może powinienem pomyśleć o wywiezieniu Edena z kraju. Możemy wyjechać choćby i teraz. Nie mam pojęcia, co mnie zatrzymuje.

Kilka godzin później, po zapadnięciu zmroku, wychodzę z mieszkania, wsiadam do czekającego na mnie dżipa. Wiozą mnie ku Colburn Hall. Nad różnymi częściami miasta migoczą fajerwerki, odpalane z okazji urodzin Elektora. Niecierpliwie spoglądam przez okno. Na chodnikach widać grupki ludzi. Tej nocy wszyscy mają na sobie bardzo specyficzne stroje, głównie czerwone. Tu i ówdzie widzę złoty makijaż i pieczęć Republiki na białych rękawiczkach lub rękawach kurtek mundurowych. Ciekawe, ilu z tych ludzi zgadza się z graffiti: „Anden jest naszym zbawcą”, a ilu woli: „Anden to ściema”.

Ulicami maszeruje wojsko. Na wszystkich JumboTronach widać

gigantyczne pieczęcie Republiki lub transmisje na żywo z przebiegu uroczystości w Colburn Hall. Trzeba Andenowi przyznać, że ilość propagandy na JumboTronach zmniejsza się coraz bardziej, ale nadal nie ma informacji o tym, co się dzieje za granicami kraju. Chyba nie można mieć wszystkiego.

Gdy stajemy pod szerokimi, brukowanymi schodami prowadzącymi do Colburn Hall, na ulicach widać tłumy bawiących się ludzi oraz poważnych, nieuśmiechających się strażników. Wyskakuję z dzipa na oczach setek gapiów, którzy zaczynają wiwatować. Ich krzyk jest wprost ogłuszający - przeszywa me ciało na wskroś i wywołuje kolejny atak bólu głowy. Macham do nich z wahaniem.

Faline czeka na mnie u dołu schodów. Tym razem ma na sobie złotą sukienkę i powieki powleczone złotym pudrem. Kłaniamy się sobie, a potem ruszam w ślad za nią. Dziewczyna wykonuje kilka gestów i zebrani na schodach rozstępują się, by nas przepuścić.

- Doprowadziłeś się do porządku - mówi. - Ktoś będzie bardzo zadowolony na twój widok.

- Nie sędzę, by Elektor był tak tym podekscytowany, jak sądzisz.

Faline odwraca się i uśmiecha przez ramię.

- Nie miałam na myśli Elektora.

Serce bije mi szybciej.

Idziemy wśród wiwatujących tłumów. Zadzieram głowę i podziwiam piękno Colburn Hall. Budynek błyszczący się i mieni. Każda kolumna została ozdobiona długim, szkarłatnym proporcem z pieczęcią Republiki, a na samym środku ich rzędu, tuż nad wejściem, zawieszono największy portret, jaki w życiu widziałem - gigantyczna twarz Andena. Idziemy korytarzem, na którym Senatorowie i inni członkowie krajowych elit toczą swobodne rozmowy, żartują i śmieją się, jakby w państwie wszystko układało się jak najlepiej. Widać jednak, że próbują w ten sposób jedynie zamaskować napięcie. Dostrzegam nerwowe spojrzenia i zmarszczone brwi. Co więcej, we wnętrzu Colburn Hall również znajduje się zaskakująco wielu żołnierzy. Próbuję naśladować ich precyzyjny krok, ale przestaję, gdy Faline to zauważy.

Przez kilka minut przemierzamy eleganckie, bogate wnętrza Colburn Hall, pogrążeni w morzu polityków. Frędzle przy moich

epoletach podzwaniają cicho. Szukam j e j, choć nie mam pojęcia, co mam powiedzieć, gdy - j e ś l i - ją spotkam. Czy jest w ogóle nadzieja, że wypatrzę ją w całym tym przepychu? Za każdym zakretem widzę kolejne barwne suknie i nieskazitelne garnitury, fontanny i pianina, kelnerów roznoszących wysokie kieliszki szampana i wytwornych ludzi ze sztucznymi uśmiechami. Niespodziewanie czuję atak klaustrofobii.

„Gdzie ja jestem? Co ja tu robię?”

W chwili, gdy zadaję sobie te pytania, niespodziewanie pojawia się ona. Tłumy arystokratów rozmazują się, a ja widzę tylko jej sylwetkę. June. Otaczający mnie hałas cichnie i przeistacza się w jednostajny szum, cichy i mało zajmujący. Nie mogę nic na to poradzić - skupiam całą swą uwagę na dziewczynie. A wydawało mi się, że będę w stanie z nią rozmawiać...

Ma na sobie sięgającą podłogi suknię z ciemnego szkarłatu, a jej gęste, lśniące włosy, przypominające ciemne fale, upięto czerwonymi spinkami wysadzanymi brylantami, które odbijają światło. Nigdy w życiu nie widziałem większej piękności. Jestem pewien, że przewyższa urodą wszystkie inne w budynku. Urosła od czasu, gdy się widzieliśmy po raz ostatni. Trzyma się prosto i stąpa z gracją, którą podkreślają smukła, niemalże łabędzia szyja oraz ciemne oczy. Wydaje się uosobieniem perfekcji.

Perfekcja nie jest jednak doskonała. Przyglądam jej się uważniej i dostrzegam coś, co wywołuje zmarszczkę na moim czole. W jej postawie kryje się bowiem powściągliwość, a także brak zdecydowania. Nie taką June znałem. Mam wrażenie, że jej widok całkiem odebrał mi umiejętność decydowania za siebie, gdyż niespodziewanie uświadamiam sobie, że zmierzam w jej kierunku, ciągnąc za sobą Faline. Zatrzymuję się dopiero, gdy otaczający ją ludzie odsuwają się, a moim oczom ukazuje się mężczyzna stojący przy niej.

To Anden. Jasne, nie powinienem się niczemu dziwić. Kilka pięknie ubranych dziewcząt bez powodzenia usiłuje przyciągnąć jego uwagę, ale on jest skupiony tylko na June. Patrzę, jak pochyła się, by wyszeptać jej coś do ucha, a potem kontynuuje swobodną rozmowę z nią i kilkoma innymi. Odwracam się bez słowa, ale Faline marszczy brwi.

- Wszystko w porządku? - pyta.

Próbuję się uśmiechnąć, by ją uspokoić.

- Och, tak, jak najbardziej. Nie martw się.

Czuję się taki wyobcowany wśród tych arystokratów z ogromnymi rachunkami bankowymi i wytwornymi manierami. Republika może mnie obsypywać forszą, ale zawsze będę tylko chłopakiem z ulic.

I całkiem zapomniałem, że ulicznik nie ma co marzyć o przyszłej Princepsie.

# JUNE

**GODZINA 19:35**

**GŁÓWNA SALA BALOWA W COLBURN HALL**

**TEMPERATURA W POMIESZCZENIACH:**

**68 STOPNIE FAHRENHEITA/20 STOPNI CELSJUSZA**

Wydaje mi się, że dostrzegam Daya w tłumie. Mignął mi ktoś o jasnych, złotych włosach oraz błękitnych oczach. Nagle zapominam o rozmowie z Andenem i pozostałymi Princeps-Adeptami. Przechylam głowę, by lepiej widzieć, ale Day już znikł, o ile to był on. Rozczarowana, znów przywołuję wystudiowany uśmiech i skupiam uwagę na pozostałych.

Czy Day zjawi się tu dziś? Ludzie Andena chyba by nas poinformowali, gdyby nie wsiadł dziś rano do prywatnego odrzutowca, który mu podstawiono. Z drugiej strony wydawał się taki niedostępny i zdezorientowany podczas naszej rozmowy w nocy... Może zdecydował, że mimo wszystko nie ma sensu tu przychodzić? Może mnie nienawidzi? Miał przecież tyle czasu, by przemyśleć naszą przyjaźń i wyciągnąć nowe wnioski.

Pozostali Princeps-Adepci śmieją się z żartów Andena, a ja uważnie śledzę wzrokiem tłum.

Przeczenie mówi mi, że Day przybędzie, ale nie należę do ludzi, którzy ufają przeczuciom. Nieświadomie dotykam brylantów wpiętych we włosy, by mieć pewność, że ich nie zgubiłam. Bynajmniej nie należą do najwygodniejszych elementów garderoby, ale fryzjerka zachwycała się tym, jak pięknie wyglądają na tle moich ciemnych loków i przez to uznałam, że warto się poświęcić. Nie wiem tylko, dlaczego mi tak zależało, by dziś wieczorem tak ładnie wyglądać. Cóż, niby mamy Święto Niepodległości, a to ważna okazja.

- Zgodnie z oczekiwaniami nas wszystkich panna Iparis realizuje program nauczania znacznie szybciej niż przyjęto. - Anden opowiada senatorom, uśmiechając się do mnie. Jego zauważalne zadowolenie i pogoda ducha są oczywiście na pokaz. Towarzyszę mu bardzo długo i nauczyłam się rozpoznawać u niego napięcie.

Dziś dostrzegam nerwowość w każdym gościu. Ja też jestem niespokojna. Za jakiś miesiąc nad flagami Republiki mogą zawisnąć flagi Kolonii.

- Jej nauczyciele twierdzą, że nigdy dotąd nie mieli do czynienia z uczennicą, która tak szybko czyta teksty polityczne.

- Dziękuję, Elektorze - odpowiadam odruchowo na komplement. Senatorzy śmieją się, ale ich wesołość nie maskuje niechęci, którą mnie darzą. W ich odczuciu jestem tylko jakimś d z i e c k i e m, które zostało wyznaczone przez Elektora na potencjalnego przyszłego przywódcę. Mariana kwituje słowa Andena oszczędnym, dyplomatycznym skinieniem głowy, ale Serge nie wydaje się zachwycony wyróżnieniami, jakie mnie spotykają. Ignoruję pochmurne spojrzenie, jakim mnie obrzuca. Kiedyś jego miny spędzały mi sen z powiek, ale teraz jestem nimi po prostu zmęczona.

- Cóż - mówi senator Tanaka z Kalifornii, poprawia kołnierz kurtki wojskowej i wymienia się spojrzeniami z żoną. - To wspaniałe wieści, Elektorze. Jestem przekonany, że nauczyciele zdają sobie sprawę z tego, jak wiele musi umieć senator. Książki to przecież nie wszystko. Prawdziwe doświadczenie dają długie lata uczestnictwa w posiedzeniach Senatu, czego najlepszym przykładem jest nasz drogi senator Carmichael.

Kiwa przy tych słowach łaskawie głową ku Serge'owi, który napęła się dumą, ale Anden zbywa jego komentarz machnięciem dłoni.

- Wszystko w swoim czasie, senatorze - mówi.

Stojąca obok mnie Mariana wzdycha, pochyla się i wskazuje Serge'a dyskretnym ruchem głowy.

- Zaraz zatrzepocze skrzydełkami i wzbije się do lotu - szepcze.

Uśmiecham się.

Rozmowa schodzi na temat nowych, lepszych metod rekrutacji na studia, co po zniesieniu Prób stało się problematyczne. Polityczna paplanina działa mi na nerwy. Zaczynam rozglądać się w poszukiwaniu Daya, ale nigdzie go nie widzę. W końcu kładę Andenowi dłoń na ramieniu i szepczę:

- Przepraszam na moment, zaraz wrócę.



Elektor kiwa przyzwalająco głową. Odwracam się i wtapiam w tłum, ale cały czas czuję na sobie jego spojrzenie.

Przez kilka minut chodzę po sali balowej i witam się z napotkanymi członkami Senatu oraz ich rodzinami. Poszukiwania nie przynoszą jednak skutku. Gdzie jest Day? Próbuję podsłuchać fragment rozmów i szukam wzrokiem większych grup ludzi. Day to przecież słynna osobistość i jeśli przybył na miejsce, bez wątplenia przyciąga uwagę zebranych. Postanawiam przeszukać drugą część sali balowej, gdy niespodziewanie odzywają się głośniki.

„Przysięga” – wzdycham w myślach i odwracam się ku Andenowi, który już zajął miejsce na scenie. Otaczają go żołnierze trzymający flagi Republiki.

– Ślubuję wierność fladze Republiki Amerykańskiej...

„Day!”.

Widzę go. Stoi w odległości kilkunastu kroków. Jest częściowo zwrócony do mnie plecami i widzę jedynie fragment jego profilu. Ma rozpuszczone, idealnie proste włosy, a na jego ramieniu opiera się jakaś dziewczyna w błyszczącej złotej sukni. Przyglądam mu się bacznie i dostrzegam, że jego usta nie poruszają się. Nie wymawia ani jednego słowa przysięgi. Gdy ta dobiega końca, zebrani zaczynają klaskać, a ja znów spoglądam na scenę, gdzie Anden przygotowuje się do wygłoszenia przygotowanego zawczasu przemówienia. Kątem oka dostrzegam, jak Day spogląda przez ramię. Widzę jego twarz przez krótką chwilę, ale to wystarczy, by moje dłonie zaczęły drżeć. Czy ja naprawdę zapomniałam o tym, jaki jest piękny? Naprawdę zapomniałam o jego oczach, w których widać coś dzikiego i nieposkromionego? Wydaje się wolny i niezależny nawet w samym środku zdyscyplinowanego, eleganckiego tłumu.

Przemówienie dobiega końca, a ja kieruję się prosto ku niemu. Widzę, że ma na sobie doskonale skrojony, czarny garnitur wojskowy. Czyżby schudł? Mam wrażenie, że od czasu naszego ostatniego spotkania stracił minimum pięć kilogramów. A więc ostatnio chorował. Gdy podchodzę bliżej, Day zauważa mnie i przerywa rozmowę z towarzyszącą mu dziewczyną. Otwiera nieco szerzej oczy. Czuję, jak na moich policzkach pojawia się rumieniec, ale usiłuję się opanować. Czeka nas pierwsze spotkanie od wielu miesięcy i nie mam zamiaru zrobić z siebie idiotki.

Zatrzymuję się w odległości kilku kroków od niego i spoglądam na jego towarzyszkę, którą rozpoznaję od razu. To Faline, osiemnastoletnia córka senatora Fedelmy. Pozdrawiamy się skinieniami.

- Cześć, June. - Faline uśmiecha się szczerze. - Wspaniale dziś wyglądasz.

Odruchowo odpowiadam tym samym, co przynosi mi ulgę po sztucznych uśmiechach, którymi obdarzałam Princeps-Adeptkę.

- Ty też - odpowiadam.

Faline od razu zauważa delikatny rumieniec na moich policzkach i wybawia nas z niezręcznej sytuacji. Dyga przed nami obojgiem i znika w tłumie, zostawiając mnie sam na sam z Dayem.

Przez chwilę wpatrujemy się w siebie. Przerywam ciszę, nim ta staje się zbyt uciążliwa.

- Cześć - mówię. - Miło cię widzieć.

Wpatruję się w jego twarz i odświeżam wspomnienia każdym zauważonym szczegółem.

Day odpowiada uśmiechem i kłania mi się, ale nie spuszcza mnie z oczu. Jego wzrok sprawia, że zalewają mnie fale gorąca.

- Dzięki za zaproszenie.

„Jak dobrze znów go usłyszeć...”.

Nabieram tchu i przypominam sobie, dlaczego go tu zaprosiłam. Widzę, jak omiata wzrokiem mą twarz oraz suknię. Chyba ma ochotę skomentować mój wygląd, ale porzuca zamiar i wskazuje salę dłonią.

- Fajna impreza.

- Nigdy nie jest tak wesoło, jak się wydaje - mówię przyciszonym głosem, by inni mnie nie słyszeli. - Niektórzy z tych senatorów gotowi są eksplodować, gdy muszą rozmawiać z osobami, których nie lubią.

Słyszając mą drwinę, Day uśmiecha się z ulgą.

- Cieszę się, że nie cierpię tu jedyny.

Anden już zszedł ze sceny, a komentarz Daya przypomina mi o tym, że powinnam niebawem wejść wraz z nim do sali bankietowej. Przytomnieję.

- Już czas - mówię i kiwam na Daya, by poszedł za mną. - Bankiet jest imprezą zamkniętą. Spotkamy się tam tylko z Elektorem i pozostałymi Princeps-Adeptami.

- Co się dzieje? - pyta, idąc obok mnie. Jego ramię ociera się o moje i przeszywają mnie dreszcze. Z trudem łapię oddech.

„Skup się, June”.

- Mało się dowiedziałem od ciebie z naszej ostatniej rozmowy. Mam nadzieję, że masz istotne powody, by zadawać się z tym tłumem snobów z Kongresu.

Z trudem opanowuję rozbawienie. Podoba mi się to, jak Day nazywa senatorów.

- Wszystkiego dowiesz się na miejscu. Postaraj się panować nad zniewagami.

Odrywam od niego wzrok i spoglądam na wejście do niewielkiego korytarza, ku któremu zmierzamy. Znajduje się tam Jaspisowa Komnata.

- Nie spodoba mi się to wszystko, co? - Day szepcze mi do ucha.

Czuję, jak narasta we mnie poczucie winy.

- Chyba nie.

Rozsiadamy się w dyskretnym pokoju bankietowym wokół niewielkiego, prostokątnego stołu z drewna wiśniowego, przy którym stoi siedem krzeseł. Po chwili docierają do nas Serge oraz Mariana. Zajmują miejsca po obu stronach fotela zarezerwowanego dla Andena. Zgodnie z życzeniem Andena trzymam się blisko Daya. Wokół stołu uwija się dwóch służących, którzy rozstawiają talerze z wyśmienitą sałatką z arbuza i wieprzowiny. Serge i Mariana toczą uprzejmą, niezobowiązującą rozmowę, ale ja i Day nie odzywamy się ani słowem. Od czasu do czasu udaje mi się na niego zerknąć. Marszczy czoło, jakby czuł się nieswojo, i przygląda się sztuccom ułożonym wokół swego talerza. Najwyraźniej próbuje odkryć ich przeznaczenie bez proszenia o pomoc.

„Och, Day...”.

Z jakiegoś powodu w moim sercu odzywa się ból. Nie wiem dlaczego, ale współczuję mu i chcę się o niego troszczyć. Całkiem zapomniałam, jak jego rzęsy odbijają światło.

- Co to takiego? - szepcze, pokazując sztucce..

- Nóż do masła.

Day krzywi się i muska palcem jego tępy, zaoblony skraj.

- Nóż, jasne - mruczy. - Akurat...

Siedzący obok niego Serge również dostrzega jego wahanie.

- Widzę, że tam, skąd pochodzisz, nie jesteście przyzwyczajeni do korzystania z noży i widelców? - mówi chłodno.

Day sztywnieje, ale nie traci rezonu. Łapie o wiele większy nóż do krojenia masła, celowo burząc porządek starannie ułożonych sztućców, i bawi się nim od niechcienia. Serge i Mariana odsuwają się nieco.

- Tam, skąd pochodzę, obchodzi nas przede wszystkim funkcjonalność - mówi. - Takim nożem można kroić jedzenie, rozsmarować masło i podrzynać gardła!

Oczywiście Day nigdy w życiu nikomu nie poderzwał gardła, ale Serge o tym nie wie. Parska z pogardą, słysząc odpowiedź, ale mimo to krew odplywa mu z twarzy. Kaszlę, by ukryć rozbawienie na widok Daya udającego śmiertelną powagę. Dla tych, którzy go nie znają, jego słowa w istocie zabrzmiały groźnie. Zauważam kolejny nowy szczegół - Day jest blady. O wiele bledszy niż kiedyś. Moje rozbawienie znika. Czy jego niedawna choroba jest poważniejsza, niż z początku zakładałam?

Minutę później Anden wkracza do pokoju. Wstajemy na powitanie, z szuraniem odsuwając krzesła, ale Elektor nakazuje nam gestem, byśmy usiedli. Towarzyszą mu czterej żołnierze. Jeden z nich zamyka drzwi, czym rozpoczyna naszą prywatną kolację.

- Witaj, Day - odzywa się Anden i kłania mu się z szacunkiem. Day jest najwyraźniej niezadowolony z zainteresowania, jakie wywołuje, ale odwzajemnia gest.

- Miło mi cię znów ujrzeć, choć żałuję, że spotykamy się w niefortunnych okolicznościach.

- Bardzo niefortunnych - odpowiada Day.

Poruszam się nerwowo na krześle. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie gorszego scenariusza.

Anden udaje, że nie słyszał jego odpowiedzi.

- Pozwolisz, że wprowadzę cię w sytuację - rzekł i odłożył widelec. - Prace nad traktatem pokojowym z Koloniami zostały

wstrzymane. W należących do Kolonii miastach na południowym odcinku frontu pojawił się wirus, który sieje spustoszenie.

Day krzyżuje ramiona na piersi i podejrzliwie przygląda się obecnym, ale Anden nie przerywa:

- Władze Kolonii twierdzą, że to my wypuściliśmy wirusa i domagają się antidotum. W przeciwnym razie nie ma mowy o powrocie do rozmów pokojowych.

Serge pokasłuje i zaczyna coś mówić, ale Anden podnosi dłoń, prosząc o ciszę. Następnie przedstawia szczegóły sytuacji. Opowiada o ostrym komunikacie, w którym Kolonie domagały się informacji o wirusie zabijającym żołnierzy oraz o przekazanym generałom frontowym ultimatum, w którym niegdysiejszy przeciwnik ostrzegał przed surowymi konsekwencjami, jeśli lek niezostanie dostarczony natychmiast.

Day słucha bez słowa, a jego twarz jest całkowicie nieruchoma, ale ściska brzeg stołu z taką siłą, że jego dłoń pobielą. Zastanawiam się, czy już odgadł, do czego zmierza Elektor i jaki to ma związek z nim, ale cierpliwie czeka, aż Anden dokończy historię.

Serge rozsiada się na krześle i marszczy brwi.

- Jeśli Kolonie mają ochotę na jakieś intrygi po tym, jak zaproponowaliśmy im zawarcie pokoju - parska - niech się nie krępują! Prowadzimy wojnę od dawna. Bez trudu pociągniemy ją jeszcze chwilę.

- To nieprawda - przerywa mu Mariana. - Czy ty naprawdę myślisz, że ONZ z wyrozumiałością przyjmie wieść o tym, że nasz traktat pokojowy szlag trafił?

- Czy Kolonie mają jakikolwiek dowód na to, że to nasza wina? Czy to może jedynie puste groźby?

- Otóż to. Jeśli sądzą, że mamy zamiar...

Niespodziewanie odzywa się Day, który nie spuszcza wzroku z Elektora:

- Dość już owijania w bawełnę - mówi. - Po co zostałem tu ściągnięty?

Mówi cicho, ale w jego głosie kryje się groźba. Milkną wszystkie rozmowy w pomieszczeniu. Anden wpatruje się w niego z powagą i nabiera tchu.

- Day, myślę, że epidemia w Koloniach jest wynikiem eksperymentów nad bronią biologiczną, prowadzonych przez mojego ojca, a wirus pochodzi z krwi twego brata Edena.

- No i? - Day mruży oczy.

Widzę, że Anden najchętniej zmieniłby temat.

- Istnieje wiele powodów, dla których zebrałem tu wszystkich senatorów.

Wychyla się do przodu i patrzy na Daya przepraszająco.

- W tej chwili jednak interesuje mnie twoje zdanie - Anden mówi cicho. - Tylko i wyłącznie twoje. Ty jesteś sercem narodu, Day. Zawsze nim byłeś. Oddałeś wszystko, co miałeś, by chronić ludzi.

Day sztywnieje, ale Anden ciągnie wywód.

- Boję się o ludzi. Martwię się o ich bezpieczeństwo. Boję się, że teraz, gdy wreszcie zaczynamy przebudowywać nasz kraj, wpadną w ręce wroga.

Jego głos staje się jeszcze cichszy.

- Muszę podjąć kilka trudnych decyzji.

- Jakich decyzji? - Day unosi brew.

- Kolonie z całą bezwzględnością domagają się antidotum. Są gotowi nas zniszczyć, by je otrzymać. Zniszczą wszystko, na czym nam obu zależy. Tymczasem jedyną szansą na pozyskanie leku jest Eden. Musiałby na pewien czas...

Day odsuwa krzesło i wstaje.

- Nie - oznajmia zimnym głosem, w którym nie ma żadnych emocji. Ja jednakże dobrze pamiętam naszą wściekłą awanturę i wiem, że jego spokój maskuje furię. Day bez słowa odwraca się i wychodzi.

Serge podnosi się. Bez wątpienia chce zbesztać Daya za jego niekulturalne zachowanie, ale Anden przeszywa go groźnym spojrzeniem i gestem nakazuje mu usiąść. Potem patrzy na mnie. Prośba w jego oczach jest jasna i klarowna.

„Porozmawiaj z nim. Błagam”.

Patrzę, jak Day znika.

„Ma prawo nam odmówić. Ma prawo znienawidzić nas za samą prośbę”.

Mimo to uświadamiam sobie, że wstaję i idę ku niemu.

- Zaczekaj! - wołam.

Niespodziewanie przypomina mi się scena naszego pożegnania. Ostatnia chwila, gdy we dwójkę przebywaliśmy w tym samym pomieszczeniu. Moje serce przeszywa ból.

Wychodzimy na korytarzyk prowadzący do głównej sali balowej. Day nie odwraca się, ale zwalnia i pozwala mi się dogonić. Nabieram tchu.

- Słuchaj, ja wiem...

Day kładzie palec na ustach, ucisza mnie, a potem bierze mnie za rękę. Nawet przez materiał jego rękawiczki czuję ciepło jego dłoni. Jego dotyk jest dla mnie takim wstrząsem, że zapominam co chciałam powiedzieć. Jego dłoń, jego bliskość, jego osoba... Na moment wszystko jest jak należy.

- Porozmawiajmy na osobności - szepcze.

Wchodzimy do jednego z pomieszczeń znajdujących się wzdłuż korytarza i zamykamy drzwi na klucz. Odruchowo rejestruję wszystkie szczegóły - prywatna jadalnia, światła zgaszone, jeden okrągły stół i dwanaście krzeseł przykrytych białymi obrusami, wielkie, zwieńczone łukiem okno, przez które wpadają promienie księżyca. W ich blasku włosy Daya lśnią srebrem. Odwraca się i wpatruje się we mnie.

Czy to tylko moja wyobraźnia, czy on jest tak samo zmieszany pochwyleniem mnie za rękę jak ja? Niespodziewanie ściska mnie w żołądku. Czuję ciężar powietrza na odkrytych ramionach i szyi, czuję ciężar sukni i brylantów we włosach.

Day patrzy przez moment na mój rubinowy naszyjnik.

„To prezent pożegnalny od niego”.

Jego policzki różowieją nieco w ciemnościach.

- Czy to naprawdę powód, dla którego się tu znalazłem?

W jego głosie pobrzmiwa gniew, ale po tylu miesiącach bezdusznych, pełnych wyrachowania rozmów o polityce jego bezpośredniość działa na mnie niczym powiew chłodnego, ożywczego powietrza. Chcę się nim napawać.

- Kolonie nie chcą się zgodzić na inne warunki - odpowiadam. - Ich rządzący są przekonani, że mamy środek na tego wirusa, a

jedynym człowiekiem, który w istocie może nam go dostarczyć, jest Eden. Republika już przeprowadza testy na innych... eee... obiektach eksperymentalnych. Sprawdzają, czy są w stanie znaleźć cokolwiek.

Day wzdryga się, a potem krzyżuje ramiona na piersi i przygląda mi się z nieprzyjemnym grymasem na twarzy.

- Już przeprowadza testy - szepcze do siebie, a potem spogląda przez okna opromienione blaskiem księżyca. - Przykro mi, ale jakoś nie wzbudza to we mnie entuzjazmu.

Zamykam oczy na chwilę.

- Nie mamy wiele czasu - przyznaję. - Każdy kolejny dzień zwłoki jeszcze bardziej rozwściecza Kolonie.

- A co się stanie, jeśli nie damy im tego, co chcą?

- Sam dobrze wiesz. Dojdzie do kolejnej wojny.

W oczach Daya na moment pojawia się lęk, ale mimo to wzrusza ramionami.

- Republika toczy wojnę z Koloniami odkąd pamiętam. Ma mnie to wzruszyć?

- Tym razem zwyciężą - szepczę. - Mają silnego sojusznika. Wiedzą, że w tej chwili nasz kraj jest słaby i podatny na ciosy. Jeśli nie przekazemy im szczepionki, nie mamy szans.

Mrużę oczy.

- Już zapomniałeś, co widzieliśmy podczas naszej wyprawy do Kolonii?

Day wstrzymuje na moment oddech. Nie mówi nic, ale na jego twarzy widać, że zmagają się z dylematem. W końcu wzdycha i zaciska mocno usta. Jest wściekły.

- Myślisz, że pozwolę Republice, by odebrała mi Edena? Elektor naprawdę w to wierzy? W takim razie chyba popełniłem wielki błąd, udzielając mu wsparcia. Nie pomogłem mu tylko po to, by później przyglądać się, jak ponownie wrzuca mi brata do laboratorium!

- Przykro mi - mówię. Nie ma sensu tłumaczyć mu, że Andena również mierzi to wszystko. - Nie powinien cię o nic prosić.

- I pewnie jeszcze wkręcił cię w to, co? A ty opierałaś się i protestowałaś? Sama wiesz, jak to brzmi!



W jego głosie słyhać coraz większe rozdrażnienie.

- Dobrze wiedziałaś, jak zabrzmiała moja odpowiedź. Po co posyłałicie po mnie ten samolot?

Spoglądam mu w oczy i mówię pierwszą rzecz, jaka przychodzi mi do głowy.

- Bo chciałam cię ujrzeć. Czy to nie dlatego sam się zgodziłeś?

Przerywa na moment, słysząc moje słowa, a potem odwraca się gwałtownie, przeczesuje dłońmi włosy i wzdycha.

- A co ty o tym sądzisz? Powiedz prawdę. O co byś mnie poprosiła, gdybyś nie czuła absolutnie żadnego nacisku ze strony kogokolwiek w tym kraju?

Wsuwam kosmyk włosów za ucho.

„Uspokój się, June”.

- Ja... - zaczynam, ale urywam. Cóż bym poczęła? Logika nakazuje mi zgodzić się z oceną Andena. Jeśli Kolonie spełnią swe groźby i zaatakują nas wszystkimi siłami, wsparci wojskami supermocarstwa, zginie wielu, bardzo wielu ludzi. Możemy tego uniknąć, jeśli postawimy na szali życie młodego chłopaka. Oczywiście możemy zagwarantować, że Eden będzie traktowany najlepiej jak się da. Zapewnimy mu najlepszych lekarzy i największe wygody. Day przecież może być obecny podczas wszystkich koniecznych procedur. Będzie widział, co się dzieje. Ale jak mam wytłumaczyć to młodemu człowiekowi, który już stracił całą rodzinę, widział skutki eksperymentów na swoim bracie, a nawet sam był ofiarą prób? Anden zna całą przeszłość Daya, ale tego aspektu nie rozumie tak dobrze jak ja. On nadal nie zna Daya, nie podróżował z nim i nie widział cierpień, jakich doznał. Trudno tę kwestię rozwiązać, tylko i wyłącznie kierując się logiką. Najważniejsze jest to, że Anden nie jest w stanie zagwarantować, że Edenowi nic się nie stanie. Badania przecież pociągną za sobą ryzyko, a ja jestem w stu procentach przekonana, że Day za żadne skarby nie zgodzi się na nic, co mogłoby zagrozić jego bratu.

Day zapewne widzi frustrację na mej twarzy, gdyż łagodnieje i robi krok w moim kierunku. Czuję wręcz bijące od niego ciepło. Mój oddech staje się coraz płytszy.

- Przybyłem tu dziś ze względu na ciebie - mówi cicho. - Nie ma innych argumentów, które by mnie przekonały do przyjazdu do

stolicy. Zgodziłem się tylko dlatego, że to ty mnie o to poprosiłaś. Nie mogłem odmówić tobie. Powiedzieli mi, że osobiście...

Przełyka ślinę. Na widok dobrze znanego konfliktu emocji na jego twarzy robi mi się niedobrze. Wiem, że tęsknota za tym, co nas kiedyś łączyło walczy z udręką i rozpaczą. Czy może bowiem pożądać dziewczyny, która zniszczyła jego rodzinę?

- Miło cię ujrzeć, June - stwierdza. Mam wrażenie, że mówiąc te słowa, pozbywa się ogromnego ciężaru, który go przytłaczał. Ciekawe, czy słyszy, jak wali mi serce. Mimo to gdy mu odpowiadam, udaje mi się w pełni zachować kontrolę nad głosem.

- Wszystko u ciebie okej? Wydajesz się blady.

W jego spojrzeniu na powrót pojawia się przygnębienie i krótka chwila intymności niespodziewanie mija. Day cofa się i zaczyna się bawić rękawiczkami.

„Nigdy nie lubił rękawiczek” - przypominam sobie.

- Przez ostatnich parę tygodni walczyłem z ciężką gripą - odpowiada i uśmiecha się zdawkowo. - Ale już mi lepiej.

Obserwuję go bacznie. Widzę, jak zerka w bok, drapie się w ucho, sztywnieje lekko i uśmiecha w chwilę po słowach. Przechyliam głowę i marszczę brwi.

- Jesteś kiepskim kłamcą, Day - stwierdzam. - Mógłbyś powiedzieć mi prawdę.

- Ale ja nie mam ci nic do powiedzenia - odpowiada odruchowo. Tym razem wbija wzrok w podłogę i wsuwa dłonie do kieszeni.

- Jeśli odniosłaś wrażenie, że nie jestem w formie, to dlatego, że martwię się o Edena. Jego oczy leczone są od ośmiu miesięcy i dalej kiepsko widzi. Lekarze mówią, że być może będzie potrzebował specjalnych soczewek, ale nawet dzięki nim nie odzyska wzroku w pełni.

Wiem, że to nie jedyny powód, dla którego wygląda tak źle, ale Day zdaje sobie sprawę, że wystarczy poruszyć temat rekonwalescencji Edena, by zniechęcić mnie do zadawania dalszych pytań. Cóż, jeśli nie chce wyznać mi prawdy, nie będę na niego naciskać.

Pokaszuję z wahaniem.

- To okropne - szepczę. - Tak mi przykro to słyszeć. Czy poza tym

wszystko z nim w porządku?

Day pochyla się ku mnie, jakby przyciągała go jakaś niewidzialna moc. Widzę rozpaczliwą prośbę w jego spojrzeniu i czuję, jak mój żołądek skręca się, wywołując fale bólu.

„Nie prosź mnie o to” – błagają jego oczy. – „Nie prosź mnie, bym oddał wam brata. Zrobię wszystko, co tylko zechcecie, ale nie to”.

– June, ja... – szepcze. Głos mu drży, jakby nie mógł już dłużej tłumić bólu serca. Nie kończy tego zdania, a jedynie wzdycha i pochyla głowę. – Nie mogę przystać na warunki postawione przez Elektora – oznajmia ponurym głosem. – Nie oddam brata Republice, by przeprowadzili na nim kolejne eksperymenty. Rozumiem powagę sytuacji i nie chcę, by Republika upadła. Z ochotą pomogę w przeprowadzeniu jakiegokolwiek innego planu, ale Edena w to nie mieszajcie.

To koniec naszej rozmowy. Day zegna się ze mną skinieniem głowy, waha się jeszcze przez chwilę, a potem podchodzi do drzwi. Opieram się o ścianę, niespodziewanie wyczerpana. Bez niego opuszcza mnie energia i płowieją kolory. Blask księżyca, przed chwilą srebrny, teraz wydaje się szary. Kątem oka po raz ostatni spoglądam na jego blade oblicze. Unika mego spojrzenia. Coś jest nie tak, a on nie chce mi powiedzieć, o co chodzi.

Czegoś nie dostrzegam. Czego?

Otwiera drzwi, a jego twarz tężeje.

– A jeśli z jakiegoś powodu Republika postanowi odebrać mi Edena siłą, podburzę lud do walki przeciwko Andenowi. Nim się obejrzy, rewolucja zastuka mu do drzwi.

# DAY

TAK NAPRAWDĘ TO POWINIENEM JUŻ PRYZWYCZAĆ SIĘ DO MOICH koszmarów. Tym razem we śnie widzę siebie oraz Edena w szpitalu w San Francisco. Lekarz dopasowuje Edenowi nową parę okularów. Odwiedzamy szpital raz na tydzień, by mogli nadzorować powolną reakcję mojego brata na leki, ale tym razem widzę, jak doktor uśmiecha się do niego pokrępiąco. To musi być dobry znak, prawda?

Eden odwraca się do mnie, uśmiecha szeroko i wzdycha, udając irytację. Nie mogę opanować śmiechu.

- Jak wyglądam? - pyta, dotykając nowych, ogromnych oprawek. W jego oczach nadal widzę ów dziwny, jasnopurpurowy odcień. Wiem, że nadal nie może skupić wzroku na mnie, ale zauważam, że dostrzega przedmioty rozstawione wzdłuż ścian oraz światło wpadające przez okna. Serce bije mi żywiej. Postęp.

- Wyglądasz jak jedenastoletnia sowa - odpowiadam i podchodzę bliżej, by zmierzyć mu włosy. Chichocze i trzepie mnie po dłoni.

Siedzimy w gabinecie i czekamy, aż lekarz zakończy robotę papierkową. Przyglądam się, jak Eden pracowicie składa kawałki papieru, tworząc jakiś skomplikowany kształt. Musi się nisko pochylać, by widzieć, co robi. Jest tak skupiony, że niemalże zezuje. Jego palce są smukłe i zręczne. Niech mnie, ten chłopak zawsze jest czymś zajęty.

- Co to takiego? - pytam po chwili.

Jest zanadto skupiony, by odpowiedzieć od razu. W końcu wkłada ostatni papierowy trójkącik w sam środek konstrukcji, unosi ją i uśmiecha się zuchwale.

- Spójrz - mówi i pokazuje mi coś, co przypomina papierowy liść wystający z papierowej kulki.

- Pociągnij za to.

Robię to, co mi mówi i ku memu zdumieniu jego dzieło przeobraża się w przepiękną, trójwymiarową różę z papieru. Uśmiecham się w moim śnie.

- Imponujące!

Eden zabiera swe dzieło i w tym samym momencie w szpitalu rozlega się ryk syren alarmowych. Upuszcza papierowy kwiat na podłogę i zrywa się na równe nogi. Jego niedowidzące oczy są szeroko otwarte ze strachu. Spoglądam przez szpitalne okna, wzdłuż których zgromadzili się lekarze i pielęgniarki. Nad zabudowaniami San Francisco widzę rząd statków powietrznych z Kolonii, które zbliżają się ku nam. Miasto pod nimi eksploduje dziesiątkami pożarów.

Ogłuszony syrenami, łapię Edena za dłoń i wybiegam z pomieszczenia.

- Musimy się stąd wydostać! - krzyczę.

Eden potyka się, nie widząc dokąd zmierzamy, a więc łapię go i wrzucam sobie na plecy. Dookoła nas trwa gorączkowa bieganina.

Dobiegam do klatki schodowej, a tam zatrzymują nas żołnierze Republiki. Jeden z nich zrywa mi Edena z pleców. Dzieciak wrzeszczy i kopie ludzi, których nie jest w stanie dostrzec. Usiłuję się wyrwać, ale trzymają mnie mocno. Mam wrażenie, że zapadam się w grząskie błoto. „Potrzebujemy go” - szepcze mi do ucha jakiś nierozpoznany głos. - „On może ocalić nas wszystkich”.

Krzyczę ze wszystkich sił, ale nikt mnie nie słyszy. Statki Kolonii kierują się na szpital. Wszędzie dookoła pękają szyby. Czuję gorąco płomieni. Na podłodze leży papierowy kwiat Edena, jego brzegi marszczą się od ognia. Nie widzę mojego brata.

Znikł. Zginął.

Dudniący ból głowy wyrywa mnie ze snu. Żołnierze znikają, alarm milknie. Chaos panujący w szpitalu rozmywa się i znów widzę tylko ciemnoniebieskie ściany naszej sypialni. Usiłuję nabrać tchu i odnaleźć wzrokiem Edena, ale ból przewierca się przez moją czaszkę niczym ostrze wykonane z lodu. Zrywam się, przeszyty konwulsją. Dopiero teraz przypominam sobie, gdzie się znalazłem. To przydzielone nam mieszkanie w Denver, a ja wieczorem widziałem się z June. Na szafce stoi mój odbiornik, wciąż nastawiony na częstotliwość, z której moim zdaniem mogą korzystać Patrioci.

- Daniel? - słyszę głos Edena.

Mój brat porusza się na łóżku obok mnie. Choć nadal przeszywa mnie ból, czuję wielką ulgę. To był tylko koszmar. Jak zwykle. Tylko

koszmar...

- Wszystko w porządku?

Dopiero po chwili orientuję się, że nie nastał jeszcze świt. W pokoju nadal jest ciemno i widzę jedynie sylwetkę brata na tle niebieskawego mroku nocy.

Nie odpowiadam od razu. Zamiast tego spuszczam nogi z łóżka i kładę się na boku, ściskając głowę obiema rękami. Nadchodzi kolejny atak.

- Przynieś moje lekarstwa - szepczę do Edena.

- Mam zawołać Lucy?

- Nie, nie budź jej - odpowiadam. Z mojego powodu nasza opiekunka ma już za sobą dwie bezsenne noce. - Leki.

Ból sprawia, że jestem bardziej opryskliwy niż zwykle, ale Eden wyskakuje z łóżka, nim mogę go przeprosić. Natychmiast zaczyna przetrząsać nasze rzeczy w poszukiwaniu butelki z zielonymi pigułkami, która zawsze stoi na szafce między naszymi łóżkami. Odnajduje ją i podaje w moim kierunku.

- Dzięki. - Biorę ją od niego, trzęsącą ręką wysypuję trzy pigułki na dłoń i próbuję je przełknąć. Mam zbyt wyschnięte gardło. Zwlekam się z łóżka i zataczając się, zmierzam w stronę kuchni.

- Na pewno wszystko w porządku?! - woła za mną Eden, ale ból jest tak silny, że ledwie go słyszę. Ba, ledwie cokolwiek widzę.

Docieram do zlewu, odkręcam kran i napełniam wodą złączone dłonie. Popijam lekarstwo, a potem osuwam się na podłogę. Leżę wśród ciemności, wsparty plecami o zimny metal drzwi do lodówki.

„Wszystko gra” - pocieszam się. Bóle głowy nasiliły się przez ostatni rok, ale doktorzy zapewnili mnie, że ataki nie będą trwać dłużej niż pół godziny za każdym razem. Oczywiście powiedzieli mi również, że gdyby którykolwiek atak okazał się szczególnie silny, powinienem natychmiast udać się na izbę przyjęć. Za każdym razem, gdy znów odzywa się ból, zastanawiam się więc, czy to przypadkiem nie jest ostatni dzień mojego życia.

Kilka minut później do kuchni wchodzi Eden, uzbrojony w miernik dystansu - urządzenie, które emituje dźwięk, gdy znajdzie się za blisko ściany.

- Może powinniśmy poprosić Lucy, by wezwała lekarza? -

szeptcze.

Nie wiem dlaczego, ale na widok Edena, który idzie ku mnie i maca wokół siebie, wybucham cichym, niepowstrzymanym śmiechem.

- Stary, spójrz tylko na nas - mówię, a mój śmiech zamienia się w kaszel. - Niezła z nas ekipa, co?

Eden w końcu natrafia dłonią na moją głowę. Siada obok mnie po turecku i uśmiecha się krzywo.

- Cóż, z twoją metalową nogą i połową mózgu oraz czterema zmysłami, które mi pozostały, we dwójkę tworzymy niemalże pełnego człowieka.

Śmieję się głośniej, ale głowa w odpowiedzi odzywa się jeszcze większym bólem.

- Od kiedy jesteś tak zgryźliwy, mały? - pytam i trącam go z sympatią.

Siedzimy w milczeniu na podłodze przez kolejną godzinę. Ból głowy nie ustaje. Wiję się w konwulsjach. Koszulę przemoczył mi pot, a po twarzy płyną łzy. Eden siedzi przy mnie i trzyma dłoń w swych rączkach.

- Staraj się nie myśleć o tym - zachęca mnie szeptem i mruga bladopurpurowymi oczami. Poprawia okulary w czarnych oprawkach na nosie. Nawiedzają mnie fragmenty koszmarów, oczyma wyobraźni widzę, jak coś odrywa mnie od brata. Słyszę jego krzyki. Ściskam dłoń Edena z taką siłą, że mały aż się krzywi.

- Nie zapomnij o oddychaniu. Lekarz zawsze mówi, że głęboki oddech ma pomagać, no nie? Wdech, wydech!

Zamykam oczy i usiłuję postąpić wedle instrukcji młodszego brata, ale dudnienie w mojej głowie jest tak intensywne, że prawie go nie słyszę. Ból przeszywa mnie do żywego i pochłania wszystko. Mam wrażenie, że ktoś raz za razem wbija rozgrzany do białości nóż w mój mózg.

„Wdech, wydech”.

Znam już schemat. Najpierw następuje faza tępego, odrętwiającego bólu, a po niej przez głowę przechodzi najgorszy, najostrzejszy ból, jaki można sobie wyobrazić. Jakby ktoś wbijał ci włócznię w czaszkę! Jest tak przenikliwy, że całe ciało od niego

sztywnieje. Trwa dobre trzy sekundy, a potem następuje ułamek sekundy ulgi. W chwilę później schemat się powtarza.

- Ile czasu minęło? - wykrztuszam. Przez zasłony wpada powoli przyciemnione, błękitne światło.

Eden wyciąga malutki, kwadratowy komputer i wciska jedyny przycisk.

- Czas? - pyta.

- Piąta trzydzieści - odpowiada urządzenie. Eden chowa go i spogląda na mnie. Marszczy czoło z troską.

- Minęła już prawie godzina. Czy ataki trwały wcześniej tak długo?

„Umieram. Ja naprawdę umieram”.

W takich chwilach cieszę się, że nie widuję już June. Sama myśl o tym, że mogłaby tu stanąć, oszałamiająca w tej czerwonej sukni, z migoczącymi brylantami we włosach, i patrzeć na mnie, jak leżę brudny i spocony na podłodze kuchennej i ściskam dłoń młodszego brata, jakbym był jakimś płaczącym słabeuszem... Ba, jeśli o to chodzi, to cieszę się, że nawet mama i John nie muszą na to patrzeć. Jęczę, gdy przeszywa mnie kolejna fala, a Eden wyciąga swój komputer i znów wciska przycisk.

- Dość tego. Wzywam karetkę.

Słyszę piknięcie, co oznacza, że urządzenie jest gotowe do przyjęcia polecenia.

- Day potrzebuje pomocy.

Potem, nim zdążę zaprotestować, podnosi głos i woła Lucy.

Kilka sekund później słyszę, jak nadchodzi. Nie włącza światła - wie, że to tylko potęguje ból. Widzę jej masywną postać w półmroku.

- Day! - woła. - Jak długo tak leżysz?

Podbiega do mnie i dotyka pulchną dłońią mojego policzka, a potem zerka na Edena i dotyka jego podbródka.

- Wezwałś karetkę?

Chłopak kiwa głową. Lucy raz jeszcze bada moją twarz, a potem cmoka z troską i z energią rusza po chłodny ręcznik.

Ostatnim miejscem, w którym chciałbym się teraz znaleźć, jest



państwowy szpital, ale Eden już zaalarmował służbę zdrowia, a ja nie chcę jeszcze umierać. Świat dookoła mnie zaczyna się rozmywać, gdyż nie mogę opanować łez, nieprzerwanie ciekących mi z oczu. Ocieram dłonią twarz i uśmiecham się słabo do Edena.

- Cholera, cieknie ze mnie jak z niedokręconego kranu.

Eden próbuje uśmiechnąć się w odpowiedzi.

- Tak, zdarzały ci się lepsze dni - odpowiada.

- Słuchaj, młody, a pamiętasz, jak John poprosił cię raz, byś się zajął podlewaniem roślin przed drzwiami?

Eden marszczy brwi i przez moment przerzuca wspomnienia, aż jego twarz rozjaśnia szeroki uśmiech.

- Dałem radę, no nie?

- Zbudowałeś przed drzwiami niewielką katapultę.

Zamykam oczy i rozkoszuję się wspomnieniem. Cieszę się z wszystkiego, co pozwala mi zapomnieć o bólu.

- Tak, dobrze ją pamiętam. Bombardowałeś te nieszczęsne kwiaty workami napełnionymi wodą. Wątpię, czy ocalał na nich choć jeden płatek. Rany, pamiętasz, jak John się wściekł?

Najbardziej z równowagi wyprowadziło go to, że Eden miał wówczas tylko cztery lata. Czy można w jakikolwiek sposób ukarać wielkookiego, małego braciszka?

Eden chichocze, a ja skręcam się w kolejnej konwulsji.

- Co w takich sytuacjach mówiła mama? - pyta.

Widzę, że próbuje ściągnąć moją uwagę na inne tematy. Udaje mi się uśmiechnąć.

- Zawsze mówiła, że wychowywanie trójki chłopaków przypomina trzymanie w domu niewielkiego, gadającego tornada.

Przez chwilę obaj się śmiejemy, aż znów zamykam oczy.

Lucy wraca z mokrym ręcznikiem i układa mi go na czole. Wzdycham z ulgą, czując chłód. Opiekunka sprawdza mój puls, a potem temperaturę.

- Daniel - odzywa się Eden i przysuwa się bliżej. Jego oczy nadal wpatrują się w jakieś miejsce na prawo od mojej głowy. - Trzymaj się, dobra?

Lucy prawidłowo odczytuje emocje w jego głosie i patrzy na niego

z naganą.

- Eden, nieco więcej optymizmu, proszę - beszta go.

Czuję włochatą kulę w przełyku, mój oddech staje się coraz płytszy.

John nie żyje. Mama nie żyje. Ojciec nie żyje. Wpatruję się w Edena z bólem serca. Kiedyś miałem nadzieję, że skoro jest z nas najmłodszy, będzie mógł uczyć się na błędach moich i Johna, przez co będzie miał najwięcej szczęścia z nas wszystkich. Być może skończy college i będzie dobrze zarabiał jako mechanik, a my będziemy mu pomagać w trudnych chwilach. Co się z nim stanie, gdy ja też odejdę? Co będzie, gdy nikt nie obroni go już przed Republiką?

- Eden - szepczę do niego i przyciągam go do siebie. Otwiera szerzej oczy, słysząc alarmujący ton w moim głosie. - Posłuchaj mnie dobrze, okej? Jeśli zdarzy się tak, że nie będzie mnie w domu lub trafię do szpitala, a do drzwi zastuka ktoś z rządu, nie idź z nim. Rozumiesz? Zadzwoń do mnie, zawołaj Lucy albo...

Waham się.

- Zadzwoń do June Iparis.

- Do twojej Princeps-Adeptki?

- To nie moja... - Krzywię się pod naporem kolejnej fali bólu. - Po prostu zrób tak, jak mówię, dobrze? Zadzwoń do niej. Powiedz jej, by ich powstrzymała.

- Nie rozumiem...

- Obiecuj mi! Nie idź z nimi, bez względu na nic. W porządku?

Nie słyszę jego odpowiedzi, gdyż kolejna fala okazuje się tak silna, że padam na podłogę i zwijam się w kłębek. Duszę w sobie wrzask. Mam wrażenie, że głowa pęka mi na pół. Udaje mi się nawet położyć drżącą dłoń na potylicy, jakbym chciał mieć pewność, że mózg nie wycieknie mi na podłogę.

Eden krzyczy gdzieś nade mną. Lucy znów dzwoni po karetkę, tym razem nie panując nad głosem.

- Tylko szybko! - krzyczy. - Szybko!

Przed przybyciem lekarzy kilkakrotnie tracę i odzyskuję przytomność. Jak przez mgłę czuję, że ktoś mnie podnosi z podłogi i wynosi na zewnątrz, prosto do karetki, która wygląda jak zwykły

dżip policyjny. Czyżby padał śnieg? Kilka lekkich płatków osiada mi na twarzy, czuję ukłucia dotkliwego zimna. Wołam Edena oraz Lucy. Odpowiadają skądś, ale ich nie widzę. Potem jestem już w samochodzie i odjeżdżamy.

Przez dłuższą chwilę widzę jedynie rozmazane kolory i niewyraźne koła, zupełnie jakbym spoglądał przez grube, wypukłe szkło. Usiłuję rozpoznać niektóre z nich. Czy to ludzie? Mam wielką nadzieję, bo w przeciwnym razie zapewne umarłem. A może unoszę się na falach oceanu, a dookoła mnie unoszą się śmieci oraz szczątki? Choć zaraz, przecież to nie ma sensu, chyba że lekarze postanowili mnie wrzucić do Pacyfiku i zapomnieć o mnie na zawsze. Gdzie jest Eden? Na pewno zabrali mi go, tak jak w tym koszmarze. Zaciągnęli go do laboratorium. Nie mogę oddychać.

Podnoszę dłonie do szyi, ale wtedy ktoś wykrzykuje coś głośno. Jakiś ciężar przygniata mi ramiona. Coś zimnego spływa mi po przełyku, zaczynam się dławić.

- Uspokój się! Nic ci nie będzie! Spróbuj to przełknąć.

Robię to, czego chce ode mnie głos. Przełykanie okazuje się trudniejsze niż sądziłem, ale ostatecznie się udaje. Owa zimna rzecz prześlizguje się przez mój przełyk i trafia prosto do żołądka, przeszywając mnie zimnem.

- Dobra - odzywa się ów głos. Napięcie, które słyszałem w nim jeszcze przed chwilą, łagodnieje. - Powinno pomóc przy kolejnych bólach głowy.

Chyba nie mówi już do mnie. Po chwili odzywa się drugi głos.

- Mam wrażenie, że trochę działa, doktorze.

Chyba straciłem potem przytomność, gdyż po otwarciu oczu widzę inny wzór na suficie, a do pokoju wpadają ukośne promienie popołudniowego słońca. Mrugam i rozglądam się. Nie ma wątpliwości, że trafiłem do szpitala. Na jednej ścianie wisi wszechobecny portret Andena, a na drugiej ekran z wiadomościami. Jęczę, zamykam oczy i wzdycham. Durne szpitale. Ależ mam ich dosyć.

- Pacjent się przebudził.

Głos dobiega z monitora stojącego na stoliku przy łóżku. Sekundę później słyszę ludzki głos.

- Panie Wing?

- Co? - mruczę.

- Doskonale - stwierdza głos. - Pański brat niedługo złoży panu wizytę.

Głos cichnie i w tym samym momencie drzwi stają otworem i do środka wbiega Eden, ścigany przez dwie podirytowane pielęgniarki.

- Daniel! - woła. - Wreszcie się obudziłeś! Ależ to długo trwało!

Ociemniałość mści się na nim chwilę później - uderza o róg szafki, nim udaje mi się go ostrzec i pielęgniarki muszą go złapać, by się nie przewrócił.

- Spokojnie, młody! - wołam. W moim głosie słychać znużenie, choć nie czuję bólu, a umysł pracuje prawidłowo. - Jak długo byłem nieprzytomny? Gdzie jest...

Przerywam, nieco zdumiony. Dziwne. Jak miała na imię nasza opiekunka? Przetrząsam pamięć.

„Lucy”.

- Gdzie jest Lucy?

Eden nie odpowiada przez moment. Pielęgniarki pomagają mu usiąść na łóżku, a wtedy podpełza bliżej i zarzuca mi ramiona na szyję. Ku swemu zaskoczeniu odkrywam, że płacze.

- Hej - poklepuję go po plecach. - Uspokój się, wszystko gra. Już się obudziłem.

- Myślałem, że ci się nie uda - szepcze. Jego blade oczy szukają mojej twarzy. - Myślałem, że już po tobie.

- Ale dałem radę. Jestem tu z tobą.

Pozwalam mu chwilę pochlipać. Eden trzyma głowę przy mojej piersi, a łyzy moczą jego okulary i moją piżamę szpitalną. Od pewnego czasu stosuję technikę obronną - udaję, że umykam w głąb mojego serca, a potem wypełzam z ciała. Zachowuję się, jakby mnie tam w ogóle nie było i patrzę na świat z perspektywy innej osoby. „Eden to nie mój brat. On nawet nie jest prawdziwy. Nic nie jest prawdziwe. Wszystko to iluzja”. To pomaga. Bez emocji przyglądam się, jak Eden powoli dochodzi do siebie, a potem ostrożnie wracam do własnego ciała.

W końcu wyciera ostatnie łyzy, wyprostowuje się i zakrywa kocem.

- Lucy zajmuje się robotą papierkową - odpowiada. Jego głos nadal lekko drży. - Byłeś nieprzytomny przez około dziesięć godzin. Powiedzieli mi, że nie było czasu na potajemnie wyniesienie cię z budynku. Trzeba było się spieszyć i wynieśli cię przez główne wejście.

- Ktoś nas widział?

Eden pociera skronie, usiłując sobie przypomnieć jakieś szczegóły.

- Może. Nie wiem. Nie pamiętam, byłem zbyt wstrząśnięty. Cały rano przesiedziałem w poczekalni, bo nie chcieli mnie wypuścić.

- Czy wiesz... - Przełykam ślinę. - Czy słyszałeś jakąś diagnozę?

Eden wzdycha z ulgą.

- Nie, nic konkretnego. Ale przynajmniej lepiej się czujesz. Lekarze powiedzieli mi, że źle zareagowałeś na podane ci lekarstwo. Chcą ci teraz przepisać coś innego.

Gdy słucham Edena, serce zaczyna bić mi szybciej. Nie zdaje sobie w pełni sprawy z powagi sytuacji. Nadal wierzy w to, że straciłem przytomność ze względu na reakcję na lekarstwa, a nie z powodu pogarszającego się stanu. Robi mi się źle. Oczywiście, że będzie starał się zachować optymizm. Nic dziwnego, że uznał to wszystko za chwilową dolegliwość. Biorę te cholerne pigułki od dwóch miesięcy po tym, jak pierwsze dwa zestawy leków również przestały działać. Bóle głowy, nudności oraz koszmary zaczęły mi dokuczać jeszcze bardziej i miałem nadzieję, że nowe lekarstwa przynajmniej przyczynią się do zmniejszenia niebezpiecznego obszaru w moim hipokampie (to wyszukane określenie na spód mózgu). Wszystko wskazuje na to, że nie działa. A co jeśli nic nie zadziała?

Nabieram tchu i uśmiecham się do brata:

- Przynajmniej wiedzą, o co chodzi. Może tym razem przygotują dla mnie coś lepszego.

Eden również obdarza mnie uśmiechem, słodkim i naiwnym.

- Jasne - stwierdza.

Kilka minut później wchodzi mój lekarz, a Eden zostaje odprowadzony do poczekalni. Doktor ma cichy głos. Opowiada mi o „kolejnych opcjach” i następnym trybie leczenia, a potem równie

cicho opowiada mi o szansach na wyleczenie. Są niewielkie. Obawy się sprawdzają – moja reakcja nie była jednorazowym problemem.

– Problematyczny obszar w hipokampie powoli się zmniejsza – mówi doktor, ale na jego twarzy nie widać ani cienia uśmiechu. – Mimo to obszar nadal ropieje, a twoje ciało zaczęło odrzucać poprzednie leki, zmuszając nas do szukania nowych rozwiązań. Ścigamy się z czasem, Day. Usiłujemy opanować i zmniejszyć obszar, nim zwycięży w tym wyścigu.

Słucham go z nieporuszoną twarzą. Czuję się, jakby jego głos dochodził spod wody. Wydaje się mało istotny, rozmyty, nieostry. W końcu przerywam mu i mówię:

– Dobrze, do rzeczy, doktorze. Ile czasu mi zostało? Jak długo będę żył, jeśli nic nie zadziała?

Lekarz zaciska mocno usta, waha się przez moment, a potem kręci głową i wzdycha.

– Przypuszczalnie jakiś miesiąc – przyznaje. – Może dwa. Robimy, co w naszej mocy.

Miesiąc lub dwa.

„W przeszłości nierzadko popełniali błędy. Miesiąc czy dwa może równie dobrze oznaczać cztery lub pięć”.

Spoglądam na drzwi. Jestem prawie pewien, że Eden przyciska do nich ucho i próbuje podsłuchać cokolwiek z naszej rozmowy. Potem odwracam się do lekarza i przełykam ślinę.

– Dwa miesiące – powtarzam. – Czy jest jakaś szansa na wyzdrowienie?

– Możemy wypróbować bardziej ryzykowne metody leczenia, choć ich efekty uboczne mogą okazać się dla ciebie śmiertelne. Przedwczesna operacja przypuszczalnie również skończy się dla ciebie śmiercią.

Doktor zakłada ramiona na piersi. Zimne, fluorescencyjne światło tak intensywnie odbija się od jego okularów, że oczy stają się całkowicie niewidoczne. Przypomina teraz maszynę.

– Sugeruję, Day, byś zaczął porządkować najważniejsze sprawy.

– Porządkować najważniejsze sprawy?

– Musisz przygotować brata na wieści – odpowiada lekarz. – I pozamykać tyle niedokończonych kwestii, ile się da.

# JUNE

NASTĘPNEGO DNIA RANO O 8:10 BUDZI MNIE TELEFON.

- Dzwonię w sprawie kapitana Bryanta - mówi Anden. - Przedstawił swą ostatnią prośbę. Chce się z tobą zobaczyć.

Siedzę na skraju łóżka i mrugam, usiłując dojść do siebie po nocy niespokojnych snów i zebrać energię, bez której nie zrozumieć słów Elektora.

- Jutro przewozimy go do więzienia na drugim krańcu Denver, gdzie zostanie przygotowany do egzekucji. Pyta, czy może się z tobą wcześniej zobaczyć.

- Czego chce?

- Nie mam pojęcia, ale nalega, by wasza rozmowa odbyła się na osobności. Pamiętaj, June, że masz prawo odmówić. Nie musimy spełniać jego ostatniej prośby.

„Jutro Thomas będzie martwy”.

Jestem ciekawa, czy skazanie żołnierza na śmierć wywołuje poczucie winy w sercu Andena. Na samą myśl o spotkaniu sam na sam z Thomasem w więziennej celi budzi się we mnie panika, ale odpędzam ją. Może chce mi coś przekazać na temat mojego brata? Ale czy ja na pewno chcę tego słuchać?

- Spotkam się z nim - odpowiadam w końcu. - Miejmy nadzieję, że po raz ostatni.

Anden zapewne słyszy coś w moim głosie, gdyż jego ton łagodnieje.

- Oczywiście. Przydzielę ci eskortę.

**GODZINA 9:30**

**WIĘZIENIE PAŃSTWOWE W DENVER**

Korytarz prowadzący do celi Thomasa oraz komandor Jameson jest oświetlony zimnym, fluorescencyjnym światłem. Odgłos moich kroków odbija się echem od wysokiego sufitu. Otacza mnie kilku żołnierzy, ale poza nimi korytarz wydaje się złowieszczo pusty. Tu i ówdzie widzę portrety Andena wiszące na ścianach. Zaglądam do każdej mijanej celi i uważnie lustruję ją wzrokiem. Analizuję każdy

szczegół, by utrzymać spokój i koncentrację. Każdy bok liczy sobie dziewięć i siedem dziesiątych metra, ściany są gładkie i stalowe, szyby kuloodporne, a kamery zamontowane na zewnątrz, a nie w środku. Większość celi jest pusta, ale w trzech zauważam senatorów, uczestniczących w spisku przeciwko Andenowi. To piętro jest przeznaczone tylko i wyłącznie dla więźniów skazanych za współudział w próbie zamachu na życie młodego Elektora.

- Jeśli pojawią się jakiegokolwiek problemy - mówi jeden z żołnierzy i kłania się uprzejmie, dotykając czapki - proszę tylko zawołać. Zdrajca znajdzie się na ziemi, nim się zorientuje.

- Dziękuję - odpowiadam, wciąż skupiona na oglądaniu mijanych cel. Wiem, że nie będę musiała wzywać eskorty, gdyż Thomas nigdy nie zlekceważy rozkazu wydanego przez Elektora i nie będzie próbował mnie skrzywdzić. Można o nim powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że ma naturę buntownika.

Docieramy do końca korytarza, gdzie znajdują się dwie przyległe do siebie cele. Każdej strzeże dwóch żołnierzy.

Ktoś porusza się w tej, przy której stoję. Odwracam się w kierunku źródła ruchu. Jakaś kobieta niespodziewanie uderza dłonią o stalowe pręty celi. Odskakuję i w ostatniej chwili tłumię okrzyk przestachu. Patrzę bowiem prosto na komandor Jameson.

Oficer wbija we mnie spojrzenie i obdarza uśmiechem, od którego oblewa mnie zimny pot. Pamiętam ten uśmiech. Uśmiechała się tak do mnie tej nocy, gdy zginął Metias, a ona włączyła mnie do swego oddziału jako młodszą agentkę. Na próżno szukać w nim jakichkolwiek emocji, współczucia czy nawet gniewu. Boję się niewielu rzeczy, ale owo zimne, bezlitosne spojrzenie prawdziwej morderczyni mego brata bez wątpienia do nich należy.

- Cóż - mówi cicho. - Czyżby to panna Iparis? Pozwól bliżej!

Wpatruje się we mnie. Żołnierze podchodzą, by mnie ochronić.

„Nie bój się”.

Wyprostowuję się, zaciskam zęby i zmuszam się, by spojrzeć jej w oczy.

- Traci pani swój czas, pani komandor - mówię. - Nie przyszłam tu ze względu na panią, a gdy ujrzę panią ponownie, będzie pani stać przed plutonem egzekucyjnym.



Uśmiecha się do mnie.

- Jakaś ty odważna! Nic dziwnego, w końcu masz swego młodego Elektora, za którym możesz się schować, prawda?

Mrużę oczy, ale Jameson wybucha śmiechem.

- Komandor DeSoto byłby o wiele lepszym Elektorem niż ten chłoptaş. Gdy Kolonie przypuszczą uderzenie na naszą granicę, spalą ten kraj do gołej ziemi. Ludzie pożąają, że poparli niedoświadczonego chłopaka.

Napiera na kraty, jakby chciała się przybliżyć najbardziej jak się da. Przełykam ślinę, ale pomimo strachu budzi się w mnie gniew. Nie odwracam wzroku. To dziwne, ale wydaje mi się, że jej oczy lśnią. Ten uśmiech wydaje mi się niepokojący.

- Należałaś do moich ulubienic. Czy wiesz, dlaczego tak bardzo zależało mi, byś służyła pod moimi rozkazami? Ponieważ ujrzałam odbicie siebie w tobie. Jesteśmy takie same. Ja również zostałambym Princepsą, dobrze o tym wiesz. Zasłużyłam sobie na to.

Czuję ciarki na rękach. Nawiedza mnie wspomnienie nocy, kiedy zginął Metias, a komandor Jameson prowadziła mnie do jego ciała.

- Szkoda, że nie wyszło, co? - parskam. Tym razem nie jestem już w stanie ukryć jadu w moim głosie.

„Mam nadzieję, że stracą cię równie szybko i bez ceremonii jak Razora”.

Jameson znów się śmieje. Jej źrenice rozszerzają się.

- Uważaj na siebie, Iparis - szepcze. - Możesz skończyć tak jak ja.

Jej słowa przeszywają mnie zimnem aż do szpiku kości. W końcu muszę się odwrócić i oderwać od niej spojrzenie. Żołnierze pilnujący jej celi nie patrzą na mnie, a wpatrują się przed siebie. Ruszam naprzód, ale nadal słyszę jej cichy chichot. Serce mi wali jak szalone.

Thomas został osadzony w prostokątnej celi z grubymi szklanymi ścianami, tak grubymi, iż nie słyhać, co się dzieje w środku. Czekam na zewnątrz, uspokajając się po spotkaniu z komandor Jameson. Przez moment zastanawiam się, czy przyście tutaj nie było błędem. Może powinnam odrzucić jego prośbę? Może tak byłoby najlepiej.

Tak czy owak, jeśli teraz wyjdę, będę musiała znów zobaczyć

komandor Jameson, a do tego spotkania warto dobrze się przygotować. Nabieram więc tchu i podchodzę do stalowych krat w drzwiach do celi Thomasa. Strażnik otwiera je przede mną. Wchodzę do środka, a za mną dwóch innych żołnierzy. Drzwi zamykają się. Nasze kroki niosą się echem po niewielkim, pustym pomieszczeniu.

Thomas podnosi się z brzękiem łańcuchów. Nigdy w życiu nie widziałam, by był tak rozczochrany. Wiem, że gdyby miał wolne ręce, natychmiast zabrałby się za prasowanie pomiętego munduru i rozczesywanie niesfornych włosów. Mimo to wyprostowuje się i strzela obcasami. Spogląda na mnie dopiero, gdy wydaję komendę: „Spocznij”.

- Cieszę się, że mogę cię ujrzeć, Princeps-Adeptko - mówi. Czy na jego poważnej, surowej twarzy pojawiło się nieco smutku? - Dziękuję za spełnienie mojej ostatniej prośby. Niedługo pozbędziesz się mnie raz na zawsze.

Kręcę głową, zła na siebie. Jestem wściekła, bo jego lojalność wobec kraju nadal budzi we mnie odrobinę współczucia, nawet pomimo zbrodni, które popełnił.

- Siadaj - mówię mu. - Wyluzujmy trochę.

Nie waha się ani chwili. Oboje klękamy na zimnej podłodze - Thomas opiera się o ścianę celi, a ja podkurczam pod siebie nogi. Pozostajemy w tej pozycji przez dłuższą chwilę. Trwa niezręczna cisza.

- Nie musisz już okazywać tak wielkiej lojalności wobec Republiki - odzywam się jako pierwsza. - Możesz odpuścić, wiesz?

Thomas kręci jedynie głową.

- Zadaniem żołnierza Republiki jest okazywać wierność do samego końca, a ja nadal jestem żołnierzem. Będę nim, aż odejdę.

Nie mam pojęcia, dlaczego myśl o jego śmierci wywołuje we mnie tyle uczuć. Jednocześnie czuję szczęście, ulgę, złość i smutek.

- Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać? - pytam.

- Panno Iparis, nim nadejdzie jutro... - mówi Thomas. Na moment traci wątek, ale szybko podejmuje wypowiedź. - Chciałem przekazać ci wszystkie szczegóły wydarzeń, które miały miejsce przed szpitalem w chwili śmierci Metiasa. Czuję, że... Czuję, że

jestem ci to winien. Ty jedna powinnaś poznać całą prawdę.

Moje serce znów zaczyna bić jak szalone. Czy jestem gotowa, by ponownie przez to przechodzić? Czy muszę to wiedzieć? Metias nie żyje, a szczegóły zdarzeń nie przywrócą go do życia. Mimo to ze spokojem spoglądam w oczy Thomasa. On w istocie jest mi to winien. Co więcej, to mój obowiązek wobec brata. Po śmierci Thomasa ktoś powinien nosić wspomnienie śmierci Metiasa. Ktoś musi wiedzieć, co się naprawdę stało.

Powoli uspokajam serce. Gdy otwieram usta, mój głos lekko drży.

- Dobrze - mówię.

- Pamiętam wszystko - Thomas mówi ciszej. - Każdy drobiazg.

- No to opowiadaj.

Wtedy Thomas, jak na posłusznego żołnierza przystało, rozpoczyna opowieść:

- Tej pamiętnej nocy odebrałem telefon od komandor Jameson. Czekaliśmy w dżipach przed wejściem do szpitala. Metias gawędził z jakąś pielęgniarką przed rozsuwanymi drzwiami. Wtedy usłyszałem sygnał przychodzącego połączenia.

Słucham go, a mury więzienia rozmywają się i nikną. Znów stoję przed szpitalem, widzę dżipy i żołnierzy. Czuję się, jakbym szła u boku Thomasa. Widzę wszystko to, co on. Na nowo przeżywam wydarzenia tej nieszczęsnej, pamiętnej nocy.

- Włączyłem mikrofon i szeptem przywitałem się z Jameson - ciągnie Thomas. - Ta nie bawiła się w żadne uprzejmości. „Zrobisz to dzisiaj - powiedziała. - Jeśli nie zareagujemy w porę, twój kapitan może dopuścić się aktu zdrady przeciwko Republice lub nawet Elektorowi. Wydaję panu bezpośredni rozkaz, poruczniku Bryant. Musi pan się znaleźć sam na sam z kapitanem Iparisem w ustronnym miejscu. Nie obchodzi mnie, gdzie i jak się pan z nim spotka...”.

Thomas patrzy mi w oczy i powtarza:

- Akt zdrady wobec Republiki. Zacisnąłem zęby. Wiedziałem, że kiedyś usłyszę ten rozkaz. Byłem tego pewien od chwili, gdy dowiedziałem się o tym, że Metias włamał się do bazy danych zawierającej dane zmarłych cywili. Przed komandor Jameson nie można było ukryć żadnych sekretów. „Tak jest, pani komandor” -

wyszeptałem. „Dobrze” - odparła. - „czekam na sygnał, gdy będzie pan gotów. Nakażę reszcie oddziału przejść na inne pozycje. Proszę załatwić to szybko i po cichu”. Wtedy zaczęły mi się trząść dłonie. Próbowałem wyperswadować to komandor, ale jej głos stał się jeszcze bardziej lodowaty. „Jeśli pan tego nie zrobi, sama się tym zajmę. Proszę mi wierzyć, że nie okażę żadnej litości i nikt na tym nie skorzysta. Zrozumiano?”. Nie odpowiedziałem jej od razu. Przyglądałem się twemu bratu, który zegnał się z pielęgniarką. Odwrócił się, szukając mnie wzrokiem, aż dostrzegł mnie przy dżipach. Przywołał mnie gestem, a ja skinąłem, uważając, by nie zdradzić żadnych emocji. „Zrozumiano, pani komandor” - odpowiedziałem. „Dasz radę, Bryant” - usłyszałem. - „A jak ci się uda, masz awans na kapitana w kieszeni”. Z tym słowami przerwała połączenie. Podeszedłem do Metiasa i jeszcze jednego żołnierza, którzy stali przy drzwiach do szpitala. Twój brat uśmiechnął się do mnie i rzekł: „Kolejna długa noc, co? Przysięgam, że jeśli będziemy musieli znowu tkwić tu aż do świtu, poskarżę się komandor Jameson. Będę marudził jak nigdy dotąd!”. Zmusiłem się, by wybuchnąć śmiechem. „Miejmy więc nadzieję, że nic się dziś nie wydarzy” - powiedziałem. Kłamstwo przyszło mi bez trudu. „Tak, miejmy nadzieję” - rzekł Metias. - „Przynajmniej mogę liczyć na twoje towarzystwo”. „I vice versa” - odrzekłem. Twój brat przyglądał mi się moment za długo, a potem odwrócił wzrok.

Pierwszych kilka minut upłynęło bez żadnych incydentów, aż pojawił się jakiś obdarty chłopak ze slumsów. Wlazł do środka i zatrzymał się przy pielęgniarce. Był w naprawdę kiepskim stanie. Twarz miał brudną od błota, ziemi i krwi, tłuste włosy, a do tego utykał. „Przyjmiesz mnie, siostrzo?” - spytał pielęgniarki. - „Macie jakieś wolne łóżka? Mogę zapłacić!”. Ta przez chwilę pisała coś w notatniku, aż rzekła: „Co się stało?”. „Zaatakowano mnie” - odparł. - „Chyba ktoś mnie dziabnął nożem”. Pielęgniarka spojrzała na twojego brata, a ten wydał gestem rozkaz dwóm spośród swoich podwładnych. Ci podeszli, by go przeszukać. Gdy przeszedł obok nas, kusztykając, nachyliłem się do Metiasa i szepnąłem: „Nie podoba mi się ten młody. Człowiek, którego ktoś pochłastał nożem, chodzi w nieco inny sposób, prawda?”. Twój brat i chłopak wymienili się spojrzeniami, a gdy przybłąda znikł we wnętrzu szpitala, Metias dał mi znak skinieniem głowy. „Zgoda” - rzekł. - „Miej na niego oko. Po naszej zmianie chętnie zamienię z nim kilka

słów”.

Thomas przerywa opowieść i odnajduje wzrokiem moją twarz. Być może chce, bym kazała mu przestać mówić, ale nie odzywam się ani słowem. Nabiera więc tchu i ciągnie:

- Zarumieniłem się, gdy uświadomiłem sobie, jak blisko stoimy. Twój brat chyba też to zauważył i zapadła niezręczna cisza. Od dawna wiedziałem, że darzy mnie uczuciem, ale tej nocy wydawało mi się to szczególnie zauważalne. Nie wiem, co było przyczyną. Metias miał za sobą ciężki dzień, a twoje wybryki na uniwersytecie całkiem wyprowadziły go z równowagi. Jego autorytet był mocno przygaszony, a ja, choć udawałem spokój, czułem, jak wali mi serce. „Musi pan się znaleźć sam na sam z kapitanem Iparisem w ustronnym miejscu. Nie obchodzi mnie, gdzie i jak się pan z nim spotka...”. Wiedziałem, że powinienem wykorzystać chwilę jego słabości. Trudno było o lepszą sposobność.

Thomas spogląda na swoje dłonie, ale ciągnie opowieść.

- A więc chwilę później poklepałem Metiasa po ramieniu. „Panie kapitanie” - szepnąłem. - „Czy możemy zamienić kilka słów na osobności?”. Twój brat zamrugał. „Czy to coś pilnego?” - spytał. „Nie, sir” - odparłem. - „Raczej nie. Ale... Ale wolałbym, by pan wiedział”. Twój brat wpatrywał się we mnie, nieco oszołomiony, usiłując się domyślić, o co chodzi, a potem skinął na jednego z naszych, by zajął jego miejsce przy wejściu. Obaj weszliśmy w ciemną, cichą uliczkę na tyłach szpitala. Metias natychmiast porzucił oficjalny ton. „Coś jest nie tak, Thomasie?” - spytał. - „Nie wyglądasz najlepiej”. Nie byłem w stanie myśleć o niczym innym jak tylko o zdradzie przeciwko Republice. Przecież on nigdy by czegoś takiego nie zrobił, prawda? Dorastaliśmy razem, trenowaliśmy razem, zaprzyjaźniliśmy się... A potem przypomniałem sobie rozkaz komandor i oparłem dłoń na rękojeści noża. „Wszystko w porządku” - odparłem, ale twój brat jedynie wybuchnął śmiechem. „Daj spokój” - rzekł. - „Przecież przede mną nie musisz niczego ukrywać. Dobrze o tym wiesz, prawda?”. „Wyrzuc to z siebie, Thomas” - pomyślałem. Wiedziałem, że lada moment przekroczę granicę, zza której nie ma powrotu. „Wykrztuś to. Niech to usłyszy”. W końcu uniosłem wzrok i spytałem: „Co się dzieje między nami?”. Twój brat naraz ucichł, a jego uśmiech przygasł. „O co ci chodzi?” - spytał. „Dobrze wiesz, o co mi chodzi”

- odparłem. - „O to właśnie. O to coś, co trwa od wielu, wielu lat”. Metias intensywnie wpatrywał się w moje oblicze. Upływała jedna długa sekunda za drugą. „To coś” - rzekł w końcu dobitnie - „nie może mieć miejsca. Jesteś moim podwładnym”. Zapytałem więc: „Ale ma to jakieś znaczenie dla pana, sir? Nieprawdaż?”. Przez twarz Metiasa przemknęło coś jednocześnie radosnego, jak i tragicznego. Podszedł bliżej. W dzielącym nas murze pojawiła się szczelina. „A dla ciebie?” - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Thomas znów przerywa, a potem mówi ciszej:

- Poczucie winy obudziło we mnie fizyczny ból, jakby ktoś wbił mi nóż w pierś i obracał go. Nie mogłem się jednak wycofać. Sprawy zabrnęły zbyt daleko. Zrobiłem więc krok do przodu, zamknąłem oczy i... I pocałowałem go.

Znów przerwa.

- Twój brat zmarł, zresztą zgodnie z moimi oczekiwaniami. Otaczała nas całkowita cisza. Odsunęliśmy się od siebie, żaden nie odezwał się ani słowem. Przez moment byłem przekonany, że popełniłem wielki błąd i źle zinterpretowałem wszystkie sygnały, które odbierałem przez lata. A może Metias wiedział, co planowałem uczynić? Na samą myśl o tym poczułem wielką ulgę. „Może lepiej by było, gdyby Metias rozgryzł zamiary komandor Jameson. Może udałoby nam się z tego jakoś wykręcić”. Lecz wtedy twój brat pochylił się ku mnie i również mnie pocałował. Resztki muru runęły.

- Dość - mówię. Thomas milknie. Próbuje zamaskować emocje jakimiś pozorami szlachetności, ale widzę wstyd na jego twarzy. Cofam się, odwracam wzrok, dotykam skroni. Przepełniam nie rozpacz. Do tej pory sądziłam, że w chwili morderstwa Thomas jedynie wiedział o uczuciach, które żywił do niego Metias.

Teraz okazuje się, że to nie wszystko. On wiedział o tym i wykorzystał tę wiedzę przeciwko niemu!

„Chcę, byś umarł. Nienawidzę cię”.

Mój gniew przybiera na sile z każdą chwilą, aż w mojej głowie odzywa się szept Metiasa, wąty promyk rozsądku.

„Wszystko będzie w porządku, Pchełko. Posłuchaj mnie. Wszystko się poukłada”.

Czekam. Serce bije rytmicznie, a łagodne słowa Metiasa

pomagają mi odzyskać równowagę. Otwieram oczy i wbijam spokojne spojrzenie w Thomasa.

- Co się wydarzyło później?

Thomas odzywa się dopiero po chwili.

- Nie było już innego wyjścia - mówi drżącym głosem. - Metias nie miał pojęcia, co się dzieje. Wpadł prosto w potrzask. Trzymałem dłoń na rękojeści noża, ale nie mogłem się zmusić do wykonania ciosu. Nie mogłem nawet oddychać.

Oczy zalewają mi łzy. Z jednej strony chcę usłyszeć każdy szczegół, a z drugiej pragnę, by Thomas zamilkł, by ta noc odeszła na zawsze i nigdy nie wróciła.

- Wtedy rozległ się sygnał alarmowy. Odskoczyliśmy od siebie. Metias wydawał się zbity z tropu i zmieszany. Dopiero po sekundzie uświadomiliśmy sobie, że sygnał dobiega ze środka szpitala. Napięcie prysło, a twój brat na powrót wskoczył w rolę kapitana. Popędził w stronę wejścia. „Do środka!” - zawołał przez mikrofon, nie oglądając się za siebie. - „Połowa oddziału do środka! Ustalić źródło zagrożenia! Reszta ma czekać przed wejściem na moje rozkazy. Szybko!”. Rzuciłem się do biegu w ślad za nim. Dogodna okazja minęła bezpowrotnie. Zastanawiałem się, czy komandor Jameson była w jakiś sposób świadkiem mojej porażki. Republika ma przecież oczy wszędzie. Wiedzą o wszystkim. Wpadłem w panikę. Musiałem znaleźć inną dogodną okazję, by znaleźć się z twoim bratem na osobności. Musiałem go zabić. W przeciwnym razie Metiasem miał się zająć ktoś o wiele brutalniejszy ode mnie. Gdy go dogoniłem, miał twarz czerwoną z gniewu. „Włamanie!” - rzucił. - „To ten chłopak, którego widzieliśmy przed chwilą! Jestem pewien! Bryant, weź pięciu ludzi, zabezpieczcie alejkę od wschodu. Ja będę czekać po drugiej stronie”. Nim się zorientowałem, twój brat już pędził przed siebie, zbierając ludzi. „Będzie musiał jakoś wydostać się ze szpitala” - powiedział. - „Poczekamy na niego”. Wypełniłem jego rozkaz, ale gdy tylko Metias znalazł się poza zasięgiem głosu, nakazałem ludziom biec na wschodnią ścianę szpitala, a sam zniknąłem w cieniach. Musiałem go dogonić. Wiedziałem, że to moja ostatnia szansa. Wiedziałem, że jeśli mi się nie uda, jest już po mnie. Pot spływał mi po plecach. Przemykałem wśród mroku, przypominając sobie wszystko, czego Metias nauczył mnie o skradaniu.

Niespodziewanie usłyszałem brzęk tłuczonej szyby. Schowałem się za murem, a twój brat popędził w kierunku źródła hałasu. Był sam. Pobiegłem za nim. Ciemności otoczyły mnie zewsząd. Na moment straciłem Metiasa z oczu. Kręciłem się po ulicy, nie mając pojęcia, co się z nim stało, gdy usłyszałem sygnał przychodzącego połączenia, a potem warknięcie komandor Jameson: „Na twoim miejscu szukałabym kolejnej okazji, by go załatwić, poruczniku. I to szybko”. Znalazłem Metiasa kilka minut później. Był sam i próbował się podnieść z ziemi. Miał nóż wbity w ramię, a wszędzie dookoła widziałem krew oraz okruchy szkła. Kilka kroków od niego leżał odsunięty właz do kanałów. Podbiegłem do Metiasa. Twój brat uśmiechnął się lekko, trzymając nóż tkwiący w ranie. „To Day” – wydyszał. – „Uciekł kanałami!”. Wyciągnął do mnie rękę. „Pomóż mi wstać!”. Zrozumiałem, że to moja jedyna, ostatnia szansa. Gdybym nie zrobił tego wtedy, nie udałoby mi się wcale.

Thomasa zawodzi głos. Próbuję sama coś powiedzieć. Znów chcę, by przestał mówić, ale nie potrafię. Jestem całkiem odrętwiała.

Thomas unosi głowę i mówi:

– Szkoda, że nie mogę ci przekazać tego, co ujrzałem wówczas w wyobraźni. A widziałem, jak komandor Jameson przesłuchuje Metiasa, torturami wyciąga z niego informacje, wyrwa mu paznokcie, tnie jego ciało i słucha jego rozpaczliwych prośb o litość. Wyobrażałem sobie, jak zabija go powoli, podobnie jak jeńców wojennych, którzy wpadli w jej ręce.

Słowa coraz szybciej wypadają z jego ust, jakby Thomas tracił zmysły.

– Wyobraziłem sobie flagę Republiki, pieczęć i przysięgę, jaką złożyłem w dniu wstąpienia do oddziału Metiasa. Ślubowałem, że będę wierny Republice oraz Elektorowi aż do chwili śmierci.

Mój wzrok padł na nóż w jego ramieniu. „Teraz. Teraz albo nigdy” – powiedziałem do siebie. Złapałem Metiasa za kołnierz, wyrwałem nóż z jego ramienia i wbiłem w pierś aż po rękojeść.

Słyszę własne westchnienie, zupełnie jakbym spodziewała się innego zakończenia. Jakby historia miała się zmienić po tym, jak wysłucham jej ileś tam razy. Tymczasem nie ma na co liczyć.

– Z ust Metiasa wyrwał się krzyk – szepcze Thomas. – A może to ja krzyczałem? Nie pamiętam już. Twój brat osunął się na ziemię,



nadal ściskając mój nadgarstek. Miał szeroko otwarte oczy. „Przepraszam” – wykrztusiłem.

Thomas patrzy teraz na mnie, a przeprosiny skierowane są zarówno do mnie, jak do mego brata.

- Klęczałem nad jego dygoczącym ciałem. Przepraszałem go raz za razem. „Nie miałem wyboru!” – tłumaczyłem mu. - „To ty mnie do tego zmusiłeś!”.

Ledwie słyszę jego głos.

- W oczach twego brata błysnęło zrozumienie. Potem ujrzałem cierpienie inne od bólu fizycznego, ów krwawy moment, gdy uświadamiasz sobie prawdę. Później pojawiło się w nich obrzydzenie i rozczarowanie. „Teraz już wszystko wiem” – wyszeptał. Nie musiałem o nic pytać. Wiedziałem, że ma na myśli nasz pocałunek. Chciałem wrzasnąć, że się myli. Chciałem mu wytłumaczyć, że było to jedyne pożegnanie, na jakie było mnie stać i przysiąc, że pocałowałem go z uczuciem, ale zamiast tego spytałem: „Dlaczego rozgniewałeś władze? Przecież wiedziałeś, że zniszczą cię, jeśli zawiedziesz ich zaufanie jeden raz za dużo! Ostrzegałem cię! Prosiłem, byś mnie posłuchał!”. Twój brat jednakże pokręcił tylko głową. Jego oczy zdawały się mówić: „Nigdy tego nie zrozumiesz”. Z ust pociekła mu krew, ale jeszcze mocniej ścisnął mój nadgarstek. „Nie skrzywdź June” – powiedział. - „Ona nie wie o niczym”. Naraz w jego oczach zapłonęło ostre światło, jakby nagle poczuł lęk. „Nie skrzywdź jej! Obiecuj!”. Powiedziałem więc, że będę cię chronił. Przyznałem, że nie wiem jak, ale przysiągłem, że będę próbował. Jego oczy powoli gasły, aż zrozumiałem, że odszedł. „Zjeżdżaj stąd” – powiedziałem do siebie w myślach, ale nie mogłem się podnieść. Kuciałem nad trupem Metiasa, a mój umysł był pusty. Nie mogłem uwierzyć w to, że naraz odszedł. Umarł. Odszedł na zawsze z mojej winy. Nie. Niech żyje Republika! „Tylko to się liczy – powiedziałem do siebie w myślach. - Tak, tak, tylko to się liczy”. To coś między nami... To coś nie było prawdziwe. Nie mogło mieć miejsca. Przecież Metias był moim kapitanem. Przecież był przestępcą, działającym na szkodę kraju. Zrobiłem coś dla dobra ogółu. Tak, nie było wątpliwości. W końcu usłyszałem krzyki nadciągających żołnierzy. Wstałem i otarłem oczy. Musiałem wziąć się w garść. Wykonałem rozkaz. Udowodniłem lojalność wobec Republiki. Uświadomiłem

sobie, że działam teraz tak, jak nakazuje instynkt przetrwania. Dźwięki dookoła były przytłumione, jakby moje życie zewsząd otuliła mgła. Dobrze. Potrzebowałem owego dziwnego spokoju, cieszyłem się z tego, że nagle wszystko znikło. Upchnąłem rozpacz gdzieś w sercu, jakby nic się nie wydarzyło i gdy pojawili się żołnierze, nawiązałem połączenie z komandor Jameson. Nie musiałem nic mówić. Moje milczenie zdradziło jej wszystko. „Ściągnij tu małą Iparis, gdy będziesz miał chwilę” – powiedziała. – „Dobra robota, kapitanie”. Nie odpowiedziałem.

Thomas milczy, scena rozmywa się i niknie. Znów jestem w celi więziennej. Moje policzki są mokre od łez, a serce krwawi, jakby i mnie pchnął nożem. Thomas wpatruje się w podłogę między nami pustym wzrokiem.

– Kochałem go, June – mówi po chwili. – Naprawdę. Jako żołnierz robiłem wszystko, by mu zaimponować. Tylko po to ćwiczyłem i pracowałem tak ciężko.

Wydaje mi się nagi. Widzę teraz pełnię cierpień, jakich doznaje. Głos Thomasa niespodziewanie twardnieje, jakby sam usiłował przekonać się do tego, co mówi.

– Służę Republice! Metias osobiście mnie szkolił. Dzięki niemu jestem tym, kim jestem. Nawet on mnie zrozumiał.

Serce mi pęka, gdy go słucham i nie mogę się temu nadziwić. „Przecież mogłeś pomóc mu w ucieczce. Mogłeś coś dla niego zrobić. Mogłeś zrobić cokolwiek!”.

Mimo to Thomas nadal pozostaje wierny swym zasadom. On nigdy się nie zmieni i nigdy, przenigdy nie dowie się, kim naprawdę był Metias.

Dopiero teraz uświadamiam sobie prawdziwy powód, dla którego Thomas poprosił o spotkanie ze mną. Chciał się wypowiedzieć. Podobnie jak podczas rozmowy po moim aresztowaniu, desperacko szuka jakichkolwiek oznak wybaczenia, czegokolwiek, co mogłoby choć w najmniejszym stopniu usprawiedliwić jego czyny. Chce uwierzyć, że to, co uczynił, nie było bezpodstawne. Chce, bym mu współczuła. Chce zaznać spokoju przed śmiercią.

Niestety, marnuje tylko swój czas. Nie pomogę mu. Nie rozgrzeszę go nawet w przededniu jego śmierci. Niektórych czynów nie można wybaczyć.

- Współczuję ci - mówię cicho. - Bo jesteś taki słaby.

Thomas zaciska usta. Wciąż szukając usprawiedliwienia, mówi: - Mogłem podążyć w ślady Daya. Mogłem stać się przestępcą, ale nie zrobiłem tego. Postąpiłem wedle zasad, sama dobrze o tym wiesz. Za to Metias kochał mnie tak bardzo. Za to mnie szanował. Przestrzegałem wszelkich zasad. Nigdy nie łamałem prawa.

Pochyliła się ku mnie, a w jego oczach maluje się coraz większa desperacja.

- Złożyłem przysięgę, June. Nadal mnie obowiązuje. Odejdę z honorem za to, że oddałem memu krajowi wszystko. Absolutnie wszystko. Tymczasem to Day jest bohaterem, a ja mam zostać stracony.

W jego głosie wreszcie pojawia się udręka i cierpienie. Jest przekonany, że padł ofiarą niesprawiedliwości.

- To nie ma sensu!

Wstaję. Moja eskorta zbliża się do drzwi celi.

- Mylisz się - mówię ze smutkiem. - Dla mnie to wszystko ma sens.

- Dlaczego?

- Bo Day wolał trzymać się jasnej strony życia - mówię i odwracam się od niego po raz ostatni. Drzwi otwierają się, kraty unoszą się, staję na korytarzu. Widzę strażników, widzę wolność.

- Metias też - dodaję.

## **GODZINA 15:32**

Tego popołudnia wybieram się z Olliem na bieżnię uniwersytetu w Denver w nadziei, że uda mi się poukładać myśli. Niebo, opromienione mocnym blaskiem popołudniowego słońca, wydaje się żółte i zamglone. Próbuję wyobrazić sobie na nim statki powietrzne Kolonii. Próbuję ujrzeć walki powietrzne i eksplozje. Zostało nam dwanaście dni do końca ultimatum wyznaczonego przez wroga. Po dwunastu dniach musimy dać Koloniom antidotum. Jak mamy tego dokonać bez pomocy Daya? Martwi mnie ta perspektywa, ale przynajmniej przepędza wspomnienia Thomasa i komandor Jameson. Przyspieszam. Moje buty sportowe uderzają o chodnik.

Gdy przybywam na bieżnię, dostrzegam strażników przy każdym

wejściu. Przynajmniej czterech na bramę. Anden zapewne również tu ćwiczy. Żołnierze rozpoznają mnie i wpuszczają na stadion z bieżnią otaczającą sporą, otwartą przestrzeń. Nigdzie nie widzę Andena. Być może przebiera się w podziemnej szatni.

Wykonuję pospiesznie serię ćwiczeń rozciągających, a Ollie czeka niecierpliwie, przestępując z łapy na łapę. W końcu ruszam biegiem. Przyspieszam coraz bardziej i wkrótce mknę z pełną prędkością po skręcającym torze. Moje włosy falują, uniesione pędem. Ollie posapuje u mego boku. Wyobrażam sobie, jak goni mnie komandor Jameson z bronią w rękę. „Uważaj na siebie, Iparis. Możesz skończyć tak jak ja”.

Z boku pojawia się strzelnica. Zatrzymuję się niemalże w miejscu, wyrwam pistolet i ładuję pocisk za pociskiem w kolejne cele. Trafiam idealnie cztery razy. Znów rzucam się do biegu, okrążam cały stadion i znów strzelam. Powtarzam to jeszcze dwa razy, potem dziesięć i piętnaście. W końcu zwalniam z sercem walącym jak szalone i idę szybko, by złapać oddech. W głowie kotłuje mi się od myśli. Gdybym nigdy nie spotkała Daya, czy mogłabym się stać kimś takim jak komandor Jameson? Czy mogłabym wyrosnąć na osobę zimną, wyrachowaną, pozbawioną litości? Czy nie stałam się dokładnie taka jak ona, gdy odkryłam tożsamość Daya? Czy nie przyprowadziłam żołnierzy z samą Jameson na czele pod drzwi jego domu? Nie przyszło mi nawet do głowy, że jego rodzinie mogłoby się coś stać! Przeładowuję broń i znów wymierzam w tarcze. Kule trafiają w sam środek.

Co pomyślałby o mnie Metias, gdyby nadal żył?

Nie. Nie jestem w stanie myśleć o moim bracie, gdyż natychmiast przychodzi mi do głowy poranna spowiedź Thomasa. Opróżniam magazynek, a potem siadam na środku bieżni z Olliem i kryję twarz w dłoniach. Jestem taka zmęczona. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę umiała zostawić przeszłość za sobą, tym bardziej, że robię teraz dokładnie to samo, co kiedyś – próbuję przekonać Daya, by znów oddał nam brata. Chcę go wykorzystać dla dobra Republiki.

W końcu podnoszę się, ocieram pot z czoła i kieruję się do podziemnej szatni. Ollie układa się w cieniu rzucanym przez daszek nad drzwiami, by na mnie poczekać. Łapczywie wypija wodę z miski, którą przed nim stawiam. Ja zaś schodzę po schodach i skręcam w korytarz. Powietrze jest gorące i wilgotne – w pobliżu

znajdują się prysznicze – a na pojedynczym ekranie widać cienką warstwę mgły. Dochodzę do rozgałęzienia, skąd można dotrzeć do męskich i damskich szatni. Słyszę echo kilku głosów.

Sekundę później z szatni wychodzi Anden w asyście dwóch strażników. Rumienię się, nieco zawstydzona, gdyż Elektor wygląda, jakby chwilę temu wyszedł spod prysznicza. Nie ma na sobie koszuli i wciąż wyciera wilgotne włosy ręcznikiem. Jego mięśnie są mocno zaznaczone po treningu. Na ramię zarzucił koszulę z kołnierzem, której biel ostro kontrastuje z jego oliwkową karnacją. Jeden ze strażników mówi coś do niego przyciszonym głosem, a ja zastanawiam się z narastającym lękiem, czy nie ma to przypadkiem związku z Koloniami. Po chwili Anden unosi głowę i dostrzega mnie. Rozmowa zostaje przerwana.

– Panno Iparis – mówi i uśmiecha się uprzejmie, czym umiejętnie maskuje dręczący go przed chwilą problem. Pokasłuje, oddaje ręcznik strażnikowi i wciąga jeden rękaw koszuli. – Przepraszam, że pokazuję się w takim stanie.

Kłaniam się lekko, ze wszystkich sił udając nieporuszoną.

– Nic się nie stało, Elektorze.

Anden daje znak ochronie.

– Idźcie przodem. Spotkamy się przy schodach.

Obaj kłaniają się jednocześnie i odchodzą. Anden czeka, aż znikną za rogiem, a potem znów zwraca się do mnie.

– Mam nadzieję, że poranek nie był aż taki zły – mówi, zapinając guziki. Marszczy brwi. – Pojawiły się kłopoty?

– Żadnych – odpowiadam. Nie mam najmniejszej ochoty dzielić się szczegółami mej rozmowy z Thomasem.

– To dobrze. – Anden przeczesuje dłonią wilgotne włosy. – A więc twój poranek okazał się bardziej udany od mojego. Odbyłem trwającą kilka godzin konferencję z prezydentem Ross City na Antarktydzie. Poprosiliśmy ich o pomoc wojskową na wypadek inwazji.

Wzdycha ciężko.

– Antarktyda solidaryzuje z nami, ale niełatwo ich zadowolić. Nie wiem, czy zdołamy osiągnąć cokolwiek bez pomocy brata Daya. Nie mam też pojęcia, jak przekonać Daya, by nam na to pozwolił.

- Nikt go nie przekona - odpowiadam, zakładając ramiona. - Nawet ja. Utrzymujesz, że jestem jego słabym punktem, ale najsłabszym jest jego rodzina.

Anden milczy przez moment. Uważnie przyglądam się jego twarzy, usiłując się domyślić, co mu chodzi po głowie. Potem przypominam sobie, że w chwilach potrzeby potrafi być niezwykle bezlitosny. Przecież nawet nie drgnął, skazując Thomasa na śmierć. Przecież bez wahania odpowiedział na zniewagę komandor Jameson i bez namysłu postawił przed plutonem egzekucyjnym każdą osobę, która usiłowała go zniszczyć. Gdzieś głęboko w jego wnętrzu znajduje się coś zimnego, maskowanego przez łagodny głos oraz czułe serce.

- Nie zmuszaj go do niczego - mówię. Anden spogląda na mnie zaskoczony. - Wiem, że właśnie o tym myślisz.

Dopina ostatni guzik.

- Zrobię to, co będę musiał, June - mówił łagodnie, wręcz ze smutkiem.

„Nie. Nigdy nie pozwolę ci skrzywdzić Daya tak samo jak ja kiedyś”.

- Jesteś Elektorem. Ty niczego nie musisz. A jeśli zależy ci na Republice, na pewno nie będziesz chciał obrócić przeciwko sobie jedynej osoby, w którą wierzy społeczeństwo.

Gryzę się w język, ale jest już za późno.

„Ludzie wierzą w Daya, ale nie w ciebie”.

Widzę grymas na jego twarzy. Anden nie komentuje moich słów, ale mimo to przeklinam się w myślach za niewyparzony język.

- Przepraszam - mówię cicho. - Nie chciałam, by to tak zabrzmiało.

Mija długa chwila, nim Anden wreszcie zabiera głos.

- To nie takie proste - stwierdza i kręci głową. Kropelka wody spada z włosów na kołnierz koszuli. - Postąpiłabyś inaczej? Zaryzykowałabyś byt całego narodu, by ocalić jedną osobę? Nie potrafię tego usprawiedliwić. Kolonie zaatakują nas, jeśli nie prześlemy im antidotum, a zamieszanie to wzięło się z czegoś, za co osobiście jestem odpowiedzialny.

- Nie, to twój ojciec jest za to odpowiedzialny. Nie ty, a on.

- Jestem jego synem - odpowiada Anden. Jego głos nagle stał się surowy. - Cóż to za różnica?

Te słowa są zaskoczeniem dla nas obojga. Zaciskam usta i postanawiam, że nie będę ich komentować, ale w mojej głowie znów rozpoczyna się kotłowanie myśli. „To jest różnica i to istotna!”. Naraz przypomina mi się to, co Anden opowiedział mi kiedyś o okolicznościach powstania Republiki i rzeczach, które jego ojciec i rządzący przed nim Elektorzy zmuszeni byli robić w owych mrocznych czasach.

„Uważaj na siebie, Iparis. Możesz skończyć tak jak ja”.

Być może nie tylko ja muszę uważać. Moją uwagę przyciąga coś, co pojawia się na ekranie na końcu korytarza. Puszczają jakiś reportaż o Dayu - widzę zbliżenia video z dawnych lat, a potem ujęcie szpitala w Denver. Obraz jest obcięty, ale mimo tego udaje mi się dostrzec tłumy zebrane na zewnątrz budynku. Anden również odwraca się w stronę ekranu. Demonstrują? Przeciwno czemu? Czytam nagłówek: „Daniel Altan Wing został przyjęty do szpitala na standardowe badania medyczne. Zdaniem lekarzy zostanie wypuszczony jutro”.

Anden przytyka dłoń do ucha - ktoś chce z nim rozmawiać. Z erka na mnie, włącza mikrofon i odzywa się:

- Słucham?

Cisza. Reportaż trwa, a twarz Andena blednie. Widząc to, przypominam sobie bladość na twarzy Daya podczas bankietu i naraz dwie myśli zbiegają się i budują przerażający wniosek. Nie mam już najmniejszej wątpliwości, jaką tajemnicę Day ukrywał przede mną.

- Kto zezwolił na puszczenie tego materiału? - Anden pyta szeptem, ale w jego głosie pojawia się gniew. - Nie będzie żadnego następnego razu! Chcę o tym wiedzieć jako pierwszy! Czy to jasne?

Czuję ucisk w gardle. Rozmowa Andena dobiega końca. Młody Elektor opuszcza rękę i spogląda na mnie z powagą przez dłuższą chwilę.

- Chodzi o Daya - mówi. - Trafił do szpitala.

- Dlaczego?

- Bardzo mi przykro. - Anden pochyla głowę z ogromnym

smutkiem, a potem nachyla się i szepcze mi do ucha. Mówi mi całą prawdę. Niespodziewanie zaczyna kręcić mi się w głowie, jakby cały świat zamienił się w plątaninę rozmazanych kolorów, jakby wszystko to było jedynie iluzją, jakbym znów stała na tyłach Centralnego Szpitala w Los Angeles tej samej nocy, której klęczałam nad zimnym trupem Metiasa i wpatrywała się w nierozpoznawalną już twarz. Moje serce przestaje bić. Wszystko zamiera.

„To nie może być prawdą”.

Czy chłopak, który poruszył cały naród, może umrzeć?



# DAY

TRZYMAJĄ MNIE W SZPITALU PRZEZ CAŁĄ NOC, A POTEM WYPUSZCZAJĄ do mieszkania. Wieść już dawno obiegła kraj - wielu gapiów widziało, jak wywożą mnie na wózku inwalidzkim i opowiedziało o tym znajomym. Niedługo trzeba było czekać, by plotkę powtarzano na każdej ulicy. Media już dwukrotnie próbowały załagodzić sprawę. Wedle oficjalnych informacji znalazłem się w szpitalu ze względu na rutynowe badania, potem pojawiło się doniesienie, że odwiedzałem brata. Ciekawe, co jeszcze wymyślili. Nikt im jednak nie wierzy.

Przez cały dzień cieszyłem się tym, że mogę leżeć w normalnym łóżku i patrzeć na drobny, mokry śnieg za oknem. Eden rozłożył obozowisko w nogach łóżka i bawi się zestawem robotów, który dostaliśmy od Republiki jako prezent. Łączy właśnie podzespół Światła - prostokątny element wielkości dłoni wyposażony w niewielkie ekrany po obu bokach - z podzespołami Ramion, Nóg i Skrzydeł, by stworzyć niewielkiego JumboTrona. Uśmiecha się do siebie, zachwycony zabawą, a potem rozkłada go z powrotem na czynniki pierwsze i tworzy z elementów parę Nóg, które wyświetlają na JumboTronach wszystko to, na co nadepną. Ja też się uśmiecham. W tej chwili liczy się dla mnie tylko jego szczęście. Jedno trzeba Republice przyznać - ktoś na wyższych szczeblach władzy zauważył, że Eden uwielbia konstruować nowe rzeczy. Co tydzień dostajemy jakieś nowe cacko, które mają jedynie dzieci z wyższych klas. Zastanawiam się, czy nie stoi za tym June. A może Andena gryzie poczucie winy z powodu koszmaru, który zafundował nam jego ojciec?

Ciekawe, czy słyszała już wiadomości. Na pewno.

- Uważaj - mówię, gdy Eden wspina się na moje łóżko i wychyla się, by postawić zabawkę przy oknie. Maca dookoła siebie, próbując zlokalizować parapet i szybę.

- Jeśli spadniesz i coś sobie złamiesz, będziemy musieli wracać do szpitala, a to w ogóle mnie nie cieszy.

- Znów o niej myślisz, co? - Eden ripostuje bez wysiłku. Mruży niedowidzące oczy, próbując dostrzec klocki znajdujące się

zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy. - Zawsze zmienia ci się głos w takich chwilach.

- Co takiego? - Mrugam zaskoczony.

Spogląda w moim kierunku i unosi brew. Wygląda to komicznie na dziecięcej twarzy.

- Och, przestań. Przecież to oczywiste. Czemu ci tak zależy na tej June, co? Cały kraj o was plotkuje, a kiedy poprosiła cię o przyjazd do Denver, pakowałeś się jak wariat! Kazałeś mi nawet do niej zadzwonić, gdy Republika będzie chciała mnie zabrać! Prędzej czy później powiesz mi chyba prawdę, co? Ciągle o niej gadasz.

- Nieprawda.

- Taaa, jasne.

Cieszę się, że Eden nie widzi mojej twarzy. Muszę kiedyś porozmawiać z nim o June i jej związkach z resztą naszej rodziny. Będzie to kolejny dobry powód, by trzymać się od niej z daleka.

- To tylko przyjaciółka - mówię w końcu.

- Podoba ci się?

Wbijam wzrok w mokrą szybę.

- No.

Eden czeka, aż coś dodam, ale milczę, więc wzrusza ramionami i wraca do pracy przy robocie.

- Spoko - mruczy. - Kiedy indziej.

Jak na życzenie, w mojej słuchawce rozlegają się ciche zakłócenia, które zwiastują nadchodzące połączenie. Włączam mikrofon. W chwilę później słyszę szept June. Ani słowem nie nawiązuje do mojej choroby.

- Możemy porozmawiać?

Wiedziałem, że się odezwie. To była tylko kwestia czasu. Jeszcze przez chwilę przyglądam się Edenowi pogrążonemu w zabawie.

- Możemy, ale nie tu - odpowiadam szeptem.

Mój brat zerka na mnie, zaintrygowany moimi słowami. To mój pierwszy dzień po wyjściu ze szpitala i nie chcę, by akurat dziś mój jedenastoletni brat poznał dołującą prognozę.

- No to chodźmy na spacer.

Zerkam przez okno. Trwa pora obiadowa i knajpki na ulicy są

pełne klientów. Niemal wszyscy noszą czapki, kapelusze i kaptury bądź kulą się pod parasolami, szukając schronienia przed pluchą. To dobry moment, by się przejść i nie wzbudzić przy tym niczyjej uwagi.

- Dobra. Wpadnij do mnie, wyjdziemy stąd.

- Super - mówi June i rozłącza się.

Dziesięć minut później słychać dzwonek do drzwi. Przestraszony Eden zrywa się na równe nogi, a jego robot spada z łóżka. Odpadają trzy z jego kończyn.

- Kto to? - pyta Eden, patrząc w moim kierunku.

- Nie bój się, młody - odpowiadam, idąc do drzwi. - To June.

Napięcie uchodzi z ciała chłopaka, a jego twarz rozjaśnia szeroki uśmiech. Zeskakuje z łóżka, zapominając o robocie, i maca drogę przed sobą, chcąc dotrzeć do drugiego końca łóżka.

- No i? - pyta. - Nie wpuścisz jej?

Mam wrażenie, że gdy mieszkałem na ulicy, Eden zdążył dojrzeć. Przegapiłem chwilę, w której cichy, nieśmiały dzieciak stał się uparty i pewny siebie. Nie mam pojęcia, skąd mu się to wzięło. Wzdycham - nie chcę niczego przed nim ukrywać, ale jak ja mu wyjaśnię, kim jest June? Przez cały rok tłumaczyłem mu, że June to dziewczyna z Republiki, która postanowiła nam pomóc. Mówiłem mu też, że w chwili obecnej uczy się, by w przyszłości zostać Princepsą. Nie wiem jeszcze, jak przekazać mu resztę, więc na wszelki wypadek milczę.

June nie uśmiecha się, gdy otwieram drzwi. Spogląda najpierw na Edena, a potem na mnie.

- To twój brat? - pyta cicho.

Kiwam głową.

- Nie poznaliście się jeszcze, prawda? - Odwracam się i wołam:

- Eden! Gdzie twoje maniery?!

Mój brat macha do niej z łóżka.

- Cześć! - woła.

Odsuwam się, by June mogła wejść do środka. Podchodzi do Edena, siada obok niego z uśmiechem i ujmuje jego drobną rączkę. Potrząsa nią dwukrotnie.

- Miło mi cię poznać, Eden - oznajmia łagodnym głosem. Opieram się o framugę i przyglądam ich spotkaniu. - Co u ciebie słychać?

- Chyba wszystko w porządku. - Eden wzrusza ramionami. - Lekarze mówią, że stan moich oczu się ustabilizował. Codziennie biorę dziesięć różnych pigułek.

Przechyla głowę.

- Ale chyba staję się coraz silniejszy.

Nabiera powietrza, wypina klatkę piersiową, a potem udaje, że pręży mięśnie. W jego oczach widać mgłę. Patrzy na lewo od głowy June.

- Jak wyglądam?

- Lepiej niż większość ludzi, których widzę na co dzień! - śmieje się June. - Wiele o tobie słyszałam.

- Ja o tobie też - pospiesznie odpowiada Eden. - Głównie od Daniela. Myśli, że super z ciebie laska.

- Dobra, dosyć już tego - odzywam się głośno i mierzę go wściekłym spojrzeniem, choć wiem, że jest ślepy jak kret. - Chodźmy, June.

- Jadłeś już? - pyta, gdy kierujemy się ku drzwiom. - Miałam dziś towarzyszyć Andenowi wraz z pozostałymi, ale wezwano go do koszarów. Chyba pojawiło się jakieś zatrucie pokarmowe wśród żołnierzy. Tak oto niespodziewanie zyskałam kilka godzin wolnego.

Na jej policzkach wykwita delikatny róż.

- Może wrzucimy coś na ruszt?

Unoszę brew, a potem pochylam się tak blisko, że nasze policzki się ocierają. Czuję, jak przeszywa ją dreszcz. Narasta we mnie uniesienie.

- Cóż, June - szepczę jej do ucha figlarnie i uśmiecham się. - Czy ty mnie właśnie zaprosiłaś na randkę?

Rumieniec June staje się bardziej intensywny, ale w jej oczach nie widać ciepła. Przechodzi mi ochota na żarty. Zakasłałem raz i zerkam nad ramieniem na Edena.

- Przyniosę ci coś do jedzenia. Nie wychodź sam. Słuchaj Lucy.

Eden kiwa głową, na powrót pochłonięty robotem.

Chwilę później opuszczamy blok i idziemy przez coraz gęstsza

mżawkę. Pochylam głowę i kryję twarz w cieniu daszka czapki żołnierskiej, a ręce wpycham głęboko w kieszenie kurtki mundurowej. To dziwne jak bardzo przyzwyczałem się do ubiorów stosowanych przez armię. June stawia kołnierz płaszcza. Z każdym oddechem wokół jej ust pojawia się obłoczek pary. Śnieg z deszczem przybrał na sile. Lód i woda kłuje mnie w twarz i łaskocze mi rzęsy. Z okien większości wieżowców zwisają jaskrawo czerwone proporce, a w rogach ekranów JumboTronów znajdują się czerwono-czarne symbole z okazji urodzin Andena. Inni przechodnie przemykają tak szybko, że nawet ich nie rejestruję. Idziemy w ciszy, ciesząc się wzajemną bliskością.

Dziwne, przyznam. To jeden z moich lepszych dni i nie mam problemów z nadażeniem za June. Trudno mi dziś uwierzyć, że zostało mi raptem parę miesięcy życia. Może te nowe leki wreszcie zaczną działać?

Nie mówimy ani słowa, aż June zatrzymuje się przed niewielką kafejką kilka przecznic od mego mieszkania. Od razu widzę, dlaczego wybrała akurat to miejsce – to niemalże pusty, słabo oświetlony lokal na pierwszym piętrze wieżowca, o oknach oblepionych topniejącym śniegiem. Podobnie jak w wielu innych knajpkach w okolicy, również tutaj jest kilka ciemnych, przytulnych kącików, a jedynym źródłem światła są mieniące się lampki w kształcie sześciąt nad stołami. Na życzenie June kelnerka prowadzi nas do jednego z owych ciemnych kącików. Wszędzie widzę płaskie talerze z perfumowaną wodą. Przeszywają mnie dreszcze, choć dzięki latarni w naszym kącie jest ciepło.

„Po co myśmy w ogóle tu przyszli?”

Na moment wszystko znika za osobliwą mgłą, ale po chwili odzyskuję świadomość.

„Chcemy coś zjeść i tyle”.

Kręcę głową. Przypomina mi się chwila sprzed paru dni, kiedy to nie mogłem przypomnieć sobie imienia naszej opiekunki. Niespodziewanie nachodzi mnie przerażająca myśl. Może to jakiś nowy symptom? A może staję się paranoikiem?

Składamy zamówienia, a potem June zaczyna mówić. Żłote plamki w jej oczach błyszczą się w pomarańczowym blasku latarenki.

– Dlaczego mi o niczym nie powiedziałaś? – szepcze.

Ogrzewam dłonie nad latarnią.

- A co by nam to dało?

June marszczy brwi i dopiero wtedy zauważam, że ma nieco spuchnięte oczy, jakby płakała. Kręci głową.

- Wszędzie krążą plotki - szepcze tak cicho, że ledwie ją słyszę. - Wielu świadków widziało, jak trzydzieści cztery godziny temu zostajesz wyniesiony na noszach z mieszkania. Jeden z nich najwyraźniej podsłuchiwał nawet rozmowę lekarzy o twoim stanie zdrowia.

Wzdycham i unoszę ręce w geście poddania.

- Wiesz co? Jeśli przeze mnie wybuchają zamieszki na ulicach, a Anden ma więcej kłopotów, to bardzo przepraszam. Kazano mi utrzymać mój stan w tajemnicy i starałem się najbardziej jak mogłem. Jestem przekonany, że nasz przeświatny Elektor robi wszystko, by uspokoić społeczeństwo.

- Na pewno coś da się zrobić. - June przygryza wargę. - Niech lekarze...

- Już próbowali wszystkiego - odpowiadam i krzywię się, gdy moją głowę, jak na zawołanie, przeszywają spazmy bólu. - Trzykrotnie poddawano mnie różnym eksperymentom. Jak do tej pory mamy do czynienia z powolnym, bolesnym postępem.

Opowiadam jej wszystko, co usłyszałem od lekarzy - o niecodziennej infekcji w hipokampie oraz lekach, które mnie osłabiały.

- Wierz mi, robią co mogą - kończę.

- Ile czasu ci zostało? - szepcze.

Nie odpowiadam. Udaję, że całkiem zaabsorbowała mnie nasza latarnia. Nie wiem, czy będę umiał odpowiedzieć jej na to pytanie.

June przysuwa się jeszcze bliżej, aż ociera się ramieniem o moje ramię.

- Ile czasu ci zostało? - powtarza. - Proszę, powiedz mi. Mam nadzieję, że zależy ci na mnie na tyle, by podzielić się prawdą.

Spoglądam na nią i jak zwykle ulegam mocy jej spojrzenia. „Proszę, nie zmuszaj mnie do tego”. Nie chcę powiedzieć tego na głos. Może się przecież okazać, że to prawda, ale June wydaje się taka smutna, taka przestraszona... Nie mogę tego taić.

Wypuszczam powietrze z płuc, a potem przeczesuję dłonią włosy i pochylam głowę.

- Powiedzieli mi, że został mi miesiąc - szepczę. - Może dwa. Kazali mi uporządkować osobiste sprawy.

June zamyka oczy. Chyba zachwiała się lekko.

- Dwa miesiące - mówi nieobecny głosem. Ból na jej twarzy przypomina mi, dlaczego nie chciałem, by cokolwiek wiedziała.

Mija kolejna chwila ciszy. June naraz otrząsa się i wyciąga coś z kieszeni. W jej dłoni leży niewielki, połyskujący metalicznie przedmiot.

- Chciałam ci to dać - mówi.

Wpatruję się w ów przedmiot pustym wzrokiem. To pierścionek wykonany z rozprostowanych spinaczy biurowych. Cienkie druciki splecione są w elegancki, zamykający się wzór, przypominający ten, który kiedyś zrobiłem dla niej. Otwieram szeroko oczy i spoglądam na nią. Nie mówi ani słowa. Zamiast tego spuszcza wzrok i wsuwa go na serdeczny palec mojej prawej ręki.

- Nie miałam wiele czasu - szepcze.

Zdumiony, muskam pierścionek palcem. Z trudem panuję nad szalejącymi we mnie emocjami.

- Przepraszam - mówię, wściekły, że nie jestem w stanie dać z siebie więcej. Czy naprawdę to wszystko, co mogę powiedzieć po otrzymaniu takiego prezentu?

- Mówią, że nadal mam szansę. Szykują jakieś inne metody leczenia.

- Kiedyś mi opowiadałeś, dlaczego wybrałeś dla siebie ksywę Day - mówi stanowczo i nakrywa moją dłoń własną, chowając pierścionek ze spinaczy. Jej skóra jest tak ciepła i delikatna, że zaczynam szybciej oddychać. - Bo każdego dnia rano wszystko na nowo staje się możliwie, prawda?

Po plecach spływają mi dreszcze. Chcę ująć jej twarz, całować policzki, wpatrywać się w ciemne, smutne oczy i zapewniać, że wszystko będzie w jak najlepszym porządku. Byłoby to jednakże tylko kolejne kłamstwo. Na widok bólu na jej twarzy serce mi pęka, ale z wyrzutem sumienia uświadamiam sobie, że trudno mi opanować radość, gdy wiem, że nadal jej na mnie zależy. W jej

pełnych rozpaczy słowach i w cieniutkich splotach metalowego pierścionka kryje się miłość. Prawda?

W końcu nabieram tchu.

- Czasami słońce zachodzi wcześniej. Nie ma dnia, który trwałby wiecznie. Mimo to obiecuję, że będę walczył ze wszystkich sił. Przysięgam.

Oczy June łagodnieją.

- Nie musisz przechodzić przez to sam.

- A dlaczego ty też miałabyś to znieść? - odpowiadam szeptem. - Mi... Wydawało mi się, że tak będzie łatwiej.

- Łatwiej dla kogo? - parska June. - Dla ciebie? Dla mnie? Dla ludzi? Wolałabyś po prostu odejść pewnego dnia w ciszy, nie żegnając się ze mną ani słowem?

- Tak - odpowiadam ostro ku memu zdziwieniu. - Gdybym powiedział ci o wszystkim tej nocy, kiedy się pożegnaliśmy, czy zgodziłabyś się zostać Princeps-Adeptką?

Nie wiem, co June miała na końcu języka, ale nie mówi ani słowa. Milczy przez moment, a potem przełyka ślinę.

- Nie - przyznaje. - Nie miałabym serca. Wolałabym czekać.

- Otóż to. - Nabieram tchu. - Naprawdę myślisz, że miałem tego wieczoru ochotę uskarżać się na zdrowie? Naprawdę sądzisz, iż chciałbym stanąć między tobą, a twoją życiową szansą?

- To ja miałam podjąć tę decyzję! Ja, a nie ty! - June mówi przez zaciśnięte zęby.

- A ja chciałem, byś nie musiała przy tym brać mnie pod uwagę.

June kręci głową, a jej ramiona zwisają.

- Naprawdę myślisz, że zupełnie mi na tobie nie zależy?

Kelnerka przynosi nasze jedzenie - miski z parującą zupą, talerze z bułkami i starannie zapakowaną porcję dla Edena. Cieszę się, że nasza rozmowa na moment się urywa.

„Tak byłoby dla mnie lepiej” - dodaję w myślach. - „Wolałbym odejść w ciszy niż słuchać każdego dnia, że zostało nam jeszcze tylko kilka miesięcy wspólnego życia.”

Byłoby mi jednak wstyd wypowiedzieć tę myśl na głos. June spogląda na mnie z wyczekiwaniem, ale ja tylko kręcę głową



i wzruszam ramionami.

Dokładnie w tym momencie w całym mieście odzywają się syreny alarmowe.

Ryczą ogłuszająco. Zamieramy, a potem spoglądamy na głośniki, znajdujące się na wszystkich budynkach. Nigdy dotąd nie słyszałem takiej syreny – to niekończący się, rozdzierający bębenki w uszach ryk, który wysusza powietrze i niszczy każdy inny odgłos. JumboTrony są czarne jak noc. Patrzą oszołomiony na June.

„Co się, u licha, dzieje?”.

June jednakże już nie patrzy na mnie. Wpatruje się w ryczące głośniki, a na jej twarzy maluje się przerażenie. Oboje patrzymy, jak JumboTrony ponownie ożywają. Każdy ekran jest krwistoczerwony, a na samym środku znajdują się dwa złote słowa.

„Chowajcie się”.

– Co to oznacza?! – krzyczę.

June łapie mnie za rękę i rzuca się do biegu.

– Zbliża się nalot. Pancierz została zaatakowany.

# JUNE

- EDEN.

To pierwsze słowo, jakie pada z ust Daya. JumboTrony nadal wyświetlają ów złowieszczy, szkarłatny przekaz, a głośniki wyją rytmicznie, zagłuszając każdy inny dźwięk w mieście. Ludzie wyglądają z okien i wybiegają przed budynki, równie zaskoczeni jak my. Na ulicach gromadzą się żołnierze i krzyczą przez słuchawki, dostrzegając nadciągającego wroga. Biegnę tuż przy Dayu, a przez mój umysł przelatują myśli oraz liczby. Cztery sekundy. Dwanaście sekund. Potrzebujemy piętnastu sekund, by pokonać przecnicę, co oznacza że w tym tempie dotrzemy do mieszkania Daya za siedemdziesiąt pięć sekund. Czy istnieje jakiś skrót? A co z Olliem? Muszę go zabrać!

Niespodziewanie ogarnia mnie chłodny spokój, a moje zmysły się wyostrzają. Czułam się podobnie w chwili, gdy uwalniałam Daya z Batalla Hall wiele miesięcy temu i później, gdy Day wspinał się na Główną Wieżę, by przemówić do ludzi, a ja usiłowałam pokrzyżować szyki ścigającym go żołnierzom. W izbie Senatu być może staję się milczącym, niechętnym obserwatorem, ale na ulicach, w samym środku zamieszania, potrafię myśleć. Potrafię działać.

Pamiętam, że czytałam kiedyś o tym szczególnym rodzaju alarmu. Pamiętam też, że ćwiczyłam go w liceum, ale Los Angeles leżało tak daleko od strefy wojny, że podobne alarmy należały do rzadkości. Ogłaszano go tylko i wyłącznie w chwilach, gdy wrogie siły atakowały nasze miasto lub już wdzierały się do środka. Nie wiem, na czym polegają w Denver, ale przypuszczam, że nie ma większej różnicy - należy jak najszybciej dotrzeć do któregoś z wyznaczonych podziemnych bunkrów i wsiąść do pociągów, których zadaniem jest ewakuacja ludności do bezpieczniejszych rejonów. Gdy dostałam się do college'u i zostałam żołnierzem, moje zadanie zmieniło się. Żołnierze mają bowiem natychmiast stawić się w punktach dowodzenia, gdzie oficerowie wydadzą im słuchawki. Należy błyskawicznie przygotować się do wojny.

Nigdy nie słyszałam, by alarm tego typu ogłoszono w jakimkolwiek mieście Republiki, gdyż żadne z nich nigdy nie

zostało zaatakowane. Prawie każde natarcie zostało w porę zatrzymane, aż do tej pory. Biegnę przy Dayu i jestem przekonana, iż wiem, co się dzieje w jego głowie. Czuję podobną winę.

Day nigdy nie słyszał takiego alarmu i nigdy nie ćwiczył odpowiednich procedur, gdyż pochodzi z ubogiego sektora. Nigdy nie miałam pewności i przyznaję, że nie zastanawiałam się nad tym szczególnie, ale zdumienie na twarzy Daya wszystko wyjaśnia. Podziemne bunkry zostały przygotowane jedynie dla klas wyższych. Biedota ma sama sobie poradzić. Słyszę ryk silnika wysoko nad nami. To myśliwiec Republiki, do którego dołącza kilka innych. Krzyki mieszają się z wyciem syren. Czekam na wiadomość od Andena.

W oddali widać pomarańczową emanację nad Pancierzem. Siły Republiki szykują się do kontrataku z murów.

„To się dzieje naprawdę!”.

Ale przecież Kolonie dały nam czas na przekazanie antidotum. Upłynęły dopiero cztery dni z wyznaczonego ultimatum. Narasta we mnie gniew. Czyżby czekali na odpowiedni moment, by zaskoczyć nas brutalnym atakiem?

Łapię Daya za rękę i przyspieszam kroku.

- Możesz zadzwonić do Edena?! - krzyczę.

- Mogę! - sapie Day. Od razu widzę, że nie jest już tak wytrzymały jak kiedyś - oddycha z większym trudem i biegnie nieco wolniej. Czuję ucisk w gardle. To pierwszy dowód na to, że w istocie podupadł na zdrowiu. Gdzieś za nami rozlega się kolejna eksplozja, która wstrząsa nocnym niebem. Zaciskam mocniej rękę.

- Przekaż mu, by czekał gotowy przy wejściu! - wołam. - Wiem, dokąd możemy się udać!

W słuchawce słyszę głos zaniepokojonego Andena:

- Gdzie jesteś?

Przeszywa mnie dreszcz, gdy uświadamiam sobie, że usłyszałam w nim lekką nutkę strachu.

- Jestem w Głównej Wieży! Poślę po ciebie dżipa!

- Poślij go pod mieszkanie Daya. Będę tam za minutę. A Ollie, mój pies...

- Już go wysłałem do bunkrów - mówi Anden. - Uważaj na siebie.

Słyszę kliknięcie oznaczające koniec rozmowy, a potem lekkie zakłócenia. Słuchawka milknie. Biegący obok mnie Day przekazuje instrukcje bratu.

Gdy docieramy do bloku, wieczorne niebo pocięte jest dziesiątkami smug kondensacyjnych. Myśliwce Republiki przelatują z grzmotem co sekundę. Tłumy ludzi, zebrane przed blokami, są odprowadzane w różne strony przez patrole policji. Przeszywa mnie lęk, gdy uświadamiam sobie, że niektóre z samolotów na horyzoncie nie należą do Republiki. To wróg. Dotarli bardzo blisko, co oznacza, że zmylili wyrzutnie pocisków dalekiego zasięgu. Daleko za nimi majaczą dwie większe ciemne plamy. To statki powietrzne.

Day dostrzega Edena jako pierwszy. Drobny, złotowłosy chłopczyk trzyma się poręczy przy drzwiach i mruży oczy, próbując dostrzec cokolwiek w otaczającym go tłumie ludzi. Lucy stoi za nim z dłońmi na ramionach.

- Eden! - krzyczy Day.

Chłopak spogląda ku nam. Day wbiega po schodach, przytula brata, a potem odwraca się ku mnie.

- Gdzie mamy iść? - krzyczy.

- Elektor wysłał po nas dżipa! - mówię mu do ucha, by nikt nas nie usłyszał. Niektórzy przebiegający obok nas ludzie rozpoznają nas pomimo paniki i oszołomienia. Stawiam kołnierz tak wysoko jak się da i pochylam głowę.

- Szybciej, szybciej! - szepczę do siebie.

- June - odzywa się Day. Odwracam się i spoglądam mu w oczy. - Co się stanie z innymi sektorami?

Bałam się tego pytania. Waham się, ale dla Daya moment ciszy jest wystarczającą odpowiedzią. Zaciska usta, które zamieniają się w cienką linię. W jego oczach budzi się wściekłość.

Przybycie dżipa zwalnia mnie z konieczności udzielenia mu odpowiedzi. Samochód hamuje z piskiem opon i zatrzymuje się kilka stóp przez zebranymi ludźmi. Na fotelu pasażera siedzi Anden, który macha do nas.

- Szybciej - ponaglam Daya.

Zbiegamy po schodach. Któryś z żołnierzy otwiera przed nami drzwi. Day puszcza brata i opiekunkę przodem, a potem

wskakujemy my. Zapinamy pasy, a dżip rusza gwałtownie. Niebo przecinają kolejne samoloty. Nad umocnieniami rozkwita kolejna, jasna eksplozja. Mylę się czy naprawdę jest bliżej niż ostatnio? Jej rozmiary zdradzają, że epicentrum znajdowało się dobre sto stóp bliżej.

- Cieszę się, że nikomu nic się nie stało - mówi Anden, nie odwracając się. Rzuca polecenie kierowcy, który skręca ostro w kolejną przecznicę. Eden krzyczy, przestraszony, a Lucy otacza go ramieniem i próbuje go pocieszyć.

- Wolniej nie można? - pyta Anden, gdy skręcamy w wąską uliczkę. Ziemia trzęsie się od odległych eksplozji.

- Proszę o wybaczenie, Elektorze! - woła kierowca. - Ponoć doszło do kilku eksplozji w obrębie miasta i główne arterie nie są bezpieczne. Zbombardowali naszą kawalkadę po drugiej stronie Denver.

- Są ranni?

- Na szczęście niewielu. Kilka samochodów się przewróciło, uciekło kilku więźniów, jeden żołnierz nie żyje.

- Kto uciekł?

- Ustalamy to.

Naraz nawiedza mnie złe przeczucie. Podczas mojego spotkania z Thomasem nastąpiła zmiana warty przed celą komandor Jameson. Gdy wychodziłam, pilnowali jej inni ludzie.

Anden mruczy ze złością, a potem odwraca się, by spojrzeć na nas.

- Jedziemy do bunkra noszącego nazwę Podziemny Jeden. Przy każdej próbie wejścia lub wyjścia z niego strażnicy przeskanują linie papilarne waszych kciuków. Słyszeliście kierowcę, prawda? Włączenie się po mieście nie jest bezpieczne! Zrozumiano?

Kierowca przyciska dłoń do ucha, błędnie i spogląda na Elektora.

- Sir, mamy nazwiska zbiegłych więźniów. Jest ich trzech.

Waha się, przełyka ślinę i recytuje:

- Kapitan Thomas Bryant. Porucznik Patrick Murrey. Komandor Natasha Jameson.

Mój świat wali się w gruzy. Wiedziałam. Wiedziałam. Jeszcze wczoraj widziałam ją za kratkami i rozmawiałam z Thomasem

czekającym na karę śmierci.

„Nie uciekli daleko...”.

- Anden - szepczę, narzucając sobie dyscyplinę. - Zauważyłam coś dziwnego podczas wczorajszej wizyty w więzieniu. Nastąpiła zmiana straży przy celi Jameson. Czy tak miało być?

Patrzemy po sobie z Dayem, a ja przez moment mam wrażenie, że cały świat robi z nas idiotów i wplata nasze życie w wielki, okrutny żart.

- Odnaleźć więźniów - rzuca do mikrofonu Anden. Jest błąd jak ściana. - Zastrzelić bez litości.

Zerka na mnie i dodaje:

- I ściągnąć straż, która pilnowała celi Jameson. Na jednej nodze! Kulę się, gdy kolejna eksplozja wstrząsa ziemią.

„Nie mogli dotrzeć daleko. Niedługo zostaną osaczeni i zastrzeleni” - powtarzam sobie. Nie, tu zadziałały jakieś inne czynniki. Rozważam jedną możliwość po drugiej.

To, że atak Kolonii zbiegł się z chwilą przewiezienia komandora Jameson, z pewnością nie jest zbiegiem okoliczności. Wśród wysoko postawionych urzędników Republiki kryją się więc inni zdrajcy, których Anden nie zdołał jeszcze dopaść. Niewykluczone, że komandor Jameson przekazuje za ich pośrednictwem informacje do Kolonii. W końcu przeciwnik skądś wiedział, kiedy następuje zmiana wart i zaatakował w chwili, gdy siły broniące stolicy są słabsze ze względu na zatrucie pokarmowe. Uderzyli dokładnie wtedy, gdy byliśmy najslabsi.

Jeśli moje rozumowanie ma sens, Kolonie przypuszczalnie przygotowywały się do tego ataku od miesiąca. Być może rozpoczęły jeszcze przed wybuchem epidemii.

A Thomas? Czy uczestniczył w tym wszystkim? A może próbował mnie ostrzec? Czyżby to dlatego chciał się ze mną widzieć? Miał nadzieję, że zauważę nietypową ochronę celi Jameson. Serce bije mi coraz szybciej. Dlaczego nie ostrzegł mnie wprost?

- I co teraz? - szepczę oszołomiona.

Anden opiera głowę o siedzenie. Przypuszczalnie również rozważa wszelkie okoliczności, w jakich doszło do ucieczki, ale nie mówi nic na głos.

- Nasze lotnictwo jest w całości wciągnięte w walki nad Denver. Pancierz powinien wytrzymać jeszcze przez jakiś czas, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że nadciągają kolejne jednostki Kolonii. Będziemy potrzebować pomocy. Sąsiednie miasta zostały ostrzeżone i wysyłają posiłki, ale - Anden spogląda na mnie przez ramię - może to nie wystarczyć. Na razie trwa ewakuacja ludności cywilnej. June, musimy wykorzystać tę chwilę i odbyć krótką rozmowę na osobności.

- A dokąd ewakuujecie biedotę, Elektorze? - wtrąca cicho Day.

Anden znów się odwraca i spogląda w błękitne, błyszczące wrogością oczy Daya z największym możliwym spokojem. Zauważam, że unika spoglądania na Edena.

- Do zewnętrznych sektorów wysłałem oddziały wojska - mówi. - Mają za zadanie szukać schronienia dla cywili i bronić ich do chwili, gdy wydam inne rozkazy.

- Czyli nie ma dla nich podziemnych bunkrów - odpowiada zimno Day.

- Przykro mi. - Anden wypuszcza powietrze z płuc. - Te bunkry zostały oddane do użytku dawno temu, jeszcze nim mój ojciec został Elektorem. W chwili obecnej budujemy kolejne.

Day pochyla się i zwięża oczy. Zaciska mocno prawą dłoń na rękę Edena.

- No to podziel bunkry między sektory! Połowa dla biednych, połowa dla bogatych. Dlaczego tylko biedni mają ryzykować życiem na ulicach?

- Nie - mówi Anden stanowczo, choć w jego głosie słychać żal. Kłótnia z Dayem w tym momencie to błąd, ale nie potrafię go powstrzymać. - Gdybym wydał taki rozkaz, wybuchłoby koszarne zamieszanie logistyczne. Zewnętrzne sektory nie mają tych samych tras ewakuacyjnych co wewnętrzne. Gdyby doszło do kolejnych eksplozji, na ulicach utknęłyby setki tysięcy ludzi. Wszyscy znaleźliby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, gdyż nie byłibyśmy w stanie zorganizować ich ucieczki. Najpierw musimy ewakuować bogate sektory, a potem...

- Zrób tak, jak mówię! - krzyczy Day. - Gdzieś mam tę twą cholerną logistykę!

Twarz Andena tężeje.

- Nie będziesz się tak do mnie odzywał - parska. W jego głosie słycać tę samą stanowczość co na procesie komandor Jameson. - Jestem twoim Elektorem!

- A zostałeś nim dzięki mnie! - odcina się Day. - Dobra, masz ochotę na nieco logiki? To posłuchaj! Jeśli nie spróbujesz uratować mieszkańców biednych sektorów - tu i teraz! - mogę ci praktycznie zagwarantować zamieszki na ulicach. Naprawdę chcesz mieć na głowie atak Kolonii i rewolucję za plecami? Jesteś Elektorem, nie przeczę, ale nie będziesz nim długo po tym, jak reszta ubogiego społeczeństwa pozna prawdę o tym, jak ich traktujesz. Nawet ja nie będę w stanie powstrzymać zamieszek. Ludzie już uważają, że Republika usiłuje mnie załatwić! Jak długo będziesz w stanie walczyć na dwa fronty?

Anden patrzy przed siebie.

- Nasza rozmowa dobiegła końca - mówi. Jego głos jak zwykle jest niebezpiecznie cichy, ale słyszemy każde słowo.

Day przeklina i opada na siedzenie. Patrzymy na siebie, ale ja kręcę głową. Każdy z nich ma rację, sęk w tym, że nie mamy czasu na te bzdury. Po chwili ciszy pochylam się do przodu, odkasłuję, by odzyskać głos i przedstawiam alternatywę:

- Możemy ewakuować biedotę do bogatych sektorów. Nadal będą na powierzchni, ale bogatsze dzielnice są w sercu Denver, a nie na obrzeżach, przy Pancerczu, gdzie trwają najcięższe walki. To nie najlepszy plan, ale biedni ludzie przynajmniej będą wiedzieć, że próbujemy ich ocalić. W międzyczasie będziemy ewakuować bogatych do Los Angeles podziemnymi pociągami i wkrótce odzyskamy przestrzeń pod ziemią.

Day szepcze coś pod nosem, ale potem mruczy z niechętną aprobatą i patrzy na mnie z wdzięcznością.

- To chyba lepszy plan. Przynajmniej ludzie dostaną jakiegokolwiek wsparcie.

Sekundę później dociera do mnie, że wiem, co Day wyszeptał: „Byłabyś lepszym Elektorem niż ten idiota”.

Anden milczy przez chwilę, zastanawiając się nad moją propozycją. W końcu kiwa głową i przyciska dłoń do ucha.

- Komandorze Greene - odzywa się i przekazuje serię rozkazów.



Patrzę Dayowi w oczy. Nadal jest wyprowadzony z równowagi, ale przynajmniej wściekłość w nich przygasła. Na powrót skupia uwagę na Lucy, która opiekuńczo otacza ramieniem Edena. Chłopak siedzi skulony i obejmuje ramionami kolana podciągnięte pod brodę. Mruży oczy, przyglądając się mijanym widokom, ale nie wiem, ile jest w stanie dojrzeć. Dotykam jego ramienia. Eden natychmiast napina mięśnie.

- W porządku, to ja, June - mówię. - Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

- Dlaczego Kolonie zaatakowały? - pyta Eden, zwracając szeroko otwarte, lekko purpurowe oczy na mnie i Daya.

Z trudem przełykam ślinę. Żadne z nas nie odpowiada. Eden powtarza więc pytanie, a wtedy Day przytula go i szepcze mu coś do ucha. Chłopak układa głowę na ramieniu starszego brata. Nadal wydaje się nieszczęśliwy i przestraszony, ale przynajmniej panuje już nad sobą. Udaje nam się w milczeniu dotrzeć na miejsce.

Droga wydaje się trwać wieczność, choć w istocie upływają zaledwie dwie minuty i dwanaście sekund. Docieramy do centrum Denver i zatrzymujemy u stóp trzydziestopiętrowego budynku, wzmocnionego ze wszystkich stron krzyżującymi się stalowymi belkami. W tłumie uwijają się pododdziały policji miejskiej, organizując cywili w grupy. Nasz kierowca zatrzymuje się przy zaimprovizowanej barykadzie. Pilnujący jej żołnierze szybko przepuszczają nas na drugą stronę. Przez okno widzę żołnierzy, którzy prężą się na baczność i salutują nam. Jeden z nich trzyma Olliego na smyczy. Wzdycham z ulgą na ten widok. Dżip w końcu zatrzymuje się, a dwóch żołnierzy przypada do drzwi i otwiera je dla nas. Anden wysiada jako pierwszy i w mig zostaje otoczony przez czterech kapitanów, którzy gorączkowo relacjonują mu przebieg kapitulacji. Mój pies usiłuje się wyrwać trzymającemu go żołnierzowi. Dziękuję mu, odbieram smycz i gładzę psa po łbie. Ollie dyszy z niepokojem.

- Tędy, panno Iparis - mówi żołnierz, który otworzył drzwi do samochodu. Za nami w milczeniu podąża Day, nadal ściskając mocno rękę brata, a jako ostatnia wysiada Lucy. Zerkam przez ramię na Andena, pogrążonego w rozmowie z oficerami. Przerzywa wymianę zdań, by spojrzeć na mnie. Potem patrzy na Edena. Wiem, że w tej chwili myśli dokładnie o tym samym co Day: „Uważajcie

na Edena". Kiwam głową, dając mu znak, że rozumiem jego obawy, a potem przechodzimy obok grupy oczekujących na ewakuację obywateli i Anden znika mi z oczu.

Żołnierze przerywają ustawianie cywili w kolejkę i wprowadzają nas osobnym wejściem do środka. Schodzimy po krętych schodach, aż docieramy do słabo oświetlonego korytarza, zakończonego szerokimi, stalowymi, podwójnymi drzwiami. Na nasz widok strażnicy momentalnie wyprężają się na baczność.

- Tędy, panno Iparis - mówią. Jeden z nich sztywnieje na widok Daya, ale szybko odwraca spojrzenie, gdy ten spogląda mu w oczy. Drzwi stają przed nami otworem.

W środku wita nas powiew ciepłego, wilgotnego powietrza. Naszym oczom ukazuje się scena kontrolowanego zamieszania. Pomieszczenie przypomina ogromny magazyn - jego powierzchnia jest zbliżona do połowy stadionu Prób, dostrzegam trzy tuziny lamp, sześć rzędów stalowych belek wspierających sufit oraz samotny JumboTron przekazujący informację dla mrowia ewakuujących się obywateli wyższych klas. Widać też grupkę ludzi z biednych dzielnic - czternaścioro, gwoli ścisłości - którzy zapewne pełnili funkcję dozorców bądź pomocy domowej. Ku memu rozczarowaniu widzę, jak wojsko ustawia ich w osobną kolejkę. Niektórzy z zebranych patrzą na nas ze współczuciem, a inni z pogardą. Day również to zauważa.

- A sądziłem, że wszyscy rodzimy się równi - mruczy.

Nie odpowiadam.

Wzdłuż prawej ściany znajdują się mniejsze pomieszczenia, a po przeciwnej stronie schronu widać koniec podziemnego pociągu, schowanego w tunelu. Na obu peronach tłoczą się setki cywilów oraz żołnierzy. Wojsko usiłuje utrzymać dyscyplinę w tłumie oszołomionych, przerażonych ludzi, wsiadających do wagonów. Nie mam pojęcia, dokąd zostaną zawiezieni.

Stojący obok mnie Day przygląda się tej scenie w milczeniu, ale z trudem panuje nad sobą. Zaciska dłoń na ramieniu Edena. Ciekawe, czy zauważył to, że większość ewakuujących się ma na sobie eleganckie, drogie ubrania.

- Przepraszam za zamieszanie - mówi strażniczka, prowadząca nas ku któremuś z mniejszych pomieszczeń i uprzejmie dotyka

daszka. - To dopiero początek ewakuacji, wciąż zajmujemy się pierwszą falą. Możemy was wysłać wraz z nimi - panią oraz rodzinę Daya - o ile mogłaby pani poczekać moment w prywatnym apartamencie.

Mariana oraz Serge zapewne znajdują się już we własnych poczekalniach.

- Dziękuję - odpowiadam.

Mijamy kilka par drzwi. Przez podłużne, prostokątne okienka widać, że w środku nie ma nikogo, a na ścianach wiszą portrety Elektora. Niektóre pomieszczenia wyglądają, jakby zarezerwowano je dla urzędników najwyższego szczebla, a w innych zamknięto ludzi, którzy najwyraźniej sprawiali kłopoty. Towarzyszą im uzbrojeni strażnicy.

W jednym z mijanych pomieszczeń znajduje się kilka osób pod eskortą. Zatrzymuję się, gdyż rozpoznaję jednego z trzymany tam ludzi. Czy mnie oczy nie mylą?

- Poczekajcie! - wołam i pochodzę do okna. Nie ma wątpliwości - w środku widzę młodą dziewczynę z wielkimi oczami i potarganą czupryną. Siedzi obok szarookiego chłopaka i trzech innych, którzy są bardziej obszarpani i wynędzniali niż sobie zapamiętałam. Spoglądam na naszą przewodniczkę.

- Co oni tam robią?

Day idzie za mną i zagląda do środka. Wciąga powietrze, całkiem zaskoczony.

- Muszę się tam dostać - szepcze do mnie z rozpaczą. - Wymyśl coś. Proszę!

- To więźniowie, panno Iparis - odpowiada żołnierka, zaskoczona naszym zainteresowaniem. - Nie zalecam...

Zaciskam mocno usta.

- Chcę się z nim zobaczyć - przerywam jej.

Żołnierka waha się, rozgląda, a potem z niechęcią kiwa głową.

- Oczywiście - odpowiada. Podchodzi do drzwi, otwiera je, a potem wprowadza nas do środka. Lucy zostaje na zewnątrz i nie wypuszcza dłoni Edena. Drzwi zamykają się za nami.

Patrzę na Tess i kilku Patriotów.

# DAY

CHOLERA, GDY WIDZIAŁEM TESS PO RAZ OSTATNI, STAŁA NA środku uliczki, niedaleko miejsca, w którym mieliśmy zgładzić Andena. Zaciskała mocno dłonie, a na jej twarzy widniał zawód.

Teraz wygląda inaczej. Jest spokojniejsza. Starsza. Urosła też sporo, a jej buzia, kiedyś okrągła jak u dziecka, nieco wyszczuplała. Dziwne uczucie.

Podobnie jak pozostali, jest przykuta do krzesła, co bynajmniej nie poprawia mi humoru. Natychmiast rozpoznaję jednego z jej towarzyszy - to Pascao, ów ciemnoskóry Sabotażysta z krótkimi lokami i nieprawdopodobnie jasnymi, szarymi oczami. Nie zmienił się wiele, choć gdy podchodzę bliżej, widzę ślady blizny na nosie i blisko prawej skroni. Jego uśmiech ocieka sarkazmem.

- To ty, Day? - pyta i mruga uwodzicielsko. - Przystojny jak zawsze. Do twarzy ci w mundurze Republiki.

Jego słowa bolą. Spoglądam złowrogo na pilnujących ich żołnierzy.

- Czemu ich tu więzicie, do ciężkiej cholery?

Jeden z nich zadziera nosa, patrząc na mnie. Wymyślne odznaczenia na mundurze sugerują, że jest przynajmniej kapitanem.

- Należeli kiedyś do Patriotów - mówi, kładąc nacisk na ostatnie słowo, jakby chciał osobiście mi dogryźć. - Złapaliśmy ich na skraju Pancera, gdzie próbowali niszczyć sprzęt wojskowy i wspomóc Kolonie.

Oburzony Pascao próbuje się podnieść.

- To bzdura, ty ślepy głupcze! - parska. - Próbowaliśmy przyjść z pomocą waszym pożałowania godnym żołnierzom! Chyba niepotrzebnie się fatygowaliśmy.

Tess przygląda mi się z przezornością, której nigdy u niej nie widziałem. Jej ramiona, unieruchomione ogromnymi kajdanami, wydają się takie drobne. Zaciskam zęby i spoglądam na broń u boku wojskowych.

„Żadnych gwałtownych ruchów” - napominam się. - „Te goryle

nazbyt chętnie pociągają za spust”.

Kątem oka widzę, że jedna z towarzyszek Tess krwawi z rany na ramieniu.

- Wypuście ich - mówię żołnierzowi. - To nie wrogowie.

Ten mierzy mnie wzrokiem z zimną pogardą.

- Nie ma mowy. Mamy rozkazy, by trzymać ich w areszcie do...

- Rozkazy od kogo? - June unosi podbródek.

Brawura żołnierza nieco przygasa.

- Panno Iparis, moje rozkazy zostały wydane przez prześwietnego Elektora we własnej osobie.

Czerwieni się, gdy June zwięża oczy, a potem zaczyna gadać o dyżurze na Pancerzu i zaciekłości bitwy. Podchodzę do Tess i nachylam się, by móc spojrzeć jej w oczy. Strażnicy unoszą broń, ale June zatrzymuje ich jednym warknięciem.

- Wróciłaś - szepczę do niej.

Tess nadal jest czujna, ale jej spojrzenie mięknie.

- Tak.

- Dlaczego?

Tess waha się. Spogląda na Pascao, który wbija we mnie wzrok.

- Wróciliśmy - odpowiada - bo Tess słyszała, jak nas wzywasz.

Usłyszeli mnie. A więc wszystkie te transmisje radiowe, które wysyłałem od wielu miesięcy, nie trafiały w pustkę w eterze. Jakimś cudem zdołali je przechwycić. Tess przełyka ślinę i zbiera odwagę, by się odezwać.

- Frankie złapała twój sygnał parę miesięcy temu - mówi, wskazując towarzyszącą im dziewczynę z kręconymi włosami. - Powiedziała, że próbujesz się z nami skontaktować.

Opuszcza wzrok.

- Nie chciałam odpowiadać. A potem dowiedziałam się o twojej chorobie i... I...

Cóż, wygląda na to, że wieść zatoczyła szeroki krąg.

- Posłuchaj - odzywa się Pascao, gdy dostrzega mój wyraz twarzy.

- Nie wróciliśmy do Republiki dlatego, że zrobiło nam się przykro z twojego powodu. Słuchaliśmy zarówno wiadomości od ciebie, jak i od Kolonii. Wiemy o groźbie wybuchu wojny.

- I nagle postanowiliście nam pomóc? - wtrąca June. W jej oczach widać podejrzliwość. - A skąd ta wielkoduszność?

Sarkastyczny uśmiech Pascao gaśnie. Przechyla głowę i przygląda się June.

- June Iparis, tak?

Kapitan próbuje go pouczyć, by zwracał się do niej w bardziej oficjalny sposób, ale June kiwa jedynie głową.

- A więc to ty zniweczyłaś nasz plan i rozbiłaś nasz zespół - mówi Pascao i wzrusza ramionami. - Spoko, nie mam do ciebie urazy. Nie byłem wielkim fanem Razora.

- Po co wróciliście? - powtarza June.

- Dobra, powoli. Wywalono nas z Kanady. - Pascao nabiera tchu. - Ukryliśmy się tam po tym jak...

Przerywa i spogląda na otaczających go żołnierzy.

- No wiesz, kiedy zabawa z Andenem zakończyła się porażką. Kanadyjczycy połapali się jednak, że przebywamy u nich nielegalnie i musieliśmy znów uciekać na południe. Nasza grupa rozpadła się na cztery wiatry. Nie wiem, co się stało z połową z nas. Niektórzy zapewne dalej chowają się gdzieś w Kanadzie. Gdy dotarły do nas wieści o Dayu, nasza mała Tess zapytała, czy może się od nas odłączyć i wrócić samotnie do Denver. Nie chciałem, by... cóż, by zginęła, a więc przybyliśmy tu wraz z nią.

Pascao wbija wzrok w podłogę. Nie przestaje mówić, ale plecie teraz trzy po trzy. Nie mam wątpliwości, że podaje dziesiątki najrozmaitszych powodów po to, by ukryć ten główny.

- Przyszło nam do głowy, że pomożemy wam w walce z Koloniami i zasłużymy sobie na odpuszczenie win i prawo do pozostania w Republice, ale wasz Elektor przypuszczalnie nie jest naszym największym...

- A to co?

Wszyscy odwracamy się, słysząc ów głos, a żołnierze salutują z trzaskiem obcasów. Podrywam się i widzę Andena stojącego w progu z grupą ochroniarzy. Jego oczy, ciemne i złowieszcze, lustrują najpierw June i mnie, a potem Patriotów. Choć rozstaliśmy się zaledwie chwilę temu, jego mundur pokrył kurz, a twarz wydaje się blada i wymizerowana. Dowódca straży pokasłuje nerwowo.

- Proszę o wybaczenie, Elektorze - zaczyna - ale zatrzymaliśmy tych przestępców niedaleko Pancerza...

Słyszając to, June zakłada ramiona.

- A więc to jednak nie Elektor wydał ów rozkaz, co? - mówi do Andena. W jej głosie pojawiła się nowa nuta, sugerująca, że coś zepsuło się między nimi.

Anden rozgląda się. Przypuszczalnie nie zapomniał o naszej sprzeczce z samochodem, ale nawet nie patrzy na mnie. Cóż, dobrze. Może wreszcie dałem mu do myślenia. W końcu skupia się na kapitanie.

- Kto to?

- Byli Patrioci, sir.

- Rozumiem. Kto wydał rozkaz?

Kapitan czerwienieje.

- Cóż, Elektorze - odpowiada, usiłując mówić w sposób oficjalny. - Mój bezpośredni przełożony...

Anden nie zawraca sobie dłużej głowy kłamcą i opuszcza pomieszczenie.

- Zdjąć z nich kajdany - mówi, nie odwracając się. - Trzymać ich tu i ewakuować z ostatnią grupą. Nie spuścić z oka ani na chwilę.

Daje nam znak.

- Panno Iparis, panie Wing, proszę za mną.

Raz jeszcze zerkam na Tess, która przygląda się żołnierzom zdejmującym jej kajdany, a potem wychodzę w ślad za June. Podbiega do mnie Eden, prawie się ze mną zderzając. Łapię go za rękę.

Anden zatrzymuje nas przed grupą żołnierzy w mundurach Republiki. Marszczę brwi. Czterech z nich klęczy z dłońmi splecionymi na karku. W ich oczach maluje się przygnębienie i rezygnacja. Jeden szlocha w milczeniu. Pozostali celują w nich z broni. Ich oficer zwraca się do Andena.

- Oto eskorta komandor Jameson i kapitana Bryanta. Odkryliśmy ślady podejrzanej komunikacji między nimi i Koloniami.

Nic dziwnego, że nas tu przyprowadził. Mamy się przyjrzeć twarzom potencjalnych zdrajców. Przyglądam im się, gdy płaczący

żołnierz spogląda na Andena z błaganiem.

- Proszę, Elektorze - mówi. - Nie miałem nic wspólnego z ich ucieczką. Ja... ja nie wiem, jak to się stało. Ja...

Jego słowa przerywa uderzenie kolbą w potylicę. Twarz Andena, na której zazwyczaj widać rozsądek i rezerwę, wydaje się teraz wykuta z lodu. Milczy przez moment, a potem daje znać swoim ludziom.

- Przesłuchajcie ich. Jeśli nie będą współpracować, zabijcie i rozpuśćcie wieści po całej armii. Niech zdrajcy wiedzą, że prędzej czy później ich dopadniemy.

Strażnicy strzelają obcasami. Robi mi się niedobrze, ale Anden nie cofa swych słów. Patrzy, jak aresztowani żołnierze, płaczący i krzyczący, są wywlekani z bunkra. Przerażona June nie odrywa od nich oczu.

Anden odwraca się do nas z poważną twarzą.

- Kolonie otrzymały pomoc - mówi.

Gdzieś nad nami rozlega się głucha eksplozja, a ziemia i sufit drżą. June wpatruje się w Elektora, jakby go analizowała.

- Jaką pomoc?

- Przyglądałem się samolotom manewrującym za Pancерzem. Nie wszystkie pochodzą z Kolonii. Niektóre mają afrykańskie gwiazdy. Moi dowódcy twierdzą, że Kolonie zacumowały statek powietrzny oraz dywizjon odrzutowców w odległości pół mili od Pancерza, a ich wojska lądowe zakładają prowizoryczne lotniska. Przygotowują się do kolejnego uderzenia.

Zaciskam mocno palce na dłoni Edena. Mój brat mruży oczy, przyglądając się tłumom uciekinierów, ale przypuszczalnie widzi jedynie masę przesuwających się, rozmytych barw. Dałbym wiele, by przerażenie znikło z jego buzi.

- Jak długo wytrzyma miasto? - pytam.

- Nie wiem - odpowiada ponuro Anden. - Pancерz jest silny, ale nie jesteśmy w stanie długo stawiać czoła supermocarstwu.

- To co robimy? - pyta June. - Skoro nie możemy odeprzeć ich ataku, po prostu przegramy wojnę?

- My też potrzebujemy pomocy. - Anden kręci głową. - Mam zamiar porozmawiać z ONZ bądź Antarktydą. Zobaczę, czy nie



zechcą nam pomóc. Dzięki ich wsparciu zyskalibyśmy nieco czasu, by móc...

Zerka na mego brata, który cicho stoi przy mnie. Budzi się we mnie wściekłość i poczucie winy. Mrużę oczy i jeszcze mocniej zaciskam dłoń na ramieniu brata. On nie powinien tu być. Nie chcę wybierać między utratą brata, a utratą całego cholernego kraju.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - mówię.

Anden i June pogrążają się we wnikliwej rozmowie na temat Antarktydy, a ja spoglądam na pokój, w którym trzymano Tess oraz Patriotów. Przez okno widzę, jak Tess delikatnie opatruje dziewczynę z krwawiącym ramieniem, a strażnicy przyglądają im się niepewnie. Nie mam pojęcia, dlaczego banda wyszkolonych zabójców obawia się małej dziewczyny z pękiem bandażu i środkiem do odkażania. Przechodzi mnie dreszcz, gdy przypominam sobie, jak Anden kazał wyprowadzić i rozstrzelać pojmanyh żołnierzy. Pascao wydaje się wzburzony. Na chwilę przechwytyuję jego spojrzenie - choć nie rusza ustami, dokładnie wiem, co myśli.

Wie, że trzymanie Patriotów w strzeżonym pokoju w samym środku bitwy, podczas gdy nad nami giną cywile i żołnierze, to potężny błąd.

- Elektorze - odzywam się nagle i odwracam ku Andenowi oraz June. On przerywa rozmowę i patrzy na mnie. - Proszę ich wypuścić z bunkra.

Anden milczy, zachęcając mnie tym samym, bym kontynuował.

- Niewiele pomogą w tym pokoju - dodaję. - Jestem pewien, że znają się lepiej na partyzantce niż ktokolwiek z twoich żołnierzy. Ewakuacja dzielnic biedoty rozpocznie się dopiero za jakiś czas i póki co przyda ci się każda pomoc.

June nie odzywa się ani słowem, ale Anden krzyżuje ramiona na piersi i stwierdza:

- Day, wybaczyłem Patriotom w ramach naszej umowy, ale nie zapomniałem o tym, że miałem z nimi trudne przejścia. Nie spodobało mi się to, że twoi przyjaciele zostali skuci jak pospolicci przestępcy, ale nie mam powodu, by wierzyć, że pomogą krajowi, który od tak dawna terroryzują!

- Oni są nieszkodliwi! - nalegam. - Nie mają już powodu, by walczyć przeciwko Republice!

- Właśnie uciekło trzech zdrajców skazanych na śmierć - parska Anden. - Kolonie przypuściły atak z zaskoczenia na naszą stolicę, a kilkanaście kroków ode mnie siedzi grupka moich niedoszłych zabójców. Nie mam ochoty na wyrozumiałość.

- Ja tylko próbuję ci pomóc - ripostuję. - Zresztą, właśnie złapałeś swoich zdrajców, prawda? Naprawdę sądzisz, że Patrioci mieli coś wspólnego z uwolnieniem komandor Jameson? Tej samej Jameson, która rzucała ich psom na pożarcie? Sądzisz, że mi się podoba to, że zabójcy mojej matki wydostali się na wolność? Wypuść Patriotów, a będą dla ciebie walczyć!

- A skąd wiesz, że będą lojalni wobec Republiki? - Anden mruży oczy.

- Ja ich poprowadzę - mówię. Zaskoczony Eden podnosi głowę i patrzy na mnie. - Możesz być pewien ich lojalności.

June obrzuca mnie ostrzegawczym spojrzeniem. Nabieram tchu, zduszam frustrację, uspokajam się. Ma rację. Nie ma co wściekać się na Andena. Przecież potrzebuję jego sympatii.

- Proszę - dodaję cichym głosem. - Pozwól mi pomóc. Przecież musisz komuś zaufać. Nie możesz porzucić ludzi na śmierć!

Anden wpatruje się przez dłuższą chwilę w moją twarz. Przechodzi mnie dreszcz, gdy uświadamiam sobie, jak bardzo jest podobny do ojca. Podobieństwo znika jednak szybko, a zamiast niego widzę poważne, zatroskane spojrzenie Elektora. Zupełnie jakby nagle przypomniał sobie, kim jesteśmy. Wzdycha głęboko i zaciska usta.

- Przedstaw mi swój plan - mówi. - Wtedy pogadamy. Póki co sugeruję, by twój brat wsiadł do pociągu. Będzie bezpieczny przez cały czas - dodaje, widząc mój wzrok. - Masz moje słowo.

Potem odwraca się i daje znać June, by poszła za nim. Oddycham głęboko, patrząc, jak idą ku grupie generałów. June zerka na mnie przez ramię. Wiem, że myślimy o tym samym. Martwi się, co ta wojna robi z Andenem i z nami wszystkimi.

Lucy przerywa mą zadumę.

- Chyba pora zabrać twojego brata do pociągu - stwierdza i spogląda na mnie ze współczuciem.

- Racja - odpowiadam. Spoglądam na brata i poklepuję go po

ramieniu. Ze wszystkich sił próbuję uwierzyć w obietnicę Elektora.  
- Chodźmy do pociągu i dowiedzmy się, jak cię stąd wyciągnąć.

- A co z tobą? - pyta Eden. - Serio chcesz poprowadzić jakiś atak?  
- Spotkamy się w Los Angeles. Obiecuję.

Eden nie mówi ani słowa, gdy kierujemy się na peron i pozwalamy żołnierzom, by poprowadzili nas na przód pociągu. Niespodziewanie stał się poważny i przygnębiony. Gdy docieramy do przeszklonych drzwi pociągu, nachylam się, by spojrzeć mu w oczy.

- Posłuchaj - mówię. - Przykro mi, że nie wyjeżdżam wraz z tobą. Muszę tu zostać i trochę pomóc, kapujesz? Będzie przy tobie Lucy. Nic ci nie grozi. Niedługo się zobaczymy...

- Dobra, w porządku - burczy Eden.

- Oho! - pokaszuję ze zdumieniem. Eden jest chorowitym dzieciakiem, ma fioła na punkcie technologii i bywa nieznośny, ale rzadko okazuje taką złość. Mimo swej ślepoty nadal jest dobrodusznym dzieckiem i jego szorstka reakcja jest dla mnie wielkim zaskoczeniem. - No cóż - decyduję się powiedzieć. - Cieszę się, że...

- Ukrywasz coś przede mną, Daniel - przerywa mi. - Wiem to. O co chodzi?

- Niczego nie ukrywam.

- Jesteś beznadziejnym kłamcą. - Eden wyswabadza się z mego uścisku i marszczy brwi. - Coś jest na rzeczy. Usłyszałem to w głosie Elektora, a wcześniej wygadywałeś te dziwne rzeczy o tym, że przyjdą żołnierze Republiki... Czemu mieliby nagle zrobić coś takiego? Sądziłem, że wszystko się dobrze układa.

Wzdycham i pochylam głowę. Wyraz twarzy Edena łagodnieje, ale chłopiec nadal mocno zaciska zęby.

- O co chodzi? - powtarza.

Ma jedenaście lat. Zasługuje na to, by poznać prawdę.

- Republika chce na powrót poddać cię eksperymentom - mówię tak cicho, że tylko on mnie słyszy. - W Koloniach szaleje jakiś wirus. Uważają, że być może twoja krew przechowuje antidotum. Chcą cię na powrót zabrać do laboratoriów.

Eden wpatruje się we mnie przez długą chwilę. Nad nami kolejna

eksplozja wstrząsa ziemią. Zastanawiam się, jak się sprawuje Pancierz. Mija sekunda za sekundą, aż w końcu kładę mu dłoń na ramieniu.

- Nie pozwolę, by cię zabrano - mówię, próbując go pocieszyć. - Kapujesz? Nic ci nie będzie. Anden... Znaczą się Elektor wie, że nie może mi cię odebrać. Jeśli to uczyni, zafunduję mu rewolucję. Nie zrobi tego bez mojej zgody.

- A ci wszyscy ludzie w Koloniach umrą, prawda? - szepcze Eden.  
- Ci, którzy złapali wirusa?

Waham się. Ani razu nie spytałem o symptomy owej epidemii. Przystawałem słuchać w chwili, gdy pojawiała się imię mojego brata.

- Nie wiem - przyznaję.

- A potem wirus przeniesie się do Republiki - stwierdza Eden, odwraca głowę i wykręca dłonie. - Może już się przeniósł. Gdy zdobędą stolicę, epidemia zaatakuje nas wszystkich, nieprawdaż?

- Nie wiem - powtarzam.

Oczy Edena szukają mojej twarzy. Jest prawie ślepy, a mimo to widzę w nich nieszczęście.

- Nie musisz podejmować za mnie wszystkich decyzji, wiesz?

- A tak jest? Nie chcesz uciec do LA? Tam jest bezpieczniej, a ja wkrótce do ciebie dołączę, obiecuję.

- Nie chodzi o to. Dlaczego postanowiłeś zachować to w tajemnicy?

To dlatego jest tak wyprowadzony z równowagi?

- Żarty sobie stroisz, tak?

- Dlaczego? - naciska Eden.

- A ty byś się zgodził? - pytam i podchodzę bliżej do niego. Zerkam na żołnierzy i innych uciekinierów, po czym niżam głos. - Wiem, że ogłosiłem poparcie dla Andena, ale nie oznacza to, że zapomniałem o wszystkich nieszczęściach, które spotkały naszą rodzinę ze strony Republiki. Nadal pamiętam o tym, co przytrafiło się tobie! Pamiętam, jak zachorowałeś, jak oddziały zajmujące się zwalczaniem epidemii wtargnęły do naszego domu i wyniosły cię na noszach, pamiętam, jak oczy zaszły ci krwią...

Przerywam, zaciskam powieki i odpycham od siebie to

wspomnienie. Odtwarzałem je w głowie miliony razy. Nie ma potrzeby robić tego ponownie. W mojej głowie znów odzywa się ból.

- Myślisz, że tego nie wiem? - Eden odpowiada cichym, zaciekłym głosem. - Jesteś moim bratem, a nie naszą matką.

Mrużę oczy.

- Teraz nią jestem.

- Nie, nie jesteś. Mama nie żyje. - Eden nabiera tchu. - Pamiętam krzywdy, które wyrządziła nam Republika. Oczywiście, że pamiętam. Ale trwa inwazja. Chcę pomóc.

Nie mogę uwierzyć, że Eden wypowiedział te słowa. On nie rozumie tego, co Republika może z nami zrobić. Czy naprawdę zapomniał o tym eksperymencie? Pochyliam się i kładę dłoń na jego wątlym nadgarstku.

- Kolejne badania mogą cię zabić. Nie rozumiesz? Co więcej, nie ma pewności, że dzięki twojej krwi uda się znaleźć antidotum!

Eden znów się ode mnie odsuwa.

- W tej sprawie ja decyduję. Ja, a nie ty.

W jego słowach słyszę echo tego, co powiedziała wcześniej June.

- W porządku! - warczę. - A więc co takiego zdecydowałeś, młody?

Mój brat wyprostowuje się i napina mięśnie.

- A może ja chcę pomóc?

- Jaja sobie robisz? Naprawdę chcesz im pomóc? Czy może robisz mi na złość?

- Poważnie mówię.

Czuję w przetyku włochatą kulę.

- Eden - zaczynam. - Straciliśmy mamę i Johna. Ojciec przepadł już dawno. Mam tylko ciebie. Wszystko, co robię, robię dla ciebie. Nie pozwolę ci zaryzykować życiem, by ocalić Republikę czy Kolonie.

Z twarzy Edena znika zaciętość. Zaciska dłonie na balustradzie i wspiera na nich czoło.

- Można powiedzieć o tobie wiele rzeczy - mówi. - Ale ze wszystkich najbardziej jestem pewien tego, że nie jesteś samolubem.

„Samolub” – powtarzam w myślach. – „Ależ ja jestem samolubem! Chcę, by Edenowi nic nie groziło. Chcę, by był bezpieczny i gdzieś mam to, co on o tym myśli”.

Mimo to jego słowa wywołują u mnie poczucie winy. Ileż to razy John robił wszystko, bym nie popadł w tarapaty? Ile razy ostrzegał mnie, bym nie zadzierał z Republiką i nie próbował znaleźć lekarstwa dla Edena? Nigdy go nie słuchałem i wcale tego nie żałuję.

Eden wpatruje się we mnie niewidomymi oczami. Przecież to Republice zawdzięcza to kalectwo! A teraz chce się oddać w ich ręce niczym jagnię dobrowolnie idące na rzeź? Nie rozumiem tego.

Nie. Nagle mnie olśniło. Już rozumiem. On jest mną. Robi to, co i ja bym zrobił.

Nie mogę jednak znieść myśli, że znów miałbym go utracić. Kładę mu rękę na ramieniu i pomagam mu wejść do środka.

– Najpierw musisz dotrzeć do LA. Dobrze sobie to przemyśl, bo jeśli zgłaszasz się...

– Już sobie to przemyślałem – przerywa mi Eden, a potem uwalnia się z moich objęć i zbliża się do wejścia. – A poza tym... Gdyby przyszli po mnie żołnierze Republiki, na serio myślisz, że udałoby się ich zatrzymać?

Nadchodzi jego kolej. Lucy pomaga mu wejść do środka, a ja jeszcze przez moment trzymam jego dłoń. Eden, choć wzburzony i zły na mnie, puszcza ją niechętnie.

– Pospiesz się, dobra? – mówi.

Bez ostrzeżenia zarzuca mi ręce na szyję. Lucy uśmiecha się do niego, by pokrzepić go na duchu.

– Nie martw się o nic, Danielu – mówi. – Nie spuszczę go z oka.

Kiwam jej głową z wdzięcznością, a potem ściskam Edena, zaciskam powieki i nabieram tchu.

– Do zobaczenia niebawem, młody – szepczę.

Potem niechętnie oswobadzam dłoń. Eden wchodzi do pociągu, a ten po chwili odjeżdża, wioząc pierwszą falę uciekinierów ku zachodniemu wybrzeżu Republiki. W uszach nadal dzwonią mi słowa brata: „A może ja chcę pomóc?”.

Siedzę przez moment samotnie na peronie, zagubiony w myślach.

Powtarzam jego słowa raz za razem. Jestem teraz jego opiekunem. Mam wszelkie prawo, by chronić go przed niebezpieczeństwem i prędzej mnie piekło pochłonie, niż pozwolę, by Republika na nowo zawłokła go do laboratoriów. Zamykam oczy i zanurzam palce we włosach.

Po jakimś czasie wracam do pomieszczenia, w którym trzymano Patriotów. Drzwi są otwarte. Wchodzę do środka i widzę Pascao, który rozciąga mięśnie. Tess unosi głowę znad bandażowanego ramienia rannej dziewczyny.

- A więc - mówię do nich, nie spuszczać wzroku z Tess. - Naprawdę przyjechaliście tu po to, by spuścić Koloniom łomot?

Tess opuszcza wzrok.

- A ma to jakiegokolwiek znaczenie, skoro nikt i tak nie wypuści nas na górę? - Pascao wzrusza ramionami. - A co? Przyszło ci coś do głowy?

- Elektor udzielił nam zgody - odpowiadam. - Uznał, że jeśli stanę na czele waszej grupy, nie zwrócicie się przeciwko Republice.

Idiotyczna obawa, nawiasem mówiąc. Przecież nadal mają mego brata!

Na twarzy Pascao powoli pojawia się uśmiech.

- Cóż. Brzmi zachęcająco. Co konkretnie masz na myśli?

Wsuwam dłonie w kieszenie i znów przywdziewam maskę aroganckiego zuchwalca.

- To, w czym zawsze byliśmy dobrzy.

# JUNE

**51 GODZIN I 30 MINUT OD CZASU OSTATNIEJ ROZMOWY  
Z THOMASEM**

**15 GODZIN OD OSTATNIEGO SPOTKANIA Z DAYEM**

**8 GODZIN OD CHWILI, GDY KOLONIE PRZESTAŁY  
BOMBARDOWAĆ PANCERZ**

Lecę wraz z Elektorem na spotkanie z prezydentem Antarktydy w Ross City. Siedzę naprzeciwko Andena, a u moich stóp leży Ollie. Mariana oraz Serge są w sąsiednim pokoju, ale widzimy ich przez kuloodporną szybę o wymiarach trzy stopy na sześć. Znajduje się na niej pieczęć Republiki, wygrawerowana po mojej stronie, sądząc po skrajach rytu. Niebo na zewnątrz jest oszałamiająco błękitne, a ziemię zasłoniła warstwa chmur. Lada chwila samolot powinien skierować się ku ziemi, a wtedy ujrzemy rozległą, antarktydzką metropolię.

Milczę przez większość drogi i przyglądam się Andenowi, który słucha niekończącej się listy meldunków z przebiegu bitwy o Denver. Elektor popada w milczenie dopiero nad antarktydzkimi wodami terytorialnymi. Patrzę, jak pada na niego światło i obramowuje jakże młodą twarz, znużoną problemami świata.

- Jak dotychczas układały się nasze stosunki z Antarktydą? - pytam po chwili. Moje pytanie kryje w sobie inne, o wiele ważniejsze: „Czy sądzisz, że nam pomogą?”, ale nie mogę wypowiedzieć go na głos. Przecież Anden nie jest w stanie na nie odpowiedzieć, a więc po co je zadawać?

Anden odwraca wzrok od okna. Jego jasne, zielone oczy spoglądają prosto na mnie.

- Antarktyda nam pomaga. Od dziesięcioleci przyjmujemy od nich międzynarodową pomoc. Nasza gospodarka nie jest na tyle stabilna, by utrzymać cały kraj.

Nadal nie mogę uwierzyć w to, że kraj, który kiedyś uznawałam za wszechpotężny, tak naprawdę walczy o przetrwanie.

- A jakie mamy z nimi układy teraz?

Anden nie spuszcza ze mnie wzroku. Widzę napięcie w jego



oczach, ale twarz nadal jest spokojna.

- Antarktyda obiecała podwoić pomoc, jeśli nakłonimy Kolonie do powrotu do negocjacji pokojowych. Zagrozili również, że zmniejszą ją o połowę, jeśli nie podpiszemy traktatu do końca roku. - Przerywa na moment. - Lecimy tam więc nie tylko po to, by poprosić o pomoc, ale by spróbować ich namówić, by nie cofali pomocy. Musimy im wytłumaczyć, dlaczego doszło do kryzysu.

- Dlaczego akurat Antarktyda? - Przetykam ślinę.

- Od dawna rywalizują z Afryką - odpowiada Anden. - Jeśli którykolwiek z wielkich graczy pomoże nam w wojnie z Koloniami i Afryką, będą to oni.

Pochyla się i opiera łokcie na kolanach. Jego dłonie w rękawiczkach znajdują się niedaleko moich kolan.

- Zobaczymy, co się wydarzy. Jesteśmy im winni sporo pieniędzy, a przez ostatnich kilka lat raczej nie byli z nas zadowoleni.

- Czy kiedykolwiek spotkałeś osobiście ich prezydenta?

- Czasem odwiedzałem Antarktydę wraz z ojcem - odpowiada Anden i uśmiecha się krzywo. Niespodziewanie czuję mrowienie w brzuchu. - Okazywał się czarujący podczas naszych spotkań. Myślisz, że mamy szansę?

Odpowiadam uśmiechem. Wyczuwam, że jego pytanie ma podwójne znaczenie. Nie chodzi mu tylko o Antarktydę.

- Jesteś charyzmatycznym człowiekiem, jeśli to o to ci chodzi - decyduję się powiedzieć.

Anden śmieje się przez chwilę, co dodaje mi otuchy. Odwraca spojrzenie i opuszcza oczy.

- Ostatnio nie udało mi się nikogo oczarować - szepcze.

Samolot zaczyna schodzić do lądowania. Spoglądam na okno i nabieram powietrza, usiłując powstrzymać rumieniec.

Jesteśmy coraz bliżej chmur, aż pochłania nas wirująca, szara mgła. Kilka chwil później wynurzamy się, by ujrzeć rozległą przestrzeń pokrytą wieżowcami najrozmaitszych barw i kształtów. Widok jest tak oszałamiający, że odbiera mi dech. Wystarcza jedno spojrzenie, by wiedzieć, jak daleko jesteśmy w tyle za Antarktydą w rozwoju technologicznym. Nad miastem ciągnie się cienka, przejrzysta kopuła, ale nasz samolot przenika przez nią bez trudu.

Każdy budynek najwyraźniej jest w stanie zmienić kolor – dwa z nich na moich oczach przeszły z pastelowej zieleni w ciemny błękit, a jeden ze złotego w biały. Co więcej, każdy z nich wydaje się nowiutki, czysty i pozbawionych jakichkolwiek uszkodzeń. W całej Republice nie ma wielu budynków, o których można by powiedzieć to samo. Wieżowce połączone są ze sobą pięknymi, potężnymi mostami, lśniącymi bielą w blasku słońca. Mosty, porozpinane między tymi samymi piętrami sąsiadujących drapaczy chmur, tworzą delikatną siateczkę barwy kości słoniowej. Najwyżej położone z nich mają platformy w centrum. Wytężam wzrok i widzę coś, co przypomina pojazd powietrzny na jednej z nich.

Dostrzegam kolejną dziwną rzecz – nad każdym drapaczem chmur unosi się gigantyczny, srebrny hologram przedstawiający liczbę od zera do trzydziestu tysięcy. Marszczę brwi. Skąd one się biorą? Czyżby były wyświetlane z każdego dachu? Być może ta liczba to ilość ludzi mieszkającym w danym wieżowcu, choć mam wrażenie, że trzydzieści tysięcy to dość mało, zważywszy na rozmiary wieżowca.

Przez interkom słyszymy głos pilota, który informuje nas o rychłym lądowaniu. Niebawem budowle w cukierkowych kolorach całkowicie przesłaniają widok z okien, a nasz samolot zmierza w kierunku najbliższej platformy. Widzę ludzi, którzy spieszą, by zająć się naszym odrzutowcem. Gdy przelatujemy nad platformą, przez samolot przechodzi gwałtowny wstrząs. Ollie unosi łeb i warczy.

– To magnetyczne dokowanie – mówi Adnen, widząc przestרח na mojej twarzy. – Od tej pory nasz pilot nie musi już nic robić. Platforma dokończy lądowanie za niego.

Dotykamy ziemi tak płynnie, że niczego nie czuję. Wychodzimy na zewnątrz w asyście kilku senatorów oraz strażników. Nie mogę się nadziwić pogodzie – wieje chłodny wiatr, a słońce miło przygrzewa. Przecież to sam dół naszej planety, prawda? Szacuję temperaturę na dwadzieścia dwa stopnie Celsjusza, wiatr wieje z południowego zachodu i jest zaskakująco lekki zważywszy na wysokość, na której się znaleźliśmy. Potem przypomina mi się owa cieniutka, niematerialna kopuła, przez którą przemknęliśmy. Być może w ten sposób Antarktydzi kontrolują klimat w ich miastach.

Jeszcze bardziej zaskakuje mnie to, że gospodarze prowadzą nas

natychmiast do plastikowego namiotu, w którym czeka na nas zespół ludzi w maskach gazowych i białych kombinezonach. A więc wieści o epidemii szalejącej w Koloniach dotarły aż tutaj. Jeden z nich szybko bada moje oczy, nos, usta i uszy, a potem przesuwając przedmiot emitujący jasnozielone światło nad całym moim ciałem. Czekam z napięciem, aż człowiek w kombinezonie (nie wiem, czy to mężczyzna czy kobieta) przeanalizuje odczyt na podręcznym urządzeniu. Kątem oka widzę, że Anden przechodzi identyczne badania - najwyraźniej piastowanie funkcji Elektora Republiki nie uodparnia na epidemię. Przebadanie całej naszej grupy zabiera około dziesięciu minut, po czym wreszcie możemy wyjść z namiotu. Anden wita się z czekającymi na nas przy moście trzema Antarktydami, odzianymi w zielone, czarne i niebieskie garnitury, uszyte w nieznanym mi stylu. Otacza ich kilku strażników.

- Mam nadzieję, że macie za sobą przyjemny lot - odzywa się jakaś Antarktydka. Mówi po angielsku, ale ma ciężki akcent. - Jeśli chcecie, możemy was odesłać do domu w jednym z naszych samolotów.

Republika nie jest perfekcyjnym państwem - wiem to od dawna, a zwłaszcza od czasu, gdy poznałam Daya - ale słowa Antarktydki są tak aroganckie, że najeżam się mimo woli. Najwyraźniej nasze odrzutowce nie są dla nich wystarczająco dobre. Spoglądam na Andena, ciekawa jego reakcji, ale Elektor pochyla jedynie głowę i uśmiecha się do kobiety.

- *Gracias*, lady Medino. Jak zwykle jest pani niezwykle łaskawa - odpowiada. - Jestem wdzięczny za pani propozycję, ale nie chcemy się narzucać. Damy sobie radę.

Mój podziw dla Andena rośnie. Codziennie natrafiam na nowe przykłady tego, jak wielki ciężar dźwiga na swych plecach.

Po krótkiej sprzeczce niechętnie pozwalam jednemu z miejscowych strażników zabrać Olliego do przydzielonego nam apartamentu hotelowego. Następnie w milczeniu podążamy pomoście za Antarktydami ku najbliższemu budynkowi. Jego ściany są szkarłatnego koloru, choć nie mam pewności, czy to na cześć naszego przybycia. Idę jak najbliżej balustrady, by móc spojrzeć w dół. Policzenie pięter zajmuje mi dobrą chwilę. Opieram się na ilości mostów, spinających ściany wieżowców i dochodzę do wniosku, że drapacz chmur ma ponad trzysta pięter - trzysta

dwadzieścia siedem, jeśli chodzi o ścisłość, choć przed końcem obliczeń muszę odwrócić wzrok od przepaści, by nie zakręciło mi się w głowie. Najwyższe piętra są skąpane w blasku słońca, ale niższe również są bogato oświetlone. Zapewne Antarktydzi znaleźli jakiś sposób, by symulować blask słońca dla ludzi mieszkających na najniższych poziomach. Przyglądam się Andenowi i lady Medinie, którzy żartują i śmieją się niczym starzy przyjaciele. Anden tak dobrze wciela się w swą rolę, że nie jestem w stanie określić, czy naprawdę ją lubi czy może zachowuje się jak przystało na uprzejmego polityka. Wygląda na to, że jego świętej pamięci ojciec przynajmniej dobrze wyszkolił syna w stosunkach międzynarodowych.

Wejście do wieżowca jest zwieńczone łukiem i obramowane złożoną płaskorzeźbą. Otwiera się cicho, byśmy mogli wejść do środka. Zatrzymujemy się w urządzonym z przepychem lobby. Pod naszymi nogami ciągnie się gruby, jasny dywan, który, ku memu zdumieniu, eksploduje kolorami wszędzie tam, gdzie stawiam stopy. Widzę szeregi palm w donicach oraz wypukłe okno, w którym przewijają się barwne reklamy rzeczy, których nie znam. Antarktydzi wręczają każdemu z nas parę płaskich okularów. Anden oraz wielu senatorów natychmiast je nakłada, jakby dobrze znali ów obyczaj, ale nasi gospodarze mimo to wszystko im tłumaczą. Jestem ciekawa, czy wiedzą, kim jestem. A może ich to w ogóle nie obchodzi? Z pewnością zauważyli, że okulary wywołały moje zdziwienie.

- Proszę je nosić przez cały pobyt. - Lady Medina przemawia ze swym barwnym, ciężkim akcentem, a ja wiem, że jej słowa skierowane są do mnie. - Dzięki nim ujrzycie, czym naprawdę jest Ross City.

Zaintrygowana, nakładam okulary i mrugam oczami z zaskoczeniem. Najpierw czuję delikatne łaskotanie w uszach, a potem widzę niewielkie, migoczące cyfry nad głowami każdego Antarktydy. Medina jest opatrzona numerem 28627 i określeniem „Poziom 29”. Nad jej towarzyszami, którzy jeszcze nie odezwali się ani słowem, widzę odpowiednio 8819 i „Poziom 11” oraz 11201 i „Poziom 13”. Rozglądam się po lobby i dostrzegam dziesiątki innych liczb oraz słów. Nad wielkimi, bulwiastymi roślinami w rogu wisi napis „Woda +1”, a nad ciemnym, półokrągłym stolikiem

stojącym przy ścianie widać „Sprzątanie +1”. Kątem oka widzę, że nad moją głową unoszą się drobne słowa: „June Iparis, Princeps-Adeptka nr 3, Republika Amerykańska, Poziom 1, 22 września 2132 roku, dzienny wynik: 0, łączny wynik: 0”.

Znów ruszamy przed siebie. Nikt nie wydaje się szczególnie przejęty nawałem wirtualnych informacji, które nakładają się na świat realny, a więc muszę słuchać własnej intuicji. Antarktydźci nie noszą okularów, ale raz na jakiś czas zerkają na wirtualne informacje z zainteresowaniem, jakby ich oczy zostały w jakiś sposób wzmocnione. Oczy, a może mózgi? W każdym razie mają coś, co przez cały czas symuluje owe wirtualne odczyty.

Jeden z towarzyszy lady Mediny, barczysty, białowłosy mężczyzna z niezwykle ciemnymi oczami oraz złocisto-brązową skórą, idzie wolniej od pozostałych. W końcu równa się ze mną. Jego obecność nieco mnie niepokoi, ale gdy się odzywa, jego głos okazuje się cichy i miły:

- Panna June Iparis?

- Tak - odpowiadam i pochylam głowę z szacunkiem, tak jak to zrobił Anden. Ku memu zdumieniu widzę, jak liczby w rogu okularów zaczynają się zmieniać: „Dzienny wynik: 1. Łączny wynik: 1”.

Kręci mi się w głowie. Okulary najwidoczniej zarejestrowały mój ukłon i dodały mi punkt w antarktydźkim systemie. Tyle wart jest jeden ukłon. Uświadamiam sobie jeszcze jedną rzecz - ów białowłosy mężczyzna odezwał się bez śladów jakiegokolwiek akcentu. Mówi perfekcyjnie po angielsku. Zerkam na lady Medinę i przysłuchuję się fragmentom jej rozmowy z Andenem. Jej angielski również brzmi nienagannie. Owo mrowienie, które poczułam w chwili nakładania okularów, być może wiązało się z uruchomieniem jakiegoś modułu tłumaczącego, który pozwala Antarktydom powrócić do rdzennego języka i nadal komunikować się z nami.

Białowłosy mężczyzna nachyla się ku mnie i szepcze:

- Jestem strażnik Makoare, jeden z nowych ochroniarzy lady Mediny. Zostałem wyznaczony na twojego przewodnika, panno Iparis, gdyż najwidoczniej jesteś tu po raz pierwszy. Wygląda to zupełnie inaczej niż w Republice, prawda?

W przeciwieństwie do lady Mediny, strażnik Makoare mówi bez poczucia wyższości i jego pytania zupełnie mnie nie irytują.

- Dziękuję, sir - odpowiadam z wdzięcznością. - Tak, muszę przyznać, że owe wirtualne numery wszędzie dookoła są dla mnie dziwne. Zupełnie ich nie rozumiem.

Uśmiecha się i pociera biały zarost na podbródku.

- Życie w Ross City to gra, a wszyscy mieszkający tu ludzie są graczami. Rdzenni Antarktydzy nie potrzebują okularów jak przybysze. Każdemu z nas wstawia się chip w pobliżu skroni gdy kończymy trzynaście lat. Zawarte na nim oprogramowanie przydziela punkty naszemu otoczeniu.

Wskazuje rośliny.

- Widzisz słowa „Woda +1” nad tą rośliną? Gdybyś zdecydowała się ją podlać, otrzymałabyś jeden punkt. Niemal każda pożyteczna czynność w Ross City kończy się przyznaniem punktów, a złe czyny je odbierają. Po uzyskaniu odpowiedniej liczby, przechodzisz na wyższy poziom. W tej chwili znajdujesz się na pierwszym.

Pokazuje odpowiednią wartość na hologramie nad moją głową.

- Ja jestem na poziomie trzynastym.

- Cóż za sens ma przechodzenie na kolejne... eee poziomy? - pytam, gdy opuszczamy korytarz i wchodzimy do windy. - Czy dzięki temu ustalacie status w mieście? Kontrolujecie ludność?

Strażnik Makoare kiwa głową.

- Zobaczysz.

Po wyjściu z windy wchodzimy na inny most, tym razem przykryty łukowatym, szklanym dachem. Zaczynam rozumieć, o czym mówi strażnik. Nowy budynek przypomina ogromną akademię, a gdy zerkam przez okna, widzę sale lekcyjne i ławki pełne uczniów. Nad głową każdego z nich unoszą się punkty i poziomy. Z przodu sali znajduje się ogromny ekran, na którym wyświetlono serię zadań matematycznych. Nad każdym unosi się błyszcząca liczba.

„Matematyka, semestr 2. Zad. 1 - 6 pkt. Zad. 2 - 12 pkt”. I tak dalej. Któryś z uczniów próbuje wychylić się i przepisać odpowiedź od kolegi, ale w tej samej chwili pozycja zawierająca punkty rozbłyskuje na czerwono, a sekundę później zostaje pomniejszona o 5.

„Ściąganie – 5 punktów. Łączna suma 1642. Poziom 3”.

Uczeń zamiera, a potem pośpiesznie wraca do własnej kartki.

Strażnik Makoare uśmiecha się, widząc, jak analizuję sytuację.

– Twój poziom to najważniejsza rzecz w Ross City. Z każdym poziomem zarabiasz więcej pieniędzy, możesz się ubiegać o wyższe stanowiska i otacza cię większy szacunek. Osoby z największym wynikiem są powszechnie podziwiane i otacza je wielka sława.

Wskazuje ucznia, który próbował ściągać.

– Widzisz, nasi obywatele są tak pochłonięci grą w życie, że większość z nich nie chce robić rzeczy pomniejszających ich wynik. Na skutek tego w Ross City jest bardzo mało przestępstw.

– Fascynujące – szepczę, nie mogąc oderwać oczu od sali lekcyjnej. Wkrótce wychodzimy na nowy most, a ja kątem oka widzę nową informację. „Przebyte 1000 metrów +2 pkt. Dzienny wynik: 3. Łączny wynik: 3”.

Ku memu zdumieniu przez krótki moment cieszę się z osiągnięcia. Odwracam się do strażnika Makoare.

– Zaczynam rozumieć. Wasz system punktowy jest znakomitą motywacją dla waszych obywateli. Wspaniale!

Kolejnej myśli nie wypowiadam na głos. W głębi serca zadaję sobie pytanie: A jak rozróżniają dobre uczynki od złych? Kto o tym decyduje? Co się dzieje, gdy ktoś sprzeciwia się rządowi? Czy wynik idzie wówczas w górę czy w dół? Nie mogę się nadziwić poziomowi wszechobecnej technologii. Wreszcie w pełni rozumiem, jak daleko zostaliśmy w tyle. Czy zawsze istniała taka dysproporcja? Czy kiedykolwiek staliśmy na czele?

W końcu wchodzimy do budynku z wielkim, półokrągłym pomieszczeniem używanym do spotkań politycznych – lady Medina nazywa go Komnatą Dyskusji. Na ścianach wiszą flagi wszystkich państw świata. Na środku stoi długi stół z mahoniu – Antarktydzi siadają po jednej stronie, a my po drugiej. Podczas rozmowy dołącza do nas dwóch miejscowych delegatów na tym samym poziomie co lady Medina, ale moją uwagę przyciąga trzeci, mężczyzna mający ponad czterdzieści lat z brązowymi włosami, ciemną skórą i równo przystrzyżoną brodą. Nad jego głową znajduje się napis: „Poziom 202”.

- Oto prezydent Ikari - przedstawia go lady Medina. Anden oraz pozostali senatorowie pochylają głowy z szacunkiem, a ja idę w ich ślady. Nie ośmielam się odwrócić wzroku od debatujących mężów stanu, ale dostrzegam kątem oka flagę Republiki. Dzięki moim okularom widzę wiszący nad nią mieniący się napis: Republika Amerykańska. Obok niej wisi flaga Kolonii - przeplatające się szare i czarne pasy oraz wielki złoty ptak w środku.

Nad flagami niektórych państw wisi słowo „Sojusznik”. Nie ma go nad naszą.

Rozmowa zaś od początku jest bardzo napięta.

- Wygląda na to, że plan twojego ojca obrócił się przeciwko niemu. - Prezydent mówi do Andena, który pochyla się sztywno. - Organizacja Narodów Zjednoczonych jest oczywiście poruszona tym, że Afryka już wsparła Kolonie. Kolonie z kolei odrzuciły zaproszenie do rozmów z nami.

Anden wzdycha.

- Nasi naukowcy ze wszelkich sił usiłują znaleźć antidotum - ciągnie. Zauważam, że nie wspomina nawet o Edenie i nie mówi ani słowa o niechęci Daya do współpracy. - Niemniej siły Kolonii, wsparte finansowo oraz militarnie przez Afrykę, mają ogromną przewagę. Potrzebujemy pomocy, by ich odepchnąć. W przeciwnym razie ulegniemy w przeciągu miesiąca. Wirus może przedostać się na nasze ziemie i...

- Mówisz z pasją - przerywa mu prezydent. - Nie wątpię, że jako nowy przywódca Republiki dokonujesz wielkich czynów, ale w takiej sytuacji... Najpierw musicie opanować wirusa. Słyszałem, że Kolonie już przedarły się przez wasze granice.

Miodowozłote oczy prezydenta są oszałamiająco jasne. Serge usiłuje zabrać głos, ale Ikari ucisza go natychmiast. Ani na moment nie spuszcza wzroku z Andena.

- Niech odpowie twój Elektor.

Serge milknie nadąsany, a ja zauważam zadowolone spojrzenia niektórych senatorów. Narasta we mnie gniew. Wszyscy oni - senatorzy, antarktydzki prezydent, a nawet Princeps-Adept - subtelnie drażnią Andena na dziesiątki sposobów. Przerywają mu. Wytykają mu młodość. Spoglądam na niego i w duchu życzę mu, by im się postawił. Mariana kiwa głową, patrząc na niego.



- Sir? - pyta.

Z ulgą patrzę, jak Anden mierzy Serge'a spojrzeniem pełnym dezaprobaty, a potem unosi podbródek i odpowiada ze spokojem.

- Tak. Udało nam się powstrzymać ich napór, ale znajdują się na przedmieściach naszej stolicy.

Prezydent pochyla się do przodu i opiera łokcie na stole.

- A więc istnieje możliwość, że wirus przedostał się już na wasze terytorium?

- Tak - odpowiada Elektor.

Prezydent milczy przez chwilę, aż pyta:

- Czego dokładnie potrzebujecie?

- Wsparcia militarnego - odpowiada Anden. - Macie najlepszą armię na świecie. Chcę was prosić, byście pomogli w zabezpieczeniu naszych granic, ale przede wszystkim w znalezieniu antidotum. Kolonie dały do zrozumienia, że wycofają się dopiero po otrzymaniu skutecznej szczepionki. Na znalezienie jej potrzeba zaś czasu.

Prezydent zaciska usta i kręci raz głową.

- Nie ma mowy o wsparciu wojskowym, pieniądzech czy zaopatrzeniu. Obawiam się, że jesteście nazbyt zadłużeni, by o to prosić. Mogę zaproponować wam pomoc moich naukowców, ale pod żadnym pozorem nie poślę oddziałów na tereny dotknięte chorobą. To zbyt niebezpieczne.

Jego spojrzenie twardnieje, gdy widzi wyraz twarzy Andena.

- Proszę informować nas na bieżąco. Zależy mi na znalezieniu rozwiązania równie mocno jak tobie. Przykro mi, że nie możemy bardziej pomóc.

Anden opiera się o stół i splata palce.

- Co mogę zrobić, by pana przekonać do przyjscia nam z pomocą, prezydencie? - pyta.

Antarktyda rozpiera się na krześle i przygląda Andenowi z zadumą. Przeszywa mnie zimny dreszcz. Wiem, że czekał, aż Anden to powie.

- Będziecie musieli zaproponować mi coś, co uczyni tę grę wartą świeczki - mówi w końcu. - Coś, czego twój ojciec nigdy mi nie

zaoferował.

- O czym mówimy?
- O ziemi.

Czuję ból w sercu na samą myśl o tym. Mielibyśmy oddać im ziemię. Chcąc uratować ojczyznę, musimy sprzedać się innemu narodowi. Mam wrażenie, że byłby to czyn równie podły jak sprzedanie własnego ciała. Jak oddanie własnego dziecka obcemu. Jak oderwanie kawałka domu rodzinnego. Patrzę na Andena, próbując dojrzeć jakieś emocje kryjące się za jego opanowaniem.

Elektor wpatruje się w prezydenta przez długą chwilę. Czy myśli o tym, co w tej sytuacji powiedziałby jego ojciec? A może zastanawia się, czy jest dobrym przywódcą dla swego ludu? W końcu pochyla głowę, zachowując wdzięk nawet w tak upokarzającej sytuacji.

- Jestem gotów do rozmów - mówi cicho.

Prezydent kwituje jego słowa skinieniem. Widzę lekki uśmiech w kąciku jego ust.

- A więc porozmawiamy - stwierdza. - Jeśli znajdziecie lek i dogadamy się co do ziemi, przydzielę wam wsparcie wojskowe. Do tego czasu świat będzie musiał sobie radzić tak jak w przypadku każdej innej pandemii.

- Co ma pan przez to na myśli, sir? - pyta Anden.

- Będziemy musieli zamknąć wszystkie wasze granice i porty. Wasze oraz Kolonii. Pozostałe narody będą również musiały być powiadomione. Jestem przekonany, że to rozumiesz.

Anden milczy, a ja mam nadzieję, że prezydent nie widzi przerażenia na mojej twarzy. Cała Republika zostanie objęta kwarantanną.

# DAY

JUNE POLECIAŁA NA ANTARKTYDĘ, A EDEN UDAŁ SIĘ DO LOS Angeles z drugą falą uciekinierów. Reszta z nas pozostała w bunkrze. Słuchamy odgłosów towarzyszących drugiej fali natarcia Kolonii. Wygląda na to, że tym razem walki są bardziej zacięte. Czasami ziemia drży tak bardzo, że sypią się na nas kawałki sufitu podziemnego bunkra, a uchodźcy, spieszący do podziemnych pociągów, są szarzy od pyłu. Światła nad tunelem zalewają wszystko czerwienią. Zastanawiam się, jak wytrzymują pozostałe bunkry.

Evakuacja przebiega coraz szybciej. Pociąg odjeżdża co godzinę, a wtedy natychmiast zastępuje go nowy. Nikt nie wie, jak długo wytrzyma tunel. Od czasu do czasu widzę, jak żołnierze siłą spychają awanturujących się cywili do kolejki.

- Jeden za drugim! - powarkują i grożą bronią. - Jedna kolejka!

Wszyscy noszą dobrze mi znane hełmy z osłoną.

- Wszyscy zaburzający porządek nie zostaną ewakuowani! Szybciej, ludzie!

Z sufitu bunkra nadal sypie się pył, a ja kulę się w kącie wraz z Pascao, Tess i pozostałymi Patriotami. Z początku kilku żołnierzy próbowało zapędzić mnie do pociągu, ale zrezygnowali, gdy obrzuciłem ich stekiem przekleństw. Dają mi teraz spokój. Przyglądam się, jak ludzie ładują się do pociągu, a potem wracam do rozmowy z Pascao. Tess siedzi obok mnie, choć niewysłowione napięcie między nami sprawia, że wydaje się bardzo odległa. Mój nieodłączny ból głowy dudni gdzieś tępo.

- Znasz miasto lepiej ode mnie - szepczę do Pascao. - Jak długo twoim zdaniem wytrzyma Pancierz?

- Niezbyt długo - odpowiada Pascao. - Kolonie znalazły sobie sojusznika i będę zdziwiony, jeśli wytrzyma dłużej niż kilka dni. To tylko kwestia czasu, zaufaj mi.

Odwracam się, by zobaczyć, ilu ludzi czeka na ewakuację.

- Pora posłać Koloniom kilka podkreślonych piłek. Jak się do tego zabierzemy?

- Jeśli uda nam się znaleźć kilka elektrobomb - wtrąca zamyślona Frankie, Hakerka ze zranionym ramieniem - być może udałoby się trochę je zmodyfikować, by wyłączyć z użytku broń Kolonii. Może nawet udałoby się strącić w ten sposób kilka ich odrzutowców.

Samoloty. Słusznie, Anden powiedział, że lotnictwo Kolonii stacjonuje na zaimprovizowanym lotnisku w pobliżu Pancerza.

- Mogę zdobyć parę bomb - mówię szeptem. - Oraz garść granatów.

Pascao cmoka z zachwytem.

- A więc czeka nas sporo zabawy z nitrogliceryną. Ruszaj, nie ma na co czekać.

Odwraca się do Baxtera, który spogląda na mnie z niechęcią. Jego ucho jest poszarpane.

- Hej, Baxter, słonko. Będziesz osłaniał Gioro i Frankie, gdy ci wezmą się za swoje czary.

- Pascao? - pytam cicho. - Jesteś gotów posłużyć za wabia?

- Czy ktoś się zna na tym lepiej od Sabotażystów? - śmieje się w odpowiedzi.

- Pobawimy się trochę z Koloniami. Chciałbym, byś mi towarzyszył w drodze na ich lotnisko.

- Brzmi zachęcająco.

- Dobrze. - Uśmiecham się pomimo powagi sytuacji. W moim głosie pojawia się nutka arogancji. - Tej nocy sprezentujemy Koloniom mnóstwo drogiego, bezużytecznego sprzętu wojskowego.

- Odbiło ci! - parska Baxter. - Cała Republika nie jest w stanie odeprzeć ataku Kolonii. Myślisz, że naszej małej grupce uda się ich pokonać?

- Nie musimy ich pokonać. Wystarczy, że wprowadzimy nieco zamieszania w ich szeregi, a w tym akurat jesteśmy naprawdę dobrzy.

Baxter parska głośno z irytacją, ale Pascao uśmiecha się jeszcze szerzej. Siedząca obok mnie Tess porusza się niespokojnie. Przypuszczalnie wspomina moje wcześniejsze akcje, których była świadkiem. Po wielu z nich musiała bandażować mi rany. Może martwi się o mnie? Może się cieszy? Może chciałaby się znaleźć gdzieś indziej? Ale przecież wróciła do Denver ze względu

na mnie. Sama to powiedziała, nieprawdaż? A więc nadal jej trochę zależy. Szukam w głowie odpowiednich słów, którymi mógłbym wypełnić tę niezręczną ciszę, ale zamiast tego zaczynam wypytywać pozostałych.

- Powiedzieliście mi, że wróciliście do stolicy, by uzyskać odpuszczenie win. Ale przecież mogliście uciec gdzieś indziej, prawda? Nie musielibyście nawet pomagać Republice w wojnie. Anden - znaczy się Elektor - i tak objąłby was amnestią.

Wbijam wzrok w Pascao.

- Przecież dobrze o tym wiedziałeś, co? Po co wróciliście? Na pewno moje wezwanie nie było jedynym powodem.

Uśmiech Pascao gaśnie i przez moment Sabotażysta wygląda na poważnego. Wzdycha i patrzy na swoich towarzyszy. Trudno uwierzyć, że kiedyś stanowili część o wiele większej organizacji.

- Jesteśmy przecież Patriotami, no nie? - mówi w końcu. - Mamy dać z siebie wszystko, by Stany Zjednoczone kiedyś się odrodziły. Zważywszy na to, co się dzieje w Koloniach, nie wydaje mi się, by to oni mogli do tego doprowadzić. Muszę przyznać, że ten cały nowy Elektor ma potencjał, a po tym, co wywinął Razor, nawet ja gotów jestem przyznać, że może w istocie Anden jest tym, na kogo czekaliśmy.

Pokazuje ruchem głowy Baxtera, który wzrusza ramionami.

- Ba, nawet Baxter tak myśli.

- A więc przybyliście tu, bo szczerze chcecie pomóc Republice w wygraniu tej wojny? - Marszczę brwi. - Na serio chcecie nam pomóc w obronie?

Pascao znów kiwa głową.

- To dlaczego nie powiedziałaś tego w tamtym pokoju? Szlachetnie by to zabrzmiało.

- Mylisz się. - Pascao kręci głową. - Nie uwierzyliby nam. Terrorystom, którzy kiedyś wysadzali żołnierzy Republiki przy każdej nadarzającej się okazji? Jasne. Przyszło mi do głowy, że może lepiej będzie udawać, że chodzi nam o amnestię. Twemu Elektorowi oraz małej Princeps-Adeptce taka odpowiedź wydałaby się bardziej realistyczna.

Nie odzywam się ani słowem. Pascao widzi moją niepewność,

otrzepuje ręce i wstaje.

- Bierzemy się do roboty - oznajmia. - Nie ma czasu do stracenia. Lada chwila ten łomot na górze przybierze na sile.

Daje znak pozostałym Patriotom, którzy zbierają się wokół niego. Przydziela im poszczególne zadania, a ja kucam.

Tess nabiera tchu. Przechwytuje moje spojrzenie i odzywa się do mnie po raz pierwszy od chwili spotkania.

- Przepraszam, Day - mówi cicho, by nie usłyszała jej reszta.

Opieram łokcie na kolanach i pytam:

- Dlaczego? Przecież nie masz mnie za co przepraszać.

- Mam. - Tess odwraca wzrok. Jak to możliwe, by tak szybko dorosła? Nadal jest szczupła i delikatna, ale jej oczy należą do dziewczyny starszej od tej, którą znałem. - Nie chciałam cię porzucić i nie chciałam zrzucić całej winy na June. Nie wydaje mi się, by była kimś złym. Nigdy tak nie myślałam, ale... Ale byłam po prostu taka wściekła.

Jej twarz przyciąga mnie jak zwykle, dokładnie tak samo jak tego dnia, kiedy po raz pierwszy ujrzałem, jak grzebie w śmietniku. Chciałbym ją przytulić, ale zamiast tego siedzę i czekam. Oddaję jej inicjatywę.

- Tess - mówię powoli, wciąż nie wiedząc, jak najlepiej wyrazić uczucia. Do cholery, powiedziałem jej tyle głupich rzeczy. - Kocham cię. Bez względu na to, co się wydarzy.

- Wiem. - Tess otacza kolana ramionami.

Przełykam ślinę i spuszczam wzrok.

- Ale to nie jest taka miłość, na której by ci zależało. Przepraszam, jeśli kiedykolwiek dałem ci niewłaściwy sygnał. Nie traktowałem cię tak dobrze, jak na to zasługujesz.

Serce mnie boli, gdy słyszę własne słowa. Wiem, że sprawiam jej ból.

- Nie przepraszaj mnie. Wszystko jest moją winą. Wiem, że nie kochasz mnie tak, jak tego chcę. - Tess kręci głową. - Myślisz, że jeszcze bym się nie zorientowała?

W jej głosie pojawia się gorycz.

- Ty jednak nie masz pojęcia, co do ciebie czuję. Nikt nie ma.

Spoglądałam na nią ze spokojem.

- No to opowiedz mi.

- Day, jesteś dla mnie czymś więcej niż tylko niewinną miłośką - mówi Tess i marszczy brwi, usiłując zebrać myśli. - Gdy cały świat odwrócił się ode mnie i porzucił mnie na śmierć, ty mnie przygarnąłeś. Byłeś jedyną osobą, która się o mnie zatroszczyła. Byłeś dla mnie wszystkim. Absolutnie wszystkim. Stałeś się całą moją rodziną. Byłeś moimi rodzicami, moim rodzeństwem i moim opiekunem, moim jedynym przyjacielem i towarzyszem, byłeś jednocześnie tym, kto mnie chronił, jak i tym, kogo należało chronić. Rozumiesz? Kochałam cię inaczej niż sądziłeś, choć ten rodzaj miłości, który miałeś na myśli, na pewno był częścią mego uczucia. To, co do ciebie czuję, jest o wiele większe.

Otwieram usta, chcąc odpowiedzieć, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Nie wiem, co mam jej powiedzieć. Mogę tylko patrzeć.

Tess wypuszcza drżący oddech.

- Gdy doszłam do wniosku, że June może mi cię odebrać, nie miałam pojęcia, co począć. Miałam wrażenie, że chce mi odebrać to, co miało dla mnie znaczenie. Myślałam, że odbiera mi wszystkie rzeczy, których nie miałam.

Opuszcza wzrok.

- To dlatego cię przepraszam. Przepraszam cię, bo nie mam na ciebie wyłączności. Nie powinieneś być dla mnie wszystkim. Miałam ciebie, ale zapomniałam, że miałam również siebie.

Zerka na Patriotów pogrążonych w rozmowie.

- To nowe uczucie. Wciąż się do niego przyzwyczajam.

I nagle znów jesteśmy dziećmi. Widzę nas, jak jesteśmy młodszy i siedzimy na skraju dachu jakiegoś zrujnowanego wieżowca, machając nogami w powietrzu. Patrzymy, jak słońce co wieczór chowa się za oceanem. Wyciągam rękę, by pacnąć ją w dłoń, jak to zwykle miałem w zwyczaju. Uśmiecha się po raz pierwszy.

Niedługo nadejdzie świt. Mżawka i deszcze ze śniegiem ustały, a miasto błyszczy w blasku księżyca. Od czasu do czasu nadal słychać alarm wzywający do ewakuacji, a JumboTrony nadal

wyświetlają żłowieszczy, czerwony nakaz. Zmagania na szczęście osłabły, eksplozje zamilkły, a na niebie nie ma już samolotów. Chyba obie strony muszą sobie odpocząć czy coś. Przecieram znużone oczy i próbuję zignorować ból głowy. Też bym chętnie odpoczął.

- Nie będzie to łatwe, wiesz? - szepcze do mnie Pascao. - Przypuszczalnie zachowują czujność i tylko czekają na pojawienie się żołnierzy Republiki.

Siedzimy na szczycie Pancerza i przyglądamy się przedpolom miasta. Na zewnątrz umocnień mieszka wielu ludzi, ale w przeciwieństwie do Los Angeles, które jest nieskończoną aglomeracją, zlewającą się z sąsiednimi miastami, mieszkańcy Denver wolą mieszkać wewnątrz bezpiecznych murów. Tu i ówdzie widzę małe grupki budynków, które wydają się puste. Zastanawiam się, czy Republika w porę zauważyła nadciągający atak i zdołała ewakuować ludzi mieszkających na zewnątrz Pancerza. Statki powietrzne Kolonii powróciły do ojczyzny, by zatankować, ale pozostawiły wiele samolotów, a zajmowane przez nie miejsca są jasno oświetlone. Zdumiewa mnie wstrząs, jaki odczuwam na widok najeźdźców. Jeszcze rok temu krzyczałbym z radości na widok wojsk Kolonii na ziemiach Republiki, ale teraz słyszę jedynie w myślach hasło Kolonii: „Wolne państwo to państwo korporacyjne”. Reklamy, które wciąż pamiętam, wywołują u mnie dreszcze.

Doprawdy nie wiem, co lepsze. Wolałbym, by mój brat dorastał pod rządami Kolonii czy może chciałbym, by został zabrany na eksperymenty w Republice?

- Tak, będą czuwać - zgadzam się, a potem zaczynam schodzić na dół. Wzdłuż zewnętrznego pierścienia Pancerza rozstawiono nasze odrzutowce, wszystkie obsadzone załogami i gotowe do boju. - Ale my przecież nie jesteśmy żołnierzami Republiki. Skoro oni mogli zaatakować nas z zaskoczenia, nam też się uda.

Jesteśmy ubrani w identyczne czarne stroje, a twarze zakryliśmy maskami. Gdyby nie niewielka różnica wzrostu, nikt by nas nie rozróżnił.

- Gotowi? - Pascao szepcze przez mikrofon do naszych Hakerów, a potem unosi kciuk. Zajęli pozycję, a to oznacza, że Tess również jest tam, gdzie powinna.

„Uważaj na siebie”.



Schodzimy na sam dół, a tam odbiera nas kilku żołnierzy Republiki. Prowadzą nas do niewielkiego, tajnego przejścia podziemnego, które prowadzi do terytorium zajętego przez wroga. Żołnierze życzą nam powodzenia i zwracają. Mam wielką nadzieję, że wszystko się uda.

Zerkam na pole, na którym stoją samoloty Kolonii. Gdy skończyłem piętnaście lat, podpaliłem dziesięć nowiutkich myśliwców Republiki noszących oznaczenia F-472. Było to w bazie lotnictwa Burbank w Los Angeles. Była to pierwsza akcja, po której znalazłem się na czele listy najbardziej poszukiwanych przestępców Republiki. Po tym, jak zostałem aresztowany, June zmusiła mnie, bym się do niej przyznał. Zadanie było łatwe do wykonania – ukradłem z bazy kilka galonów wybuchowego błękitnego nitroglidu i oblałem nim dysze wylotowe oraz tył każdego samolotu. Z chwilą uruchomienia silnika natychmiast stawały w ogniu.

Widzę tę chwilę, jakby miała miejsce wczoraj. Myśliwce Kolonii wyglądają inaczej – mają osobliwe, wychylone ku przodowi skrzydła – ale w tej chwili to tylko i wyłącznie maszyny. Poza tym nie działam sam – mam poparcie Republiki, a do tego ich materiały wybuchowe.

– Gotów ruszyć do akcji? – szepczę do Pascao. – Masz bomby?

– Na serio myślisz, że mógłbym o nich zapomnieć? Powinieneś znać mnie lepiej. – W głosie Pascao słyszę wyzwanie. – Day, tylko nie wariuj tym razem, co? Rozumiesz mnie, młody? Jeśli nagle przyjdzie ci coś głupiego do głowy, lepiej powiedz mi o wszystkim, dobra? Będę przynajmniej miał czas, by dać ci w gębę.

Uśmiecham się, słysząc jego słowa.

Dzięki naszym strojom zlewamy się z ciemnościami. Podkradamy się bezgłośnie, aż wychodzimy poza zasięg artylerii zainstalowanej wzdłuż Pancerza. Polowe lotnisko Kolonii niebawem jest w naszym zasięgu. Widzę żołnierzy, patrolujących jego skraj. Niedaleko stoi kilka rzędów czołgów. Ich statki powietrzne odleciały, ale Kolonie nadal dysponują wystarczającą ilością sprzętu, by wszcząć kolejną bitwę.

Kucamy za stertą gruzów niedaleko lotniska. Jest tak ciemno, że widzę tylko sylwetkę Pascao. Kiwa raz głową, a potem szepcze coś do mikrofonu. Z napięciem czekamy przez kilka sekund, aż JumboTrony zainstalowane wzdłuż krawędzi Pancerza w tej

samej chwili rozpoczynają emisję. Na ekranach pojawia się flaga Republiki, a z głośników dobiega przysięga. Wszystko to przypomina typowy spot propagandowy – widać zdjęcia cywili i wojskowych w patriotycznym uniesieniu, migawki ze zwycięstw militarnych i ujęcia bogatych ulic. Transmisja natychmiast przyciąga uwagę żołnierzy Kolonii, którzy na początku przyglądają się jej z czujnością, a potem odprężają się.

Dobrze. Są przeświadczeni, że Republika próbuje jedynie podnieść morale swoim ludziom. Treść jest nieszkodliwa i nie wymaga wszczęcia alarmu, ale dla wielu żołnierzy przeciwnika okazuje się dość zajmująca. Wybieram miejsce, gdzie wszyscy strażnicy wpatrują się w ekrany, a potem kiwam głową do Pascao. Pora wyruszyć do akcji.

Mrużę oczy i szukam miejsca, w którym mogę wkraść się na lotnisko. Widzę czterech żołnierzy, wszystkich zaintrygowanych transmisją. Najdalej ode mnie stoi człowiek w stroju pilota. Jest odwrócony do mnie plecami i wygląda na to, że stroi sobie żarty z transmisji z jakimś kolegą. Czekam na chwilę, gdy wszyscy będą patrzeć w innym kierunku, a potem przekradam się bezgłośnie i przykucam za kołami najbliższego samolotu. Zwijam się w kłębek, całkiem stapiając się z mrokiem. Któryś ze strażników zerka przez ramię na odrzutowiec, ale nie dostrzega nic ciekawego i znów skupia uwagę na Pancerzu.

Czekam jeszcze przez chwilę, a potem poprawiam plecak i wpełzam do dyszy wylotowej odrzutowca. Serce bije mi mocno z podniecenia, gdy ogarnia mnie uczucie déjà vu. Nie tracę czasu – wyciągam z plecaka małą, metalową kostkę i przymocowuję ją mocno do wewnętrznej ścianki dyszy. Na wyświetlaczu bomby mienią się słabo ledwie widoczne czerwone cyferki. Upewniam się, czy dobrze ją zamocowałem, a potem podpełzam do krawędzi. Straż lada moment straci zainteresowanie naszą propagandą. Nikt na mnie nie patrzy, a więc wyskakuję na ziemię. Łąduję bezgłośnie dzięki miękkim podszwom i znów kryję się wśród cieni, rzucanych przez koła odrzutowca. Rozglądam się w poszukiwaniu strażników i podkradam się do kolejnego rzędu samolotów. Pascao powinien teraz zajmować się tym samym po drugiej stronie lotniska. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jedna bomba na rząd samolotów powinna wywołać mnóstwo zniszczeń.

Po podłożeniu ładunku wybuchowego przy trzecim rzędzie wrogich myśliwców jestem zły i przemocny. Odległe JumboTrony nadal dudnią propagandą, ale widzę, że wielu strażników straciło już zainteresowanie. Przypadam do ziemi, kryję się w cieniach i wybieram odpowiedni moment, by umknąć w mrok.

I nagle wszystko zaczyna się walić. Jedna z moich rąk ześlizguje się, a ostra, metalowa krawędź dyszy rozcina mi dłoń. Nie jestem przecież w najlepszej kondycji - ląduję niezgrabnie na ziemi, a z moich ust wyrывa się jęk bólu. Z desperacją rzucam się w stronę cienia, ale jestem zbyt wolny. Zauważa mnie jakiś żołnierz. Nim mogę zareagować, otwiera szeroko oczy i unosi broń.

Nie udaje mu się jednak nawet ostrzec pozostałych - z ciemności wyfruwa lśniący nóż i wbija mu się w kark. Patrzę na to z przerażeniem. Pascao. Wiem, że to był on. Uratował mi tyłek, ściągając uwagę na siebie. Z drugiej strony lotniska już dobiegają ostrzegawcze krzyki. Wykorzystuję okazję i uciekam z lotniska, ku zbawczym ciemnościom.

Włączam mikrofon i wzywam Pascao.

- Jesteś cały? - szepczę z niepokojem.

- Tak jak ty, młody - odpowiada. Oddycha z trudem, w słuchawce słyszę jego kroki. - Właśnie znalazłem się poza lotniskiem. Daj Frankie znać, ja muszę pozbyć się dwóch uparciuchów.

Rozłącza się, a ja wzywam Frankie.

- Wszystko gra - rzucam. - Odpalaj.

- Robi się - odpowiada Hakerka.

Transmisja propagandowa niespodziewanie się kończy, a JumboTrony ciemnieją. Głośniki milkną, a w mieście zapada niesamowita cisza. Żołnierze goniący Pascao zapewne unoszą teraz głowy i spoglądają ze zdziwieniem na ciemne ekrany, podobnie jak ich towarzysze na lotnisku. Mija kilka sekund ciszy.

Potem środek lotniska rozrywa jasna, oślepiająca eksplozja. Przypadam do ziemi, a potem oglądam się za siebie. Przewróceni falą uderzeniową żołnierze podnoszą się powoli z ziemi. Są oszołomieni i dezorientowani. W powietrzu widać wyładowania elektryczne, a między odrzutowcami przemykają rozszalałe iskry. Żołnierze, którzy stali dalej od centrum eksplozji, otwierają ogień i siekają seriami po okolicznych budynkach, lecz ci bliżsi odkrywają,

że ich broń już nie działa. Biegnę w stronę Pancerza.

Wybuch kolejna bomba i wszystko w zasięgu wzroku zalewa złocista poświata. Słychać wrzaski paniki. Żołnierze wroga nie widzą jeszcze, co się stało, ale ja wiem, że każda podłożona przez nas bomba nie dość, że niszczy samoloty, to jeszcze uszkadza ich broń. Niektórzy wyciągają pistolety i strzelają w ciemność, jakby wszędzie dookoła leżeli oczekujący żołnierze Republiki. Cóż, przecucie ich nie myli.

W tej samej chwili bowiem odrzutowce Republiki zrywają się do lotu znad Pancerza. Ich silniki ryczą ogłuszająco.

Włączam mikrofon.

- Frankie, jak idzie ewakuacja?

- Bez przeszkód. Zostały jeszcze dwie fale. Jesteś gotów na wielki moment?

- Dawaj! - szepczę.

JumboTrony znów ozywają, ale tym razem wszystkie ekrany wyświetlają nagranie, jakie zrobiliśmy przed akcją. Widać moją twarz, uśmiechającą się szeroko do ogarniętych paniką żołnierzy Kolonii, usiłujących wsiąść do ostatnich ocalałych samolotów. Ja mam wrażenie, że patrzę na całkowicie mi obce oblicze, na nieznaną, przerażającą facjatę przeciętą czarnym paskiem. Przez chwilę nawet nie pamiętam, że w ogóle nagrywaliśmy to ujęcie. W panice przetrząsam pamięć, aż przypominam sobie wszystko i wzdycham z ulgą.

- Nazywam się Day - grzmia głośniki JumboTronów. - I walczę za mieszkańców Republiki. Na waszym miejscu byłbym ostrożniejszy.

Frankie przerywa emisję. Nad moją głową przelatują odrzutowce Republiki, a lotnisko za mną rozświetlają pomarańczowe kule ogniste. Nasza akcja pozbawiła Kolonie połowy samolotów, a lotnictwo Republiki wykorzystało atut zaskoczenia. Wróg rzuca się do ucieczki. Jestem pewien, że w ich sztabie panuje zamęt i wściekłość.

Znów włącza się Frankie.

- Żołnierze już wiedzą o naszej akcji! - raportuje z uniesieniem. W tle, ku mojej uldze, słyszę, jak Pascao włącza mikrofon.

- Dobra robota! - ciągnie Frankie. - Gioro i Baxter już

się zbierają. Wracamy.

Niespodziewanie wydaje się czymś zafrapowana.

- Jeszcze kilka sekund i będziemy...

Połączenie zostaje przerwane.

- Frankie? - Mrugam zaskoczony i próbuję się z nią połączyć na powrót, ale słyszę jedynie trzaski i zakłócenia.

- Co się z nią dzieje? - pyta Pascao. - Ty też ją straciłeś?

- Tak - odpowiadam i przemykam w stronę coraz bliższego Pancerza, usiłując nie myśleć o najgorszym. Widzę już niewielkie boczne wejście, przez które mamy wrócić do środka. Wtedy pośród zamieszania bitewnego dostrzegam żołnierzy Republiki, którzy biegną przez kłęby pyłu, by stawić czoła ścigającym nas wojskom Kolonii. Od drzwi dzieli nas zaledwie kilka kroków.

Jakaś kula przelatuje o cal od mojego ucha, a potem słyszę wrzask, który mrozi mi krew w żyłach. Odwracam się gwałtownie i widzę Tess oraz Frankie, biegnące za mną. Wspierają się na sobie, a ściga ich przynajmniej pięciu lub sześciu żołnierzy wroga. Zamieram i szybko zmieniam kierunek. Wyrywam zza pasa nóż i rzucam w stronę przeciwnika najsilniej jak potrafię. Trafiam któregoś w bok - widzę, jak osuwa się na kolana. Pozostali mnie dostrzegają. Tess i Frankie z trudem docierają do drzwi. Rzucam się ku nim, a żołnierze unoszą broń.

W chwili, gdy Tess wpycha Frankie do środka, z cienia przy wejściu wyłania się jakiś żołnierz. Rozpoznaję go natychmiast.

„Thomas!”.

Ma w ręku broń i nie spuszcza wzroku ze mnie oraz z Tess. Na jego twarzy widnieje mroczna furia. Na moment cały świat cichnie. Spoglądam na jego broń i patrzę, jak ją podnosi.

„Nie!”.

Instynktownie zasłaniam Tess całym ciałem.

„On chce nas pozabijać!”.

W tej samej chwili Thomas odwraca się do nas plecami. Stoi teraz zwrócony do nadbiegających ludzi z Kolonii. Jego dłonie drżą z gniewu, gdy zaciska je na broni. Jestem wstrząśnięty, ale nie ma czasu do namysłu.

- Szybko! - popędzam Tess. Potykając się, wbiegamy do środka.

Thomas unosi karabin i otwiera ogień ku nieprzyjacielowi – naciska spust raz za razem, a z jego ust wydobywa się przeraźliwy wrzask. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, co krzyczy:

– Niech żyje Elektor! Niech żyje Republika!

Udaje mu się wystrzelić sześć razy, gdy żołnierze Kolonii odpowiadają ogniem. Przytulam Tess i zasłaniam jej oczy, ale dziewczyna krzyczy i próbuje się uwolnić.

– Nie patrz na to! – szepczę jej do ucha.

W tej samej chwili potężna siła odrzuca głowę Thomasa do tyłu, a jego ciało osuwa się bezwładnie na ziemię. Przez umysł przemyka mi wspomnienie matki, trafionej w głowę. Tak jak on.

„Śmierć przez rozstrzelanie”.

Tulona przeze mnie Tess szlocha. Zatrzasnę drzwi, a w środku wita nas Pascao. Jest pokryty pyłem od stóp do głów, ale na jego twarzy widać półuśmieszek.

– Mamy przyłączyć się do ostatniej fazy ewakuacji – mówi i wskazuje na dwa zaparkowane w pobliżu dzipy, którymi mamy odjechać do bunkra. Żołnierze Republiki zbliżają się do nas, ale nie mogę sobie pozwolić na westchnienie ulgi, dostrzegam, że Frankie osunęła się na ziemię, a Tess przyklęka przy niej. Pascao poważnieje. Żołnierze zapieczętowują przejście, a my zbieramy się wokół Hakerki. Tess wyciąga podręczną apteczkę. Ciało Frankie przeszywają konwulsje.

Po zdjęciu płaszcza widzimy, że jej koszula jest całkiem mokra od krwi. Ma szeroko otwarte oczy i oddycha z wielkim trudem.

– Została postrzelona podczas ucieczki – mówi Tess, rozrywając jej koszulę. Na jej czole widać kropelki potu. – Trzy albo cztery razy.

Jej drżące palce przesuwają się błyskawicznie wzdłuż ciała Hakerki, oczyszczając obrażenia i smarując je maściami. Potem szybko wyciąga zwitek bandażu.

– Nie przeżyje – szepcze Pascao, ale Tess odpycha go na bok i tamuje krew ciekącą z którejś rany. – Musimy uciekać. Szybko!

Tess ociera czoło.

– Jeszcze minuta – nalega przez zaciśnięte zęby. – Muszę opanować krwotok.

Pascao zaczyna protestować, ale uciszam go wściekłym

spojrzeniem.

- Daj jej spokój!

Potem klękam przy Tess i bezradnie wpatruję się w ciało Frankie. Widzę, że wycieka z niej życie.

- Mów mi, co mam robić - szepczę do Tess. - Daj nam pomoc.

- Uciskaj jej rany - odpowiada Tess i wskazuje bandaże, które są już bardziej czerwone niż białe. Sama zabiera się za przygotowanie kompresu.

Frankie trzepocze powiekami. Nagle słyszymy jej zduszony krzyk, a potem udaje jej się spojrzeć na nas.

- Mu... musicie uciekać... Ko... Kolonie... nadchodzą...

Jej agonია trwa około minuty. Tess wciąż próbuje ją uratować, aż wreszcie nakrywam jej dłoń własną. Spoglądam na Pascao. Jakiś żołnierz Republiki podchodzi do nas i mierzy nas surowym spojrzeniem.

- Ostrzegam was po raz ostatni - mówi i wskazuje otwarte drzwi dżipa. - Zaraz ruszamy.

Pascao waha się przez chwilę, wstrząśnięty widokiem Frankie, ale zrywa się na równie nogi i wskakuje do pierwszego samochodu, który odjeżdża pełnym pędem, podrywając kłęby pyłu.

- Dalej - popędzam Tess, która nadal pochyła się nad pozbawionym życia ciałem towarzyszki. Po przeciwnej stronie Pancera trwają zaciekle zmagania. - Musimy uciekać.

Tess wyrywa mi się i ciska zwitkiem bandażu o ścianę, a potem patrzy na popielatą twarz Frankie. Wstaję i zmuszam Tess, by zrobiła to samo. Moja zakrwawiona dłoń pozostawia ślad na jej ramieniu. Żołnierze łapią nas oboje i prowadzą do drugiego samochodu. W pewnym momencie Tess unosi głowę i wpatruje się we mnie. Jej oczy są pełne łez, a widok jej udręki łamie mi serce. Widzimy jeszcze, jak żołnierze ładują ciało Frankie na ciężarówkę, a potem opuszczamy Pancera. Nasz dżip skręca i pędzi w kierunku bunkra.

Gdy docieramy na miejsce, widzimy pustego dżipa, którym jechał Pascao. Sabotażysta udał się już do pociągu. W zachowaniu żołnierzy widać napięcie. Przepuszczają nas przez zasieki z drutu kolczastego i wchodzimy do bunkra. W tej samej chwili ziemią

wstrząsa kolejna eksplozja gdzieś na Pancerzu. Mam wrażenie, że znalazłem się we śnie. Biegniemy po metalowych schodach, a potem korytarzami zalanymi mętym, czerwonym światłem. Na zewnątrz dudnią buty biegnących żołnierzy. Gnamy bez końca, aż docieramy do oczekującego nas pociągu. Żołnierze wciągają nas do środka.

Pociąg ożywa i rusza tunelem, gdy ziemię wstrząsa seria eksplozji. Z trudem udaje nam się zachować równowagę. Tess trzyma się mnie mocno. Tulę ją do siebie i patrzę, jak tunel za nami zawala się, pogrążając nas w ciemnościach. Pędzimy naprzód. Nadal słychać echa wybuchów.

Budzi się mój ból głowy.

Pasciao próbuje coś mi powiedzieć, ale już go nie słyszę. Nie słyszę niczego. Mam wrażenie, że wszystko zaczęło wirować, a świat pogrążył się w szarości.

„Gdzie my jesteśmy?”

Gdzieś słyszę Tess, która wykrzykuje moje imię. Nie wiem, czy mówi coś więcej, bo nagle tonę w oceanie bólu. Otacza mnie czerń.



# JUNE

**GODZINA 23:00**

**POKÓJ 3323, HOTEL „NIESKOŃCZONOŚĆ POZIOMU” W ROSS CITY**

Każdy z nas rozgościł się już w przydzielonym mu pokoju. Ollie leży u moich stop, całkiem wykończony po wyczerpującym dniu, ale mnie sen nie w głowie. Po chwili wstaję, zostawiam trzy przysmaki dla psa przy drzwiach i wychodzę. Włócę się po korytarzach hotelowych z okularami w kieszeni. Cieszę się, mogąc ujrzeć świat taki, jakim jest, bez atakujących mnie zewsząd słów i liczb. Nie mam pojęcia, dokąd zmierzam, ale okazuje się, że trafiam w pobliże pokoju Andena, który znajduje się dwa piętra wyżej. Jest tu o wiele ciszej. Przypuszczalnie Elektor oraz jego eskorta są jedynymi gośćmi na tym poziomie.

Mijam drzwi prowadzące do jakiegoś sporego pomieszczenia, które na tym piętrze musi być czymś w rodzaju miejsca spotkań bądź świetlicy. Zawracam i zaglądam do środka. Miejsce wydaje się całkowicie puste i pozbawione kolorów, ale wrażenie bierze się zapewne z tego, że nie mam na sobie wirtualnych okularów i nie widzę wszystkich symulacji. Dostrzegam natomiast rząd wysokich budek przypominających cylindry, wykonanych z przezroczystego szkła. Ciekawe. W moim pokoju też stoi taki przedmiot, choć jeszcze się mu dobrze nie przyjrzałam. Rozglądam się, a potem delikatnie pcham drzwi. Otwierają się bezgłośnie.

Wchodzę do środka. W tej samej chwili drzwi zamykają się za mną i słyszę jakąś niezrozumiałą wypowiedź po antarktydzku. Wyciągam z kieszeni wirtualne okulary i zakładam je na nos. Natychmiast słyszę wiadomość po angielsku: „Witam w pokoju symulacyjnym, June Iparis”. Mój wynik powiększa się o dziesięć punktów, co jest nagrodą za wejście do tego pomieszczenia po raz pierwszy w życiu. Zgodnie z moimi oczekiwaniami pokój jaśnieje i wypełniają go kolory, a na szklanych ścianach przesuwają się najrozmaitsze obrazy. Na jednej z nich widzę napis: „Tu możesz połączyć się z portalem z dala od domu! Załóż wirtualne okulary, by pogłębić doznania!”. W tle informacji

przewijają się barwne sceny ze wszystkich stron świata. Zastanawiam się, czy wykorzystują owe portale, by połączyć się z Internetem. Moje zainteresowanie niespodziewanie rośnie. Nigdy nie korzystałam z Internetu poza granicami Republiki. Zawsze patrzyłam na świat przez cenzurę narzuconą przez rząd. Wchodzę do któregoś z cylindrów, a szyby wokół mnie jaśnieją.

- Witaj, June - mówi jakiś głos. - Co mogę dla ciebie zrobić?

Czego mam szukać? Postanawiam spróbować odnaleźć pierwszą rzecz, która przychodzi mi do głowy.

- Daniel Altan Wing - mówię z wahaniem, nie mając pewności, czy maszyna odczyta mój głos. Ile reszta świata wie o Dayu?

Niespodziewanie wszystko wokół mnie znika, a potem otacza mnie biały krąg składający się z setek - ba, tysięcy! - prostokątnych ekranów ze zdjęciami, informacjami i fragmentami filmów. W pierwszej chwili nie wiem, co zrobić i stoję nieruchomo, wpatrując się w otaczające mnie iluzje. Na każdym ekranie znajdują się inne informacje o Dayu - wiele z nich to artykuły prasowe. Ekran, który unosi się najbliżej mnie, wyświetla stare nagranie, przedstawiające Daya stojącego na szczycie Wieży Głównej i zachęcającego tłumy, by okazały poparcie Andenowi. Wpatruję się w nagranie przez trzy sekundy, co wystarcza, by uruchomiła się fonia.

- Na tym nagraniu Daniel Altan Wing, znany również jako Day, udziela poparcia nowemu Elektorowi Republiki i zapobiega narodowemu powstaniu - mówi lektor. - Źródło: publiczne archiwa Republiki Amerykańskiej. Czy życzy sobie pani ujrzeć cały artykuł?

Głos cichnie, gdy spoglądam na kolejny ekran. Ten ożywa i pokazuje nieznaną mi dziewczynkę z jasnobrązową skórą i bladymi, brązowymi oczami. Jeden z jej kosmyków jest pomalowany na czerwono.

- Mieszkam w Nairobi od pięciu lat - mówi - ale usłyszałam o nim niedawno, dopiero w Internecie pojawiły się filmiki o jego walce z RA. Należę teraz do klubu... Nagranie zatrzymuje się i ten sam co wcześniej głos mówi:

- Źródło: Kenijska Korporacja Cyfrowa. Czy życzy sobie pani ujrzeć całe nagranie?

Ostrożnie robię krok naprzód. Wystarczy jeden ruch, by prostokątne ekrany zmieniły układ wokół mnie i ułożyły się

w kolejny krąg interesujących informacji. Widzę zdjęcia siebie i Daya z czasów, gdy oboje pracowaliśmy dla Patriotów. Widzę zamazane zdjęcie Daya, jak spogląda za siebie z krzywym uśmiechem. Rumienię się i szybko odwracam wzrok. Przeglądam kolejne dwa rzędy ekranów, a potem postanawiam zmienić cel poszukiwań. Tym razem chcę się dowiedzieć czegoś o tym, co zawsze mnie fascynowało.

- Stany Zjednoczone Ameryki - mówię.

Ekran z zdjęciami i filmami z Dayem znikają, wywołując osobliwe uczucie rozczarowania. Natychmiast pojawiają się kolejne i ustawiają się wokół mnie tak energicznie, że niemalże czuję powiew powietrza. Najpierw widzę zdjęcie, które natychmiast rozpoznaję - to flaga Patriotów, która jest podstawą ich symbolu.

- Flaga byłych Stanów Zjednoczonych Ameryki - mówi lektor. - Źródło: Wikiversity, Wolna Akademia. Historia Stanów Zjednoczonych 1.0.2, poziom jedenasty. Czy życzy sobie pani ujrzeć całe hasło? By ujrzeć wersję tekstową, proszę powiedzieć: tekst.

- Chcę ujrzeć całe hasło - mówię. Ekran powiększa się i zalewa mnie treścią. Mrugam, oszołomiona poruszającymi się kształtami i zamykam oczy, a gdy je otwieram, niemalże tracę równowagę. Wiszę w powietrzu nad ziemią, która wydaje mi się jednocześnie obca i znajoma. Krajobraz przypomina mi nieco Amerykę Północną z tą różnicą, że nie ma jeziora ciągnącego się między Los Angeles i San Francisco, a terytorium Kolonii wydaje się o wiele większe niż sobie przypominam. Pod moimi stopami unoszą się chmury.

Z wahaniem opuszczam jedną z nich w dół i roztrącam obłoki. Czuję świst wiatru wokół kostek.

- Stany Zjednoczone Ameryki - mówi lektor - znane również jako USA, Stany lub Ameryka, były znaczącym krajem w Ameryce Północnej, składającym się z pięćdziesięciu stanów tworzących federalną republikę konstytucyjną. Kraj ten ogłosił niezależność od Anglii czwartego lipca 1776 roku, a został oficjalnie uznany trzeciego września 1783 roku. Stany Zjednoczone nieoficjalnie rozpadły się na dwa państwa pierwszego października 2054 roku, a czternastego marca 2055 roku stały się oficjalnie Republiką Amerykańską, zajmującą tereny zachodnie oraz Koloniami Amerykańskimi, leżącymi na wschodzie kraju. Czy mam przejść do któregoś z haseł uzupełniających? Do wyboru są: Powódź

Trzyletnia, Powódź roku 2046, Republika Amerykańska, Kolonie Amerykańskie.

Nad wschodnim i zachodnim wybrzeżem Ameryki pojawia się seria jasnoniebieskich strzałek. Wpatruję się w nie przez moment z mocno bijącym sercem, a potem dotykam strzałki wycelowanej w południowy brzeg Kolonii. Ku memu zdumieniu czuję teksturę lądu.

- Kolonie Amerykańskie - mówię.

Świat rusza prosto na mnie z oszałamiającą prędkością. Mam wrażenie, że stoję teraz na stabilnym gruncie, a wszędzie dookoła widzę tysiące ludzi, kulących się w zaimprovizowanych szałasach wśród krajobrazu powodziowego. Setki innych z zaciekleścią atakują żołnierzy w mundurach, które trudno mi rozpoznać. Za żołnierzami widać skrzynie i worki, przypuszczalnie zawierające zapasy żywności.

- W przeciwieństwie do Republiki Amerykańskiej - odzywa się lektor - gdzie rząd umocnił swoją władzę dzięki wprowadzeniu stanu wojennego i w ten sposób zatrzymał napływ uchodźców, Kolonie Amerykańskie powstały czternastego marca 2055 roku, po tym, jak korporacje przejęły władzę nad rządem federalnym (pozostałym po Stanach Zjednoczonych - patrz Stany Zjednoczone). Zamach stanu był skutkiem niewydolności rządu oraz niemożności spłacenia przez niego długu, jaki nastąpił po Powodzi roku 2046.

Podchodzę kilka kroków bliżej. Czuję się, jakbym znajdowała się w samym środku wydarzeń. Stoję kilka kroków od demonstrantów. Obraz drży, a piksele są spore, jakbym oglądała czyjeś osobiste nagrania.

- W tym materiale sporządzonym przez cywila widać sceny, do których doszło podczas trwających piętnaście dni zamieszek skierowanych przeciwko Agencji Zarządzania Federalnymi Środkami Nadzwyczajnymi. Podobne zamieszki wybuchły w przeciągu trzech miesięcy we wszystkich miastach na wschodzie. Po zakończeniu starć ulicznych miasta zadeklarowały lojalność wobec korporacji wojskowej DesCon, dysponującej środkami, których brakowało rządowi.

Scena rozmazuje się, a gdy obraz znów nabiera ostrości, stoję wśród budynków oznaczonych tym samym logo. To symbol

DesCon.

- Wraz z dwunastoma innymi korporacjami, DesCon ofiarował swe środki, by pomóc ludności cywilnej. Rząd Stanów Zjednoczonych na wschodzie przestał istnieć na początku roku 2058 i został zastąpiony przez Kolonie Amerykańskie, uformowane przez koalicję trzynastu najpotężniejszych korporacji i zasilane finansowo przez ich dochody. Po serii fuzji Kolonie Amerykańskie składają się obecnie z czterech rządzących korporacji: DesCon, Cloud, Meditech oraz Evergreen. Czy wyświetlić opis którejs z nich?

W milczeniu oglądam otaczające mnie, trójwymiarowe nagranie do końca. Ostatnia klatka ukazuje ogarniętego przerażeniem cywila, zasłaniającego twarz przed uniesioną bronią trzymaną przez żołnierza. Potem zdejmuję wirtualne okulary, przecieram oczy i wychodzę z opustoszałego już, sterylnie czystego cylindra. W pustym pomieszczeniu niesie się echo moich kroków. Transmisje urwały się tak gwałtownie, że kręci mi się teraz w głowie.

Czy dwa kraje rządzone wedle tak radykalnie odmiennych filozofii kiedykolwiek będą mogły się połączyć? Czy istnieje szansa, że kiedykolwiek uda się przekształcić Kolonie i Republikę w to, czym kiedyś były? A może nasze kraje nie są aż tak drastycznie odmienne. Czy korporacje Kolonii i rząd Republiki nie są właściwie tym samym? Władza absolutna przecież zawsze pozostanie władzą absolutną, bez względu na to, jak ją nazwiemy. Prawda?

Wychodzę z pokoju, pogrążona w myślach, a gdy skręcam, by udać się do swojego pokoju, wpadam na Andena.

- June? - pyta ze zdziwieniem na mój widok. Jego falujące włosy są w nieładzie, jakby znów przeczesywał je dłońmi. Ma na sobie nieco pomiętą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Guzik pod szyją jest rozpięty. Udaje mu się jednakże błyskawicznie opanować, uśmiecha się i kłania lekko.

- Co ty tu porabiasz?

- Zwiedzam. - Odpowiadam uśmiechem na uśmiech. Jestem zbyt zmęczona, by opowiadać mu teraz o moich internetowych badaniach. - Jeśli mam być szczerą, to nie wiem, co ja tu właściwie robię.

- Ja też. - Anden śmieje się cicho. - Od godziny włączę się po tym

hotelu.

Milkniemy, a potem Anden spogląda w kierunku swojego apartamentu i patrzy na mnie z zaintrygowaniem.

- Antarktydzi nie pomogą nam, ale okazali trochę uprzejmości i przysłali mi do pokoju butelkę ich najlepszego wina. Masz ochotę na kieliszek? Przydałoby mi się czyjeś towarzystwo. Oraz dobra rada.

Rada od Princeps-Adeptki stojącej najniżej w hierarchii? Ruszam za nim, świadoma tego, jak blisko siebie idziemy.

- Bardzo miło z ich strony - stwierdzam.

- Nieprawdopodobnie miło. - Anden mruczy pod nosem tak cicho, że ledwie go słyszę. - Może jeszcze urzędzą dla nas paradę.

Jego apartament jest oczywiście ładniejszy od mojego - przynajmniej Antarktydzi wyświadczili mu choć tyle uprzejmości. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnie się wypukłe, szklane okno z oszłamiającym widokiem na Ross City skąpane w tysiącach migotliwych świateł. Zmierzch jest zapewne symulacją, zważywszy na to, że latem w tych okolicach nie zachodzi słońce, ale wrażenie jest doskonałe. Przypomina mi się skrywająca miasto błona, którą przeszliśmy podczas podchodzenia do lądowania. Być może pełni również rolę gigantycznego ekranu. Na niebie w ciszy tańczą zapierające dech w piersi pasma turkusowego, karmazynowego i złotego, które przeplatają się, nękają i znów pojawiają na tle gwiazd. Zapewne naśladują zorzę polarną. Czytałam o owych światłach na niebie, ale nie spodziewałem się, że będą tak piękne, bez względu na to, czy to symulacja czy też nie.

- Fajny widok - mówię.

Anden uśmiecha się krzywo, a jego zmęczone oblicze rozświetla lekkie rozbawienie.

- Oto bezużyteczny przywilej przysługujący Elektorom Republiki - mówi. - Zapewniono mnie, że choć my widzimy przez tę szybę doskonale, nikt nie widzi nas, choć niewykluczone, że stroją sobie ze mnie żarty.

Siadamy na miękkich krzesłach przy oknie. Anden nalewa nam wina.

- Jeden ze strażników oskarżonych o zdradę złożył zeznania w

sprawie komandor Jameson - mówi, podając mi kieliszek. - Niektórzy nasi żołnierze, niezadowoleni z moich rządów, zostali podkupieni przez wroga. Kolonie korzystają z wiedzy komandor Jameson o naszym systemie obronnym. Zdrajczyni może nadal znajdować się na terytorium Republiki.

Popijam wino oszołomiona. A więc to prawda. Oddałabym wszystko, by móc cofnąć się do chwili odwiedzin w celi Thomasa. Może zauważyłabym niecodzienną zmianę wart.

„Zdrajczyni może nadal znajdować się na terytorium Republiki”.  
A gdzie jest Thomas?

- Niczym się nie martw - mówi Anden na widok mojej miny. - Robimy wszystko, co w naszej mocy, by ją odnaleźć.

„Wszystko” to w tym przypadku trochę za mało. Przecież całą naszą uwagę i wszystkie siły pochłania wojna.

- Co teraz poczniemy?

- Jutro rano wracamy do Republiki - odpowiada Elektor. - Od tego zaczniemy. Następnie odepchniemy inwazję Kolonii bez pomocy Antarktydy.

- Naprawdę chcesz im oddać część terytorium? - pytam po chwili.

Anden kręci kieliszkiem i patrzy, jak wino omywa ścianki naczynia. W końcu pociąga łyk.

- Nie odrzuciłem jeszcze ich propozycji - mówi. W jego głosie słychać obrzydzenie do siebie samego. Jego ojciec zapewne postrzegając taką decyzję za skrajną zdradę wobec państwa.

- Przykro mi - mówię cicho. Nie mam pojęcia, jak go pocieszyć.

- Mnie też jest przykro. Mam też dobrą wiadomość. Powiadomiono mnie, że Day i jego brat zostali z powodzeniem ewakuowani do LA.

Wypuszcza powietrze z płuc.

- Nie chcę go do niczego zmuszać, ale chyba kończą mi się opcje. Day dotrzymał słowa, wiesz? Obiecał, że pomoże nam w każdy sposób, byleby nie musiał oddawać nam brata. Robi więc wszystko, co może w nadziei, że przygniecie mnie poczucie winy i przestanę domagać się Edena. Szkoda, że go tu nie zabraliśmy. Szkoda, że nie może spojrzeć na sytuację z mojego punktu widzenia.

Opuszcza wzrok.

Serce mnie boli na myśl o tym, że Day mógłby zginąć w walce. Czuję ulgę na wieść o tym, że uszedł z życiem.

- A może spróbujemy przekonać Antarktydów, by przyjęli Daya do któregoś ze swoich szpitali? To chyba jedyna szansa na pokonanie choroby. Może chociaż zastanowi się, czy warto pozwolić nam zabrać Edena do laboratorium.

- Nie mamy podstaw do dalszych negocjacji. - Anden kręci głową.  
- Antarktyda zaproponowała nam dokładnie tyle, ile chce. Nie będą zawracać sobie głowy jakimś pacjentem z Republiki.

W głębi serca również zdaję sobie z tego sprawę. To był tylko ostatni, rozpaczliwy pomysł. Przecież oboje doskonale wiemy, że Day nigdy nie oddałby brata, by ocalić własne życie. Znowu wpatruję się w światła na zewnątrz.

- Nie winię go, wcale a wcale - mówi Anden po chwili. - Powinienem był przerwać badania nad bronią biologiczną w dniu, gdy zostałem Elektorem. To powinna być moja pierwsza decyzja po śmierci ojca! Gdybym był mądrzejszy, nigdy by do tego nie doszło. Cóż, za późno już na rozważania. Day ma prawo odmówić.

Ogarnia mnie współczucie dla Andena. Jeśli przemocą przejmie Edena, Day wezwie lud do buntu. Jeśli uszanuje decyzję Daya, przypuszczalnie nie odnajdzie lekarstwa na czas i utraci stolicę - oraz państwo! - na rzecz Kolonii. Jeśli odda część ziem Antarktydzie, zostanie okrzyknięty zdrajcą, a po zamknięciu portów nie będziemy w stanie przyjmować pomocy zagranicznej ani importowanych dóbr.

Mimo to ja też nie mogę winić Daya. Próbuję wyobrazić sobie siebie w jego sytuacji. Republika próbuje mnie zabić, gdy mam dziesięć lat. Prowadzą na mnie eksperymenty, ale udaje mi się uciec. Następnie żyję przez kilka lat w najgorszych slumsach w Los Angeles. Jestem świadkiem tego, jak Republika zaraża moją rodzinę wirusem, patrzę, jak zabijają mi matkę i starszego brata, opiekuję się młodszym, który w wyniku eksperymentów medycznych utracił wzrok. Co więcej, sama powoli umieram, również na skutek owych eksperymentów. I nagle, po wielu latach kłamstw i okrucieństw, Republika zaczyna mnie błagać o pomoc. Prosi mnie o pozwolenie na kolejne testy na moim bracie, testy, które mogą się źle dla niego skończyć! Cóż bym powiedziała na jego miejscu? Przypuszczalnie odmówiłabym tak jak on. Moja rodzina również ucierpiała ze strony



Republiki, ale Day przyglądał się tym nieszczęściom od dziecka. Cud, że w ogóle poparł Andena po tym wszystkim.

Popijamy jeszcze wino przez cztery minuty i w milczeniu przyglądamy się światłom miasta.

- Wiesz co? Zazdroszczę Dayowi - mówi równie cicho i łagodnie jak zawsze. - Zazdroszczę mu, bo wszystkie jego decyzje płyną prosto z serca. Każdy podjęty wybór jest uczciwy, a ludzie kochają go za to. Day jest w stanie słuchać własnego serca!

Jego twarz ciemnieje.

- Niestety świat poza granicami Republiki jest o wiele bardziej skomplikowany. Nie ma tu miejsca na emocje. Stosunki między krajami przypominają delikatną sieć dyplomatycznych formułek, przez które nie możemy sobie po prostu pomagać.

W jego głosie pojawia się frustracja.

- Na scenie politycznej w istocie nie ma miejsca na emocje - odpowiadam, odstawiając kieliszek. Nie wiem, czy to mu w czymś pomoże, ale nie mogę powstrzymać mych słów. Ba, nie wiem nawet, czy sama w nie wierzę. - Ale gdy zawodzą uczucia, zawsze pozostaje logika. Zapewne zazdrościsz Dayowi, ale nigdy nie staniesz się nim, a on nie zostanie tobą. On nie jest Elektorem Republiki. To tylko chłopak, który chroni swojego brata. Ty zaś jesteś politykiem. Musisz podejmować decyzje, które złamią ci serce. Musisz wygłaszać słowa, które ranią i oszukują. Musisz robić rzeczy, których nikt nie zrozumie. To twój obowiązek.

Mimo to, gdy wypowiadam te słowa, gdzieś na dnie mego serca budzi się zwątpienie, zasiane tam przez Daya.

„Czy jest sens nadal być człowiekiem, gdy pozbędziesz się uczuć?”.

W oczach Andena widać smutek. Garbi się i przez chwilę widzę go takim, jaki jest naprawdę. Widzę młodego przywódcę, który usiłuje się mierzyć z wielkimi przeciwnościami losu i próbuje dźwigać ciężar swego kraju na własnych barkach, podczas gdy Senat współpracuje z nim tylko ze strachu.

- Czasem tęsknię za ojcem - mówi. - Wiem, że nie powinienem się do tego przyznawać, ale to prawda. Wiem, że dla reszty świata to jedynie potwór.

Odstawia kieliszek i kryje twarz w dłoniach, a potem raz jeszcze pociera twarz.

Serce mnie boli, gdy na niego patrzę. Ja też straciłam kogoś bliskiego, ale mogę go przynajmniej opłakiwać bez strachu, że narażę się na nienawiść innych. Nie umiem wczuć się w sytuację człowieka, którego ukochani rodzice odpowiedzialni są za tak ogromne zbrodnie.

- Nie powinieneś czuć się z tego powodu winny - mówię łagodnie.  
- Nic złego w tym, że ci go brakuje. Przecież był twoim ojcem.

Spogląda na mnie, a wtedy, jakby przyciągnęła go jakaś niewidzialna dłoń, pochyla się ku mnie. Zatrzymuje się naraz, nie wiedząc, czy ulec požądaniu czy może posłuchać zdrowego rozsądku. Jest teraz blisko mnie, tak blisko, że gdyby przesunął się jeszcze odrobinę, nasze usta zetknęłyby się. Czuję jego oddech na swojej skórze, wyczuwam bijące od niego ciepło, odbieram jego delikatność. Nie mogę się mu oprzeć.

- June - szepcze. Jego oczy omiatają moją twarz. Potem dotyka dłonią mojego podbródka, przyciąga mnie do siebie i wreszcie całuje.

Zamykam oczy. Powinnam go powstrzymać, ale nie chcę. W czystej, niczym nieskażonej pasji młodego Elektora Republiki jest bowiem coś elektryzującego. Widzę jego pożądanie, choć usiłuje je zamaskować nienaganną uprzejmością. Widzę, że otwiera swoje serce jedynie przede mną. Widzę, że pomimo wszystkich przeciwności losu, nadal ma tyle siły, by witać każdy kolejny dzień z wysoko uniesioną głową. Widzę, jakie boje toczy dla swojego państwa, podobnie zresztą jak my wszyscy.

Ulegam mu. Anden odrywa się od moich ust i całuje mnie w policzek, a potem jego usta suną ku mojemu uchu. Następnie pieścżą szyję z niewysłowioną delikatnością, która wywołuje u mnie dreszcze. Czuję, że usiłuje się opanować, choć tak naprawdę ma ochotę wbić palce w moje włosy i utonąć w moich objęciach.

Ale nie robi tego. Wie równie dobrze jak ja, że to nierealne.

„Muszę to przerwać”.

Odrywam się od niego z wysiłkiem graniczącym z bólem. Z trudem łapię oddech.

- Przepraszam - szepczę. - Ja nie mogę...

Anden opuszcza głowę, nieco zawstydzony, ale niezdziwiony. W pokoju panuje półmrok, a mimo to widzę delikatny rumieniec na jego policzkach. Przygląda dłońią włosy.

- Powinienem był się domyślić - szepcze.

Milczymy przez kilka niewygodnych sekund, a potem Anden wzdycha i rozpięra się na fotelu. Ja robię to samo. Czuję zarówno ulgę, jak i rozczarowanie.

- Wiem, że darzysz Daya uczuciem - mówi, krzywiąc się. - To było niestosowne. Przepraszam cię, June.

Przez chwilę mam ogromną ochotę znów go pocałować i zapewnić, że jego również darzę uczuciem. Pragnę zmazać cierpienie i wstyd na jego twarzy, które przynoszą mi tyle bólu. Z drugiej strony wiem, że go nie kocham i nie mogę toczyć z nim takich gier. Wiem też, że do zbliżenia między nami doszło tylko i wyłącznie dlatego, że nie mogę się od niego odwrócić w chwili jego najcięższej próby. I że przez cały czas marzyłam, by okazał się kimś innym. Ta świadomość przepelnia mnie winą.

- Powinna już wrócić do siebie - mówię ze smutkiem.

Anden odsuwa się ode mnie. Nigdy jeszcze nie wydawał się taki samotny, ale opanowuje się i żegna się ze mną uprzejmym ukłonem. Jego chwila słabości minęła, a powróciła zwyczajowa elegancja. Jak zwykle umiejętnie kryje ból. Wstaje i podaje mi dłoń.

- Odprowadzę cię do pokoju. Odpocznij trochę. Opuszczamy Antarktydę wcześniej rano.

Również wstaję, ale nie wyciągam dłoni.

- Nie trzeba. Trafię do siebie.

Nie chcę patrzeć mu w oczy. Nie chcę widzieć tego, że wszystko, co mówię, rani go jeszcze bardziej. W końcu odwracam się ku drzwiom i zostawiam go samego.

Ollie wita mnie, merdając ogonem. Czochram psa przez moment, a potem postanawiam skorzystać z Internetu w moim pokoju. Ollie zaś zwija się w kłębek i szybko zasypia. Szukam wszelkich informacji o Andenie i o jego ojcu. Portal w moim pokoju jest uproszczoną wersją portali, z których korzystałam wcześniej - nie ma interaktywnych tekstur i bogatej ścieżki dźwiękowej - ale i tak okazuje się o niebo lepszy od tego, z którego korzystam

w Republice. W ciszy przeglądam wyniki wyszukiwania. Większość z nich to rozpoznawane przeze mnie zdjęcia i filmy propagandowe – widzę choćby młodego Andena pozującego do portretu lub chowającego się za plecami ojca podczas oficjalnych spotkań z prasą. Nawet międzynarodowa społeczność ma najwidoczniej niewiele informacji o układach między ojcem i synem. Nie przestaję jednak szukać i wnet natrafiam na materiały zaskakująco autentyczne. Oglądam nagranie, w którym czteroletni Anden z poważną twarzą uczy się salutować, a ojciec cierpliwie mu w tym pomaga. Odnajduję fotografię nieżyjącego Elektora zrobioną w chwili, gdy ten trzymał płaczącego, przestraszonego Andena w objęciach i szeptał mu coś do ucha, obojętny na otaczające ich tłumy. Oglądam film, na którym Elektor z gniewem odpędza zagranicznych fotoreporterów od swego dziecka i ściska jego dłoń tak mocno, że aż mu kłykcie bieleją. Włączam wywiad, w którym dziennikarz z Afryki pyta o to, co jest dla niego najcenniejsze w Republice.

- Mój syn – odpowiada Elektor bez wahania. Jego twarz jest jak zwykle poważna, ale głos drży lekko. – Mój syn zawsze będzie dla mnie wszystkim, gdyż któregoś dnia stanie się wszystkim dla Republiki.

Urywa i uśmiecha się do dziennikarza. W owym uśmiechu odkrywam przebłyśki człowieka, którym kiedyś był.

- Mój syn... Przypomina mi...

Planowaliśmy powrót bezpośrednio do stolicy, ale gdy znaleźliśmy się na pokładzie odrzutowca jeszcze przed startem z Ross City, otrzymaliśmy wieści z kraju. Nikt nie sądził, że dojdzie do tego tak szybko.

Denver wpadło w ręce Kolonii.

# DAY

- DAY, SŁYSZYSZ NAS?

Rozpoznając cichy głos Tess, otwieram z trudem oczy. Tess patrzy na mnie. Czuję coś na głowie, a gdy podnoszę rękę, by jej dotknąć, natrafiam na bandażę, którymi owinięto mi czoło. Skaleczenie również zostało opatrzone czystym płótnem. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że siedzę na wózku inwalidzkim.

- Co takiego?! - wołam bez wahania. - Posadziliście mnie na przeklętym wózku?

Kręci mi się w głowie, co oznacza, że podano mi sporo środków przeciwbólowych.

- Gdzie jesteśmy? Co się ze mną stało?

- Pewnie będziesz musiał zajrzeć do szpitala, gdy wysiadziemy - mówi Tess, idąc przy wózku, pchanym przez jakiegoś żołnierza. Przechodzimy z wagonu do wagonu. - Całe to zamieszanie chyba za dużo cię kosztowało.

Z przodu widzę Pascao i innych Patriotów, wysiadających z pociągu.

- Jesteśmy w LA. Wróciliśmy do domu.

- Gdzie są Eden i Lucy? - pytam. - Wiesz może?

- Już zadomowili się w przydzielonym wam mieszkaniu w sektorze Ruby - odpowiada Tess. Milczy przez chwilę, a potem dodaje: - Wygląda na to, że bogate dzielnice to teraz twój dom.

Dom. Nie mówię ani słowa, gdy wytaczają mnie na peron pełen żołnierzy. W Los Angeles jak zwykle jest ciepło - w powietrzu unosi się mgiełka, co jest typowe dla późnej jesieni, a żółtawe światło zmusza mnie do mrużenia oczu. Irytuje mnie ten wózek, czuję się na nim bardzo nieswojo. Mam ochotę zerwać się i kopniakiem posłać go na tory. Jestem Sabotażystą! Co ja robię w tym nieszczęsnym wózku? Kolejna zła reakcja na leki, tym razem wywołana przez zamieszanie? Zaciskam zęby ze złości. Do licha, czemu jestem taki słaby? Wciąż nie mogę zapomnieć ostatniej prognozy lekarskiej. Został mi miesiąc, może dwa. Częstotliwość ostrych bólów głowy zdecydowanie się zwiększa.

Żołnierze pomagają mi wsiąść do dżipa. Przed wyruszeniem Tess zagląda do środka przez otwarte okno i ściska mnie. Jej ciepło mnie oszałamia. Otaczam ją ramionami i rozkoszuję się tą krótką chwilą. Wpatrujemy się w siebie, aż dżip wyjeżdża ze stacji, a sylwetka Tess niknie za zakrętem. Mimo to wciąż się obracam na siedzeniu, usiłując ją dojrzeć.

Zatrzymujemy się na skrzyżowaniu i czekamy, aż grupa uchodźców przejdzie przez ulicę przed maską dżipa. Przyglądam się ulicom miasta. Wiele rzeczy nie uległo zmianom - nadal widzę szeregi żołnierzy pokrzykujących na niesfornych ewakuowanych oraz cywili protestujących przeciwko napływowi ludności z Denver. JumboTrony nadal wyświetlają podtrzymujące ducha komunikaty o rzekomych zwycięstwach na froncie. Czytam krzykliwe hasła: „Nie pozwól, by Kolonie zagarnęły twój dom! Poprzyj naszą sprawę!”.

Odtwarzam sobie w myślach rozmowę z Edenem. Mrugam i przyglądam się baczniej ulicom. Tym razem sceny, które uznałem za znajome, zyskują całkiem nowy kontekst. Żołnierze wykrzykujący rozkazy tak naprawdę rozdają racje nowo przybyłym. Cywile demonstrują dlatego, że im wolno - żołnierze przyglądają się im bacznie, ale nie sięgają po broń. Propaganda emanująca z JumboTronów, kiedyś złowieszcza, teraz przybiera formę optymistycznych przekazów. Komunikaty wydają się promykiem nadziei w mrocznych czasach, desperacką próbą podtrzymania morale. Niedaleko nas widzę grupę ewakuowanych dzieci otaczających młodego żołnierza. Chłopak ukłęknał, by nie górować nad nimi zanadto, a w rękę trzyma kukiełkę, która pomaga mu w opowiadaniu bajki. Opuszczam szybę w oknie. Jego głos jest radosny i wyraźny. Dzieci co chwila wybuchają śmiechem, zapominając na moment o lęku i zagubieniu. Na twarzach przyglądających się im rodziców widać wdzięczność i zmęczenie.

Ludzie i Republika... Oni współpracują! Marszczę brwi, zaskoczony tą myślą. Nie ma wątpliwości, że Republika pokrzywdziła nas wszystkich, a istnieje spore prawdopodobieństwo, że nadal nas krzywdzi. Ale... Ale może widziałem dotąd tylko to, co chciałem zobaczyć? Może po śmierci poprzedniego Elektora żołnierze Republiki zrzucili noszone dotąd maski? Może teraz naprawdę podążają za rozkazami Andena?

W pierwszej kolejności udajemy się do mieszkania, w którym zatrzymał się Eden. Samochód zatrzymuje się, a brat wybiega mi na spotkanie. Aż promienieje – wydaje się, że całkiem zapomniał o naszej sprzeczce.

– Słyszałem, że narobiłeś niezłego bałaganu! – mówi, gdy wraz z Lucy wsiadają do dżipa, a na jego twarzy niespodziewanie pojawia się dezaprobata. – Nigdy więcej nie napędzaj mi takiego stracha.

Uśmiecham się do niego krzywo i mierzwię mu włosy.

– No to chyba wiesz już, co poczułem, jak usłyszałem o twojej decyzji.

Docieramy do Głównego Szpitala Los Angeles, a tam uświadamiamy sobie, że wieści o naszym przybyciu rozniosły się błyskawicznie. Na nasz samochód czekają tłumy ludzi, którzy wrzeszczą, płaczą i skandują. Trzeba aż dwóch pododdziałów wojska, by utworzyć szpaler między nimi i pozwolić nam na wejście do szpitala. Przyglądam się im oszołomiony. Wielu nosi kosmyk włosów przefarbowany na czerwono, inni dźwigają transparenty. Wszyscy wykrzykują to samo:

– Ocal nas!

Odwracam wzrok, spięty i zdenerwowany. Widzieli już bądź przynajmniej słyszeli o tym, czego dokonałem w Denver wraz z Patriotami. Ale przecież ja nie jestem żadnym niezwykłym superżołnierzem! Jestem umierającym chłopakiem, który ma za moment położyć się na łóżku szpitalnym i tam doczekać klęski.

Eden pochyla się ku mnie nad oparciem wózka. Nie mówi ani słowa, ale wystarczy jedno spojrzenie na jego poważną twarz i od razu wiem, co mu chodzi po głowie. Po plecach spływa mi zimny dreszcz przerażenia.

„Ja mogę ich ocalić” – myśli mój młodszy brat. – „Pozwól mi ich ocalić!”.

Docieramy do szpitala, a żołnierze barykadują wejście i wiozą mnie na trzecie piętro. Tam Eden zostaje na korytarzu, a lekarze na sali operacyjnej przymocowują do mnie rozmaite czujniki i kable. Wykonują skan mózgu. Mija sporo czasu, nim wreszcie pozwalają mi odpocząć. Głowa przez cały czas pulsuje bólem, który czasami przybiera na sile tak bardzo, iż mam wrażenie, że chodzę, choć nadal znajduję się na łóżku. Przychodzą pielęgniarki i dają mi jakiś

zastrzyk. Kilka godzin później, gdy nabieram już wystarczająco dużo sił, by móc usiąść, odwiedza mnie dwóch lekarzy.

- I co? - pytam, nie pozwalając im powiedzieć ani słowa. - Ile mi zostało? Trzy dni? Coście tym razem znaleźli?

- Nie martw się - mówi ten młodszy, mniej doświadczony. - Nadal masz parę miesięcy. Prognoza się nie zmieniła.

- Och, to ci dopiero ulga - odpowiadam.

Starszy lekarz drapie się niepewnie po długiej brodzie.

- Możesz wstać z łóżka, poruszać się i zajmować codziennymi sprawami - mówi - ale unikaj nadmiernego wysiłku. A jeśli chodzi o dalsze leczenie...

Przerywa i przygląda mi się znad okularów.

- Wykorzystamy mocniejsze leki - ciągnie z nieszczęśliwą miną. - Musimy jednak mieć jasność co do jednej kwestii, Day. Naszym największym wrogiem jest czas. Podejmujemy wszelkie możliwe starania, by przygotować się do bardzo ryzykownej operacji, ale niewykluczone, że leki będą potrzebować sporo czasu, by zadziałać. Więcej niż ci go zostało. Tak wygląda sytuacja.

- A co da się zrobić? - pytam.

Doktor wskazuje kroplówkę wiszącą przy mnie.

- Jeśli przejdiesz przez cały proces leczenia, za kilka miesięcy będziesz gotów do operacji.

Pochylam głowę. Mam aż tyle czasu? Jestem przekonany, że nie zostawiają sobie marginesu na błędy.

- A więc mogę umrzeć, nim nadejdzie czas na operację - mówię cicho. - Gorzej, jak Republika umrze do tego czasu.

Lekarz blednie, słysząc mój komentarz. Nie odzywa się, ale nie musi. Nic dziwnego, że inni lekarze prosili mnie, bym uporządkował własne sprawy, ale być może uda mi się przeżyć na tyle długo, by ujrzeć upadek Republiki. Przeszywa mnie dreszcz na samą myśl o tym.

Antarktyda pomoże nam tylko i wyłącznie wtedy, gdy dostarczymy dowód na istnienie szczepionki na zarazę. Będą wówczas mieli powód, by wezwać oddziały i stanąć na drodze Kolonii. Jeśli zaś chcę, by do tego doszło, muszę pozwolić Edenowi, by oddał się Republice.



Lekarstwa odbierają mi przytomność. Po otwarciu oczu przekonuję się, że trwa już nowy dzień. Lekarze wychodzą z mojej sali, a więc sprawdzam sprawność nóg. Chodzę po pokoju i nabieram pewności, że nie potrzebuję już wózka inwalidzkiego, ale skok z jednego końca pokoju w drugi kończy się niepowodzeniem. Przewracam się na podłogę. Nie ma mowy. Wzdycham sfrustrowany, a potem wpełzam z powrotem do łóżka. Przenoszę wzrok na ekran zamontowany na ścianie, na którym trwa reportaż z Denver. Od razu widać, że Republika oszczędnie przedstawia fakty. Na własne oczy widziałem, jak wyglądało natarcie wojsk Kolonii, ale na ekranie widać jedynie ujęcia miasta wykonane z daleka. Widz ujrzy więc tylko dym unoszący się znad kilku budynków oraz złowieszczy rząd statków powietrznych wroga, unoszący się nad skrajem Pancerza, a potem kamera przeniesie go na lotnisko Republiki, gdzie rzędy odrzutowców czekają na start. Po raz pierwszy w życiu cieszę się z istnienia propagandy. Straszenie całego kraju doprawdy rozmija się z sensem. Przecież można pokazać ludziom, że Republika walczy.

Nie mogę zapomnieć martwej twarzy Frankie. Wciąż myślę o głowie Thomasa, odskakującej w tył po trafieniu kulą wroga. Krzywię się, gdy obrazy na powrót pojawiają mi się w głowie. Leżę w milczeniu przez kolejne trzydzieści minut i oglądam wiadomości. Reportaż o bitwie o Denver zakończył się, a w jego miejsce pojawiły się nagłówki o moim wkładzie w zatrzymanie marszu Kolonii. Na ulicach jest coraz więcej ludzi z czerwonymi pasemkami we włosach i ręcznie wykonanymi transparentami. Oni naprawdę wierzą w to, że mój wkład coś znaczy. Trę dłonią twarz. Nie rozumieją, że jestem tylko zwykłym chłopakiem, który nigdy nie chciał tak bardzo się w to angażować. Bez Patriotów, June czy Andena nie dokonałbym niczego. Sam jeden jestem do niczego.

Niespodziewanie słyszę zakłócenia w słuchawce. Nadchodzi połączenie. Aż się zrywam, zaskoczony, a potem słyszę nieznajomy, męski głos:

- Pan Wing? Czy mam przyjemność z panem Wingiem?

- Kto mówi? - Marszczę brwi z niechęcią.

- A więc to pan! - powtarza nieznajomy, a w jego głosie słychać udawaną ekscytację, od której robi mi się zimno. - Z tej strony Kanclerz Kolonii. Miło mi pana poznać.

Kanclerz? Przełykam ślinę. Taaa, jasne.

- To jakieś jaja, tak? - parskam do mikrofonu. - Jakiś domorośły haker...

- Och, doprawdy. To byłby raczej mało śmieszny dowcip, prawda?

Nie miałem pojęcia, że Kolonie mogą odszukać moją częstotliwość. Marszczę czoło i pytam cicho:

- Jak się pan ze mną połączył?

Czyżby Kolonie wygrały bitwę o Denver? Czy miasto padło zaraz po zakończeniu ewakuacji?

- Mam swoje sposoby - odpowiada Kanclerz ze śmiertelnym spokojem. - Wygląda na to, że niektórzy z waszych przeszli na naszą stronę. Nie potrafię ich za to winić.

A więc jakiś obywatel Republiki musiał przekazać Koloniom informacje na temat wykorzystywanych przez nas pasm. Niespodziewanie przypomina mi się wspólna akcja z Patriotami i śmierć postrzelonego w głowę Thomasa. Moje ciało przeszywa dreszcz.

„Komandor Jameson”.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - ciągnie Kanclerz. - Powinien pan przecież odpoczywać. Z pewnością jest pan wyczerpany po tej małej eskapadzie pod Denver. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem.

Nie odpowiadam. Ciekawe, ile jeszcze wie. Czy wie, w którym znajduję się szpitalu? Czy wie, gdzie przebywa Eden?

- Czego pan chce? - odpowiadam szeptem.

Niemalże słyszę jego uśmiech.

- Nie chcę marnować pańskiego czasu, więc przejdę do sedna sprawy. Mam świadomość, że obecnym Elektorem Republiki jest ów młody Anden Stavropoulos. - Kanclerz mówi z pobłażliwością. - Niemniej obaj dobrze wiemy, kto naprawdę rządzi tym krajem. To ty. Ludzie cię kochają, Day. Wiesz, czego dowiedziałem się po wkroczeniu moich ludzi do Denver? „Miejscowi porozwieszali wszędzie plakaty Daya” - powiedziano mi. - „Chcą, by wrócił na ekrany”. Zupełnie nie kwapią się do współpracy z moimi ludźmi. Narzucanie im posłuszeństwa to zaskakująco męczący proces.

Mój gniew powoli się nasila.

- Proszę zostawić cywili w spokoju! - mówię przez zaciśnięte zęby. - Nie prosili was, byście wdarli się do ich domów!

- Zapominacie jednakże - odpowiada Kanclerz ujmująco - że wasza Republika robi to od dekad. Czyż nie postąpili w ten sposób wobec pańskiej rodziny? My atakujemy Republikę ze względu na to, że wyrządziła nam wielką krzywdę. Z powodu owego wirusa, którego wysłali za granicę. Wobec kogo jesteś właściwie lojalny i dlaczego? Chłopcze, ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak niezwykłą pozycję zdobyłeś w tak młodym wieku! Trzymasz palec na pulsie całego narodu! Wpływ, jakim dysponujesz...

- O co panu chodzi, Kanclerzu?

- Wiem, że umierasz. Wiem również, że masz młodszego brata, który chciałby dojrzewać wraz z tobą.

- Jeszcze raz usłyszę imię mego brata, a przerwę połączenie.

- Dobrze. Póki co posłuchaj. W Koloniach szpitalami i terapiami zajmuje się korporacja Meditech. Jestem przekonany, że oferowane przez nią leczenie stoi na o wiele wyższym poziomie od tego, które może zaoferować Republika. Proponuję ci więc umowę. Możesz dogorywać w spokoju, nadal lojalny wobec kraju, który wobec ciebie nigdy lojalności nie okazał albo możesz zrobić coś dla nas. Możesz publicznie poprosić mieszkańców Republiki, by przyjęli rządy Kolonii i pomoc, by ten kraj znalazł się pod władzą kogoś lepszego. W zamian oferujemy ci leczenie w znakomitym szpitalu. Czy to niemiły układ? Z całą pewnością zasługujesz na o wiele więcej, niż dostajesz.

Z moich ust wyrywa się pogardliwy śmiech.

- Jasne. Na serio pan oczekuje, że w to uwierzę?

- Dobrze - mówi Kanclerz. Nadal udaje rozbawionego, ale tym razem wyczuwam mrok w jego słowach. - Widzę, że ta rozmowa prowadzi donikąd. Jeśli zechcesz walczyć dla Republiki, uszanuję twój wybór. Będę życzył tobie i twemu bratu wszystkiego najlepszego, nawet po tym, jak przejmniemy władzę. Ja jednakże jestem biznesmenem, Day, i zawsze przystępuję do rozmów z planem B w zanadrzu. Pozwól więc, że zadam ci inne pytanie.

Urywa na moment.

- Princeps-Adeptka June Iparis. Kochasz ją?

Lodowata łapa chwyta mnie za pierś.

- A skąd pytanie?

- Cóż... - Głos Kanclerza mrocznieje. - Musisz spojrzeć na sytuację z mojego punktu widzenia. Na tym etapie nie ma najmniejszych wątpliwości, że Kolonie zwyciężą. Panna Iparis zaś należy do rządu przegrywającego wojnę. Spróbuj, synu, spojrzeć na to w ten sposób. Jak myślisz, co się stanie z członkami rządu strony przegrywającej wojnę?

Dłonie mi drżą. Myśl o tym błąkała się gdzieś na skraju mojego umysłu, ale uparcie ją odpychałem. Aż do tej chwili.

- Grozisz jej? - szepczę.

Kanclerz syka, słysząc niechęć w moim głosie.

- Ja tylko prowadzę logiczny wywód. Co się z nią stanie, gdy ogłosimy zwycięstwo? Naprawdę myślisz, że pozwolimy żyć dziewczynie, która może zostać przywódczynią Senatu Republiki? Tak działają wszystkie cywilizowane narody, Day, od wielu stuleci. Ba, od tysiącleci. Zresztą jestem pewien, że wasz Elektor stracił wszystkich, którzy stanęli mu na drodze, prawda?

Nie odpowiadam.

- Panna Iparis wraz z Elektorem i całym Senatem zostanie osądzona i stracona. Taki los przypada rządowi, który przegrywa konflikt, Day.

Jego głos staje się poważny.

- Jeśli nie zdecydujesz się na współpracę z nami, przypuszczalnie będziesz musiał żyć z jej krwią na rękach. Jeśli zaś postanowisz nam pomóc, być może znajdę sposób, by ją ułaskawić i nie skazywać za zbrodnie wojenne. Co więcej, zapewnię wam bardzo luksusowe życie. Nie będziecie już musieli martwić się o życie rodzin. Nie będziecie też musieli troszczyć się o rodaków. Zwykli ludzie nigdy nie wiedzą, co jest dla nich dobre. My jednakże dobrze to wiemy, prawda? Zdajesz sobie sprawę, że będzie im lepiej, gdy wyzwolą się spod jarzma Republiki. Bywa, że lud nie rozumie wyborów, przed którymi staje. Należy więc podjąć decyzję za ludzi. W końcu sam postanowiłeś pokierować ich osądami, gdy prosiłeś ich, by uznali nowego Elektora. Nie myślę się, prawda?

Osądzona i stracona. June miałyby zginąć. Sama myśl o tym

napełnia mnie przerażeniem, a teraz gdy usłyszałem ją z ust człowieka chcącego mnie zaszantażować, czuję się jeszcze gorzej. W mojej głowie panuje chaos. Desperacko szukam jakiegoś sposobu na ucieczkę i znalezienie azylu w innym kraju. Może Antarktydzi mogliby zapewnić nam schronienie na wypadek zwycięstwa Kolonii? Musi istnieć jakiś sposób. Ale... Ale co z resztą narodu? Co mogę zrobić, by Kolonie nie skrzywdziły mego brata?

- Skąd mogę wiedzieć, że dotrzymasz słowa? - udaje mi się wykrztusić.

- Chcę ci pokazać, że moje intencje są szczerze. Daję ci więc słowo, że Kolonie wstrzymały dziś natarcie i nie wznowią ich przez najbliższe trzy dni. Jeśli zgodzisz się na moją propozycję, zagwarantujesz bezpieczeństwo ludności Republiki oraz twoich najbliższych. Sam więc podejmij decyzję.

Kanclerz śmieje się cicho.

- I sugeruję, byś zachował tę rozmowę dla siebie.

- Pomyślę o tym - szepczę.

- Cudownie! - Kanclerz promienieje. - I nie zwlekaj. Masz trzy dni, po czym chcę usłyszeć twoje publiczne przemówienie do całego narodu. Być może to początek bardzo owocnego układu. Czas to kwestia najistotniejsza. Wiem, że mało kto rozumie to tak dobrze jak ty.

Połączenie zostaje przerwane. Cisza wydaje się ogłuszająca. Przez dłuższą chwilę myślę tylko o tym, co usłyszałem, a przez mój umysł przemykają kolejne skojarzenia, imiona i fakty... Eden, June, Republika, Elektor. Ich krew na moich rękach. Frustracja i lęk narastają, grożą, że mnie zaleją. Trzeba przyznać Kanclerzowi, że sprytny z niego gracz. Doskonale zna moje słabości i wie, jak je wykorzystać dla własnego pożytku, ale to gra dla dwóch osób. Muszę ostrzec June i zrobić to możliwie najciszej. Nie wiadomo, co Kolonie wymyślą, gdy się dowiedzą, że złamałem sekret. Niemniej może we dwójkę zdołamy coś wymyślić. Może przechytrzymy Kanclerza w jego własnej grze.

Niespodziewanie na korytarzu słyszę wrzask, który sprawia, że włosy mi stają na głowie. Odwracam głowę w kierunku źródła głosu. Ktoś jest wleczony po korytarzu wbrew swej woli. Z tego, co słyszę, walczy z niezwykłą zaciętością.

- Nie jestem zakażona! - krzyczy. Wrzaski stają się coraz głośniejsze, w miarę jak zbliżają się do moich drzwi, a potem stopniowo cichną. Słyszę terkot kółek i wiem, że dziewczyna jest wywożona gdzieś dalej. Od razu rozpoznaję jej głos.

- Powtórzcie te testy! Nie jestem zakażona!

Nie wiem, co się dokładnie dzieje, ale niespodziewanie nabieram pewności co do jednego. Choroba szerząca się na terytorium Kolonii ma nową ofiarę.

To Tess.

# JUNE

PO RAZ PIERWSZY W HISTORII REPUBLIKI NIE LĄDUJEMY w stolicy, ponieważ jej nie ma.

Samolot siada około 16:00 na lotnisku na południowym skraju Uniwersytetu Drake, zaledwie ćwierć mili od miejsca, gdzie chodziłam na zajęcia z historii Republiki. Popołudnie jest beztrudnie słoneczne. Czy naprawdę upłynął zaledwie rok od chwili, gdy się to wszystko zaczęło? Wsiadamy z samolotu i czekamy na wyładowanie bagaży, a ja rozglądam się dookoła oszołomiona i zdezorientowana. Miasteczko uniwersyteckie budzi we mnie nostalgię, ale zarazem wydaje się dziwne. Kiedyś panował tu większy ruch – z tego, co słyszałam, wielu studentom najwyższych lat przyspieszono ukończenie uczelni, by mogli zostać posłani na front i walczyć o byt kraju. Idę w ciszy po ulicach kampusu, kilka kroków za Andenem, a Serge i Mariana nie przestają rozmawiać z milczącym na ogół Elektorem. Ollie trzyma się blisko mnie i ma skórę zjeżoną na karku. Główny plac Drake’a, na którym zazwyczaj panuje studencki rozgardiasz, stał się domem dla wielu grup uciekinierów z Denver i sąsiednich miast. To niecodzienny, osobliwy widok.

Wsiadamy do czekających na nas dżipów i jedziemy przez sektor Batalla. Widzę, że w Los Angeles nastąpiło wiele zmian. W miejscu, gdzie sektor Batalla styka się z Blueridge, a budynki wojskowe ustępują miejsca cywilnym drapaczom chmur, wiele starszych, częściowo opuszczonych gmachów pospiesznie zamieniono w centra dla uchodźców. Spore tłumy zaniedbanych, rozczochranych uciekinierów tłoczą się przy wejściach w nadziei, że dopisze im szczęście i otrzymają pokój. Wystarczy mi jedno spojrzenie, bym wiedziała, że wszyscy ci ludzie przypuszczalnie pochodzą z ubogich dzielnic Denver.

– Gdzie umieszczacie rodziny z wyższych klas? – pytam Andena. – W dzielnicach dla bogatych, co?

Trudno mi się wysławić bez zjadliwości w głosie. Anden wygląda na nieszczęśliwego, ale odpowiada ze spokojem.

– W sektorze Ruby. Ty, Mariana oraz Serge również otrzymacie

tam lokum.

Trafnie odczytuje mój wyraz twarzy.

- Wiem, o czym myślisz. Nie mogę sobie jednak pozwolić na to, by bogatsze warstwy społeczeństwa zbuntowały się teraz przeciwko mnie za to, że stłoczę je w centrach ewakuacyjnych. Część przestrzeni w Ruby została zresztą przydzielona biedocie drogą losowania.

Nie odpowiadam, bo nie mam co powiedzieć. Czy w tej sytuacji da się w ogóle cokolwiek zrobić? Przecież Anden nie jest w stanie przebudować całej infrastruktury kraju od zera w przeciągu raptem roku. Patrzę przez okno i dostrzegam coraz większą grupę demonstrantów, gromadzących się na skraju strzeżonej strefy dla uchodźców. Dźwigają transparenty z napisami: „Won na przedmieścia!”. Na jednym widnieje zdanie: „Objąć ich kwarantanną!”.

Po plecach spływa mi dreszcz. Niewiele to różni się od wydarzeń z wczesnych lat istnienia Republiki, kiedy mieszkańcy zachodniej części kraju protestowali przeciwko tym, którzy napływali ze wschodu. Przez jakiś czas jedziemy w milczeniu, aż Anden nagle przyciska dłoń do ucha i daje znać kierowcy.

- Włącz ekran! - nakazuje, wskazując niewielki monitor wstawiony w siedzenie dżipa. - Generał Marshall twierdzi, że Kolonie nadają coś na naszym dwunastym kanale.

Patrzymy na włączony monitor. Z początku widać jedynie pusty, czarny ekran, ale po chwili pojawia się transmisja. To hasło oraz pieczęć Kolonii nad ich flagą.

## **KOLONIE AMERYKAŃSKIE**

### **CLOUD. MEDITECH. DESCON. EVERGREEN**

### **WOLNE PAŃSTWO TO PAŃSTWO KORPORACYJNE**

Później widzimy wieczorny pejzaż nad pięknym miastem, nad którym migoczą tysiące błękitnych świateł.

- Obywatele Republiki - oznajmia szlachetny głos. - Witajcie w Koloniach Amerykańskich. Jak wielu z was już wie, siły Kolonii opanowały Denver, stolicę Republiki, i ogłosiły nieoficjalne zwycięstwo nad tyrańskim reżymem, który tłamsi was od wielu lat.



Po stuleciach cierpień wreszcie jesteście wolni.

Pejzaż znika, a w jego miejsce pojawia się mapa Republiki i Kolonii. Brakuje linii dzielącej oba państwa. Znow przeszywa mnie dreszcz.

- W najbliższych tygodniach włączymy was do naszego systemu wolności oraz uczciwej konkurencji. Każdy z was stanie się obywatelem Kolonii. Zapewne zastanawiacie się, co to oznacza?

Głos milknie, a na ekranie pojawia się zdjęcie szczęśliwej rodziny.

- Jako nowi obywatele, każdy z was otrzyma przynajmniej pięć tysięcy kredytów, co stanowi równowartość sześćdziesięciu tysięcy kredytów używanych w Republice. Pieniądze te zostaną przyznane przez jedną z czterech głównych korporacji, dla której zdecydujecie się pracować. Im więcej zarabiacie teraz, tym więcej wam zapłacimy. Nie będziecie już skazani na łaskę policji Republiki - waszym bezpieczeństwem zajmą się patrole miejskie DesCon, wasza własna, osobista policja, która za cel stawia sobie przede wszystkim służyć wam. Waszym pracodawcą nie będzie już Republika, ale jedna z naszych czterech korporacji, gdzie będziecie mogli podążać drogą wspaniałej kariery.

Na ekranie widać szczęśliwych pracowników. Noszą garnitury i krawaty, a na ich twarzach malują się dumne uśmiechy.

- Oferujemy wam, obywatele, wolność wyboru.

„Wolność wyboru”. Przez umysł przemykają mi wspomnienia tego, co widzieliśmy z Dayem podczas naszej eskapady na terytorium Kolonii. Przypominam sobie tłumy robotników, zrujnowane slumsy zamieszkałe przez biedotę, ludzi w ubraniach od stop do głów zadrukowanych reklamami i banery zakrywające każdy centymetr kwadratowy każdego budynku. Najbardziej jednakże w pamięć zapadła mi policja DesCon, która odmówiła pomocy obrabowanej kobiecie zalegającej z płatnościami lokalnemu posterunkowi. Czy tak ma wyglądać przyszłość Republiki? Nagle zbiera mi się na mdłości, bo doprawdy nie wiem, czy ludziom będzie lepiej tu czy tam.

Transmisja trwa nadal.

- W zamian prosimy was tylko o niewielką przysługę.

Tym razem na ekranie pojawia się tłum skandujących wspólnie demonstrantów.

- Jeśli jesteś cywilem i masz pretensje wobec Republiki, nadeszła pora, by je wygłosić. Jeśli masz w sobie odwagę, by wziąć udział w protestach w twoim rodzinnym mieście, Kolonie zapłacą ci dodatkowo pięć tysięcy kolonialnych kredytów i udzielą ci rocznego rabatu na żywność kupowaną w Cloud Corp. Wystarczy, byś przesłał dowód na uczestnictwo w proteście do którejkolwiek z kwater DesCon Denver w stanie Kolorado wraz ze swym imieniem i adresem.

Cóż, to wyjaśnia, skąd w mieście pojawiło się tylu demonstrantów. Nawet propaganda Kolonii przypomina reklamę. Niestety, to niebezpiecznie kusząca reklama.

- Nieco za szybko ogłosiliście swoje zwycięstwo - szepczę.

- Usiłują zbuntować lud przeciwko nam - odpowiada cicho Anden.

- Dziś rano ogłosili wstrzymanie ognia, być może po to, by zająć się propagandą.

- Wątpię, czy to przyniesie jakiś skutek - mówię, choć brakuje mi przekonania. Przecież mieszkańcy Republiki są od lat bombardowani propagandą wymierzoną w Kolonie. Po tym wszystkim trudno będzie naszemu przeciwnikowi zdobyć poparcie, prawda?

Dzıp Andena zaczyna zwalniać. Marszczę brwi i rozglądam się zdumiona, bo stoimy nie przed wieżowcem, gdzie przydzielono mi mieszkanie, ale przed Głównym Szpitalem w Los Angeles. Tu właśnie zginął Metias.

- Co my tu robimy? - pytam.

- Day tu jest - odpowiada Anden. Mam wrażenie, że zająknął się, gdy wypowiadał jego imię.

- Dlaczego?

Nie patrzy na mnie. Wygląda na to, że nie ma ochoty na rozmowę na jego temat.

- Zemdlał podczas ewakuacji do Los Angeles - wyjaśnia. - Wyszliśmy w powietrze nasze podziemne tunele i huk chyba wyzwolił u niego potężny ból głowy. Lekarze rozpoczęli kolejną turę leczenia.

Anden przerywa i spogląda na mnie z powagą.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego tu się znaleźliśmy.

Przekonasz się jednak na własne oczy.

Samochód zatrzymuje się. Wsiadam i czekam na Andena. W moim sercu narasta przerażenie. A może stan Daya się pogorszył? Może grozi mu śmierć? Czy to dlatego się tu znalazł? Przecież nie ma powodu, dla którego Day chciałby ponownie postawić nogę w tym miejscu. Po tym, co mu zrobiono?

Otoczeni eskortą, wchodzimy do budynku. Jedziemy windą na czwarte piętro, a potem wkraczamy do znajdującego się tam laboratorium. Z każdym krokiem czuję się coraz bardziej spięta i wystraszona.

W końcu zatrzymujemy się przez rzędem drzwi na ścianie głównego pomieszczenia laboratorium. Przechodzimy przez jedne drzwi i naraz widzę Daya. Stoi przed pomieszczeniem o szklanych ścianach, pali niebieskiego papierosa i przygląda się, jak laboranci w pełnych kombinezonach badają kogoś w środku. Ze wstrząsem rejestruję to, że opiera się na kulach. Od jak dawna tu jest?

Wydaje się wyczerpany, blady i odległy. Zastanawiam się, co tym razem lekarze na nim wypróbują. Niespodziewanie przypomina mi się, że życie Daya powoli dobiega końca. Zostało mu zaledwie kilka chwil, a zegar nie przestaje tykać.

Obok niego stoi kilku techników laboratoryjnych w szczelnych białych kombinezonach z goglami zwisającymi z szyi. Każdy z nich przygląda się scenie w pomieszczeniu i szybko pisze w notatniku. Kilka kroków dalej widzę Pascao pogrążonego w rozmowie z pozostałymi Patriotami. Dają Dayowi spokój.

- Day? - odzywam się, podchodząc.

Spogląda na mnie. W jego oczach widzę najrozmaitsze emocje, a niektóre z nich sprawiają, że na moich policzkach pojawia się rumieniec. Potem zauważa Andena. Zdobywa się na sztywny ukłon, a potem powraca do wpatrywania się w pacjentkę po drugiej stronie szyby. To Tess.

- Co się dzieje? - pytam Daya.

Chłopak zaciąga się raz jeszcze i opuszcza wzrok.

- Nie chcą mnie wpuścić. Podejrzewają, że Tess mogła złapać tego nowego wirusa.

Mówi cichym głosem, ale słyszę, że z trudem tłumi frustrację i

gniew.

- Przetestowali już mnie oraz pozostałych Patriotów. Tess jako jedyna budzi podejrzenia.

Tess odpycha dłoń jednego z techników, a potem zatacza się do tyłu, jakby miała problem z utrzymaniem równowagi. Na jej czole tworzą się krople potu, które ściekają jej po szyi. Białka jej oczu nabrały żółtawego odcienia. Przyglądam jej się bacznie i widzę, że mruży powieki, próbując coś dojrzeć. Przypominam sobie, że jest krótkowidzem i zawsze mrużyła oczy na ulicach Lake. Jej dłonie drżą. Przełykam z trudem ślinę. Patrioci mieli bardzo krótką styczność z żołnierzami Kolonii, ale najprawdopodobniej wystarczyło, by któryś z zarażonych przeciwników przekazał im chorobę. Istnieje również spore prawdopodobieństwo, że Kolonie celowo usiłują przetrzymać chorobę do nas. Robi mi się zimno, gdy przypominam sobie jedno zdanie z pamiętnika Metiasa: „Któregoś dnia stworzymy wirusa, którego nikt nie będzie mógł powstrzymać”. Ów wirus mógłby doprowadzić całą Republikę do upadku.

Jeden z techników odwraca się ku mnie i szybko przedstawia sprawę. To kobieta.

- Wirus przypomina mutację jednego z naszych wcześniejszych eksperymentów - mówi i spogląda nerwowo na Daya. Wygląda na to, że nie pozostawił na niej suchej nitki. - Statystyki ujawnione przez Kolonie wskazują na to, że wirus powoli rozprzestrzeni się wśród zdrowych dorosłych, ale po zakażeniu choroba postępuje bardzo szybko. Poziom śmiertelności jest bardzo wysoki. Czas od zakażenia do śmierci to około tydzień.

Na powrót skupia uwagę na Tess.

- Ta dziewczyna wykazuje wczesne symptomy choroby - ma wysoką temperaturę, zawroty głowy oraz żółtaczkę. Jest też coś, co potwierdza, że jest to jeden z wyprodukowanych przez nas wirusów - ofiara cierpi na tymczasową bądź permanentną ślepotę.

Stojący obok mnie Day zaciska dłonie na kulach z taką siłą, że bieleją mu knykcie. Zastanawiam się, czy już wdał się w kilka bójek z personelem laboratorium, usiłując się wdrzeć do Tess i nawrzeszczyć na badających ją techników, by ci zostawili ją w spokoju. Wiem, że myśli teraz o Edenie i jego purpurowych,

niedowidzących oczach. Serce znów wypełnia mi głęboka nienawiść do byłej Republiki. Mój ojciec pracował za drzwiami tego laboratorium. Próbował rzucić swoją posadę, gdy odkrył związek między swą pracą, a epidemiami wybuchającymi w Los Angeles. W wyniku tego stracił życie. Czy nasza ojczyzna naprawdę nas teraz popiera? Czy świat zewnętrzny kiedykolwiek zmieni zdanie na nasz temat? Czy Kolonie będą myśleć o nas inaczej?

- Usiłowała ocalić Frankie - szepcze Day, nie spuszczać z Tess oczu. - Udało jej się wbiec do Pancerza tuż po nas. Myślałem, że Thomas chce ją zabić.

W jego głosie pojawia się gorzkość.

- Ale może wtedy śmierć i tak była już jej pisana.

- Thomas? - pytam cicho.

- Thomas nie żyje - mówi cicho. - Gdy Pascao i ja uciekaliśmy do Pancerza, widziałem, jak samotnie stawia czoła żołnierzom Kolonii. Strzelał do nich, aż trafili go w głowę.

Wzdrygam się. Thomas nie żyje.

Moje ciało od stóp do głów ogarnia odrętwienie. Mrugam dwukrotnie. Nie powinnam być zszokowana. Dlaczego ogarnął mnie taki szok? Przecież byłam na to gotowa. Żołnierz, który wbił memu bratu nóż w serce i zastrzelił matkę Daya, oddał życie. Oczywiście zginął tak, jak chciał - broniąc Republiki do samego końca, niezachwiany w swej szaleńczej lojalności wobec państwa, które już się od niego odwróciło. Rozumiem też, dlaczego tak bardzo poruszyło to Daya. „Trafili go w głowę”. Czuję w sobie pustkę. Jestem odrętwiała. Opadają mi ramiona.

- Tak będzie najlepiej - szepczę, choć coś mi przeszkadza w gardle. Przez mój umysł przemykają wspomnienia Metiasa i tego, co Thomas opowiedział mi o jego ostatnich chwilach. Zmuszam się, by na powrót zacząć myśleć o Tess. Muszę się skupić na tych, którzy żyją i którzy wciąż mają dla nas znaczenie.

- Nic jej nie będzie - mówię, ale moje słowa nie brzmią przekonująco. - Musimy tylko znaleźć odpowiedni sposób.

Technik w środku szklanego pokoju wbija długą igłę w prawe ramię Tess, a potem w lewe. Z ust dziewczyny wyrывa się stłumiony szloch. Day odrywa wzrok od sceny, ujmując mocniej kule i rusza ku nam. Przechodząc obok nas, szepcze:

- Dziś wieczór.

Potem wychodzi na korytarz.

Przyglądam się mu w milczeniu. Anden wzdycha i ze smutkiem spogląda na Tess, a następnie dołącza do reszty techników.

- Jesteście pewni, że Day jest czysty? - pyta kobietę, która wcześniej podzieliła się z nami informacjami o wirusie. Ta potwierdza, a Anden kiwa głową.

- Proszę po raz drugi sprawdzić wszystkich żołnierzy - mówi, a potem odwraca się do któregoś z senatorów. - Wyślijcie natychmiast wiadomość do Kanclerza Kolonii oraz prezydenta DesCon. Zobaczmy, czy uda nam się coś załatwić na drodze dyplomatycznej.

Na końcu Anden wbija długie spojrzenie we mnie.

- Wiem, że nie mam prawa cię o to prosić - mówi. - Ale jeśli znajdziesz w sercu odwagę, by raz jeszcze zapytać Daya o jego brata, będę ci wdzięczny. Uzyskalibyśmy w ten sposób szansę na powodzenie w rozmowach z Antarktydą.

**GODZINA: 19:30**

**SEKTOR RUBY**

**TEMPERATURA:**

**73 STOPNIE FAHRENHEITA/23 STOPNIE CELSJUSA**

Wieżowiec, w którym się zatrzymałam, znajduje się zaledwie kilka przecznic od tego, w którym mieszkałam wraz z Metiasem. Dżip jedzie ulicami, a ja rozglądam się i próbuję gdzieś wypatrzyć moje dawne mieszkanie. Nawet sektor Ruby jest pocięty taśmami, wydzielającymi przestrzeń dla uchodźców, a niektóre ulice są zamknięte przez szeregi żołnierzy. Ciekawe, gdzie Anden się zatrzyma w trakcie tego zamieszania. Pewnie gdzieś w sektorze Batalla. Z pewnością tej nocy nie położę się wcześniej. Prze dopuszczeniem szpitala wziął mnie na stronę gdzieś w korytarzu. Co chwila zerkał nieświadomie na moje usta. Wiem, że wciąż myślał o naszej krótkiej chwili intymności w Ross City oraz o słowach, które wypowiedział później: „Wiem, że darzysz Daya uczuciem”.

- June - odezwał się po chwili niezręcznego milczenia. - Spotykam się jutro rano z Senatem, by omówić kolejne kroki. Chciałem cię ostrzec, iż na tej konferencji każde z Adeptów będzie

musiało wygłosić krótką mowę. To okazja, by przekonać się, co byście zrobili na miejscu prawdziwych Princeps bądź Princepsów. Pamiętaj jednak, że atmosfera może być napięta.

Uśmiechnął się lekko.

- Ta wojna zmusza nas do ostateczności, łagodnie mówiąc.

W pierwszej chwili chciałam mu powiedzieć, że wolę zostać w domu. Nie miałam ochoty na kolejną czterogodzinną nasiadówkę z senatorami, dla których celem życia było przegadanie rywali, przeciągnięcie Andena na swoją stronę lub upokorzenie go przed innymi. Z pewnością Mariana oraz Serge będą przewodzić sporom, by zwiększyć swoje szanse na zdobycie pozycji Princepsa bądź Princepsy. Po posiedzeniu opuściły mnie wszystkie siły, ale z drugiej strony nie mogłam pozostawić Andena samego w pomieszczeniu pełnym ludzi tak zimnych i obojętnych. Uśmiechnęłam się więc i ukloniłam się mu jak przystało na dobrą Princeps-Adeptkę.

- Przyjdę - odpowiedziałam.

Dżip zatrzymuje się przed mieszkaniem i odpycham od siebie myśli o przepychankach w Senacie. Wsiadam wraz z Oliem. Wypuszczam psa i patrzę, jak niknie za rogiem, a sama wchodzę do klatki schodowej. Z początku planuję rozgościć się u siebie i natychmiast zajrzeć do Daya, by dowiedzieć się, o co mu chodziło z tym tajemniczym „Dziś wieczór”. Po dotarciu do korytarza widzę, że nie ma jednak takiej potrzeby. Day siedzi przed moimi drzwiami i zamyślony pali papierosa. Kule leżą obok niego. Nie porusza się, ale mimo to wciąż dostrzegam w nim część tego, kim kiedyś był. Wyczuwam jego dzikość, zaciekłość, brawuję. Przez umysł przemyka mi wspomnienie naszego pierwszego spotkania na ulicach. Pamiętam jego jasnoniebieskie oczy, płynne ruchy i potargane, jasne włosy. Wspomnienie jest takie piękne, że niespodziewanie oczy zachodzą mi łzami. Nabieram tchu i ze wszystkich sił powstrzymuję płacz.

Na mój widok Day dźwiga się na równe nogi.

- June - mówi, gdy podchodzę. Ollie podbiega, by się przywitać i chłopak czochra go po głowie. Wydaje się wyczerpany, ale udaje mu się słabo uśmiechnąć, choć z lekkim smutkiem. Bez kul trudno mu się utrzymać na nogach. W oczach widać ból.

- Sądząc po twoim wyrazie twarzy, Antarktydzi niezbyt nam

pomogli, co?

Kręcę głową, a potem otwieram drzwi i zapraszam go do środka.

- Niezbyt - potwierdzam, zamykając drzwi. Instynktownie rozglądam się dookoła, badając układ pomieszczeń. Znadto przypomina moje poprzednie mieszkanie, bym czuła się tu dobrze.

- Skontaktowali się z ONZ w kwestii zarazy. Mają zamiar zablokować wszystkie nasze porty. Nie będzie importu ani eksportu, nie będzie pomocy ani dostaw. Objęto nas kwarantanną. Dowiedzieliśmy się, że nie możemy liczyć na pomoc, jeśli nie pokażemy im dowodu na postępy w zwalczaniu zarazy lub nie oddamy im sporej części naszego terytorium w ramach zapłaty. Do tego czasu nie prześlą nam żadnych posiłków. Wiem, że w chwili obecnej bardzo dokładnie monitorują naszą sytuację.

Day nic nie mówi. Oddala się ode mnie i staje na balkonie. Wspiera się na poręczy. Wystawiam Olliemu trochę jedzenia i wody, a potem dołączam do Daya. Słońce zaszło jakiś czas temu, ale dzięki łunie światła miasta widać nisko wiszące chmury we wszystkich odcieniach szarości, które przesłaniają gwiazdy. Widzę, że Day musi się mocno trzymać balustrady. Chcę go spytać, jak się czuje, ale dostrzegam jego minę i rozmyślam się. Chyba nie chce o tym rozmawiać.

- A więc - odzywa się, wydmuchując dym. Blask odległego JumboTronu otacza jego głowę błękitno-fioletową aureolą. Jego wzrok omiata budynki. Wiem, że instynktownie analizuje sposoby ucieczki z każdego miejsca po kolei. - A więc zostaliśmy sami, choć jakoś mnie to nie dziwi. Republika zawsze była o krok od zamknięcia wszelkich granic, prawda? Może po nałożeniu kwarantanny stawimy bardziej zacięty opór? Nic nie motywuje lepiej od świadomości, że jesteś sam na ulicy i nikt nie przyjdzie ci z pomocą.

Unosi papierosa do ust, a ja dostrzegam, że jego dłoń drży. Pierścionek ze spinaczy biurowych połyskuje na jego palcu.

- Day - mówię łagodnie.

Unosi brew i patrzy na mnie.

- Ty drżysz.

Day wydmuchuje kłąb błękitnego dymu i, mrużąc oczy, spogląda



na światła miasta w ciemnościach. Przymyka powieki.

- Dziwnie się czuję po powrocie do LA - mówi zamyślony, wręcz nieobecny. - Nic mi nie jest. Martwię się tylko o Tess.

Milczymy. Każde z nas ma na końcu języka kolejne imię - Eden - ale żadne z nas nie chce wymówić go jako pierwsze. Day w końcu przerywa ciszę, choć przychodzi mu to z wielkim trudem:

- June, myślałem o tym, czego Elektor chce ode mnie - mówi powoli. - Wiesz, chodzi o... O mojego brata.

Wzdycha, opiera się o balustradę i przeczesuje włosy. Muska przy tym moje ramię - wystarczy tak drobny gest, by moje serce zaczęło szybciej bić.

- Pokłóciłem się później o to z Edenem.

- Co powiedział twój brat? - pytam. Czuję się winna na samo wspomnienie tego, o co Anden mnie poprosił: „Jeśli znajdziesz w sercu odwagę, by raz jeszcze zapytać Daya o jego brata, będę ci wdzięczny”.

Day gasi papierosa na balustradzie i patrzy mi w oczy.

- On chce pomóc - szepcze. - Po tym, co się stało z Tess i po tym, co usłyszałem od ciebie...

Zaciska zęby.

- Pomówię jutro z Andenem. Może w krwi Edena rzeczywiście jest coś, co może... No wiesz, co może odwrócić losy wojny. Może.

Nadal nie ma na to wszystko ochoty i w jego głosie słychać ból. Ale zgadza się. Chce zezwolić na to, by Republika wykorzystwała jego młodszego brata w celu znalezienia antidotum. „Day, prawdziwy patriota, obrońca ludu, człowiek, który nie może znieść tego, że inni cierpią z jego powodu, który z radością odda życie za tych, których kocha”. Sęk w tym, że uratować Tess możemy nie dzięki niemu, lecz jego bratu. Ryzykuje śmiercią jednej z ukochanych osób, by ocalić inną. Ciekawe, co wpłynęło na zmianę jego decyzji.

- Dziękuję, Day - szepczę. - Dobrze wiem, że przyszło ci to z wielkim trudem.

Ten krzywi się i kręci głową.

- Nie, ja po prostu jestem egoistą, ale nic na to nie poradzę.

Spuszcza wzrok, odsłaniając swoje słabości.

- Tylko... Tylko poproś Andena, by mi go oddał. Proszę, nie róbcie mu krzywdy.

Coś jeszcze go dręczy. Właśnie dlatego nie może opanować drżenia rąk. Pochyliam się ku niemu i nakrywam jego dłoń własną. Znow patrzy mi w oczy. Na jego twarzy maluje się ogromny smutek i strach. Znow boli mnie serce.

- Coś jeszcze się stało, Day? - szepczę. - Czego jeszcze się dowiedziałeś?

Tym razem nie odwraca spojrzenia. Przełyka ślinę, a gdy się odzywa, jego głos drży lekko:

- Kanclerz Kolonii skontaktował się ze mną, gdy byłem w szpitalu.

- Kanclerz? - staram się nie podnosić głosu. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś cię nie podsłuchuje. - Jesteś pewien?

Day kiwa głową, a potem opowiada mi o rozmowie. Dowiaduję się o łapówkach, szantażu i groźbach. Dowiaduję się, jaki los mnie czeka, jeśli Day im odmówi. Wszystkie moje niewypowiedziane lęki objawiają się. W końcu Day wzdycha. Mam wrażenie, że ulżyło mu odrobinę po tym, jak wyznał mi prawdę.

- Z pewnością istnieje jakiś sposób, by wykorzystać tę rozmowę przeciwko Koloniom - mówi. - Coś, co pomoże nam oszukać ich w ich własnej grze. Nie mam na razie pomysłu, ale jeśli wymyślimy coś, dzięki czemu Kanclerz uwierzy, że chcę im pomóc, może zdołamy ich zaskoczyć.

Jeśli Kolonie zwyciężą, dopadną mnie. Wszyscy zostaniemy zabici. Usiłuję odnaleźć w sobie ten sam spokój co Day, ale nie udaje mi się. Do mojego głosu wkrada się drżenie.

- Kanclerz oczekuje, że pokierujesz się teraz emocjami - odpowiadam. - Być może to dobra sposobność, by uderzyć w Kolonie własną propagandą. Bez względu na to, co postanowimy, musimy działać ostrożnie. Kanclerz na pewno nie zaufa ci bezgranicznie.

- Jeśli wygrają, znajdziesz się w beznadziejnej sytuacji - szepcze Day. W jego głosie kryje się ból. - Kolonie to nie gromada dobrych wujków. Może powinnaś wykombinować jakiś sposób na ucieczkę z kraju. Powinnaś umknąć do jakiegoś neutralnego państwa i poprosić o azyl.

Miałabym uciec z kraju? Porzucić ten koszmar i zaszyć się gdzieś daleko? Cichy, mroczny głos w mojej głowie podpowiada, że tak będzie lepiej i bezpieczniej, ale uciszam go. Prostuję się i odszukuję w sobie odwagę.

- Nie, Day - odpowiadam łagodnie. - Jeśli ucieknę, co pocznie reszta? Co się stanie z tymi, którzy uciekać nie mogą?

- Zabiją cię. - Przysuwa się do mnie. Jego oczy błagają mnie, bym go posłuchała. - Proszę.

- Zostanę tu. - Kręcę głową. - Nie możemy osłabiać morale naszych rodaków w nieskończoność. Poza tym może będziesz mnie potrzebował. - Uśmiecham się lekko. - W końcu wiem kilka rzeczy o armii Republiki, które mogą się przydać, no nie?

Day kręci głową, sfrustrowany i wściekły, ale wie, że nie zmienię zdania. Przecież sam postąpiłby identycznie.

Ujmuje moją dłoń i przyciąga mnie do siebie. Otacza mnie ramionami. Jestem tak nieprzyzwyczajona do jego dotyku, że natychmiast przeszywa mnie fala gorąca. Zamykam oczy, wtulam się w niego, rozkoszuję się jego bliskością. Czy naprawdę upłynęło aż tyle czasu od naszego ostatniego pocałunku? Naprawdę tak bardzo za nim tęskniłam? Czy wszystkie grożące nam problemy odebrały nam tyle sił, że teraz z trudem łapiemy oddech i wtulamy się w siebie z rozpaczą? Już zapomniałam, że dopiero w jego ramionach świat wydaje się poukładany. Materiał jego pogiętej koszuli jest miękki i delikatny, a ciepła klatka piersiowa Daya rozbrzmiewa wątlym echem uderzeń jego serca. Pachnie ziemią, dymem i wiatrem.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa, June - szepcze z twarzą wtuloną w moje włosy. - Jesteś najbardziej przerażającą, najmądrzejszą i najodważniejszą osobą, jaką znam. Czasami nie mogę aż złapać tchu, bo ze wszystkich sił staram ci się dorównać. Nigdy nie spotkam nikogo takiego jak ty. Wiesz o tym, prawda?

Przechyliłam głowę, by móc go ujrzeć. Jego oczy odbijają słabe światło JumboTronów, istną tęczę wieczornych kolorów.

- Miliardy ludzi przychodzą na ten świat i z niego odchodzą - mówi. - Ale nigdy nie będzie drugiej takiej jak ty.

Serce mnie boli, gdy słyszę jego słowa. Nie wiem, jak mam odpowiedzieć.

Nagle wypuszcza mnie gwałtownie. Z zaskoczeniem witam chłód nocy na mojej skórze. Pomimo ciemności widzę rumieniec na jego policzkach. Oddycha ciężiej niż dotychczas.

- Co się dzieje? - pytam.

- Przepraszam - mówi z wysiłkiem. - Ja umieram, June. Nie nadaję się dla ciebie. Radzę sobie dobrze do chwili, gdy cię widzę. Potem wszystko się zmienia. Myślę sobie, że już mi na tobie nie zależy, że wszystko potoczy się łatwiej, gdy znajdziesz się daleko, a potem znów się spotykamy, a ty...

Przerywa i patrzy na mnie. Udręka w jego spojrzeniu tnie mi serce niczym nóż.

- Czemu ja to sobie robię? Widzę cię i czuję taką...

W jego oczach pojawiają się łzy. Nie mogę tego znieść. Day odsuwa się ode mnie o dwa kroki i zawraca niczym zwierzę w klatce.

- Czy ty w ogóle mnie kochasz? - pyta zniecierpliwiona i łapie mnie za ramiona. - Wyznałem ci kiedyś miłość i nadal ją czuję. Ale ty nigdy nie odpowiedziałaś mi tym samym. Nie wiem tego! Dostałem natomiast od ciebie pierścionek - unosi przy tych słowach rękę - i nie mam pojęcia, co mam o tym wszystkim myśleć!

Podchodzi bliżej, aż jego usta znajdują się tuż przy moim uchu. Moje ciało drży.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę - pyta cicho, ochryplym głosem przepelnionym rozpaczą. - Czy ty wiesz, jak bardzo bym... jak bardzo marzę, by...

Odsuwa się, by móc mi spojrzeć z rozpaczą w oczy.

- Jeśli mnie nie kochasz, po prostu powiedz to. Musisz mi pomóc. Przypuszczalnie wyjdzie nam to na dobre. Łatwiej mi będzie trzymać się od ciebie z daleka, prawda? Łatwiej byłoby mi zrezygnować.

Słucham go i mam wrażenie, że próbuje przekonać sam siebie.

- Zniknę, jeśli mnie nie kochasz.

Jego zdaniem to ja jestem tą silniejszą. Myli się. Ja też sobie z tym nie radzę.

- Nie - mówię przez zaciśnięte zęby. Świat wokół mnie jest zamglony i rozmazany. - Nie mogę ci pomóc. Bo ja też cię Kocham.

Udało się. Powiedziałam to.

- Kocham cię - powtarzam.

W oczach Daya tańczą sprzeczne emocje - radość ściera się z żalem - przez co nagle wydaje się słaby i bezbronny. Uświadamiam sobie, że nie potrafi się obronić przed moimi słowami.

„Kocha całym sobą. Taka jest jego natura”.

Naraz mruga, szukając właściwej odpowiedzi.

- Ja... - waha się. - Ja tak bardzo się boję. Boję się tego, co może się stać...

Przykładam mu palce do ust, chcąc powstrzymać jego słowa.

- Strach czyni cię silniejszym - szepczę, a potem bez namysłu ujmuję jego twarz w dwie dłonie i przyciskam usta do jego ust.

Resztki murów, które wzniósł wokół siebie, wałęsa się w gruzy. Całuje mnie łapczywie, nie mogąc się powstrzymać. Czuję jego dłonie na swojej twarzy - jedna jest gładka, a druga owinięta bandażami. Potem niespodziewanie łapie mnie w tali i przyciąga tak blisko, że z moich ust wyrывa się cichy okrzyk. Nikt nie może się z nim równać. W tej chwili osiągnęłam równowagę. Mam wszystko, czego potrzebuję.

Cofamy się do salonu. Nasze usta nie rozłączają się ani na moment. Day potyka się, traci równowagę, oboje padamy na moje łóżko. Jego ciało przygniata mnie, na moment tracę dech. Jego dłonie pieczą moją twarz i szyję, gładzą plecy, dotykają nóg. Zrywam jego kurtkę. Day przerywa na sekundę nasz pocałunek, by wpić się w moją szyję. Jego włosy pieczą skórę mych ramion, łagodniejsze od najdelikatniejszego jedwabiu. W końcu odnajduje guziki mojej koszuli. Ja już zdążyłam rozpiąć jego i odkrywam, że jego skóra jest gorąca. Rozgrzewa mnie. Rozkoszuję się ciężarem jego ciała na sobie.

Żadne z nas nie przerywa ciszy. Boimy się, że słowa nas powstrzymają, że skruszą czar, który nas połączył. Oboje drżymy. Nagle uświadamiam sobie, że z pewnością jest tak samo spięty jak ja. Uśmiecham się, gdy spogląda mi w oczy i nagle odwraca wzrok.

„Day jest nieśmiały?”.

Cóż za przedziwne, nowe uczucie, całkowicie nie na miejscu, a

mimo to pasujące do sytuacji. Odkrycie to przynosi mi ulgę, bo sama czuję gorący rumieniec na policzkach. Niespodziewanie czuję pokusę, by zakryć nagie ciało. Czasami wyobrażałam sobie chwilę, gdy znajdziemy się razem w łóżku po raz pierwszy.

„Kocham go”.

Raz za razem powtarzam nowe słowa w głowie, jednocześnie zaskoczona i zdumiona ich znaczeniem. On tu jest. Jest prawdziwy.

Nawet w chwili tak wielkiego uniesienia Day pozostaje delikatny, lecz jego delikatność różni się od tej, którą wyczuwam w pobliżu Andena. Młody Elektor to uosobienie stosowności i elegancji, a Day jest nieokrzesany, niepewny, ale otwarty i czysty. Gdy patrzę na niego, zauważam delikatny uśmiech w kąciku ust, ledwie zauważalny, lecz psotny. Moja namiętność rośnie. Day pieści mą szyję, aż po plecach spływają mi dreszcze. Wzdycha przy moim uchu z taką ulgą, że serce bije mi coraz mocniej. Rozumiem te westchnienia – wiem, że wyzwala się właśnie ze wszystkich mrocznych emocji, które go prześladują.

Pograżamy się w kolejnym pocałunku. Wbijam dłonie w jego włosy, by wiedział, że wszystko ze mną w porządku. Powoli się odpręża. Wciągam powietrze, gdy przesuwa się przy mnie. Jego oczy błyszczą tak bardzo, że mogę w nich zatonać. Day całuje moje policzki i zakłada mi niesforne kosmyki włosów za uszy. Ja zaś zarzucam mu ramiona na plecy i przyciągam go do siebie.

Bez względu na to, co się wydarzy w przyszłości, bez względu na to, gdzie trafimy, ten moment na zawsze pozostanie nasz.

Po wszystkim również nic nie mówimy. Day leży obok mnie przykrywając kocem nogi, pograżony w półśnie. Nadal trzyma mnie za rękę, jakby wciąż szukał pokrzepienia. Rozglądam się dookoła. Kołdra zwisa z łóżka, a fałdki na pomarszczonych prześcieradłach przypominają promyki małych słońc. Moja poduszka jest wygnieciona, a na podłodze leżą okruchy szkła i płatki kwiatów. Nie zauważyłam nawet, że strąciliśmy wazon z kredensu. Nie usłyszałam, jak roztrzaskuje się o panele z drzewa wiśniowego. Znow spoglądam na Daya. Jego twarz w półmroku nocy wydaje się wreszcie pełna spokoju i wolna od bólu. Nie ma już otwartych ust, nie ściąga brwi, przestał się trząść. Jego twarz okalają luźne kosmyki włosów, kilka z nich odbija blask miasta z zewnątrz. Przysuwam się ostrożnie i przesuвам palce po jego mięśniach.

Ostrożnie całuję go w policzek.

Otwiera oczy i mruga zaspany. Wpatruje się we mnie przez długą chwilę. Zastanawiam się, co widzi i czy wciąż prześladuje go ból, radość i strach, które wyczułam w nim wcześniej. Pochyla się, by obdarzyć mnie najdelikatniejszym pocałunkiem na świecie. Jego usta uparcie trwają przy moich. Ja też nie chcę, by przestawał. Nie chcę nawet myśleć o przebudzeniu. Nie waha się, gdy przyciągam go do siebie ponownie. Jest spragniony miłości, a ja myślę tylko o tym, jak bardzo jestem mu wdzięczna za ciszę. Nie chcę usłyszeć, że nie powinnam nas łączyć.

# DAY

TO NIE JEST TAK, ŻE NIE MAM ŻADNEGO DOŚWIADCZENIA z dziewczynami. Po raz pierwszy całowałem się, gdy miałem dwanaście lat. Moją wybraną była szesnastolatka, która w zamian za pocałunek nie wydała mnie patrolowi policji miejskiej. Potem kręciłem z wieloma laskami z slumsach i kilkoma z bogatych dzielnic. Była wśród nich nawet jedna licealistka, z którą chodziłem, gdy miałem czternaście lat. Była naprawdę fajna – miała króciutkie, jasnobrązowe włosy i gładką oliwkową skórę. Każdego popołudnia zakradaliśmy się do piwnicy w jej szkole, a tam... Cóż, dobrze się bawiliśmy. Długa historia.

Ale June...

Zgodnie z obawami moje serce zostało rozdarte na strzępy i nie mam już w sobie siły, by próbować je poskładać. Rozpadły się wszystkie bariery, które wzniosłem wokół siebie, przysły resztki zdecydowania, z jakim tłumiałem uczucia wobec niej. W niebieskawym mroku nocy wyciągam dłoń i przesuwam wzdłuż jej ciała. Wciąż oddycham płytko. Nie chcę być tym, który odezwie się jako pierwszy. Przyciskam klatkę piersiową do jej pleców i obejmuję ramieniem jej talię. Włosy June spływają z szyi niczym ciemna, lśniąca lina. Przytulam twarz do jej gładkiej skóry. Przez mą głowę przemykają miliony myśli, ale milczę tak jak ona.

Po prostu nie mam nic do powiedzenia.

\*\*\*

Zrywam się gwałtownie. Nie mogę złapać tchu. Rozglądam się dookoła jak szalony.

„Gdzie ja jestem?”

W łóżku June.

To był koszmar. Tylko i wyłącznie koszmar. Uliczka w sektorze Lake znika, a wraz z nią kałuża krwi. Leżę przez moment, uspokajam oddech, czekam, aż serce zacznie wolniej bić. Jestem mokry od potu. Zerkam na June. Leży na boku, zwrócona ku mnie, a jej pierś nadal unosi się i opada rytmicznie. Nie obudziłem jej, całe szczęście. Zdrową dłonią pospiesznie ocieram twarz z łez, a potem leżę przez kilka minut, nadal drżąc. Wiem, że nie uda mi



się zasnąć z powrotem, a więc powoli siadam i otaczam ramionami kolana. Pochylam głowę i muskam rzesami skórę rąk. Czuję się taki słaby, zupełnie jakbym właśnie wspiął się na szczyt trzydziestopiętrowego wieżowca.

To był najgorszy koszmar, jaki mi się przytrafił. Przez dłuższą chwilę boję się mrugać, by wspomnienie nie powróciło nawet przez krótki moment przymknięcia oczu. Rozglądam się po pokoju. W moich oczach znów pojawiają się łzy, ocieram je ze złością. Która jest godzina? Na zewnątrz nadal jest ciemno, a mrok rozjaśnia jedynie emanacja odległego JumboTronu oraz lampy uliczne. Spoglądam na June i podziwiam kolory, układające się na jej skórze. Tym razem jednakże nie wyciągam ręki, by ją dotknąć.

Nie mam pojęcia, ile mija czasu. Siedzę i oddycham głęboko, aż z wolna zaczynam się uspokajać. Pot na moim ciele wysycha. Naraz mój wzrok przykuwa balkon. Wpatruję się w niego przez moment, nie mogąc oderwać oczu, po czym bezgłośnie wyslizguję się z łóżka i ubieram się. Związuję włosy w koński ogon i nakrywam je czapką. June porusza się nieco. Zamieram. Gdy znów zapada w sen, dopinam ostatnie guziki koszuli i podchodzę do szklanych drzwi. Pies June, śpiący w rogu pokoju, przekrzywia lekko łebek, ale nie wydaje żadnego dźwięku. Jestem mu dozgonnie wdzięczny. Bezgłośnie otwieram i zamykam za sobą drzwi balkonowe.

Wpełzam nie bez trudu na balustradę i przykucam niczym kot, by rozejrzeć się dookoła. Sektor Ruby bardzo się różni od tego, z którego pochodzę. Niby powróciłem do Los Angeles, ale nie rozpoznaję tego miejsca. Czyste, wypielęgnowane ulice, nowe, błyszczące JumboTrony, szerokie chodniki bez pęknięć i dziur. Nigdzie nie widać policjantów odciągających wrzeszczące sieroty od straganów ulicznych. Instynktownie spoglądam tam, gdzie leży sektor Lake. Nie widzę go stąd, ale czuję go. Wspomnienia, które mnie przebudziły i nakłoniły do powrotu, nadal są żywe. Czuję na palcu pierścionek wykonany ze spinaczy biurowych. Gdzieś na skraju mojej świadomości czai się ponury nastrój, zrodzony przez senny koszmar. Nie jestem w stanie się go pozbyć. Przeskakuję na drugą stronę balustrady i zwisam z gzymsu. W ciszy schodzę na dół, piętro po piętrze, aż moje buty uderzają o chodnik. Oddychając chrapliwie, zlewam się z mrokiem nocy.

Choć znajduję się w bogatym sektorze, nawet tu zdarzają się

teraz patrole policji miejskiej. Funkcjonariusze chodzą po ulicach z bronią gotową do strzału, jakby byli przygotowani na nieoczekiwany atak Kolonii. Trzymam się od nich z daleka, by uniknąć wszelkich pytań. Wracam do starych przyzwyczajzeń ulicznych – przemykam bocznymi zaułkami i przeskakuję z jednej plamy cienia w drugą, aż docieram do stacji kolejowej i stojącego przed nią rzędu dżipów. Ignoruję samochody – nie mam nastroju na pogawędkę z kierowcą, który mógłby mnie rozpoznać i następnego dnia rano rozpuścić plotki. Wchodzę na stację i czekam na pociąg, który jedzie na stację Union Station na przedmieściach.

Pół godziny później wysiadam i w milczeniu zmierzam przed siebie, aż docieram do domu mamy. Szczeliny w drogach przydają się tylko do jednego – tu i ówdzie wyrastają w nich kępki kwiatów. Przechodząc obok jednej plamki turkusowego i zieleni, nachyliłam się odruchowo i zrywam kilka z nich. Mama je uwielbiała.

– Hej, ty! Chłopcze!

Odwracam się, by zobaczyć, kto mnie woła. Kobieta jest tak drobna, że zauważam ją dopiero po chwili. To staruszka, oparta o ścianę zabitego deskami budynku, drżąca z zimna w nocnym powietrzu. Jest bardzo przygarbiona, a jej twarz pokrywają głębokie zmarszczki. Ubranie ma tak postrzępione, że nie wiem, gdzie się kończy jedna rzecz i zaczyna druga – wygląda, jakby miała na sobie jedną wielką szmatę. U jej brudnych stop stoi popękany kubek, ale moją uwagę przykuwają przede wszystkim jej dłonie, owinięte w grube bandaże. Zupełnie jak dłonie mamy. Widzi, że ją zauważyłem i w jej oczach błyska wątła nadzieja. Nie wiem, czy mnie rozpoznaje, ale odnoszę wrażenie, że nie widzi zbyt dobrze.

– Masz może jakieś drobne, młody człowieku? – chrypi.

Grzebię w kieszeniach, aż natrafiam na niewielki zwitek banknotów. Osiemset kredytów Republiki. Jakiś czas temu bez wątplenia naraziłbym się na niebezpieczeństwo, by zdobyć taką sumę. Pochyliłam się nad staruszką, wsuwam jej banknoty w drżące ręce i mocno ściskam jej zabandażowane dłonie.

– Niech pani dobrze je schowa. I proszę nic nikomu nie mówić.

Patrzy na mnie wstrząśnięta, z szeroko otwartymi ustami. Wstaję i ruszam przed siebie. Chyba coś woła za mną, ale nie chcę się odwracać. Nie chcę znów patrzeć na jej zabandażowane dłonie.

Kilka minut później docieram na skrzyżowanie Watson oraz Figueroa, gdzie stoi mój stary dom.

Ulica nie zmieniła się wiele, ale mój dom został porzucony, a drzwi i okna zabito deskami. Niewiele się różni od innych budynków w biednych sektorach. Zastanawiam się, czy mieszkają tam jacyś dzicy lokatorzy, stłoczeni w sypialni czy na podłodze w kuchni. W środku nie palą się żadne światła. Podchodzę powoli bliżej. W myślach pytam sam siebie, czy nadal trwam zagubiony w swoim koszmarze. Może wcale się nie obudziłem? Ulicy nie przegradzają taśmy ostrzegające przed kwarantanną, nie widzę nigdzie oddziałów zwalczających skutki epidemii. Na pokruszonym, betonowym chodniku prowadzącym w stronę domu nadal widać starą plamę krwi. Jest teraz brązowa i spłowiała, tak różna od tej, którą zapamiętałem. Wpatruję się w nią bez emocji, a potem obchodzę ją i idę dalej. Zaciskam dłonie na bukietu zerwanych kwiatków.

Gdy podchodzę do drzwi frontowych, zauważam, że nadal znajduje się na nich dobrze mi znane „X”, choć również spłowiało, a farba tu i ówdzie zaczęła kruszeć. Do framugi przybito kilkanaście desek wykonanych z nadgniętego drewna. Stoję tam przez moment i przesuwam palec po płowiejącej farbie. Po kilku minutach otrząsam się z zamyślenia i idę na tył domu. Płot jest częściowo przewrócony, a nasze niewielkie podwórko jest odsłonięte przed sąsiadami. Tylne drzwi również zabito deskami, ale są tak przegniłe, że bez trudu można je zerwać. Trzeszczą, gdy je wyciągam.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka, zdejmując przy tym czapkę. Włosy rozsypują mi się na plecach. Mama zawsze kazała nam zdejmować czapki w domu. Mój wzrok szybko przyzwyczaja się do ciemności. Robię kilka cichych kroków i staję na skraju naszego niewielkiego salonu. Służby bezpieczeństwa zabezpieczyły nasz dom w ramach jakiejś standardowej procedury, ale nie ruszono umeblowania. Jedyna różnica polega na tym, że wszystkie sprzęty są pokryte grubą warstwą kurzu. Skromny dobytek naszej rodziny nadal jest tutaj, dokładnie tam, gdzie był. Na honorowym miejscu przeciwległej ściany nadal wisi portret poprzedniego Elektora, a pod nogą naszego niewielkiego, drewnianego stołu jadalnianego znajdują się kartonowe podkładki, utrzymujące go w równowadze.

Jedno z krzeseł leży na ziemi, jakby zostało przewrócone przez człowieka wstającego w pośpiechu.

„To na pewno był John” – przypominam sobie.

Pamiętam, jak wszyscy pobiegliśmy do sypialni, by złapać Edena i wynieść go przed przybyciem wojska.

Sypialnia. Wystarczy parę kroków, bym stanął przed jej wąskimi drzwiami. Tak, tu też wszystko wygląda tak samo jak poprzednio. No, może przybyło pajęczyn. Owa roślinka, którą Eden kiedyś przyniósł do domu, nadal stoi w rogu, choć uschła. Liście i łodyżki poczerniały i skurczyły się. Stoję tam przez moment i przyglądam się jej, a potem wracam do salonu. Obchodzę stół jadalniany i siadam na moim starym krześle. Skrzypi jak zawsze.

Ostrożnie kładę bukiet kwiatków na blacie stołu. Na samym środku stoi nasza latarenka, ciemna, od dawna nie używana. Nasza codzienna rutyna wyglądała zazwyczaj tak: mama wracała do domu codziennie około szóstej, kilka godzin po tym, jak wracałem ze szkoły. John pojawiał się około dziewiątej lub dziesiątej. Mama zazwyczaj czekała z zapaleniem latarenki do jego powrotu. Wraz z Edenem codziennie czekaliśmy więc na „zapalenie lampki”, co oznaczało, że nasz starszy brat wszedł do domu. Mogliśmy wówczas zasiąść do kolacji.

Nie mam pojęcia, dlaczego siedzę tu teraz i łapię się na tym, że czekam, aż mama wyjdzie z kuchni i zapali lampkę. Nie wiem, skąd się bierze we mnie radość na myśl, że John wróci do domu i razem zjemy kolację. Stare, głupie przyzwyczajenia. Mimo to wciąż oglądam się na frontowe drzwi. Wciąż czuję nadzieję.

Nikt jednak nie zapala latarenki. John nie wraca. Mamy nie ma w domu.

Opieram łokcie na stole i wciskam dłonie w oczodoły.

– Pomóżcie mi – szepczę z rozpaczą do pustego pokoju. – Nie dam sobie rady.

„Kocham ją, ale nie zniosę tego. Minał już prawie rok. Co się ze mną dzieje? Dlaczego nie mogę po prostu żyć dalej?”.

Coś mnie dławi. Po policzkach płyną łzy. Nie powstrzymuję ich, gdyż wiem, że to niemożliwe. Szlocham bez umiaru. Nie umiem się powstrzymać, nie mogę złapać oddechu, niczego nie widzę. Nie widzę mojej rodziny, ponieważ ich tu nie ma. Bez nich wszystkie te

meble są niczym, bukiet kwiatów leżący na stole jest pozbawiony znaczenia, a latarenka to tylko stary, poczerniały śmieć. Fragmenty mego koszmaru wciąż krążą wokół mnie. Nie umiem ich odepchnąć, choć staram się ze wszystkich sił.

Czas leczy wszystkie rany, ale ta jest chyba wyjątkiem.

# JUNE

NIE RUSZAM SIĘ, ALE PRZEZ PÓŁPRZYMKNIEŃTE POWIEKI widzę, że Day siedzi obok mnie i kryje twarz w ramionach. Oddycha ciężko. Siedem minut później wstaje cicho, spogląda na mnie i rusza ku drzwiom balkonowym. Porusza się jak zwykle bezszelestnie i gdybym nie przebudziła się w tej samej chwili co on, dręczony koszmarem, nie zorientowałabym się nawet, że wyszedł.

Wiem jednak o wszystkim i tym razem wstaję tuż po jego wyjściu. Nakładam na siebie jakieś rzeczy, naciągam buty i wychodzę w ślad za nim. Zimne powietrze nocy owiewa mą twarz. Księżyc maluje świat na ciemne srebro.

Pomimo wielkich problemów ze zdrowiem, Day nadal jest szybki, gdy tego chce. Doganiam go na Union Station i podążam w ślad za nim ulicami przedmieścia, ale serce bije mi równie mocno jak po porządnym treningu. Już wiem, dokąd zmierza. Wraca do starego domu rodzinnego. Patrzą, jak dociera do skrzyżowania Watson z Figueroa, skręca i wchodzi do niewielkiego, zapieczętowanego domu ze spłóviałym znakiem X na drzwiach.

Wystarczyło się tu znaleźć, by zakręciło mi się w głowie od wspomnień. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co czuje Day. Ostrożnie podchodzę do zapieczętowanych okien, a potem nasłuchuję z uwagą. Wszedł przez tylne drzwi – ze środka dobiegają stłumione, ciche kroki. Wiem, że zatrzymał się w salonie. Chodzę od okna do okna, aż wreszcie znajduję takie ze szczeliną między deskami. Dostrzegam go dopiero po dłuższej chwili. Day siedzi w salonie z twarzą skrytą w dłoniach. Jest zbyt ciemno, by zauważyć jakiegokolwiek szczegóły, ale słyszę, że płacze. Jego ciałem wstrząsają konwulsje, a udręka zdaje się być wyryta w każdym zniszczonym mięśniu. Szloch Daya jest tak dziwnym odgłosem, że znów boli mnie serce. Widziałam już jego płacz, ale nie potrafię się do niego przyzwyczaić. Chyba nigdy mi się to nie uda. Unoszę dłonie i odkrywam, że po moich policzkach również płyną łzy.

„To moja wina. To ja wyrządziłam mu tyle krzywdy...”

Kocha mnie, a więc ten koszmar nigdy nie minie. Widząc mnie,

zawsze będzie sobie przypominał los swojej rodziny, nawet jeśli mnie kocha. Ba, zwłaszcza jeśli mnie kocha.

# DAY

TUŻ PRZED ŚWITEM WRACAM DO SYPIALNI JUNE. JESTEM WYKOŃCZONY i mam zapuchnięte oczy. Nadal leży na łóżku i wygląda na to, że spała przez całą noc. Nie próbuję ułożyć się obok niej. Padam na kanapę i zapadam w głęboki sen pozbawiony wszelkich majaków.

Budzi mnie June.

- Hej - szepcze.

Ku memu zdumieniu nie mówi ani słowa o moich oczach, które na pewno są czerwone i zapuchnięte. Nie wydaje się również zdziwiona tym, że leżę na kanapie, a nie w jej łóżku. Sama również wydaje się zmęczona.

- Ja... Ja już poinformowałam Andena o twojej decyzji. Powiedział mi, że zespół laboratoryjny odbierze ciebie oraz Edena z waszego mieszkania za dwie godziny.

W jej głosie wdzięczność miesza się ze znużeniem i niepewnością.

- Dobra, będę tam - mruczę.

Przez chwilę patrzę bezmyślnie przed siebie - wszystko wydaje mi się nierealne, czuję się, jakbym pływał w mglistym morzu, gdzie wszelkie emocje, obrazy i myśli są nieostre. Zmuszam się, by wstać z kanapy i udać się do łazienki. Tam rozpinam koszulę i obmywam twarz, pierś i ręce. Boję się spojrzeć w lustro. Nie chcę w nim ujrzeć wpatrującego się we mnie Johna. Ręce mi się trzęsą, rana na lewej dłoni otworzyła się i krwawi, przypuszczalnie dlatego, że zaciskam ją bez przerwy. Czy June widziała, jak wychodzę? Przypomina mi się chwila, gdy ujrzałem ją na czele oddziału żołnierzy przed domem mojej matki i przesywają mnie dreszcze. Potem przypominają mi się słowa Kanclerza, niebezpieczna sytuacja, w której znajduje się June, stan Tess, wyzwanie czekające na Edena.

Raz za razem obmywam twarz. Nie pomaga, a więc wskakuję pod prysznic i zalewam się strumieniami gorącej, parzącej wody, lecz nawet kąpiel nie odsuwa ode mnie mrocznych myśli. Wychodzę z łazienki z mokrymi włosami i niedopiętą koszulą, chorobliwie blady i drżący. June siedzi na skraju łóżka i popija czerwona



herbatę, przyglądając mi się uważnie. Wiem, że niczego przed nią nie ukryję, ale mimo to postanawiam spróbować.

- Jestem gotów - mówię i uśmiecham się najszczerzej jak potrafię. June nie zasłużyła na to, by oglądać ten rodzaj bólu na mej twarzy. Nie chcę, by myślała, że to ona jest jego powodem.

„Ona nie jest powodem moich cierpień” - napominam siebie ze złością.

June nie odzywa się jednak ani słowem i tylko patrzy na mnie swymi ciemnymi oczami.

- Dzwonił Anden - mówi i z wahaniem poprawia włosy. - Mają nowe dowody na to, że komandor Jameson jest odpowiedzialna za przekazywanie tajemnic państwowych Koloniom. Wygląda na to, że pracuje teraz dla nich.

Wśród moich kotłujących się emocji narasta nienawiść. Gdyby nie Jameson, układy między mną i June wyglądałyby nieco lepiej. Może nasze rodziny wciąż żyłyby? Nie wiem. Nigdy się tego nie dowiemy. Powinna nie żyć, a tymczasem ma się dobrze i pracuje dla wroga. Przeklinam cicho.

- Czy można jakoś ustalić, gdzie się teraz znajduje? Czy przebywa na terenie Republiki?

- Nikt tego nie wie. - June kręci głową. - Anden twierdzi, że próbują ją znaleźć przez coś, co można namierzyć, ale już dawno pozbyła się więziennego stroju i butów z urządzeniem namiarowym.

Widząc frustrację na mojej twarzy, June uśmiecha się ze współczuciem. Jameson przecież skrzywdziła nas oboje.

- Wiem, co czujesz - mówi, odstawia filiżankę i ściska mą zdrową dłoń.

Jej dotyk wyzwala serię gwałtownych wspomnień. Nie mogę powstrzymać grymasu na twarzy. June zamiera i przez chwilę widzę głęboki ból w jej oczach. Pospiesznie całuję ją, usiłując w ten sposób zatuszować błąd, ale nigdy nie byłem dobrym kłamcą, zwłaszcza przy niej. June robi krok w tył.

- Przepraszam - szepcze.

- Nic się nie stało - mówię pospiesznie, zły na siebie za to, że znów rozdrapuję stare rany. - To przecież nie...

- Przestań. - June zmusza się, by spojrzeć na mnie. - Wiem, gdzie

byłeś w nocy. Poszłam za tobą i zobaczyłam cię w...

Jej głos cichnie, a sama opuszcza wzrok, jakby pożerała ją wina.

- Przepraszam, że cię śledziłam, ale musiałam się dowiedzieć wszystkiego. Musiałam zyskać pewność, że to ja jestem przyczyną bólu w twoich oczach.

Chcę ją zapewnić, że to nie ona jest przyczyną tego wszystkiego. Chcę jej powiedzieć, że kocham ją tak mocno, że aż boję się tego uczucia, ale nie potrafię. June widzi moje wahanie i wie, że to tylko potwierdzenie jej obaw. Przygryza wargę.

- To moja wina - mówi, jakby całe to zamieszanie można było sprowadzić do prostej logiki. - Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam zasłużyć na twoje przebaczenie. Nie powinnam, w każdym razie.

- Nie wiem, co począć - mówię. Moje ręce zwisają bezsilnie. Przez mój umysł znów płyną koszmarne wyobrażenia i mimo najszczerzych chęci nie umiem ich zatrzymać. - Nie wiem, jak to zrobić.

Oczy June są zaszkłone łzami, ale udaje się jej powstrzymać płacz. Czy jeden błąd w istocie może zniszczyć całe życie?

- Chyba nie ma sposobu - mówi.

Podchodzę do niej.

- Hej - szepczę jej do ucha. - Wszystko będzie dobrze.

Nie mam co do tego pewności, ale wydaje mi się, że dobrze jest coś takiego powiedzieć. June uśmiecha się, przyłączając do owej gry pozorów, ale w jej oczach widzę to samo zwątpienie co u mnie.

Kolejny dzień zapowiedzianego przez Kolonie wstrzymania ognia. Ostatnim miejscem, które chcę odwiedzić, jest piętro laboratoryjne w Głównym Szpitalu w Bank Tower w Los Angeles. Patrzenie na Tess, trzymaną za szklanymi ścianami, podłączoną do aparatury, która wstrzykuje jej chemię do krwioobiegu, jest dla mnie wystarczającą torturą. Teraz wracam tam wraz z Edenem i będę musiał patrzeć na to samo z nim w roli głównej. Szykujemy się, by zejść do dżipa czekającego przed przydzielonym nam tymczasowo mieszkaniem, gdy klękam przed bratem i poprawiam jego okulary. Patrzy na mnie z powagą.

- Nie musisz tego robić - powtarzam.

- Wiem - odpowiada Eden i niecierpliwie odsuwa mą dłoń, gdy próbuję zdjąć jakiś kłaczek z jego kurtki. - Nic mi nie będzie. Powiedzieli mi, że nie zabierze to nawet całego dnia.

Anden nie jest w stanie zagwarantować jego bezpieczeństwa. Może jedynie obiecać, że podejmą wszystkie środki ostrożności. Słowa pokrzepienia, które padają z ust przywódcy Republiki - nawet takiego, któremu zacząłem niechętnie ufać - nie mają najmniejszego znaczenia. Wzdycham.

- Jeśli w którymkolwiek momencie zmienisz zdanie, daj mi znać, co?

- Nie martw się, Danielu. - Eden kwituje całą sprawę wzruszeniem ramion. - Nic mi nie będzie. Powrót do szpitala wcale nie wydaje mi się straszny. Przynajmniej tym razem ty tam będziesz.

- Jasne. Przynajmniej tam będę - powtarzam odruchowo. Lucy narzeka na jego rozczochrane włosy. Znow przypomina mi się mama. Zamykam oczy i oczyszczam myśli, a potem wyciągam rękę, by pacnąć Edena w nos.

- Czym szybciej zaczniesz - mówię do niego - tym prędzej wszystko dobiegnie końca. Kilka minut później wsiadam do wojskowego dżipa, a Edena zabiera karetka.

„Da radę” - powtarzam w myślach w drodze na czwarte piętro szpitala. Pracownicy laboratorium prowadzą mnie do pomieszczenia z grubymi szklanymi oknami.

„Jeśli jemu się to uda, ja też dam sobie radę”.

Mimo to mam spocone dłonie. Zaciskam je mocno, by powstrzymać ciągłe drżenie i mą skaleczoną dłoń przeszywa ból. Eden już znalazł się w środku szklanego pomieszczenia. Jego jasne loki są nadal potargane pomimo wysiłków Lucy. Jest bosy i ma na sobie cieniutką, czerwoną piżamę pacjenta. Para techników pomaga mu usiąść na długim, białym łóżku, a jeden z nich podwija mu rękaw, by zmierzyć ciśnienie krwi. Eden krzywi się, gdy chłodna, gumowa opaska dotyka jego ramienia.

- Spokojnie, mały - mówi technik. Szkło tłumi jego słowa. - Nabierz głęboko powietrza.

- Okej - odpowiada cicho Eden. Wydaje się przy nich taki drobny. Jego stopy nawet nie sięgają ziemi. Macha nimi bez troski

i wpatruje się w oddzielające nas okno, szukając mnie. Zaciskam i rozprostowuję pięści, a potem przytykam je do szyby.

Los całego kraju spoczywa teraz na barkach mojego małego brata. Gdyby mama, tata bądź John dowiedzieli się o wszystkim, pewnie wybuchliby śmiechem. W życiu nie słyszałem o bardziej absurdalnej sytuacji.

- Nic mu nie będzie - szepcze stojący przy mnie technik, chcąc mi dodać otuchy, choć nie jest bardzo przekonujący. - Dzisiejsze procedury nie będą bardzo bolesne. Musimy pobrać kilka próbek krwi i podać mu trochę leków. Posłaliśmy również kilka próbek do laboratoriów na Antarktydzie.

- Mam się teraz poczuć lepiej, tak? - parskam. - Dzisiejsze procedury nie będą bolesne, tak? A co z jutrzejszymi?

Laborant unosi dłonie w obronnym geście.

- Przepraszam - mówi. - To nie miało tak zabrzmieć. Twojemu bratu nic nie będzie, obiecuję. Nie będzie żadnego bólu. Ewentualnie może się czuć nieswojo po przyjęciu leków, ale podjęliśmy wszelkie środki ostrożności. Ja... Ja mam tylko nadzieję, że nie złożysz na mnie raportu naszemu prześwietnemu Elektorowi.

A więc tym się głównie martwi? Tym, że w gniewie mogę pobiec do Andena i naskarżyć na niego? Mrużę oczy.

- Nie złożę, o ile nie dasz mi powodu.

Laborant raz jeszcze przeprosza, ale przestaje się nim przejmować. Skupiam się teraz tylko i wyłącznie na Edenie. Pyta o coś jednego z techników, ale mówi tak cicho, że nie słyszę ani słowa. Ten kręci głową. Eden przęłyka ślinę, nerwowo spogląda w moim kierunku, a potem zaciska powieki. Inny laborant wyciąga strzykawkę i delikatnie wprowadza igłę do żyły w ramieniu Edena. Ten zaciska mocno zęby, ale nawet nie piśnie. Gdzieś u nasady odzywa się znajomy ból. Próbuję się uspokoić. Nie pomogę Edenowi, jeśli uwolnię ból głowy.

„To był jego wybór” - przypominam sobie. Niespodziewanie puchnę z dumy. Kiedy on dorósł? Mam wrażenie, że stało się to tak błyskawicznie, iż po prostu przeoczyłem tę chwilę.

Laborant w końcu wyciąga wypełnioną krwią strzykawkę. Smarują czymś ranę na ramieniu, a potem je bandażują. Drugi technik wsypuje memu bratu garstkę pigułek na dłoń.

- Przełknij je razem - przykazuje mu. Eden wypełnia polecenie.
- Są trochę gorzkie. Lepiej połknąć je wszystkie naraz.

Eden krzywi się i pokasłuje, ale udaje mu się je połknąć wraz z kilkoma łykami wody. Potem kładzie się na łóżko, a technicy przysuwają go do cylindrycznej maszyny. Nie pamiętam, jak się nazywa, choć powiedzieli mi to niecałą godzinę temu. Powoli wtaczają łóżko z moim bratem do środka, aż widzę tylko jego bosa stopy. Powoli odklejam dłonie od okna. Jakąś minutę później moje serce przeszywa spazm, gdy słyszę krzyk Edena ze środka maszyny. Coś musi go boleć. Zaciskam zęby z taką siłą, że zaraz złamię żuchwę.

Mam wrażenie, że upłynęła cała wieczność, gdy jeden z laborantów gestem daje mi znać, bym wszedł do środka. Natychmiast odpycham techników stojących obok mnie i wchodzę do szklanego pomieszczenia. Eden siedzi na skraju białego łóżka. Uśmiecha się, gdy słyszy moje kroki.

- Nie było tak źle - mówi słabym głosem.

Ściskam jego dłoń.

- Świetnie sobie poradziłeś - mówię. - Jestem z ciebie dumny.

Nie przesadzam. Jestem naprawdę dumny. Nigdy nie byłem tak dumny z siebie, jak teraz jestem z niego. Cieszę się, że mi się sprzeciwił.

Jeden z laborantów pokazuje mi ekran, na którym widać coś, co przypomina powiększone ciało krwi Edena.

- Wygląda obiecująco - mówi. - Popracujemy nad tym i spróbujemy jeszcze dziś podać antidotum Tess. Jeśli dopisze nam szczęście, dziewczyna wytrzyma jeszcze jakieś pięć, sześć dni i pozwoli nam popracować.

Na jego twarzy widać śmiertelną powagę, choć słowa budzą nadzieję. To dziwne połączenie wywołuje u mnie dreszcze. Mocniej ściskam dłoń Edena.

- Nie zostało nam wiele czasu - mówi cicho mój brat, gdy zostajemy sami. - Co zrobimy, jeśli nie odnajdą lekarstwa?

- Nie wiem - przyznaję.

Nie mam ochoty teraz o tym myśleć, bo czuję się wówczas bardzo bezradny. Jeśli nie odkryjemy antidotum, nie mamy co liczyć na

międzynarodową pomoc. Jeśli nie otrzymamy pomocy, nie będziemy w stanie odeprzeć Kolonii. A jeśli nasz wróg odniesie zwycięstwo... Dobrze pamiętam, jak wygląda życie po drugiej stronie granicy. Pamiętam też słowa Kanclerza: „Jeśli się zgodzisz, możemy rozpocząć współpracę. Zwykli ludzie nigdy nie wiedzą, co jest dla nich dobre. My jednakże dobrze to wiemy, prawda?”.

Muszę im jakoś przeszkodzić. Muszę znaleźć sposób, by spowolnić napór Kolonii i dać Antarktydom szansę na przyjście nam z pomocą.

- Będziemy po prostu musieli stawić im czoła - mówię Edenowi i mierzwię mu włosy. - Aż do samego końca. Przecież życie właśnie na tym polega, no nie?

- Dlaczego Republika nie może wygrać? - pyta Eden. - Zawsze sądziłem, że nasza armia jest najsilniejsza na świecie. Po raz pierwszy w życiu marzę o tym, by nasi rządzący mieli rację.

Uśmiecham się ze smutkiem, słysząc naiwne słowa mojego brata.

- Kolonie mają sojuszników - odpowiadam. - My zaś nie.

Jak mam mu to wytłumaczyć? Jak mam mu przekazać, że czuję się bezradny niczym zepsuta kukiełka, podczas gdy Anden prowadzi swych ludzi do boju, którego wygrać się nie da?

- Oni mają lepszą armię, a nam nie wystarcza żołnierzy.

Eden wzdycha i garbi się. Czuję ucisk w gardle na ten widok, ale narzucam sobie spokój. Byłoby mi wstyd, gdybym wybuchnął przed nim płaczem.

- Szkoda że nie wszyscy ludzie w Republice są żołnierzami - mówi cicho.

Otwieram oczy. „Szkoda że nie wszyscy ludzie w Republice są żołnierzami...”.

I nagle wiem, co robić. Wiem, jak odpowiedzieć na szantaż ze strony Kanclerza i jak przeszkodzić Koloniom. Umieram i nie zostało mi wiele czasu. Mój umysł przestaje funkcjonować i opuszczają mnie siły, ale stać mnie jeszcze na jedno. Wystarczy mi czasu na jeszcze jedną akcję.

- A może wszyscy ludzie w Republice mogą zostać żołnierzami? - odpowiadam cicho.

# JUNE

KAŻDY SZCZEGÓŁ MINIONEJ NOCY WYDAJE SIĘ SNEM, ALE poranek wygląda zupełnie inaczej. Nie mam wątpliwości, jak odebrać wzdrygnięcie Daya w chwili, gdy dotknęłam jego ramienia. Wystarczyło muśnięcie, by przeszył go gwałtowny dreszcz. Serce nadal mnie boli, gdy wychodzę z mieszkania i kieruję się do zaparkowanego dzipa. Mam spędzić poranek w Senacie. Próbuję zapomnieć o Dayu, ale to niemożliwe. Spotkanie w Senacie wydaje się kompletną stratą czasu – Kolonie wraz z sojusznikami spychają nasze wojska, Antarktyda odmawia pomocy, komandor Jameson wciąż przebywa na wolności, a ja mam siedzieć i dyskutować o polityce. Mogłabym teraz – ba, powinnam! – być na froncie i robić to, do czego mnie wyszkolono! Zresztą, co ja im wszystkim powiem? Czy ktokolwiek będzie mnie słuchał?

Co my wszyscy poczniemy?

Nie. Muszę się skupić. Muszę pomóc Andenowi, gdy ten podejmie kolejną próbę negocjacji z kanclerzem Kolonii i prezydentami korporacji. Oboje wiemy, że niczego w ten sposób nie osiągniemy. Do przełomu w działaniach wojennych może doprowadzić jedynie odkrycie antidotum, ale nawet to może nie wystarczyć, by powstrzymać napór Kolonii. Mimo to musimy próbować. Może pozwoli Patriotom na realizację ich planów, tym bardziej, że dobrze wie, jak bardzo Day angażuje się w ich działania.

Myśl o Dayu przywodzi wspomnienia minionej nocy. Na policzki wypływa mi gorący rumieniec, bynajmniej nie z powodu panującej tu pogody.

„Trudno o gorszy moment” – strofuję się w myślach i odpycham wspomnienie.

Ulice Los Angeles, zazwyczaj ruchliwe i zatłoczone, są teraz osobliwie puste, jakby miasto przygotowywało się na uderzenie sztormu. Porównanie zresztą wydaje się dość trafne.

Niespodziewanie nawiedza mnie dziwne przecucie. Po plecach wędruje mi dreszcz. Marszczę brwi. Co się dzieje? Ulice wydają się opuszczone, ale owo dziwne uczucie wywołuje u mnie gęsią skórę.

„Ktoś mnie śledzi”.

Pomysł wydaje się absurdalny, ale mimo to zaciskam zęby i kładę dłoń na rękojeść broni. Może przesadzam, może mi odbija, ale przecież Day ostrzegał, że Kolonie mogą mnie wykorzystać, by wyrzucić na niego nacisk bądź po prostu mają mnie na celowniku. Mimo to nie mam zamiaru zaniechać środków ostrożności. Opieram się o ścianę najbliższego budynku, by nikt nie zaskoczył mnie od tyłu i dzwonię do Andena. Im szybciej po mnie przyjedzie, tym lepiej.

A potem ją dostrzegam i przerywam połączenie. Jest dobrze zakamuflowana – ma na sobie podniszczony, niewyróżniający się mundur noszony przez nowych żołnierzy i czapkę, która przesłania jej twarz – ale pomimo odległości natychmiast rozpoznaję jej zimną, zaciętą twarz. To komandor Jameson.

Odwracam wzrok i udaję, że czegoś szukam w kieszeniach, ale serce bije mi jak szalone. Jest w Los Angeles, co oznacza, że jakoś udało jej się wydostać ze strefy walk w Denver i zmylić pościg Republiki. Czy to zbieg okoliczności, że obie znalazłyśmy się w tym samym miejscu? A może jest tutaj dlatego, że wie o mojej obecności? Kolonie. Z pewnością mają tu jeszcze innych szpiegów. Ręce mi drżą, gdy mijamy się po przeciwnych stronach ulicy. Nie daje tego po sobie poznać, ale wiem, że mnie zauważyła. Na pustej ulicy nie mogłaby mnie przeoczyć, a ja nawet nie próbuję się maskować.

Mija mnie. Pochylam lekko głowę i włączam mikrofon.

– Widzę ją – melduję Andenowi. – Jest tutaj. Komandor Jameson jest w Los Angeles.

Mój głos jest tak cichy i stłumiony, że Anden ma trudności ze zrozumieniem mnie.

– Widzisz ją? – pyta z niedowierzaniem. – Jest na tej samej ulicy co ty?

– Tak – odpowiadam szeptem. Staram się nie spuścić jej z oczu. – Być może to nie przypadek. Może chce się dowiedzieć, gdzie zawiezie mnie dzip albo próbuje znaleźć ciebie.

Dystans między nami się zwiększa, a ja nie mogę opanować pokusy, by ruszyć w ślad za nią. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuję, że mogę wykorzystać umiejętności agenta. Gdzieś mam politykę, znów mogę działać na ulicy. Gdy Jameson skręca w inną



ulicę, bez zastanowienia ruszam w ślad za nią. Dokąd zmierza?

- Jest na skrzyżowaniu Lake i Colorado - szepczę do Andena. - Kieruje się na północ. Wyślij tu oddział, ale nie spłoszcie jej. Chcę wiedzieć, dokąd zmierza.

Nie czekam na jego odpowiedź. Przerywam połączenie.

Przemykam wzdłuż ścian budynków, wykorzystując każdą plamę cienia. Skręcam w boczną uliczkę, by skrócić drogę do miejsca, w które kieruje się Jameson. Nie mam zamiaru wyglądać zza rogu, gdyż nie chcę zdradzić swej obecności. Zamiast tego ukrywam się i wyliczam czas. Jeśli Jameson nadal podąża w tym samym tempie i nie zmieniła kierunku, minęła wylot uliczki dobrą minutę temu.

Ostrożnie wyglądam na zewnątrz. Oczywiście już mnie minęła. Widzę jej plecy, ale dostrzegam coś jeszcze - Jameson mówi do mikrofonu.

Szkoda, że nie ma tu Daya. Od razu by wiedział, jak się przekraść, by nikt nas nie zauważył. Zastanawiam się przez chwilę, czy po niego nie zadzwonić, ale na pewno nie dotarłby tu na czas. Ruszam więc w ślad za Jameson samotnie. Śledzę ją przez cztery przecznice, aż docieramy do tej części Ruby, która graniczy z Batalla. Znajdują się tam dwie lub trzy przypominające piramidy bazy dla statków powietrznych. Tam Jameson skręca. Pospiesznie robię to samo, ale nigdzie jej nie widzę. Być może wiedziała, że jest śledzona, przecież ma o wiele więcej doświadczenia ode mnie. Spoglądam na dachy.

W słuchawce rozlega się trzeszczący głos Andena.

- Straciliśmy ją - potwierdza. - Ogłosiłem cichy alarm w lokalnych jednostkach. Mają zacząć jej szukać i natychmiast meldować. Na pewno nie uciekła daleko.

- Zgadza się - mówię, ale moje ramiona opadają. Znikła bez śladu. Z kim rozmawiała?

Rozglądam się bacznie, próbując ustalić, czego Jameson tu szukała. Może prowadziła rozpoznanie? Niepokoi mnie ta myśl.

- Wracam - szepczę w końcu do mikrofonu. - Jeśli moje podejrzenia są słuszne, możemy...

Świst powietrza. Oślepiający rozbłysk. Coś wybucha tuż przed moimi oczami. Instynktownie rzucam się na ziemię i kryję za

koszem na śmieci.

„Co to było?”.

„Pocisk” - odpowiadam sama sobie. Patrę na ścianę i dostrzegam brakujący kawałek cegły. Ktoś próbował mnie zastrzelić. Gdybym nagle się nie odwróciła, by udać w drogę powrotną, leżałabym teraz martwa. Jak szalona próbuję znów połączyć się z Andenem. Krew huczy mi w uszach niczym fala przybojowa. Panika wyklucza jakiegokolwiek logiczne myślenie. Kolejny pocisk odbija się rykoszetem od metalowego elementu kosza na śmieci. Nie ma wątpliwości. Ktoś chce mnie zabić.

Przerywam połączenie. Skąd strzela Jameson? Czy jest sama? Czy może towarzyszą jej żołnierze Kolonii czy zdrajcy z Republiki? Nie mam pojęcia. Niczego nie słyszę i niczego nie widzę...

Niespodziewanie strach rozpędza głos Metiasa:

„Uspokój się, Pchełko. Tylko zdrowy rozsądek może cię uratować. Skup się, myśl, działaj”.

Zamykam oczy, z drzeniem wciągam powietrze i przez sekundę wyciszam umysł. Koncentruję się na głosie mego brata. Nie ma czasu na panikę. Nigdy nie pozwalałam, by zapanowały nade mną emocje i na pewno nie pozwolę na to teraz.

„Myśl, June. Nie wygłupiaj się”.

Po roku życia w traumie, po miesiącach politycznych sporów, po kilku dniach wojny i śmierci zaczynam podejrzewać wszystko i wszystkich. Oto jak Kolonie mogą nas załatwić - nie sojusznikami czy nowoczesną bronią, ale propagandą, strachem i rozpaczą.

Panika ulatnia się, a w jej miejsce pojawia się logiczne myślenie.

Najpierw wyciągam broń z kabury, a potem udaję, że chcę wyskoczyć z kosza na śmieci. Wybieg przynosi rezultat - nieznany strzelec pociąga za spust po raz kolejny. Rozbłysk! Pocisk odbija się od ceglanego muru, do którego przyłgnęłam plecami. Patrę na ślad po kuli i od razu wiem, skąd nadleciała. Na pewno nie z dachu - kąt jest zbyt ostry. Strzał oddano z czwartego, może piątego piętra i to nie z budynku dokładnie naprzeciwko mnie, ale z kolejnego. Przyglądam się oknom. Niektóre są otwarte. W pierwszej chwili chcę otworzyć ogień w ich kierunku, ale potem przypominam sobie, że mogłabym kogoś skrzywdzić przez przypadek. Przyglądam się więc budynkowi. Przypomina stację nadawczą bądź instalację

wojskową. Znajduje się tak blisko bazy statków powietrznych, że być może stąd kieruje się ich ruchami.

Co ona wyczynia? Jaki ma to związek z bazami sił powietrznych? Czy Kolonie planują zaatakować je z zaskoczenia?

Włączam mikrofon i wywołuję kod Elektora.

- Anden - szepczę. - Wyciągnijcie mnie stąd. Namierzcie moją broń.

Nie słyszę jednak odpowiedzi, bo ułamek sekundy później tuż nad moją głową uderza kolejna kula. Tym razem odskakuję i rozpląszczam się pod koszem na śmieci. Gdy otwieram oczy, widzę lodowatą twarz komandor Jameson.

Chce mnie złapać za nadgarstek.

Jestem szybsza. Wyskakuję spod kosza, obracam się i wymierzam w nią broń, ale komandor jest już kilka kroków dalej i również mierzy do mnie. Sposób, w jaki trzyma broń, mówi mi, że nie chce mnie zabić.

„Dlaczego?” - pytanie przemyka przez mój umysł z prędkością światła, ale zaraz po nim pojawia się odpowiedź.

„Bo Kolonie potrzebują mnie żywej. Chcą ze mną negocjować”.

Jameson strzela, a ja przetaczam się na ziemi. Kula chyba mojej nogi o cal. Zrywam się, celuję i strzelam. Chybiam o włos. Jameson kryje się za koszem. Znow usiłuję połączyć się z Andenem i tym razem udaje mi się.

- Anden! - sapię do mikrofonu, odwracając się i rzucając dobiegu.  
- Zabierzcie mnie stąd!

- Pomoc jest w drodze - odpowiada Elektor.

Kryję się za rogiem, powietrze przecina kolejny pocisk, ostatni już. W tej samej chwili z piskiem opon hamuje przede mną wojskowy džip. Wyskakuje z niego dwóch żołnierzy, którzy natychmiast mnie zasłaniają, a dwóch innych biegnie ku komandor Jameson. Wiem, że jest już za późno, by ją złapać - na pewno rzuciła się już do ucieczki. Wszystko się kończy równie szybko, jak się zaczęło. Z pomocą żołnierzy wskakuję do samochodu i padam na fotel, gdy auto rusza ostro. Adrenalina huczy mi w żyłach, nie mogę opanować drżenia.

- Nic pani nie jest? - pyta jeden z żołnierzy, ale jego głos wydaje

się bardzo odległy. Myślę tylko o znaczeniu tego spotkania. Komandor Jameson wiedziała, że będę czekać na samochód na tej przecznicy. Pozwoliła mi się ujrzyć, by zwabić mnie w zasadzkę. Jej obecność w bazie statków powietrznych również nie jest zbiegiem okoliczności. Przekazuje Kolonom informacje o naszych ruchach. W naszych szeregach przypuszczalnie kryją się inni żołnierze Kolonii - przecież Jameson jest poszukiwanym zbiegiem. Nie mogłaby się przemieszczać bez czyjejs pomocy. Dysponuje natomiast wielkim doświadczeniem i gdyby urządzono za nią pościg, byłaby w stanie zwodzić go do czasu przybycia Kolonii.

„Do czasu przybycia Kolonii”.

Wybrali kolejny cel ataku. Los Angeles.

W słuchawce odzywa się Anden.

- Już do ciebie jadę - mówi z niepokojem. - Nic ci się nie stało? Moi ludzie zawiozą cię prosto do Batalla Hall, gdzie przejmie cię silna eskorta i...

- Ona przekazuje im informacje o naszych bazach - przerywam mu drżącym głosem. - Kolonie szykują się do ataku na Los Angeles.

# DAY

DOWIADUJĘ SIĘ O JUNE W CHWILI, GDY SIEDZĘ Z EDENEM, który wreszcie zasnął po serii eksperymentów. Chmury otulają miasto, jest szaro i ponuro. To dobrze. To właściwy moment, by otrzymać wiadomość o komandor Jameson i jej próbie zastrzelenia June. Nie wiedziałbym jak na nią zareagować w słoneczny dzień. Chmury idealnie mi pasują.

Czekam niecierpliwie, aż June przybędzie do szpitala, a póki co wpatruję się w Tess przez okno w drzwiach. Nadal otaczają ją pracownicy laboratorium i nadzorują jej funkcje życiowe niczym cholerne sępy z dawnego programu historycznego. Kręcę głową z dezaprobatą. Nie powinienem ich osądzać tak ostro. Przecież wcześniej tego dnia pozwolili mi założyć skafander, usiąść przy Tess i trzymać ją za rękę. Była oczywiście nieprzytomna, ale na pewno czuła moje palce zaciskające się na jej dłoni. Wie, że tu jestem i czekam na antidotum.

Wygląda na to, że zespół laboratoryjny wstrzykuje jej teraz jakąś substancję sporządzoną na bazie czerwonych krwinek Edena. Nie mam pojęcia, co wydarzy się później. Ich twarze zakrywają połyskliwe szklane maski, dzięki którym wyglądają jak obcy. Tess nadal ma zamknięte oczy, a jej skóra przybrała barwę niezdrowej żółci.

„Złapała wirusa rozprzestrzenianego przez Kolonie” – przypominam sobie. – „Nie, nie przez Kolonie. Przez Republikę”.

Mam coraz gorszą pamięć. Niech to szlag trafi.

Pascaso, Baxter i pozostali Patrioci również przebywają w szpitalu. A gdzie indziej mieliby się udać? Płyńcie minuta za minutą. Pascaso siada obok mnie i zaciera dłonie.

- Nieźle się trzyma - mówi cicho, nie spuszczając wzroku z Tess. - Słyszałem o innych źródłach epidemii w mieście. Trafiła do nas głównie dzięki uchodźcom. Widziałeś wiadomości na JumboTronach?

Kręcę głową i zaciskam zęby ze złością. Kiedy w końcu przybędzie June? Przecież mówili, że dotrze tu jakiś kwadrans temu!

- Nie ruszałem się ze szpitala.

Pascao wzdycha i trze twarz dłonią. Unika pytań o June. Przeprosiłbym go za moje zachowanie, ale jestem zbyt wściekły. Wszystko mi wisi.

- W Los Angeles ustanowiono trzy strefy kwarantanny. Jeśli nadal chcesz przeprowadzić swą małą akcję, musimy ruszać jutro.

- Nie potrzeba mi więcej czasu. Jeśli to, co słyszymy od June i Elektora, jest prawdą, jutro będzie najlepszy moment.

Sama myśl o tym, że kilka obszarów w obrębie Los Angeles zostało otoczonych kordonami sanitarnymi, budzi we mnie mroczną rozpacz. Wszystko tak źle się układa, a ja jestem potwornie zmęczony. Dość już mam martwienia się o wszystko. Dość mam myślenia o tym, czy moi bliscy przetrwają noc. Do tego nie mogę spać. Słowa, które Eden wypowiedział dziś rano, wciąż rozbrzmiewają mi w głowie. „A może wszyscy ludzie w Republice mogą zostać żołnierzami”. Muskam pierścionek ze spinaczy na moim palcu. Ciekawe, czy oszaleję do reszty, jeśli się okaże, że June została ranna. Mam wrażenie, że mój zdrowy rozsądek zawisł na włosku. Nie ma się chyba czemu dziwić, bo ból głowy nie ma dziś dla mnie litości. Przyzwyczajam się do tępego pulsowania z tyłu głowy.

„Tylko parę miesięcy” - myślę. - „Przecież lekarze powiedzieli, że wystarczy parę miesięcy. Być może leki poprawią mój stan na tyle, bym mógł poddać się operacji. Muszę się trzymać”.

Nie słysząc mojej odpowiedzi, Pascao odwraca jasne oczy ku mnie.

- To będzie niebezpieczne posunięcie - mówi. Ostrożnie dobiera słowa. - Na pewno zginie kilku cywili. Nie ma sposobu, by tego uniknąć.

- Nie mamy wyboru - odpowiadam, patrząc mu w oczy. - Ten kraj to spaczony twór, ale nadal ich ojczyzna. Musimy ich wezwać do walki.

Na korytarzu za naszymi plecami rozlegają się krzyki. Wraz z Pascao przerywamy rozmowę i nasłuchujemy. Wiem, że to niemożliwie, ale przysiągłbym, że usłyszałem Elektora. Dziwne. Nie jestem jego największym zwolennikiem, ale nie słyszałem, by kiedykolwiek stracił panowanie nad sobą.

Podwójne drzwi na końcu korytarza rozwierają się z hukiem i krzyki wdzierają się do środka. Anden wkracza wraz ze swoją eskortą, a u jego boku idzie June.

„June!”.

Zalewa mnie ulga. Zrywam się na równe nogi, a jej twarz rozjaśnia się na mój widok.

- Nic mi nie jest - mówi i ucisza mnie machnięciem ręki nim w ogóle otworzę usta. Wydaje się rozdrażniona. - Nie wiem, po co mnie tu przyciągnęli. Wszyscy są przewrażliwieni...

Gdzieś to mam. Łapię ją i ściskam mocno. Czuję, jak z serca spada mi ciężar, a w to miejsce napływa gniew.

- Jesteś Elektorem! - wrzeszczę na Andena. - Jesteś cholernym Elektorem Republiki! Nie możesz uchronić swojej własnej Princeps-Adeptki przed zamachem ze strony zbiegłego więźnia, którego nie potraficie nawet złapać? Kto u was robi za ochroniarzy? Banda kadetów pierwszego roku?

Anden wbija we mnie niebezpieczne spojrzenie, ale ku memu zdumieniu nie mówi ani słowa. Odsuwam się od June i ujmuję jej twarz w dłonie.

- Nic ci nie jest? - pytam niespokojnie. - Naprawdę nic ci nie jest?

June unosi brew, a potem obdarza mnie szybkim pocałunkiem dla pokrzepienia.

- Tak - mówi dobitnie. - Naprawdę nic mi nie jest.

Zerka przy tym na Andena, ale ten jest pochłonięty rozmową z którymś ze swoich żołnierzy.

- Proszę mi przyprowadzić ludzi wyznaczonych do odebrania Princeps-Adeptki - parska.

Pod jego oczami widnieją ciemne plamy, a na wynędzniałej twarzy maluje się furia.

- Gdyby nie dopisało nam szczęście, Jameson by ją zabiła. Mam wielką ochotę oskarżyć ich wszystkich o zdradę! Na placu egzekucji mamy mnóstwo miejsca!

Żołnierz staje na baczność i wraz z innymi odbiega, by wypełnić polecenie Andena. Mój gniew przygasa, a po plecach spływa mi zimny dreszcz. Gniew Elektora jest mi skądś znany. Mam wrażenie, że spoglądam na jego ojca.

Teraz Anden patrzy na mnie.

- Zespół laboratoryjny poinformował mnie, że twój brat jak dotąd bardzo dzielnie przechodzi przez wszystkie fazy eksperymentu - mówi już spokojniejszym głosem. - Raz jeszcze chciałem ci podziękować za...

- Podaruj sobie - mówię z uniesioną brwią. - Ten cały eksperyment nie dobiegł jeszcze końca.

Wiem, że po kilku dniach takich jak ten, gdy Eden zacznie opadać z sił, przestanę być tak uprzejmy. Póki co jednak próbuję zdobyć się na grzeczność, co jeszcze mi się jako tako udaje:

- Porozmawiajmy na osobności, Elektorze - mówię cicho. - Mam kilka pomysłów, którymi chcę się podzielić. Możemy wykorzystać ów incydent z komandor Jameson, by napytać Koloniom nieco biedy. Chciałbym, by w naszej rozmowie wzięli udział tylko June oraz Patrioci.

Oczy Andena ciemnieją na moment. Zaciska usta, przyglądając się obecnym. Szeroki, nigdy niegasnący uśmiech Pascao bynajmniej nie poprawia mu nastroju. Waha się przez moment, po czym kiwa głową na żołnierzy.

- Przygotujcie nam pokój konferencyjny - mówi. - Wyłączcie kamery.

Żołnierze pospiesznie wypełniają polecenie. Ruszamy w ślad za Andenem, a ja wymieniam się długim spojrzeniem z June.

„Nic jej nie jest. Nawet nie draśnięta!”.

Mimo to boję się, że zniknie, gdy odwrócę spojrzenie. Poskrabiam ochotę, by zacząć wypytywać ją o to, co się wydarzyło. Postanawiam powstrzymać się do chwili, gdy znajdziemy się na osobności. Jej spojrzenie mówi mi, że również czeka na odpowiednią chwilę. Mam wielką ochotę chwycić ją za rękę, ale powstrzymuję się. Mam wrażenie, że nigdy nie przestaniemy czaić się i tańczyć wokół siebie.

- A więc - odzywa się Anden po tym, jak jego przyboczni wyłączyli wszystkie kamery. Rozsiada się na fotelu i przeszywa mnie badawczym spojrzeniem - Być może powinniśmy rozpocząć od tego, co się dziś stało naszej Princeps-Adeptce.

June zadziera głowę, ale jej dłonie drżą lekko.



- Ujrzałam komandor Jameson w sektorze Ruby. Przypuszczam, że przeprowadzała rozpoznanie. Jestem też pewna, że wiedziała, gdzie mnie zastanie.

Zadziwia mnie jej opanowanie.

- Podążałam za nią przez moment, aż dotarliśmy do rejonu baz powietrznych między Ruby i Batalla. Tam mnie zaatakowała.

Nawet tak prosty i rzeczowy opis wypadków wystarcza, by znów zalała mnie krew. Anden wzdycha i przeczesuje dłonią włosy.

- Podejrzewamy, że komandor Jameson mogła przekazać wrogowi informacje dotyczące sposobów działania baz powietrznych w Los Angeles. Podjęła również próbę uprowadzenia panny Iparis celem wzmocnienia pozycji podczas negocjacji.

- Czy to oznacza, że Kolonie próbują zaatakować LA? - pyta Pasao. Wiem, o czym myśli. - Ale to oznacza, że wszystko jest prawdą. Denver upadło i...

Przerywa, widząc spojrzenie Andena.

- Otrzymaliśmy kilka niesprecyzowanych pogłosek - odpowiada Anden. - Rzekomo Kolonie są w posiadaniu bomby, która może zrównać całe miasto z ziemią. Przed użyciem jej powstrzymuje ich jedynie prawo międzynarodowe. Przecież nie chcą, by Antarktyda wmieszała się do wojny, prawda?

Kiedy Anden stał się tak sarkastyczny?

- W każdym razie, jeśli uderzą teraz, będziemy musieli przyspieszyć próby zdobycia antidotum. Trzeba będzie pokazać coś Antarktydzie, nim Kolonie osiągną ostateczne zwycięstwo. Koloniom jesteśmy w stanie stawić czoła. Koloniom oraz Afryce już nie.

Przełamuję wahanie i postanawiam podzielić się myślami, które wirują mi w głowie.

- Rozmawiałem dziś rano z Edenem, który natchnął mnie nowym pomysłem.

- Co wymyśliliście? - pyta June.

Spoglądam na nią. Jest piękna jak zawsze, ale nawet ona zaczyna zdradzać napięcie. Siedzi lekko przygarbiona. Spoglądam z powrotem na Andena.

- Trzeba się poddać - mówię.

Tego się nie spodziewał.

- Mam zamachać białą flagą przed Koloniami? - pyta z niedowierzaniem.

- Tak. Poddajmy się - mówię ciszej. - Wczoraj po południu ich Kanclerz złożył mi propozycję. Powiedział mi, że jeśli uda mi się poderwać rodaków do walki przeciwko armii Republiki u boku Kolonii, zapewni mnie i Edenowi bezpieczeństwo po zwycięstwie. Założmy, że składamy broń, a ja spotykam się z Kanclerzem, by spełnić jego prośbę i zapewnić go, że przekonam lud do pogodzenia się z rządami Kolonii. Będziecie mogli wówczas ich zaskoczyć. Zresztą Kanclerz i tak zakłada, że poddamy się lada chwila.

- Udając kapitulację, złamiemy prawo międzynarodowe - mruczy do siebie June, ale przygląda mi się z uwagą. Widzę, że nie jest do końca przeciwna pomysłowi. - Nie wiem, czy Antarktydzie to się spodoba, a przecież chodzi o to, by przekonać ich do udzielenia nam pomocy, prawda?

Kręcę głową.

- Niezbyt ich poruszyło to, że Kolonie bez ostrzeżenia przerwały rozejm i zaatakowały Denver - mówię i spoglądam na Andena, który przygląda mi się uważnie, oparłszy podbródek na dłoni. - Pora odpłacić im pięknym za nadobne, no nie?

- A co się stanie podczas twego spotkania z Kanclerzem? - pyta w końcu. - Przecież nie będziemy długo udawać kapitulacji.

Pochyliłam się ku niemu i mówię z naciskiem:

- Wiesz, co Eden powiedział mi dzisiaj rano? Szkoda, że nie wszyscy ludzie w Republice są żołnierzami. Tymczasem mogą nimi zostać!

Anden milczy.

- Chcę się zwrócić do każdego z sektorów Republiki. Musimy uświadomić ludzi, że nie mogą siedzieć beczynn timer czekać, aż Kolonie zagarną ich domy. Poprośmy ich, by czekali na mój sygnał i przypomnijmy, o co walczymy. Potem, gdy zgodnie z wolą Kanclerza zacznę wygłaszać odezwę do narodu, zamiast prosić ludzi, by poparli Kolonie, wezwę ich do boju.

- A jeśli ludzie cię nie posłuchają? - pyta June.

Uśmiecham się lekko.

- Trochę więcej wiary, moja droga. Lud mnie kocha.

June uśmiecha się wbrew sobie, a ja zwracam się do Andena. Znow jestem poważny.

- Lud kocha Republikę bardziej niż ci się wydaje - mówię. - Ba, więcej niż mnie się wydawało. Wiesz, ile razy słyszałem, jak ewakuowani mieszkańcy Denver śpiewają patriotyczne pieśni? Wiesz, ile ostatnio widziałem graffiti popierających zarówno ciebie, jak i kraj? - Do mego głosu wkrada się pasja. - Ludzie naprawdę w ciebie wierzą. Wierzą w nas. I pochwycają za broń, jeśli wezwiemy ich do walki. To oni będą zrywać flagi Kolonii, będą protestować przed ich urzędami i zamieniać własne domy w pułapki dla najeźdźców. - Zwęzłam powieki. - Będziemy mieli miliony Dayów.

Anden i ja wpatrujemy się w siebie, aż w końcu Elektra uśmiecha się.

- Cóż - oznajmia June - skoro tak bardzo chcesz się stać najbardziej poszukiwanym przestępcą Kolonii, ja i Patrioci chętnie się do ciebie przyłączymy. Utrzymamy akcję na poziomie narodowym. Jeśli Antarktyda zaprotestuje, Republika zawsze może wytłumaczyć niepokój działaniami garstki dysydentów. Skoro Kolonie chcą prowadzić nieczystą grę, proszę bardzo. My też mamy parę asów w rękawie.

# JUNE

**GODZINA 17:00**

**BATALLA HALL**

**TEMPERATURA:**

**68 STOPNI FAHRENHEITA/20 STOPNI CELSJUSZA**

Nienawidzę posiedzeń Senatu. Nienawidzę ich z całego serca. Nie cierpię tych band sprzeczących się polityków i wymądrzających się gadułów. Nie cierpię tej niekończącej się paplaniny. Irytuje mnie, że muszę tego słuchać, podczas gdy mogłabym być na ulicy i ćwiczyć zarówno ciało, jak i umysł. Nie ma jednak wyboru - musimy wprowadzić Senat w plan, który ułożyliśmy z Dayem i Andenem. Zasiadam więc w okrągłej sali posiedzeń w Batalla Hall dokładnie naprzeciwko Andena, usiłując zignorować spojrzenia, którymi chcą mnie zastraszyć senatorzy. Tylko na posiedzeniach Senatu czuję się jak małe dziecko.

Anden przemawia do niespokojnych, podirytowanych senatorów.

- Po upadku Denver Kolonie wznowiły natarcie na nasze bazy w Vegas - mówi. - Widzieliśmy afrykańskie dywizjony zbliżające się do miasta. Jutro wybieram się tam na spotkanie z moimi generałami.

Ogarnia go niepewność, a ja wstrzymuję oddech. Dobrze wiem, że Anden nie ma najmniejszej ochoty ogłosić porażki w starciu z kimkolwiek, a najbardziej z Koloniami. Spogląda na mnie, jakby chciał, bym mu pomogła. Jest taki zmęczony... Ale kto nie jest?

- Panno Iparis! - woła. - Oddaję pani głos. Proszę opowiedzieć, co się pani przytrafiło i przedstawić swoją radę.

Nabieram tchu. Jedyłą rzeczą, której nienawidzę bardziej od uczestnictwa w posiedzeniach Senatu, jest wygłaszanie tu przemówień, tym bardziej, że będę musiała sprzedać im stek kłamstw.

- Jestem przekonana, że słyszeli państwo o domniemanej współpracy komandor Jameson z Koloniami. Z tego, co wiemy, istnieje spore prawdopodobieństwo, że niebawem Kolonie przypuszczą atak z zaskoczenia na Los Angeles. Jeśli zaatakują LA, nie przerywając ofensywy na Vegas, nie przetrwamy długo. Po

naradzie z Dayem i Patriotami doszliśmy do wniosku, że jedynym sposobem na uchronienie ludności cywilnej, a przypuszczalnie również wynegocjowanie sprawiedliwego traktatu pokojowego, jest ogłoszenie kapitulacji.

W Senacie zapada cisza pełna zgrozy, a potem wszędzie rozlegają się gwałtowne rozmowy. Serge podrywa się jako pierwszy.

- Z całym szacunkiem, Elektorze! - woła, a jego głos drży z irytacji. - Nie omówił pan tego z pozostałymi Princeps-Adeptami!

- Nie było ku temu stosownej okazji - odpowiada Anden. - Panna Iparis wie o tym wszystkim dlatego, że niestety musiała osobiście stawić czoła komandor Jameson.

Nawet Mariana, która często popiera Andena, tym razem przeciwstawia się pomysłowi.

- To ryzykowny pomysł - stwierdza. Na szczęście potrafi nadal przemawiać ze spokojem. - Jeśli chcecie w ten sposób uchronić nas wszystkich, sugeruję, byście natychmiast przemyśleli to raz jeszcze. Poddanie naszych obywateli Koloniom nie zapewni im bezpieczeństwa.

Inni senatorowie nie okazują tyle powściągliwości i szacunku dla autorytetu władzy.

- Kapitulacja? Bronimy naszego kraju przed Koloniami od prawie stu lat!

- Przecież nasze siły nie stopniały aż tak bardzo! Cóż takiego Kolonie osiągnęły poza tymczasowym przejęciem Denver?

- Elektorze, kapitulacja to sprawa, którą powinien był pan omówić z nami wszystkimi, nawet mimo tego że trwa wielkie zamieszanie!

Przyglądam się senatorom. Każdy z nich stara się krzyknąć głośniejszym głosem od poprzednika, a całą salę wypełniają zniewagi, okrzyki gniewu i niedowierzania. Niektórzy plują nienawiścią w stronę Daya, inni przeklinają Kolonie, jeszcze inni błagają Andena, by raz jeszcze się zastanowił, poszukał pomocy międzynarodowej gdzieś indziej lub wymógł na ONZ ponowne otwarcie naszych portów. Trwa nieprawdopodobny zgiełk.

- To zniewaga! - parska jakiś senator, chudzielec ważący nie więcej niż siedemdziesiąt kilogramów z błyszczącą łysą czaszką.

Spogląda na mnie jakbym była odpowiedzialna za upadek całego kraju. – Przecież nie będziemy się chyba kierować radami młodej dziewczyny! A Day? Czy to żart? Mamy oddać kraj wedle przykazań jakiegoś cholernego ulicznika, który nadal powinien znajdować się na liście najbardziej poszukiwanych przestępców?

Anden mruży oczy.

– Niech pan lepiej przemyśli to, co mówi pan o Dayu, nim ludzie się całkiem od pana odwrócą.

Senator wybucha pogardliwym śmiechem i unosi się najwyżej jak może.

– Elektorze – mówi szyderczym tonem. – Jesteś przywódcą Republiki Amerykańskiej. Dzierżysz w dłoni ster rządów. Władasz całym krajem, a mimo to jesteś niewolnikiem pomysłów człowieka, który próbował cię zabić.

Panowanie nad sobą przychodzi mi z coraz większym trudem. Opuszczam głowę, by nie musieć patrzeć na senatora.

– Moim zdaniem, sir, powinienesz zrobić coś, nim cały rząd, a po nim cały naród uzna cię za tchórzliwe, chwiejne popychadło, które negocjuje za plecami innych i słucha poleceń nastolatki, przestępcy i bandy terrorystów. Pański ojciec...

Anden zrywa się i wali pięściami w stół. W sali natychmiast zapada cisza.

– Senatorze – mówi cicho Anden. Łysy chudzielec wytrzymuje jego spojrzenie, ale w jego wzroku jest mniej pewności siebie niż dwie sekundy temu. – Ze wszystkich rzeczy, które pan powiedział, zgodzę się z jedną. Jestem przywódcą Republiki i stanowią prawo. To, co postanowię, ma bezpośredni wpływ na życie i śmierć moich poddanych.

Wpatruję się w jego twarz coraz bardziej zmartwiona. Jego łagodna, cicha osobowość powoli znika, przesłonięta mrokiem i agresją odziedziczoną po ojcu.

– Dobrze by było, by przypomniał pan sobie, co się stało z senatorami planującymi zamach na mnie.

W pomieszczeniu zapadła taka cisza, iż niemalże słysząc krople potu spływające po twarzach senatorów. Nawet Mariana i Serge pobledli. Anden stoi zaś pośrodku, nawet nie maskując swej furii.

Ma mocno zaciśnięte zęby, a z oczu strzelają mu błyskawice. Odwraca się ku mnie i czuję, jak przeszywa mnie nieprzyjemny, elektryczny wstrząs, ale nie odwracam spojrzenia. Jestem jedyną osobą w całym pomieszczeniu gotową spojrzeć mu w oczy.

Nasza kapitulacja to jedynie fortel. Senatorom nie możemy o tym powiedzieć, ale zastanawiam się, jak Anden poradzi sobie z tą grupą, gdy wojna dobiegnie końca. A może nie będzie musiał? Może oboje będziemy należeli już do innego państwa? A może oboje będziemy już martwi?

I w tej właśnie chwili, otoczona skłóconymi senatorami, naprzeciwko młodego Elektora usiłującego ich pogodzić, wreszcie wyraźnie dostrzegam mą przyszłą ścieżkę.

„Ja nie należę do tego miejsca. Nie powinno mnie tu być”.

Świadomość uderza mnie z taką mocą, że nagle trudno mi oddychać. Anden wymienia jeszcze kilka ostrych zdań z senatorami, ale wreszcie kłótnia dobiega końca i wychodzimy na zewnątrz. Senatorzy są poruszeni i niespokojni. Dostrzegam na korytarzu Andena, którego ciemnoczerwony mundur wyróżnia się na tle czerni noszonej przez resztę zgromadzenia, i odciągam go na bok.

- Pogodzą się z tym - mówię. Otacza go teraz wrogość tak wielka, że każde słowo pocieszenia wydaje się na wagę złota. - Nie mają wyboru.

Odpręża się, choć jedynie na krótką chwilę. Wystarcza kilka prostych słów z moich ust, by jego gniew przygasł.

- Wiem. Ale nie chcę, by nie mieli wyboru. Chcę, by Senat z własnej woli stał za mną murem - wzdycha. - Możemy porozmawiać na osobności? Chciałbym coś z tobą omówić.

Przyglądam się jego twarzy, usiłując odgadnąć, co chce powiedzieć. Boję się jego słów, ale kiwam głową.

- Moje mieszkanie jest nieco bliżej.

Wsiadamy do jego dżipa i jedziemy w milczeniu do mojej kwatery w wieżowcu w sektorze Ruby. Bez słowa wchodzimy po schodach i zamykamy za sobą drzwi mieszkania. Ollie jak zwykle wita nas entuzjastycznie.

Gniew Andena już dawno wyparował. Rozgląda się z niepokojem, a potem odwraca się ode mnie.

- Nie masz nic przeciwko, że usiądę?

- Proszę bardzo - odpowiadam, a sama siadam przy stole jadalnianym. Elektor Primo prosi kogoś o pozwolenie na zajęcie miejsca?

Anden siada obok mnie z typowym dla siebie wdziękiem, a potem pociera ze znużeniem skronie.

- Mam dobrą wiadomość - mówi. Próbuje się uśmiechnąć, ale widzę, że dużo go to kosztuje. - Dogadałem się z Antarktydą.

- No i? - Przetykam ślinę.

- Potwierdzili, że przyślą nam pomoc wojskową. Na razie mowa jest tylko o lotnictwie, ale wesprą nas oddziałami naziemnymi, gdy udowodnimy, że odnaleźliśmy antidotum - mówi Anden. - Co więcej, zgodzili się zająć leczeniem Daya.

Nie patrzy na mnie.

- W zamian oddam im Dakotę. Nie miałem wyboru. Oddaję im nasze największe terytorium.

Zalewa mnie radość wraz z ulgą, ale w tej samej chwili budzi się we mnie współczucie. Anden został zmuszony do podzielenia kraju. Musiał oddać to, co dla nas najcenniejsze, to, co wszyscy ludzie na świecie uznają za najcenniejsze. Nie można było tego uniknąć. Każde zwycięstwo pociąga za sobą ofiary.

- Dziękuję ci - mówię.

- Nie dziękuj mi jeszcze. - Jego krzywy uśmiech przeistacza się w grymas. - Nasza przyszłość wisi na włosku. Nie wiem, czy ich pomoc nadejdzie wystarczająco szybko. Wedle doniesień z frontu, powoli przegrywamy walkę o Vegas. Jeśli nasz plan z fałszywą kapitulacją zawiedzie i nie znajdziemy szybko lekarstwa na zarazę, wojna dobiegnie końca, nim Antarktyda przyśle posiłki.

- Uważasz, że znalezienie antidotum zatrzyma Kolonie? - pytam cicho.

Anden kręci głową.

- Nie mamy zbyt wielu opcji - odpowiada. - Ale musimy się trzymać do czasu nadejścia pomocy.

Milknie na moment.

- Jutro jadę na front w okolice Vegas. Nasze oddziały potrzebują wsparcia.



W sam środek działań wojennych. Próbuję utrzymać spokój.

- Czy Princeps-Adepci jadą z tobą? - pytam. - A senatorowie?

- Będą mi towarzyszyć jedynie dowódcy wojskowi. Ty nigdzie nie jedziesz, Mariana i Serge też nie. Ktoś musi panować nad sytuacją w Los Angeles.

Oho, a więc docieramy do sedna sprawy. Już chyba wiem, co chce mi powiedzieć. W głowie zaczyna mi się kręcić.

Anden opiera się o blat i splata dłonie w rękawiczkach.

- Ktoś musi panować nad sytuacją w Los Angeles - powtarza. - Któryś z Princeps-Adeptów będzie musiał więc przejąć obowiązki Elektora. Osoba ta będzie musiała trzymać Senat w szachu do czasu mojego powrotu. Oczywiście ja wybiorę tę osobę, a Senat potwierdzi mój wybór.

W kącikach jego ust błąka się lekki, smutny uśmiech, jakby już wiedział, co odpowiem.

- Rozmawiałem na ten temat z Marianą oraz z Sergem. Oboje zgadzają się na twoją nominację. Pora, byś ty się wypowiedziała na ten temat.

Odwracam głowę i wyglądam przez okno. Zawsze sądziłam, że przy Marianie czy Serge'u mam niewielkie szanse na przejęcie obowiązków Elektora Republiki. Myśl o tym, że mogłabym zastąpić Andena powinna mnie ekscytować, ale wcale tak nie jest. Anden przygląda mi się uważnie.

- Możesz mi powiedzieć prawdę - mówi w końcu. - Zdaję sobie sprawę, że ta decyzja może się okazać punktem zwrotnym w twoim życiu, a od pewnego czasu wyczuwam twój dyskomfort.

Przygląda mi się ze spokojem.

- Powiedz mi, June, czy ty naprawdę chcesz być Princeps-Adeptką?

Czuję w sobie dziwną pustkę. Od dawna zastanawiałam się nad przyczynami mojego braku zainteresowania i znużenia polityką Republiki, sprzeczkami w Senacie i konfliktami między Princeps-Adeptami i senatorami. Sądziłam, że trudno mi będzie powiedzieć mu prawdę, ale spoglądam na niego i niespodziewanie odkrywam, że to łatwiejsze niż sądziłam.

- Andenie, sam dobrze wiesz, że rola Princeps-Adeptki zawsze

była dla mnie wielkim zaszczytem. Z upływem czasu zaczęłam jednak dostrzegać, że czegoś mi w tym wszystkim brakuje i wreszcie wiem, o co mi chodzi. Wyruszasz na front, by stanąć na czele walczącej armii, a Day i Patrioci toczą bój z Koloniami jako partyzanci. Tęsknię za pracą w terenie. Znow chciałabym być agentką i polegać tylko na sobie. Tęsknię za chwilami, gdy moje życie było proste i pozbawione politycznego znaczenia, gdy bez trudu mogłabym obrać właściwy kierunek i zrobić to, co należało. Oddałabym wiele, by robić to, do czego wyszkolił mnie brat. – Nie spuszcza z niego spojrzenia. – Przykro mi, Andenie, ale nie wiem, czy nadaję się na polityka. Jestem żołnierzem. Nie wiem, czy powinieneś mi przydzielić swoje obowiązki na czas nieobecności. Nie wiem też, czy powinnam nadal zajmować stanowisko Princeps-Adeptki.

Anden odnajduje mój wzrok.

– Rozumiem – mówi w końcu. Wygląda na to, że się zgadza, choć w jego głosie pobrzmiewa smutek. Jest jeden talent, w którym Anden przebija nawet Daya – to umiejętność zrozumienia mojej sytuacji.

Chwilę później widzę w jego oczach kolejną emocję. Tym razem jest to zazdrość. Zazdrości mi, że wolno mi się wycofać ze świata polityki i że mogę wybrać dla siebie inne życie, podczas gdy on, Anden, po kres swego życia będzie Elektorem, człowiekiem niezbędnym dla funkcjonowania całego kraju. Nie mógłby się wycofać bez ogromnych wyrzutów sumienia.

– Co chcesz teraz robić? – pyta, odkaszlnąwszy.

– Chcę przyłączyć się do oddziałów na ulicach – odpowiadam. Tym razem jestem tak bardzo pewna swojej decyzji, tak bardzo nią podekscytowana, że z trudem nad sobą panuję. – Wyślij mnie na ulice! Pozwól mi walczyć! Jeśli przegramy wojnę, nikt z nas Princeps-Adeptów nie będzie już odgrywał żadnej roli.

– Jasne. – Anden kiwa głową. Rozgląda się niepewnie po pokoju, a ja widzę, że za pozą człowieka twardego i odważnego kryje się młodzieńki królewicz, który ze wszystkich sił próbuje być twardy. Potem Anden zauważa pomiętą kurtkę leżącą w nogach łóżka. Wpatruje się w nią przez moment.

Nie chciało mi się jej podnieść i odłożyć gdzieś indziej.

Po chwili Anden odrywa od niej wzrok. Nie muszę mu mówić, że Day spędził tu noc – widzę w jego oczach, że zdaje sobie z tego sprawę. Rumienię się. Zawsze umiałam ukrywać emocje, ale teraz jest mi wstyd, że Anden ujrzy w moim spojrzeniu jakąś pamiątkę po tamtej nocy – ciepło skóry Daya, jego dłoń odsuwającą kosmyki włosów z mojej twarzy, muśnięcia jego ust na mojej szyi.

- Cóż – mówi po długiej przerwie, uśmiecha się ze smutkiem i wstaje. - Jesteś żołnierzem z krwi i kości, panno Iparis, ale współpraca z tobą jako Princeps-Adeptką była dla mnie zaszczytem.

Elektor Republiki składa przede mną ukłon.

- Bez względu na to, co się od tej pory wydarzy, mam nadzieję, że będziesz o tym pamiętać.

- Andenie – szepczę. Przypomina mi się owa mroczna, wściekła twarz, którą ujrzałam w sali posiedzeń. - Obiecuj mi, że gdy będziesz na froncie, pozostaniesz sobą, dobrze? Nie zmieniaj się w kogoś, kim nie jesteś, okej?

Moje wyznanie czy widok płaszcza Daya może nie poruszyły go mocno, ale ta prośba zupełnie go zaskakuje. Mruga, całkiem zakłopotany, a potem dociera do niego to, co chciałam przekazać. Kręci głową.

- Muszę już iść. Muszę stanąć na czele moich ludzi tak jak mój ojciec.

- Nie o to mi chodziło – mówię ostrożnie.

Przez chwilę szuka odpowiednich słów.

- To, że mój ojciec był człowiekiem okrutnym, nie jest żadną tajemnicą. Ma na swoim sumieniu wiele okropności, jak choćby Próby oraz epidemie... - Anden zamyśla się, a blask jego zielonych oczu mętnieje, gdy wspomina człowieka, którego mało kto poznał. - Ale walczył wraz ze swymi ludźmi. Na pewno to zrozumiesz, może nawet lepiej od innych. Nie przesiadywał w izbie Senatu, wysyłając ludzi na śmierć. Za młodu, gdy wyciągał kraj z chaosu i zaprowadzał surowy stan wojenny, przewodził na ulicach i w powietrzu. Osobiście walczył na froncie i niszczył odrzutowce Kolonii.

Anden przerywa i zerka na mnie.

- Nie próbuję bronić jego dokonań, ale pomimo wszystkich wad

miał również wielką zaletę. Był odważny. Zdobył lojalność wojska dzięki swym działaniom, nierzadko bezlitosnym. Ja również chcę podnieść morale żołnierzy, a na pewno nie dokonam tego, chowając się w Los Angeles. Jestem...

- Nie jesteś swoim ojcem. - Przechwytnię jego wzrok. - Masz na imię Anden. Nie musisz iść w jego ślady. Możesz podejmować własne decyzje. Ty jesteś teraz Elektorem. Nie musisz być taki jak on.

Wspominam własną lojalność wobec poprzedniego Elektora. Przypominają mi się filmy, w których wykrzykiwał rozkazy zza sterów myśliwca czy prowadził czołgi ulicami. Zawsze działał na pierwszej linii. Zawsze był nieustraszony. Teraz, gdy patrzę na Andena, dostrzegam tę samą odwagę płonącą w jego oczach. Musi udowodnić, że jest wart tytułu przywódcy tego kraju. Jego ojciec za młodu być może przypominał swego syna w chwili obecnej - być może również był odważnym, energicznym idealistą z nadziejami, marzeniami i sercem pełnym szlachetnych intencji. W jaki sposób powoli przeistoczył się w Elektora, który stworzył tak ponury naród? Którą ścieżką zdecydował się podążać? Nagle, choć jedynie przez krótki moment, mam wrażenie, że rozumiem byłą Republikę. I wiem, że Anden nie uda się tą samą drogą.

Anden odpowiada na moje spojrzenie, jak gdyby słyszał niewypowiedziane przeze mnie słowa. Po raz pierwszy od miesięcy widzę, że otaczająca go mroczna chmura, z której rodzą się jego furie, zaczyna się przersedzać i blednąć.

W chwilach, gdy jest wolny od cienia własnego ojca, jest kimś pięknym.

- Zrobię, co w mojej mocy - szepcze.

# DAY

TRWA DRUGA NOC ROZEJMU. CÓŻ, POWRÓT DO DOMU ROZMIJA się z sensem. Wraz z Pascao chcemy przebiec się po Los Angeles, malować drzwi oraz ściany i opowiadać ludziom o naszych planach. Równie dobrze możemy wyruszyć ze szpitala, który przecież leży w samym środku miasta. Poza tym chciałem przez jakiś czas posiedzieć przy Edenie. Wieczór pobierania próbek nie skończył się dla niego najlepiej – wymiotował już dwa razy od chwili, gdy do niego dołączyłem. Pielęgniarka wychodzi z pokoju z wiadrem, a ja nalewam mu szklanę wody. Eden wypija ją łapczywie.

- Dopisało nam szczęście? – pyta słabym głosem. – Znaleźli już coś?

- Jeszcze nie – mówię i odbieram mu pustą szklanę, którą stawiam na tacy. – Ale niebawem zasięgnę języka. Zobaczą, jak im idzie. Mam nadzieję, że to wszystko na coś się przyda.

Eden wzdycha, zamyka oczy i kładzie głowę na stosie poduszek.

- Nic mi nie jest – szepcze. – A jak się ma twoja przyjaciółka? Tess, tak?

Tess. Nie obudziła się jak dotąd i tęsknię za chwilą, gdy była w stanie stawić czoła całemu zespołowi laboratoryjnemu. Przełykam z trudem ślinę i próbuję przywołać wspomnienie słodkiej, radosnej buzi, którą znam od wielu lat. Nie chcę myśleć o jej chorobie.

- Śpi. Zespół laboratoryjny mówi, że gorączka nie wystąpiła.

Eden zaciska zęby i spogląda na monitor przedstawiający jego funkcje życiowe.

- Wydaje się fajna – mówi w końcu. – Z tego, co o niej słyszałem.

- Ona jest fajna. – Uśmiecham się. – Kiedy to wszystko dobiegnie końca, może będziecie mieli okazję spędzić trochę czasu razem. Szybko byście się dogadali.

„O ile przeżyjemy” – dodaję w myślach, a potem pospiesznie przepędzam tę myśl. Cholera, z każdym dniem coraz trudniej mi zachować optymizm.

Nasza rozmowa dobiega końca, ale Eden trzyma mnie nadal mocno za rękę. Ma zamknięte oczy, a po chwili jego oddech staje się rytmiczny jak u śpiącej osoby. Dłoń opada na kołdrę. Nakrywam go aż pod brodę, patrzę na niego przez moment, a potem wstaję. Przynajmniej zdrowo śpi. Ja nie mam tyle szczęścia. Od ostatnich dwóch dni budzę się co godzinę i otrząsam się z jakiegoś potwornego koszmaru. Przez długi czas chodzę wówczas po pokoju, nim zasnę na powrót. Ból głowy nie opuszcza mnie ani na moment. Stał się moim nieodłącznym, pulsującym towarzyszem, przypominającym mi o upływającym czasie.

Otwieram drzwi i wyslizguję się najciszej jak umiem. Korytarz jest pusty, uwija się po nim jedynie kilka pielęgniarek. Dostrzegam też czekającego na mnie Pascao, który siedzi na ławce. Na mój widok podnosi się i uśmiecha szeroko.

- Reszta zajęła pozycje - mówi. - Mamy około dwóch tuzinów Sabotażystów, którzy już działają w terenie. Pora, byśmy i my wzięli się do roboty.

- Gotów porwać lud do walki? - pytam nieco żartobliwie, gdy Pascao prowadzi mnie do wyjścia.

- Aż mnie dłonie świerzbią. - Pascao pcha podwójne drzwi na końcu korytarza. Wchodzimy do większej poczekalni, a potem do nieużywanej, ciemnej sali szpitalnej. Mój towarzysz zapala światła, a wtedy moją uwagę natychmiast przyciąga coś leżącego na łóżku. To ciemnoszare kombinezony ułożone starannie na stercie wysterylizowanych koców. Obok nich dostrzegam sprzęt przypominający nieco pistolety. Spoglądam na Pascao, który wbija rękę w kieszenie.

- Tylko popatrz - mówi cicho. - Gadałem dziś z Baxterem i kilkoma żołnierzami Republiki o czekającej nas akcji, gdy zaproponowali, że wypożyczą takie kombinezony Sabotażystom. Zwłaszcza tobie taki powinien się przydać. June mówi, że wykorzystuje taki kombinezon w połączeniu z miotaczem powietrza, by niespostrzeżenie i szybko przemieszczać się po mieście.

Rzuca mi jeden z nich.

- Zakładaj!

Marszczę brwi. Kombinezon nie wygląda jakoś szczególnie, ale postanawiam zaufać Pascao.

- Będę w sąsiednim pomieszczeniu - mówi, po czym rzuca własny strój na ramię i trąca mnie w ramię, przechodząc obok. - Dzięki tym wdziankom obskoczemy całe Los Angeles w jedną noc!

Chcę go ostrzec, że dzięki przyjmowanym lekom i bólom głowy pewnie nie będę w stanie za nim nadążyć, ale Pascao już wychodzi i zostawia mnie samego. Raz jeszcze przyglądam się kombinezonowi i zaczynam rozpinać koszulę.

Kombinezon jest zaskakująco lekki i wydaje się idealnie dopasowany od stóp aż po kołnierz zapinany na zamek błyskawiczny. Ściągam rękawy i nogawki na wysokości łokci oraz kolan, a potem robię kilka kroków na próbę. Ku memu zdumieniu ramiona i nogi wydają mi się mocniejsze niż dotychczas. O wiele mocniejsze. Próbuję podskoczyć i uświadamiam sobie, że kombinezon absorbuje większość siły ciężkości. Bez większego wysiłku jestem w stanie wskoczyć na łóżko. Zginam jedno ramię, a potem drugie. Mam wrażenie, że mógłbym teraz podnosić większe ciężary niż przez ostatnie miesiące. Przeszywa mnie dreszcz podniecenia.

Mogę w tym biegać.

Pascao wali do drzwi, a potem wchodzi ubrany we własny kombinezon.

- I jak, słonko? - pyta, przyglądając mi się. - Dobrze na tobie leży.

- Do czego one służą? - pytam, wciąż badając nowe możliwości.

- A jak myślisz? Republika przydziela je żołnierzom wykonującym misje wymagające szczególnego wysiłku fizycznego. Wokół stawów zainstalowano specjalne systemy sprężyn. Innymi słowy, dzięki temu wdzianku staniesz się akrobatycznym geniuszem.

Nieprawdopodobne. Pascao ma rację - wyczuwam teraz pracę sprężyn przy łokciach, czuję też delikatny napór wokół kolan, gdy je zginam.

- Niezła sprawa - mówię. Pascao przygląda mi się z aprobatą. - Naprawdę niezła. Mam wrażenie, że na powrót będę mógł wspinać się po ścianach budynków.

- Posłuchaj, co mi przyszło do głowy - mówi Pascao nieco ciszej. Jego beztraska ustępuje miejsca powadze. - Jeśli Kolonie posadzą swoje statki powietrzne w LA po tym, jak Elektor ogłosi kapitulację, Republika rozstawi swoje wojska tak, by mogły przypuścić na nie

atak z zaskoczenia. Są w stanie rozwalić wiele z nich, nim Kolonie w ogóle zorientują się, co jest grane. Poprowadzę Patriotów wraz z oddziałami uderzeniowymi Republiki i podłożymy ładunki wybuchowe pod zacumowane statki.

- Dobry pomysł - mówię i ostrożnie zginam jedno ramię. Nie mogę się nadziwić, jaką siłę daje mi kombinezon. Serce wali mi w piersi. Jeśli nie przeprowadzimy mojego planu, a Kanclerz zorientuje się, co knujemy, Republika nie będzie w stanie wykorzystać atutu zaskoczenia, jaki dadzą nam pozory kapitulacji. Mamy tylko jedną szansę.

Rozsuwamy szklane drzwi i wychodzimy na balkon. Zimne powietrze nocy orzeźwia mnie i łagodzi rozpacz oraz stres, które nagromadziły się przez ostatnie dni. Mając na sobie kombinezon, ponownie czuję się tak jak kiedyś. Spoglądam na budynki.

- Może najpierw wypróbujemy te wdzianka, co? - pytam Pascao i kładę miotacz powietrza na ramię.

Pasciao uśmiecha się i rzuca mi puszkę z czerwoną farbą w sprayu.

- Z ust mi to wyjąłeś - stwierdza.

Ruszamy więc. Schodzę po ścianie na wysokość pierwszego piętra z taką szybkością, że niemal tracę oparcie, a potem zeskakuję na ziemię. Rozdzielamy się i każdy z nas rusza w inną część miasta. Obiegam przydzielony mi sektor, nie mogąc opanować uśmiechu. Znow jestem wolny, znow mogę rozkoszować się smakiem wiatru i dotykać nieba. Wszystkie moje kłopoty nagle znikają. Znow jestem w stanie uciec od moich zmartwień. Znow mogę skryć się wśród rdzy i zgliszcz miasta, które na powrót należą do mnie.

Biegnę ciemnymi uliczkami sektora Tanagashi, aż docieram do najważniejszych budynków, które w ciągu dnia mija większość ludzi. Wyciągam spray i piszę na ścianie:

„Czekajcie na moje słowa”.

Poniżej rysuję jedyny symbol, który wszyscy ludzie skojarzą ze mną - kontur twarzy przecięty czerwonym kosmykiem.

Oznaczam każdy budynek, który przychodzi mi do głowy, a potem wykorzystuję miotacz powietrza, by przenieść się do sąsiedniego sektora. Tam powtarzam procedurę. Kilka godzin później wracam do szpitala z włosami mokrymi od potu i obolałymi mięśniami.



Pascas czeka na mnie na zewnątrz. Jego twarz również lśni od potu. Wita mnie parodią salutu wojskowego.

- Masz ochotę na wyścig na górę? - pyta z uśmiechem.

Nie odpowiadam, a po prostu zaczynam się wspinać. Pascas idzie w moje ślady. Jest niemalże niewidzialny w ciemnościach. Widzę tylko szczupłą sylwetkę, która pnie się w górę z lekkością typową dla urodzonego Sabotażysty. Wspinamy się piętro za piętro, aż docieramy do balkonu, który ciągnie się wzdłuż czwartego piętra. To skrzydło, z którego rozpoczęliśmy naszą eskapadę. Brakuje mi tchu, a w głowie znów pulsuje rytmiczny ból, ale Pascas nie udaje się osiągnąć nade mną wielkiej przewagi.

- Cholera - mrużę do niego. Obaj stoimy oparci o balustradę, ledwie żywi ze zmęczenia. - Gdzie były takie kombinezony, gdy nie miałem problemów ze zdrowiem? Sam jeden pokonałbym Republikę i nawet bym się przy tym nie zasapał.

Zęby Pascas błyszczą w ciemnościach. Wpatruje się w panoramę miasta.

- Może dobrze, że tego nie zrobiłeś. Nie mielibyśmy wówczas co ratować.

- Warto? - pytam po chwili, ciesząc się chłodnym dotykiem wiatru. - Naprawdę chcesz poświęcić swoje życie za kraj, który nic dla ciebie nie zrobił?

Pascas milczy przez chwilę, a potem unosi rękę i wskazuje jakiś punkt na horyzoncie. Wyteżam wzrok.

- Gdy byłem mały - mówi - dorastałem w sektorze Winter. Byłem świadkiem tego, jak moje dwie siostry oblały Próbę. Gdy byłem wystarczająco duży, by samemu do niej przystąpić, o mały włos również bym zawałił. Potknąłem się i przewróciłem podczas wykonywania skoku w części fizycznej, wiesz? Zobaczył to jeden z żołnierzy. Nigdy nie zapomnę jego spojrzenia. Gdy uświadomiłem sobie, że nie widział tego nikt poza nim, zacząłem go błagać, by o tym zapomniał. Miałem wrażenie, że wiele go to kosztuje, ale nie zapisał mojego upadku. Podziękowałem mu, a on powiedział wówczas, że pamięta obie moje siostry. „Wystarczy śmierci jak na jedną rodzinę” - rzekł.

Pascas milknie na moment.

- Zawsze nienawidziłem Republiki za to, co robi ludziom, których

kochamy. Za to, co robi nam wszystkim. Czasem jednak zastanawiam się, co się stało z tamtym żołnierzem. Jak mu się ułożyło życie? Kto był mu bliski? Czy nadal żyje? Któż to może wiedzieć. Może sam już odszedł z tego świata. - Wzrusza ramionami. - Gdybym miał wszystko gdzieś i postanowił, że Republika musi samodzielnie rozwiązywać własne problemy, mógłbym bez trudu opuścić kraj. Zaszyłbym się gdzieś z dala od rządu - mówi, a potem spogląda na mnie. - Tak naprawdę to nie wiem, dlaczego chcę teraz stanąć w szeregu. Może odnalazłem w sobie nieco wiary.

Pascao chce się dalej tłumaczyć, zupełnie jakby frustracja odebrała mu umiejętność układania myśli w słowa. Ale ja już go rozumiem. Kręcę głową i spoglądam w kierunku sektora Lake, wspominając brata June.

- Taaa - mówię. - Ja też.

Po chwili wchodzimy wreszcie z powrotem do szpitala. Zdejmuję kombinezon i zakładam moje własne ciuchy. Zaczniemy realizować plan z chwilą, gdy Anden ogłosi kapitulację. Potem będziemy mieli tylko jeden dzień. Wszystko się może zdarzyć.

Pascao odchodzi, by odpocząć, a ja wracam do pokoju Edena. Jestem ciekaw, czy zespoły laboratoryjne przysłały jakieś nowe wyniki, którym będziemy mogli się przyjrzeć. Zupełnie jakby ktoś czytał mi w myślach - przed drzwiami stoi kilku laborantów i rozprawia o czymś przyciszonymi głosami. Spokój, jaki odczuwałem podczas wyprawy na miasto, znika bezpowrotnie.

- Co się dzieje? - pytam. Już widzę napięcie w ich oczach. Czuję ucisk na klatce piersiowej. - Powiedzcie mi natychmiast!

- Otrzymaliśmy dane od antarktydzkiego zespołu laboratoryjnego - mówi jeden z laborantów, który nadal ma na sobie kaptur ze szklaną osłoną na twarz. - Chyba udało nam się wysyntezywać z krwi twojego brata coś, co prawie może spełniać rolę antidotum. Nasza próbka nie jest idealnie skuteczna, ale działa.

Lek! Czuję falę ekscytacji, a w głowie kręci mi się z ulgi. Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

- Mówiliście już Elektorowi? Działa? Czy możemy już podać go Tess?

Analitik powstrzymuje mnie.

- Użyłem słowa „prawie”, Day.

- Co masz na myśli?

- Antarktyda potwierdza, że wirus najprawdopodobniej jest mutacją tego, na który Eden wykształcił odporność. Istnieje również możliwość, że połączył swój genom z genomem innego. Limfocyty T twojego brata wykształciły umiejętność poruszania się wraz z owym agresywnym wirusem. Jeden ze stworzonych przez nas leków wydaje się częściowo...

- Mów zrozumiale! - przerywam niecierpliwie.

Technik spogląda na mnie spode łba, jakbym sam był w stanie zarazić go moim podejściem.

- Czegoś nam brakuje - mówi i wzdycha z rozdrażnieniem. - Brakuje jednego składnika.

- Co to ma oznaczać? - dopytuję się ostro. - Czego wam brakuje?

- Wirus, który jest odpowiedzialny za ostatnie wybuchy epidemii, to mutacja tworów Republiki połączona z innym wirusem. Nie mamy w związku z tym wszystkich danych. Wydaje nam się, że wirus mógł powstać w Koloniach jakiś czas temu. Być może nawet parę miesięcy temu.

Ogarnia mnie rozpacz, gdy uświadamiam sobie, że wiem, co chcą mi przekazać.

- Czy to oznacza, że lek nie będzie na razie działał?

- Ba, my nie wiemy, czy on w ogóle będzie działał. Eden nie jest pacjentem zero tej epidemii. - Analityk znów wzdycha. - Jeśli nie znajdziemy osoby, która rozpoczęła rozprzestrzenianie zmutowanego wirusa, chyba nie uda nam się w ogóle stworzyć leku.

# JUNE

BUDZĄ MNIE ZAWODZĄCE SYRENY. TO ALARM PRZECIWLOTNICZY! Przez sekundę wydaje mi się, że jestem w Denver i siedzę z Dayem w oświetlonej lampkami kawiarence. Na zewnątrz pada śnieg z deszczem, a Day mi opowiada, że umiera. Znow jesteśmy na ogarniętych paniką i chaosem ulicach, ogłuszani rykiem syren. Trzymamy się za ręce i biegniemy, przerażeni, szukając schronienia.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że jestem we własnym pokoju, ale syreny nie cichną. Serce bije mi szybko. Wyskakuję z łóżka, gładzę skamłającego z niepokojem Olliego, a potem pośpiesznie włączam ekran. Komunikaty prasowe zlewają się z jękiem syren, a u dołu ekranu przesuwają się gniewne, czerwone ostrzeżenia: „Kryj się”.

Czytam informacje na ekranie.

„Wrocie statki powietrzne zbliżają się do Los Angeles. Wszyscy żołnierze mają się stawić w kwaterach głównych. Elektor Primo wkrótce wygłosi nadzwyczajne przemówienie”.

Sądziliśmy, że Kolonie będą potrzebować jeszcze trzech dni, by przeprowadzić uderzenie na Los Angeles. Wygląda na to, że postanowili przyspieszyć działania i przygotować się na koniec trzydniowego zawieszenia ognia, co oznacza, że my również musimy działać szybciej. Zatykam uszy, wybiegam na balkon i spoglądam na horyzont. Poranne słońce wciąż świeci słabo, a chmury ograniczają widoczność, ale mimo to dostrzegam kropki nad górami Kalifornii. Doskonale wiem, co to oznacza. Z trudem łapię oddech.

To statki powietrzne. Nie wiem, czy należą do Kolonii czy może Afryki, gdyż są jeszcze za daleko, ale z pewnością nie są to jednostki Republiki. Ich pozycja oraz prędkość wskazuje na to, że w przeciągu godziny zawisną nad centrum Los Angeles. Włączam mikrofon i wpadam do garderoby, by się w coś ubrać. Skoro Anden szykuje się do przemówienia, z pewnością ma na celu ogłoszenie kapitulacji. Muszę więc jak najszybciej dołączyć do Daya i Patriotów. Fortel uda się tylko, jeśli udawana kapitulacja nie

przeistoczy się w prawdziwą.

- Gdzie jesteście?! - krzyczę, gdy Day nawiązuje połączenie. Wydaje się równie zaniepokojony jak ja, a w słuchawce słyszę echo syren.

- Ja jestem nadal w szpitalu, przy Edenie. Widzisz te statki?

Zerkam na horyzont i wracam do sznurowania butów.

- Tak. Zaraz u ciebie będę.

- Patrz na niebo i uważaj na siebie - mówi, a potem waha się przez moment i dodaje. - Pospiesz się. Mamy problem.

Połączenie zostaje przerwane, a ja wypadam na zewnątrz z Ollie'm u mego boku. Pędzimy jak wiatr.

Syreny cichną w chwili, gdy docieram na piętro laboratoryjne i widzę Daya, Edena oraz Patriotów. W sektorze zapewne znów wyłączono prąd i za wyjątkiem ważnych budynków rządowych krajobraz miasta jest czarny, prawie całkowicie pochłonięty przez wilgotne cienie poranka.

Ekran na końcu korytarza pokazuje puste podium, na którym lada chwila stanie Anden, by wygłosić odezwę do narodu. Ollie trzyma się blisko mnie i oddycha ciężko, nadal zaniepokojony. Pochyliłam się i poklepuję go kilkakrotnie po łbie, a on wynagradza mnie liźnięciem.

Wchodzę do pokoju Edena, gdzie czeka na mnie Day wraz z resztą. W tej samej chwili Anden pojawia się na ekranach. Eden wydaje się wykończony i na pół przytomny. Do jego ramienia podłączona jest kroplówka, ale nie ma żadnych innych rurek, kabli czy wężyków. Przy jego łóżku siedzi laborant, który wprowadza informacje do komputera.

Day oraz Pascao mają na sobie ciemne kostiumy do zadań specjalnych. Miałam taki na sobie, gdy przygotowywałam się do wyciągnięcia Daya z Batalla Hall. Spędziłam pół nocy, skacząc po dachach w poszukiwaniu Kaede. Obaj Sabotażyści rozmawiają teraz z laborantem, a ich miny zdradzają, że nie usłyszeli niczego dobrego. Chciałabym wypytać o szczegóły, ale oto na podium pojawia się Anden i słowa zamierają mi na ustach. Zapada cisza, gdy wszyscy wpatrujemy się w ekran. Słyszę jedynie nasze oddechy oraz złowieszczy, odległy szum silników nadciągających statków powietrznych.

Anden wydaje się opanowany i choć jest jedynie o rok starszy niż w chwili, gdy go poznałam, poważna twarz sprawia, że wydaje się o wiele dojrzały. Tylko zaciśnięte zęby wskazują na jakiegokolwiek emocje. Ma na sobie biały mundur ze srebrnymi epoletami na ramionach. Przy kołnierzu wojskowej kurtki przypiął złote godło Republiki. Za nim wiszą dwie flagi – jedna to jaskrawoczerwona flaga Republiki, a druga czysta, biała, pozbawiona jakiegokolwiek akcentów. Dobrze ją znam z moich studiów, choć nigdy dotąd nie widziałam, by ktokolwiek z niej korzystał. Wiedzieliśmy, na co się zanosi, ba, zaplanowaliśmy to oraz wiemy, że to nieprawda, ale mimo to nie mogę odepchnąć wielkiego smutku i poczucia porażki. Czuję się, jakbyśmy naprawdę oddawali się w ręce wroga.

- Żołnierze Republiki! - Anden zwraca się do ludzi otaczających go w bazie. Jego głos jest jak zwykle zarówno łagodny, jak i stanowczy, cichy, lecz wyraźny. - Z ciężkim sercem stoję przed wami, by przekazać wam wieści. Przed chwilę to samo usłyszał ode mnie Kanclerz Kolonii.

Milknie na chwilę, jakby zbierał siły. Wie, że złożenie przez nas broni jest jedynie fortelem, ale mimo to jestem pewna, że wypowiedzenie tych słów jest dla niego o wiele trudniejsze niż byłoby dla mnie.

- Republika oficjalnie poddała się Koloniom.

Cisza. W bazie, w której przed momentem panował hałas i zamieszanie, zapada milczenie. Żołnierze stoją nieruchomo i słuchają Elektora z niedowierzaniem.

- Mamy zakończyć wszystkie działania wojenne wymierzone przeciwko Koloniom - ciągnie Anden. - Do jutra wieczora spotkamy się z przywódcami Kolonii celem podpisania aktu poddania się.

Znów przerywa, by wszyscy należycie zrozumieli to, co powiedział.

- Żołnierze, będziemy na bieżąco informować was o rozwoju wydarzeń.

Transmisja urywa się. Nie słyszemy tradycyjnego: „Niech żyje Republika”. Czuję zimny dreszcz, gdy na ekranach, zamiast naszej flagi, pojawia się symbol Kolonii.

Nasza kapitulacja wygląda naprawdę przekonująco - odwalili świętą robotę. Mam nadzieję, że Antarktydzi dotrzymają słowa i

pomoc jest w drodze.

- Day, jeśli chcemy zaminować te bazy, pozostało nam niewiele czasu - szepcze Pascao.

Trzech towarzyszących nam żołnierzy ma na sobie identyczne kombinezony. Mają zaprowadzić nas do baz i wskazać najlepsze miejsca do podłożenia ładunków.

- Będziesz musiał zdobyć dla nas trochę czasu - ciągnie Pascao. - Ich statki powietrzne mają rzekomo wylądować w naszych bazach za kilka godzin.

Day kiwa głową. Pascao odwraca się do żołnierzy i udziela im wskazówek, a wtedy Day zerka na mnie. Widzę w jego oczach z trudem okiełznany strach, od którego robi mi się niedobrze.

- Coś poszło nie tak z antidotum, co? - pytam. - Jak się trzyma Eden?

Day wzdycha i przeczesuje dłonią włosy, a potem zerka na brata.

- Trzyma się.

- Ale?

- Ale nie jest pacjentem zero i w tym tkwi cały problem. Nasi specjaliści potrzebują czegoś, czego nie ma w jego krwi.

Spoglądam na delikatnego chłopca leżącego na łóżku szpitalnym. Eden nie jest pacjentem zero?

- Czego im potrzeba?

- Łatwiej będzie ci to pokazać niż próbować wyjaśnić. Chodź. Anden musi się o tym dowiedzieć. Przecież nasza zabawa w kapitulację straci sens, jeśli nie będziemy w stanie uzyskać pomocy od Antarktydy.

Day idzie korytarzem, a ja zmierzam za nim. Oboje milczymy, spięci i zdenerwowani, aż zatrzymujemy się przed nieopisanymi drzwiami. Day otwiera je i wkraczamy do pomieszczenia wypełnionego komputerami. Analityk przyglądający się odczytom na ekranie wstaje na nasz widok i zaprasza nas gestem do środka.

- Pora wprowadzić w temat pannę Iparis? - pyta.

- Powiedz mi, o co chodzi - odpowiadam.

Sadza nas przed komputerem i wczytuje nowy ekran. Po kilku minutach widzimy zestawione ze sobą grafiki przedstawiające

najprawdopodobniej komórki. Przyglądam się z uwagą.

Laborant pokazuje obraz po lewej, na którym widzę grupki niewielkich, wielokątnych cząsteczek otaczających centralną komórkę. Wystają z niej dziesiątki drobnutkich rurek, doczepionych do cząsteczek.

- Oto symulacja zakażonej komórki, którą usiłujemy odnaleźć - mówi laborant i zakreśla palcem kółko wokół wielkiej komórki. - Jest ona czerwona, co oznacza, że wirusy całkiem ją opanowały. Jeśli nie zastosujemy żadnego leczenia, komórka zostanie rozsadzona i obumrze. Proszę spojrzeć na otaczające ją cząsteczki. To symulacja potrzebnego nam antidotum. Cząsteczki leczące przywierają na zewnątrz zakażonej komórki.

Dwukrotnie uderza palcem w dużą komórkę i rozpoczyna się krótka animacja, pokazująca jak cząsteczki przylegają do ścianki. Komórka kurczy się i wraca do poprzedniego koloru.

- Widzi pani? Ratują ją przed eksplozją.

Zerkam na obraz po lewej, na którym również znajduje się zakażona komórka otoczona cząsteczkami, ale brakuje owych łączących je rurek.

- Tu widzimy bieżącą sytuację - wyjaśnia analityk. - Brakuje nam czegoś, dzięki czemu cząsteczki antidotum mogłyby się przyczepić do receptorów komórki. Jeśli nie odkryjemy, co to jest, cząsteczki nie będą działać. Lek nie podziała na komórkę, która w następstwie umrze.

Krzyżuję ramiona na piersiach i marszczę brwi, patrząc na Daya, ale ten wzrusza jedynie bezradnie ramionami.

- Jak dojść do tego, czego brakuje?

- W tym właśnie tkwi problem. Przypuszczamy, że oryginalny wirus nie był w stanie przyczepiać się do komórek. Innymi słowy, ktoś go celowo przekształcił. Udało nam się odnaleźć ślady tych ingerencji.

Naukowiec wskazuje jaśniejsze punkciki rozsiane na całej powierzchni komórki.

- To zaś, panno Iparis, może oznaczać, że to Kolonie przekształciły tego wirusa. Nie mamy żadnych informacji, jakoby Republika prowadziła podobne eksperymenty.



- Zaraz - przerywa Day. - To coś nowego. Czy twierdzi pan, że to Kolonie wywołały tę zarazę?

Laborant spogląda na nas srogo, a potem na powrót skupia uwagę na ekranie.

- Być może. Natrafiliśmy jednak na ciekawą rzecz. Wydaje nam się, że ów brakujący element - umiejętność przyłączania się - tak naprawdę wyszedł z Republiki. Istnieje podobny wirus, który pochodzi z niewielkiego miasta w Kolorado, ale wykryliśmy, że ów zmieniony wirus wydostał się z Tribune City, miasta frontowego po stronie wroga. A więc wygląda na to, że wirus Edena w jakiś sposób wszedł w kontakt z czymś w Tribune City.

Niespodziewanie brakujący kawałek układanki wskazuje na miejsce. Bledną. Tribune City... Owo miasto, do którego trafiliśmy wraz z Dayem podczas ucieczki do Kolonii. Przypominam sobie chorobę, na którą zapadłam podczas pobytu w areszcie w Republice. Przypominam sobie, jaka chora byłam, gdy Day przeprowadzał mnie przez podziemny tunel prowadzący z Lamar na terytorium Kolonii. Byłam w szpitalu w Koloniach przez jedną noc. Wstrzyknęli mi jakieś leki, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogą mnie wykorzystać również w innym celu. Czy nieświadomie stałam się obiektem eksperymentu? Czy to w moim krwiobiegu znajduje się brakujący element?

- To ja - szepczę, przerywając laborantowi. Obaj z Dayem spoglądają na mnie ze zdziwieniem.

- Co ma pani na myśli - pyta naukowiec, ale Day milczy. Już zaczyna rozumieć.

- To ja - powtarzam. Rozwiązanie jest tak oczywiste, że aż zapiera mi dech w piersiach. - Osiem miesięcy temu byłam w Tribune City. Zachorowałam podczas aresztowania w Kolorado. Jeśli ów wirus, o którym mówisz, powstał w Republice, a potem wrócił z Tribune City w Koloniach, niewykluczone, że rozwiązaniem waszego dylematu jestem ja.

# DAY

TEORIA JUNE ZMIENIA WSZYSTKO. NATYCHMIAST ZOSTAJE ZABRANA przez zespół laboratoryjny do innego pomieszczenia, gdzie przymocowują do niej kilka rurek i kabli, a potem pobierają od niej próbkę szpiku kostnego. Później następuje seria skanów, po których wygląda, jakby zbierało jej się na mdłości. Podobne przeprowadzano na Edenie. Żałuję, że nie mogę przy niej pozostać. Testy Edena na szczęście dobiegły końca, ale teraz to June musi podjąć ryzyko. Oddałbym wiele, by móc przy niej zostać i dopilnować, by wszystko poszło bez problemów.

„Do licha ciężkiego” – strofuję się z gniewem w myślach. – „A w czym byś niby chciał tu pomóc?”.

Pascaso znajduje mnie w końcu i wyprowadza na zewnątrz, ale nie mogę przestać oglądać się za siebie.

Jeśli krew June zawiera brakujący element, mamy szansę na zatrzymanie epidemii. Może uratować wszystkich.

„Możemy uratować Tess”.

Wraz z kilkoma żołnierzami Republiki wsiadamy do pociągu jadącego ku bazom w Batalla. Myśli kłębią mi się w głowie z taką intensywnością, że nie mogę ustać w miejscu. Pascaso zauważa mój niepokój i uśmiecha się szeroko.

– Byłeś kiedyś w bazie sił powietrznych? Coś mi mówi, że odwaliłeś tu kilka niezłych numerów.

Jego słowa przywołują wspomnienia. Jako czternastolatek wkradłem się do dwóch statków powietrznych w Los Angeles, które miały wyruszyć na front. Podobnie jak w Vegas, dostałem się do środka przez otwór wentylacyjny, a potem niespostrzeżony przekradałem się dalej przez nieskończony system przewodów. Byłem wówczas o wiele drobniejszy i prześlizgiwanie się przez wąski tunel nie stanowiło dla mnie wyzwania. Gdy znalazłem się w środku, ukradłem tyle puszkowanego jedzenia, ile byłem w stanie unieść, a potem zaproszyłem ogień w siłowni. Wywołałem w ten sposób tyle zniszczeń, że statki zostały wyłączone ze służby na długie lata, a może nawet na zawsze. Po tej akcji wylądowałem na czele najbardziej poszukiwanych przestępców Republiki. Niezły

wyczyn, sam muszę przyznać.

Przypominam sobie rozkład baz. Nie licząc kilku baz sił powietrznych w sektorze Batalla, w Los Angeles znajdują się cztery główne bazy marynarki wojennej, umiejscowione wzdłuż zachodniego wybrzeża na odcinku między ogromnym jeziorem i Pacyfikiem. Stacjonują tam nasze rzadko wykorzystywane pancerniki. My jednak udajemy się tam, dlatego że w tym rejonie dokują wszystkie statki powietrzne Los Angeles. Statki Kolonii również się tam udadzą, by rozciągnąć kontrolę nad miastem po naszej kapitulacji.

To trzeci i ostatni dzień zaproponowanego przez Kolonie zawieszenia ognia. Nasz pociąg mknie przez sektory, a ja widzę przez okna grupy cywili gromadzące się przed JumboTronami, które bez przerwy odtwarzają ostatnie przemówienie Andena. Większość z nich wydaje się wstrząśnięta. Stoją obok siebie i tulą bliskich. Inni są wściekli – ciskają butami, narzędziami i kamieniami w ekrany. Wyrażają swe oburzenie wobec zdrady Elektora. Dobrze. Wściekajcie się. Obróćcie swą wściekłość przeciwko Kolonom. Wkrótce muszę odegrać własną rolę.

- Dobra, dzieciaki! - odzywa się Pascao, gdy nasz pociąg zbliża się do mostów prowadzących do baz marynarki wojennej. W dłoni ma kilka niewielkich, metalowych przedmiotów. - Pamiętajcie, po sześć na dok!

Wskazuje niewielki, czerwony przycisk na środku każdego z nich.

- Chcemy wywołać czyste, ograniczone eksplozje. Żołnierze wskażą wam najlepsze miejsca do podłożenia ładunków. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziemy w stanie uszkodzić każdy statek powietrzny wroga korzystający z naszych lądowisk, a statek powietrzny z rozwalonym podwoziem na nic się nikomu nie przyda. Zrozumiano? - pyta, uśmiechając się szeroko. - Trzeba jednak uważać, by nie pokieroszować lądowisk zbyt mocno! Sześć na dok, nie więcej!

Odwracam wzrok i znów patrzę przez okno, gdzie widać już przybliżającą się pierwszą bazę marynarki. Ogromne, stojące w rzędzie lądowiska w kształcie piramid są ciemne i imponujące. Natychmiast przypomina mi się chwila, gdy ujrzałem je po raz pierwszy w Vegas. Czuję dreszcze niepewności. Jeśli nasz plan zawiedzie, jeśli nie będziemy w stanie odeprzeć Kolonii,

a Antarktydzi nigdy nie przyjdą nam z pomocą, jeśli krew June nie pomoże w pozyskaniu antidotum, co się stanie z nami wszystkimi? Co się stanie, gdy Kolonie wreszcie złapią Andena, June czy mnie? Kręcę głową i odpycham te myśli jak najdalej. To nie czas, by się tym przejmować. Któż wie, co się może przydarzyć? Już podjęliśmy decyzję.

Gdy docieramy na lądowisko Pierwszej Bazy Marynarki Wojennej, na niebie widać już małe, ciemne plamki. Należące do Kolonii statki powietrzne i odrzutowce unoszą się na granicy Los Angeles i przygotowują do natarcia. W powietrzu unosi się niski, monotony szum, który najprawdopodobniej oznacza rychłe przybycie ich statków. Zerkam na JumboTrony rozstawione wzdłuż ulicy. Nadal widać na nich przemówienie Andena, a u dołu przesuwają się jaskrawoczerwony napis nakłaniający do szukania schronienia.

Czterech żołnierzy Republiki przyłącza się do nas, gdy wyskakujemy z pociągu i biegniemy w stronę piramidy. Wprowadzają nas do wind, którymi jedziemy na szczyt piramidy. Tam dokują statki powietrzne. Wszędzie dookoła słychać ogłuszający łomot ciężkich butów, gdy żołnierze pędzą na stanowiska. Zastanawiam się, ile oddziałów Anden był zmuszony odesłać na pomoc Denver i Vegas i mam nadzieję, że zostało tu wystarczająco wielu zbrojnych, by nas ochronić.

„To nie Vegas” – przypominam sobie, usiłując nie myśleć o chwili, kiedy dałem się aresztować. Nie bardzo mi to jednak pomaga.

Dojeżdżamy windą na miejsce, a potem biegniemy po schodach na otwarte lądowisko na szczycie piramidy. Serce bije mi jak szalone, ale wysiłek nie jest jedyną przyczyną. Czuję się jak w chwili, gdy po raz pierwszy rozpocząłem współpracę z Patriotami. Nie mogę oderwać wzroku od metalowych belek krzyżujących się pod dachem oraz wystających elementów, które pochwycą i przytrzymają lądujący statek. Ciemny kombinezon, który mam na sobie, wydaje się lekki niczym powietrze. Pora podłożyć kilka ładunków wybuchowych.

- Widzicie te długie belki? - pyta towarzyszący nam kapitan i wskazuje trzy skryte w półmroku szczeliny, do których dostęp wydaje się szczególnie trudny. - Eksplozja podłożonych tam ładunków nie wywołała wielkich zniszczeń w bazie, ale poważnie uszkodzi statek. Będziecie musieli zaminować te trzy punkty

w każdym doku. Sami byśmy się do nich dostali, ale nie mamy czasu na rozstawienie żurawi.

Zmusza się przy tych słowach do uśmiechu. Większość z tych cholernych żołnierzy nadal czuje się przy nas niepewnie.

- I jak? - pyta po chwili niezręcznej ciszy. - Wykonalne? Jesteście na tyle szybcy?

Mam ochotę parsknąć i przypomnieć kapitanowi o mojej reputacji, ale uprzedza mnie Pascao, który wybucha głośnym, perlistym śmiechem.

- Chyba nie ma pan do nas zaufania, co? - pyta i dla żartów trąca go w żebra. Uśmiecha się na widok rumieńca oburzenia na twarzy oficera.

- No dobrze - stwierdza sztywno kapitan, a potem odchodzi z resztą Patriotów oraz swoją eskortą. Zostawia nas samych i zaczyna wskazywać pozostałym dogodne miejsca do podłożenia ładunków wybuchowych.

Po jego odejściu Pascao poważnieje i skupia się na wskazanych przez oficera szczelinach.

- Niełatwo będzie tam dotrzeć - mruży. - Na pewno dasz sobie radę? Znajdziesz w sobie tyle siły w twoim stanie?

Obrzucam go wściekłym spojrzeniem, a potem przyglądam się każdej szczelinie z osobna. Sprawdzam, ile mam siły w kolanach i łokciach. Pascao jest nieco wyższy ode mnie i da radę podłożyć ładunki w pierwszych dwóch szczelinach, ale trzecia znajduje się w tak trudnym miejscu, że tylko ja zdołam się tam wcisnąć. Wiem już, dlaczego kapitan wskazał akurat te punkty. Nawet gdyby nie udało się podłożyć sześciu bomb wzdłuż ściany bazy, przypuszczalnie zdołalibyśmy rozwalić statek powietrzny pojedynczą bombą umieszczoną w trzeciej szczelinie.

- Dostanę się tam - oznajmiam.

- Serio? - Pascao mruży oczy. - Nie chcę patrzeć, jak spadasz i rozgniatasz się na miazgę już w pierwszej bazie.

Jego słowa wywołują u mnie sarkastyczny uśmieszek.

- Ty chyba nie masz do mnie zaufania, co?

- Niewiele. - Pascao się uśmiecha.

Zabieramy się do pracy. Wykonuję ogromny sus ze schodów na

najbliższą belkę, a potem wpełzam w labirynt metalowych konstrukcji. Ogarnia mnie déjà vu. Muszę się przyzwyczaić do sprężyn otaczających moje stawy, ale po kilku krokach nie mam już z nimi problemów. Jestem szybki. Dzięki ich pomocy staję się bardzo szybki. W ciągu dziesięciu minut udaje mi się pokonać większość drogi i znajduję się już bardzo blisko mojej szczeliny. Po szyi spływają mi cieniutkie strużki potu, a w głowie pulsuje znajomy ból. Żołnierze pod nami zatrzymują się i wpatrują w nas, choć elektroniczne zegary odliczają czas pozostały do złożenia broni. Nie mają bladego pojęcia, co wyczyniamy.

Zatrzymuję się, zbierając siły, a potem wykonuję finalny skok. Moje ciało uderza o krawędź szczeliny, ale udaje mi się płynnie wślizgnąć do środka. Bez wahania wyciągam ładunek wybuchowy, odbezpieczam i przymocowuję do ścianki. Pod czaszką łupie z taką siłą, że zaczyna mi się kręcić w głowie, ale skupiam się ze wszystkich sił.

Po wszystkim.

Powoli przeskakuję z belki na belkę w drodze powrotnej. Gdy ląduję na schodach, serce bije mi jak szalone. Dostrzegam Pascao, który również przekrada się pod sufitem bazy, i unoszę kciuk.

„To była ta łatwa część” – przypominam sobie, a moje podniecenie ustępuje złowieszczemu niepokojowi. Teraz czeka na mnie ta trudniejsza część zadania – muszę przekonująco okłamać Kanclerza.

Wkrótce opuszczamy pierwszą bazę i zabieramy się do dzieła w drugiej. Gdy kończymy zakładanie ładunków w czwartej, czuję, jak siły zaczynają mnie opuszczać. Gdybym naprawdę był w szczytowej formie, dzięki temu kombinezonowi stałbym się niemalże nie do powstrzymania, ale jestem w kiepskiej kondycji i nawet mimo możliwości, które mi daje, bolą mnie mięśnie i z trudem oddycham. Żołnierze prowadzą mnie teraz do osobnego pomieszczenia w bazie, skąd mam przeprowadzić rozmowę z Kanclerzem, a potem wygłosić mowę. Czuję ulgę, że nie muszę już biegać pod sufitem.

– Co zrobimy, jak Kanclerz nie da się nabrać? – pyta Pascao, gdy żołnierze wychodzą z pokoju. – Bez urazy, słonko, ale nie słyniesz z umiejętności dotrzymywania obietnicy.

- Niczego mu nie obiecałem - odpowiadam. - Poza tym, usłyszysz moje przemówienie, które zostanie nadane w całej Republice. Będzie myślał, że wszyscy rodacy uwierzyli w moją zmianę frontu. Nie potrwa to długo, ale zyskamy trochę czasu.

W duchu liczę na to, że uda nam się opracować antidotum, nim Kolonie zrozumieją, co planujemy. Pascao wygląda przez okno, za którym wojsko montuje ostatnie bomby pod sufitem bazy. Jeśli nasz plan się nie powiedzie albo Kolonie przejrzą nasz podstęp, będzie najprawdopodobniej po nas.

- A więc czas na wykonanie połączenia - szepcze Pascao. Zamyka drzwi, znajduje mi jakieś krzesło i ustawia je w kącie, a potem siada i czeka.

Ręce drżą mi lekko, gdy włączam mikrofon i wybieram częstotliwość Kanclerza Kolonii. Przez moment słyszę tylko zakłócenia. Mam cichą nadzieję, że nie uda mi się jej odnaleźć i nie będę mógł się z nim skontaktować, ale wkrótce zakłócenia ustają i połączenie zostaje nawiązane.

- Z tej strony Day. Dziś mamy ostatni dzień obiecanego przez pana zawieszenia broni, no nie? Chciałbym odpowiedzieć na pańską propozycję.

Mija sekunda za sekundą, aż w końcu słyszę wyraźny głos człowieka nawykłego do prowadzenia interesów.

- Panie Wing! - Kanclerz jest uprzejmy i miły jak zwykle. - W samą porę. Bardzo miło pana usłyszeć.

- Na pewno widział pan już przemówienie Elektora? - pytam, nie wdając się w wymianę grzeczności.

- Tak, w rzeczy samej - odpowiada. W tle słyszę szelest przesuwanych papierów. - A teraz jeszcze dzwoni pan. Doprawdy, to dzień pełen niespodzianek. Zastanawiałem się właśnie, kiedy się pan znów z nami skontaktuje. Niech pan mi powie, Danielu, czy zastanowił się pan nad moją propozycją?

Pascao nie spuszcza ze mnie wzroku. Nie słyszy rozmowy, ale widzi napięcie na mojej twarzy.

- Zastanowiłem się - odpowiadam po chwili. Przecież muszę okazać odrobinę niechęci, prawda? Mam mu się wydać przekonującym. Ciekawe, czy spodobałoby się to June.

- I cóż takiego pan postanowił? Proszę pamiętać, że decyzja zależy całkowicie od pana. Nie chcę pana zmuszać do niczego, na co pan nie ma ochoty.

Jasne. Nie muszę robić zupełnie nic. Po prostu postoję sobie z boku i popatrzę, jak niszczysz lud, który kocham.

- Zrobię to, co pan zaproponował - mówię i znów milknę. - Republika już się poddała. Ludziom nie podoba się wasza obecność, ale nie chcę, by komukolwiek stała się krzywda. - Wiem, że nie muszę wymieniać imienia June, by Kanclerz dobrze mnie zrozumiał. - Wygłoszę odezwę do mieszkańców Los Angeles. Dzięki Patriotom mamy dostęp do wszystkich JumboTronów w mieście. Niedługo po tym film pojawi się na wszystkich ekranach w Republice. - Postanawiam okazać nieco zadziorności, by moje kłamstwo okazało się bardziej autentyczne. - To wystarczy, byś trzymał swoje cholerne łapy z dala od June?

Kanclerz klaska raz w dłoń.

- Dobra. Jeśli jest pan gotów, by stać się naszym eee... rzecznikiem, że tak to nazwę, pragnę zapewnić, że oszczędzimy pannie Iparis procesów i egzekucji, które stanowią nierozzerwalny czynnik każdej zmiany władzy.

Przeszywa mnie dreszcz, ponieważ uświadamiam sobie, że jeśli poniosę porażkę i nie zdołam zrealizować mojego planu, Anden zapłaci za to życiem. Ba, jeśli nam się nie uda, Kanclerz przypuszczalnie zorientuje się, że to ja za tym stoję. June i Eden będą mogli zapomnieć o gwarancjach bezpieczeństwa. Pokasłuję.

Pascas zamarł w bezruchu z napięcia.

- A co z moim bratem?

- Nie musisz się o niego martwić. Już ci mówiłem, że nie jestem tyranem. Nie przymocuję go do jakiejś maszyny i nie będę pompował w niech substancji chemicznych czy innych trucizn. Nie ma mowy o żadnych eksperymentach. Obaj będziecie prowadzić wygodne, bezpieczne życie, wolni od wszelkich zmartwień. To mogę ci zagwarantować. - Kanclerz mówi teraz tonem, który w jego mniemaniu jest łagodny i subtelny. - Słyszę udrękę w twoim głosie, ale przecież ja robię tylko to, co zrobić muszę. Gdyby wasz Elektor mnie uwięził, nie wahałby się ani chwili przed posłaniem mnie przed pluton egzekucyjny. Tak skonstruowany jest świat. Nie jestem



okrutnym człowiekiem, Danielu. Pamiętaj, że to nie Kolonie są odpowiedzialne za to, że przez całe życie cierpisz.

- Nie nazywaj mnie Danielem - mówię cicho. „Tylko moja rodzina ma prawo mnie tak nazywać. Dla reszty świata nazywam się Day. To proste jak drut”.

- Proszę o wybaczenie - mówi Kanclerz, który w istocie wydaje się autentycznie przejęty. - Mam nadzieję, że rozumiesz, co mówię, Day.

Przez chwilę milczę. Nawet w tej chwili czuję niechęć do Republiki. Mroczne myśli i złe wspomnienia budzą się, szepczą, bym zawrócił i pozwolił państwu rozsypać się w gruzy. Kanclerz zna mnie lepiej niż sądziłem. Trudno zapomnieć o życiu pełnym cierpienia. Niespodziewanie w moich myślach odzywa się June. Jak gdyby czuła, że Kanclerz próbuje mnie omotać swoimi słowami, szepcze do mnie, rozpędzając złe myśli. Zamykam oczy i przywieram do niej, czerpiąc od niej siłę.

- Powiedz mi, kiedy mam wygłosić odezwę - mówię po chwili. - Wszystko już podłączyliśmy. Jesteśmy gotowi. Miejmy to już z głowy.

- Cudownie. - Kanclerz pokasłuje i znów mówi jak człowiek interesu. - Im szybciej, tym lepiej. Moje oddziały wylądowały w zewnętrznych bazach marynarki wojennej Los Angeles wczesnym popołudniem. Umówmy się, że wtedy wygłosisz swoją mowę, dobrze?

- Zgoda.

- I jeszcze jedno - dodaje Kanclerz, gdy próbuję się rozłączyć. Sztywnieję.

- Jeszcze jedno, nim zapomnę.

- Co takiego?

- Chcę, byś wygłosił mowę z pokładu mojego statku powietrznego.

Patrzę z przestrawieniem na Pascao, który nie ma pojęcia, co właśnie usłyszałem, ale mruży oczy, widząc moją bladość. Ze statku powietrznego Kanclerza? Jasne. Czy myślimy naprawdę sądzili, że będzie go tak łatwo oszukać? Podejmuje środki ostrożności. Jeśli coś pójdzie nie po mojej myśli, będzie miał mnie w garści. Jeśli powiem cokolwiek, co nie będzie po jego myśli, zabije mnie

natychmiast.

Gdy odzywa się ponownie, słyszę satysfakcję w jego głosie. Doskonale wie, co robi.

- Twoje słowa nabiorą większego znaczenia, jeśli padną z pokładu naszego statku, nie sądzisz? - mówi i raz jeszcze klaszcze w dłonie.

- Spodziewamy się ciebie w Pierwszej Bazie Marynarki Wojennej za kilka godzin. Nie mogę się doczekać naszego spotkania, Day.

# JUNE

ODKRYCIE, IŻ JESTEM W JAKIŚ SPOSÓB ZWIĄZANA Z EPIDEMIA, zmienia wszystkie nasze plany. Nie mogę wybrać się z Patriotami do baz i pomóc Dayowi w zakładaniu ładunków wybuchowych. Zostaję w szpitalu, a grupy techników laboratoryjnych podłączają mnie do rozmaitych maszyn i przeprowadzają serię testów. Moje sztylety wraz z pistoletem leżą na szafce, by nie przeszkadzały w rozpięciu kabelków i rurek. Pozostał mi tylko nóż wsunięty w but. Siedzi przy mnie błąd jak ściana Eden. Po kilku godzinach testów zaczynam cierpieć na nudności.

- Pierwszy dzień jest najgorszy - odzywa się Eden i uśmiecha się, by dodać mi otuchy. Mówi powoli, chyba przez to, że zespół szpitalny podał mu coś na sen. - Potem jest lepiej.

Pochyla się i poklepuje mnie po rękę, a jego niewinne współczucie sprawia, że czuję się lepiej. Jestem pewna, że tak właśnie wyglądał Day jako dziecko.

- Dzięki - odpowiadam. Nie wypowiadam reszty mojej myśli na głos, ale nie mogę uwierzyć, że dziecko takie jak Eden znosiło te testy przez długie dni. Gdybym o tym wiedziała, niewykluczone, że posłuchałabym Daya i od samego początku sprzeciwiła się prośbie Andena.

- Co się stanie, gdy odkryją, że w twojej krwi znajduje się to, czego szukają? - pyta Eden po chwili. Jego powieki stają się coraz cięższe, a pytanie jest niewyraźne.

Dobre pytanie. Cóż, zdobędziemy antidotum. Możemy pokazać wyniki Antarktydzie i udowodnić, że Kolonie świadomie wykorzystały wirusa. Możemy również przedstawić je w ONZ i odepchnąć Kolonie. Zdejną z nas wówczas kwarantannę.

- Antarktydzi obiecują, że pomoc jest w drodze - decyduję się powiedzieć. - Może wygramy. Ale to jeszcze nic pewnego.

- Ale przecież Kolonie pukają nam do drzwi! - Eden spogląda na okno, za którym widać wrogie statki powietrzne na niebie. Niektóre już przycumowały w naszych bazach, inne nadal wiszą nad miastem. Cień padający na Bank Tower, w której znajduje się nasz

szpital, mówi mi, że jeden z nich wisi dokładnie nad nami.

- Co zrobimy, jeśli Daniel nie podoła? - szepcze, ze wszystkich sił walcząc ze snem.

- Po prostu musimy wszystko uważnie rozegrać - mówię, ale słowa Edena sprawiają, że sama również zaczynam przyglądać się panoramie miasta. W istocie, co pocznjemy, gdy plan Daya spali na panewce? Przed wyjściem powiedział mi, że skontaktuje się z nami przed wygłoszeniem odezwy do narodu. Na widok statków powietrznych Kolonii tuż nad naszymi głowami przepełnia mnie wściekłość. Żałuję, że nie mogę im towarzyszyć. Co zrobimy, gdy Kolonie odkryją podłożone przez nas ładunki? Co zrobimy, gdy Day i reszta nie wrócą?

Mija kolejna godzina. Eden zapada w głęboki sen, ale mi nie jest dane zasnąć. Leżę i walczę z falami nudności. Przymykam oczy. Wydaje mi się, że to pomaga. Chyba w końcu zasypiam, gdyż nagle zrywam się na odgłos otwieranych drzwi. Wrócili laboranci.

- Panno Iparis - mówi jeden z nich i poprawia plakietkę, na której widnieje imię Mikhael. - Komórki nie pasują do siebie w stu procentach, ale są na tyle podobne, że będziemy mogli opracować lek. Testujemy prototyp na Tess.

Nie potrafi powstrzymać uśmiechu.

- Pani była owym brakującym elementem. Mieliśmy go przez cały czas w zasięgu ręki.

Wpatruję się w niego bez słowa, a w mojej głowie szaleją myśli:

„Możemy wysłać wyniki Antarktydzie. Możemy poprosić o pomoc. Możemy powstrzymać epidemię. Mamy szansę w wojnie”.

Koledzy Mikhaela zaczynają odpinać kable i rurki, a potem pomagają mi wstać. Potrafię ustać na nogach, ale pokój wciąż wiruje. Nie wiem, czy dzieje się tak na skutek efektów ubocznych leczenia, czy z powodu ulgi.

- Chcę się zobaczyć z Tess - mówię, gdy idziemy ku drzwiom. - Kiedy zadziała lekarstwo?

- Nie mamy pewności - przyznaje Mikhael, gdy wchodzimy w długi korytarz. - Ale nasze symulacje są wiarygodne i wyhodowaliśmy kilka kultur z zainfekowanymi komórkami. Myślę, że stan Tess zacznie się poprawiać bardzo szybko.

Zatrzymujemy się przy długich, szklanych oknach, przez które widać pokój Tess. Leży pogrążona w niespokojnym półśnie, a wokół niej uwijają się laboranci w pełnych skafandrach ochronnych. Widzę monitory pokazujące stan jej funkcji życiowych oraz grafy i wykresy przypięte do ścian. Do ramienia dziewczyny podłączono kroplówkę. Wpatruję się w jej twarz, poszukując jakichkolwiek śladów świadomości, ale niczego nie widzę.

Słyszę zakłócenia zwiastujące rychłe połączenie. Marszczę brwi, przyciskam dłoń do ucha i włączam mikrofon. Sekundę później słyszę głos Daya.

- Nic ci nie jest? - pyta.

To była jego pierwsza myśl. No tak, trudno się dziwić. Zakłócenia są tak gwałtowne, że ledwie go rozumiem.

- Nic mi nie jest! - odpowiadam w nadziei, że mnie usłyszy. - Day, posłuchaj mnie! Znaleźliśmy lek!

Nie słyszę jego słów, a zamiast nich jedynie zakłócenia, długie, nieubłagane.

- Day? - powtarzam, a po drugiej stronie rozlegają się trzaski, jakby ktoś desperacko próbował się ze mną skontaktować. Nie udaje nam się połączyć. To dziwne, bo zasięg w bazach wojskowych jest na ogół bez zarzutu. Mam wrażenie, że coś blokuje wszystkie nasze częstotliwości.

- Day? - powtarzam.

W końcu łapię jego głos. Słyszę w nim napięcie, które przypomina mi chwilę, kiedy zdecydował się ode mnie odejść wiele miesięcy temu. Przeszywa mnie lęk.

- Wygłoszę odezwę z... z pokładu statku powietrznego Koloni... clerz nie zgodzi się na nic innego...

Z pokładu statku powietrznego Kolonii. Kanclerz będzie miał więc w ręku wszystkie asy. Jeśli Day wykona jakiś nagły ruch bądź powie coś, czego nie uzgodnili, zostanie z miejsca aresztowany lub zamordowany.

- Nie rób tego - szepczę. - Nie musisz. Znaleźliśmy antidotum. To ja byłam brakującym elementem układanki.

- June?

Potem nie słyszę już odpowiedzi, a jedynie zakłócenia. Próbuję się

połączyć jeszcze dwukrotnie, a potem ze złością wyłączam mikrofon. Widzę, że personel laboratorium również bez powodzenia usiłuje nawiązać połączenie.

Potem przypominam sobie cień padający na nasz budynek. Złość natychmiast ustępuje miejsca zrozumieniu i przestrachowi.

„O, nie...”.

Kolonie. To wróg blokuje nasze częstotliwości. Zajęli je! Nie sądziłam, że uda im się to tak szybko. Podbiegam do okna, z którego widać panoramę Los Angeles, a potem spoglądam ku niebu. Widzę gigantyczny statek powietrzny Kolonii unoszący się nad budynkiem. Wytężam wzrok i dostrzegam mniejsze samoloty, które odrywają się od niego i krążąc, schodzą niżej.

Mikhael podchodzi do mnie.

- Nie możemy skontaktować się z Elektorem - mówi. - Wszystkie częstotliwości są zakłócone.

Czy to element przygotowań do odezwy Daya?

„Popadł w tarapaty. Wiem o tym”.

W tej samej chwili drzwi na końcu korytarza otwierają się i do środka wkracza pięciu żołnierzy z uniesioną bronią. Natychmiast zauważam, że nie są to żołnierze Republiki, lecz Kolonii, ubrani w ciemnoniebieskie kurtki ze złotymi gwiazdami. Ogarnia mnie panika. Odruchowo rzucam się ku pokojowi Edena, ale nieprzyjaciel mnie dostrzega. Dowodzący pododdziałem celuje do mnie. Odruchowo sięgam po broń i przypominam sobie, że całe moje uzbrojenie, nie licząc noża przy pasku, leży w pokoju Edena.

- Republika ogłosiła kapitulację - mówi z emfazą oficer. - Ster rządów został więc przekazany Kolonom. Nakazuję wam odsunąć się i pozwolić nam przejść, byśmy mogli przeszukać pomieszczenie.

Mikhael unosi ręce i wypełnia polecenie oficera, który zbliża się na czele swoich ludzi. W mojej głowie wirują wspomnienia z Drake, a nowe pomysły przelatują z prędkością światła. Przyglądam się z uwagą żołnierzom. Niewielki pododdział bez wątpienia został wysłany do konkretnego zadania. Podobne oddziały muszą się teraz kręcić po wszystkich piętrach, ale ja przeczuwam, że ci tutaj zostali wysłani po coś szczególnego. Napinam mięśnie, gotowa do walki. To mnie szukają.

Mikhael, jakby czytał w moich myślach, kiwa głową na żołnierzy. Nadal trzyma ręce wysoko w górze.

- Czego tu chcecie?

- Szukamy chłopaka nazywającego się Eden Bataar Wing - odpowiada żołnierz.

Zachowuję absolutny spokój. Nie mam zamiaru najdrobniejszym nawet gestem zdradzać, że Eden przebywa na tym piętrze, ale zalewa mnie przerażenie. To nie mnie szukają. Chcą dorwać brata Daya. Jeśli Day zostanie zmuszony do wygłoszenia mowy ze statku powietrznego Kanclerza, nie będzie mógł nic poradzić, jeśli ten postanowi zrobić z niego zakładnika. Jeśli Kanclerz dodatkowo aresztuje Edena, Day spełni każdą jego zachciankę. Moje myśli sięgają jeszcze dalej. Jeśli Koloniom w istocie uda się dziś opanować Republikę, Kanclerz będzie mógł bez przeszkód wykorzystywać Daya w charakterze broni. Będzie za jego pomocą mógł manipulować narodem, o ile ludzie nadal będą wierzyć w niego jak w bohatera.

Wyprzedzam Mikhaela i mówię do żołnierza:

- Na tym piętrze trzymamy jedynie ofiary epidemii. Jeśli szukasz brata Daya, spróbuj na wyższych piętrach.

Żołnierz celuje we mnie i mruży oczy, rozpoznając mnie.

- To ty jesteś Princeps-Adeptką - mówi. - June Iparis, tak?

- Jedną z Adeptek, tak - odpowiadam, zadzierając głowę.

Przez moment łudzę się, że uwierzył w to, co powiedziałam o Edenie. Niektórzy z jego ludzi zawracają bowiem w stronę drzwi. Oficer jednakże przygląda mi się przez dłuższą chwilę, a potem zerka na korytarz ze moimi plecami. Tam znajduje się pokój Edena. Boję się choćby drgnąć.

- Znam twoją reputację - mówi, marszcząc brwi. Szukam jakichś argumentów, którymi mogłabym go zbyć, ale ten przyzywa swoich ludzi skinieniem głowy i wskazuje bronią korytarz.

- Przeszukajcie to piętro dokładnie. Chłopak powinien gdzieś tu być.

Za późno na kolejne kłamstwa. Nadszedł czas na spłacenie długu wobec Daya. Staję żołnierzom na drodze, a przez moją głowę przemykają obliczenia. Korytarz ma szerokość nieco ponad czterech

stóp. Jeśli stanę w nim, tamci nie będą w stanie zaatakować mnie jednocześnie. Będę miała do czynienia z dwoma na raz.

- Wasz Kanclerz nie ucieszy się z mojej śmierci - kłamię. Serce wali mi jak szalone. Laborant spogląda na mnie z przerażeniem, nie mając pojęcia, co począć. - Będzie przecież chciał mnie osądzić i sam dobrze o tym wiesz.

- Taka mała buzia, a tyle kłamstw. - Żołnierzy nosi broń. - Zejdź mi z drogi albo będzie po tobie.

Posłuchałabym go, gdybym nie usłyszała cienia wątpliwości w jego głosie. Nie przydam się Dayowi ani Edenowi, jeśli dam się teraz zastrzelić, ale odrobina niepewności w zachowaniu żołnierza to wszystko, czego mi teraz trzeba. Powoli, ostrożnie unoszę ramiona. Nie spuszczam z niego wzroku.

- Nie chcesz mnie zastrzelić - mówię. Nie mogę się nadziwić, jak stanowczo brzmi mój głos. Nie ma w nim ani odrobiny strachu, choć w żyłach płynie mi adrenalina. Nogi drżą mi nieco, gdyż nadal nie odzyskałam pełni sił po eksperymentach. - Wasz Kanclerz nie robi wrażenia człowieka wyrozumiałego.

Żołnierz znów się waha. Nie zna planów Kanclerza w stosunku do mnie i musi mi uwierzyć. Toczymy pojedynek spojrzeń przez kilka długich sekund, aż w końcu wypluwa przekleństwo i opuszcza broń.

- Brać ją - mówi ostro do podwładnych. - Nie strzelać!

Świat rozplywa się i staje mało istotny. Liczy się dla mnie tylko wróg. Uruchamiam instynkt.

„No to się zabawimy. Nie macie pojęcia, z kim przyszło wam się zmierzyć”.

Kucam i przybieram pozycję do walki, a żołnierze ruszają na mnie jednocześnie. Niewielka szerokość korytarza działa na moją korzyść, gdyż mam naprzeciwko siebie dwóch ludzi, a nie pięciu. Unikam uderzenia pierwszego przeciwnika, wyrywam nóż z buta i bez litości tnę go po łydce. Ostrze rozcina nogawkę oraz ścięgno. Żołnierz wali się na ziemię z dzikim wrzaskiem. Jego kolega potyka się o ciało rannego. Nie marnuję czasu i kopię go w twarz, odbierając mu przytomność. Odbijam się od jego pleców i nacieram na trzeciego przeciwnika. Ten próbuje uderzyć mnie pięścią. Blokuję jego cios ramieniem, a drugą ręką walę go w twarz z taką siłą, że słyszę chrupnięcie łamanej chrząstki. Człowiek



zatacza się i pada, kurczowo trzymając złamany nos.

Trzech z głowy.

Przewaga zaskoczenia znika. Pozostałych dwóch żołnierzy zachowuje większą ostrożność. Jeden z nich wzywa posiłki przez mikrofon. Widzę, jak Mikhael wymyka się za ich plecami. Nie patrzę w jego kierunku, ale wiem, że zmierza ku klatce schodowej, by zamknąć drzwi. Odetnie w ten sposób drogę innym żołnierzom Kolonii.

Jeden z moich przeciwników unosi broń i celuje w moje nogi. Wymierzam błyskawiczne kopnięcie. But trafia w lufę w chwili, gdy żołnierz naciska spust. Kula przemyka nad moim ramieniem i odbija się rykoszetem. Interkomy w całym budynku ryczą sygnałem alarmu. Drzwi na klatkę schodową zostały zamknięte. Kopię w karabin po raz drugi, a ten uderza żołnierza w twarz, ogłuszając go na moment. Wykonuję obrót i uderzam go w szczękę łokciem...

Niespodziewanie czuję potworny ból z tyłu głowy. Przed oczami eksplodują mi gwiazdy. Zataczam się, padam na jedno kolano, usiłuję przewyciężyć wstrząs. Drugi z przeciwników zapewne zaszedł mnie od tyłu. Wykonuję cios na ślepo, nie wiedząc, gdzie znajduje się przybysz z Kolonii, ale chybiam i znów się przewracam. Patrzę zamglonym wzrokiem, jak żołnierz unosi kolbę, by uderzyć mnie raz jeszcze.

„Po tym już się nie podniosę...”.

Próbuję się odtoczyć, ale nie jestem w stanie.

Cios nie nadchodzi. Mrugam, usiłując się podnieść. Co się stało? Odzyskuję po chwili wzrok na tyle, by ujrzeć ostatniego z żołnierzy na ziemi. Laboranci zbierają się ze wszystkich stron, by związać mu ręce i nogi. Niespodziewanie wszędzie widzę ludzi. Nade mną stoi Tess, blada, schorowana, oddychająca z trudem, ściskająca broń zabraną któremuś z rannych żołnierzy. Nawet nie zauważyłem, kiedy wyszła z pokoju.

Z trudem zdobywa się na słaby uśmiech.

- Nie ma sprawy - mówi i wyciąga rękę, by pomóc mi wstać.

Uśmiecham się również. Tess drży na całym ciele, ale pomaga mi wstać. Chwieję się i zataczam, a Tess podsuwa mi ramię. Żadna z nas nie trzyma się mocno na nogach, ale nie przewracamy się.

- Panno Iparis! - sapie Mikhael, biegnąc ku nam. - Udało nam się porozumieć z Elektorem! Powiedzieliśmy mu o antidotum! Otrzymaliśmy również nakaz przeprowadzenia ewakuacji do Bank Tower. Mówią, że nasza lipna kapitulacja wkrótce dobiegnie końca, a Kolonie wymierzą pierwsze uderzenie odwetowe w...

Szpital przeszywa wstrząs. Zamieramy w miejscu. Spoglądam na horyzont. W pierwszej chwili miałam wrażenie, że to symptom trzęsienia ziemi lub grzmot przelatującego w pobliżu statku powietrznego, ale wstrząsy są krótkie i następują w dokładnie określonej kolejności. Nie ma to nic wspólnego z ostrym drżeniem trzęsienia ziemi czy niskim, równomiernym pomrukiem statku. Uświadamiam sobie, iż przypuszczalnie rozpoczęto detonowanie bomb podłożonych w bazach sił powietrznych. Wraz z Tess podbiegamy do okien i patrzymy na wysokie słupy ognia, unoszące się na horyzoncie. Czuję narastające przerażenie. A więc Day wygłosił już swoje przemówienie. Nie mam jedynie pojęcia, czy to przeżył.

Nasza zabawa w kapitulację dobiegła końca. Nie ma już mowy o zawieszeniu ognia. Rozpoczął się ostatni etap walk o Republikę.

# DAY

GDY MIAŁEM PIĘTNAŚCIE LAT, WŁAMAŁEM SIĘ DO BANKU W LOS ANGELES. Strażnicy pilnujący tylnego wyjścia wyśmiali mnie, gdy powiedziałem, że jestem w stanie dokonać tej sztuki w dziesięć sekund. Nie wiedzieli, że wcześniej w nocy dokładnie obejrzałem sobie bank z zewnątrz. Zapamiętałem położenie każdego okna, gzymsu oraz parapetu, próbując jednocześnie wyobrazić sobie wszystkie piętra. Potem czekałem na zmianę straży o północy i wkradłem się do piwnicy, a tam przymocowałem niewielki ładunek wybuchowy do zamka sejfów. Wkradnięcie się do sejfów bez aktywacji alarmu było nie do pomyślenia, ale wiedziałem, że gdy strażnicy ruszą na obchód następnego dnia rano, większość sterowanych laserowo systemów alarmowych w budynku zostanie wyłączona. Zjawiłem się na tyłach banku podczas obchodu. Zacząłem się drażnić ze strażnikami przy tylnych drzwiach, podczas gdy ich koledzy w środku zaczęli otwierać wrota do sejfów. Wtedy doszło do eksplozji. W tej samej chwili wskoczyłem do środka przez okno na drugim piętrze, zbiegłem po schodach i wpadłem do sejfów, który był spowity kłębam dymu i pyłu. Potem obwiązałem się w pasie łańcuchami, którymi oddzielano od siebie kolejki klientów i wyskoczyłem na zewnątrz z najwyższego piętra. To dopiero był numer...

Idę teraz po rampach doku, zmierzając w kierunku wejścia do pierwszego statku powietrznego Kolonii, który przyjdzie mi odwiedzić. Ze wszystkich stron otaczają mnie żołnierze wroga. Przypomina mi się napad na bank, a jednocześnie czuję obezwładniającą ochotę, by rzucić się do ucieczki. Mam ochotę skoczyć na burtę statku, zgubić goniących mnie żołnierzy i wślizgnąć się do systemu wentylacyjnego. Omiotam statek wzrokiem, szukam najlepszych dróg ucieczki, najbliższych kryjówek i najwygodniejszych punktów oparcia. Idąc na otwartej przestrzeni, czuję się zbyt bezbronny, za bardzo narażony na cios.

Nie okazuję jednak wątpliwości. Docieram do wejścia, a tam przejmują mnie dwóch poruczników. Zapraszają mnie do środka i sprawdzają, czy nie mam żadnej broni. Uśmiecham się do nich uprzejmie. Kanclerz przypuszczalnie chce ujrzyć mój lęk

i niepewność. Nie mogę go więc rozczarować.

Żołnierze nie zauważają niewielkich dysków wielkości monet, które zostały wszyte w moje buty. Jeden z nich to urządzenie rejestrujące. Chcę wykorzystać rozmowę, jaka się zaraz odbędzie, przeciwko Koloniom. Cały naród musi ją usłyszeć. Pozostałe dyski to niewielkie ładunki wybuchowe. Gdzieś poza bazą czeka Pascao oraz inni Patrioci skryci wśród cieni.

Mam nadzieję, że ludzie są gotowi na mój sygnał. Mam nadzieję, że czekają na mój ostateczny krok, że patrzą na ekrany i wypatrują moich słów. Po raz pierwszy jestem na statku powietrznym, na którym nigdzie nie widzę portretów Elektora. Zamiast nich między złoto-niebieskimi flagami w kształcie jaskółczego ogona znajdują się reklamy wszelkich produktów, od jedzenia przez elektronikę aż po domy. Ogarnia mnie nieprzyjemne uczucie déjà vu. Przypominają mi się chwile, które spędziliśmy z June w Koloniach, ale gdy czuję na sobie wzrok poruczników, wzduszam ramionami i spuszczam wzrok. Idziemy korytarzami, a potem wspinamy się dwa piętra w górę, aż zostaję wprowadzony do większego pomieszczenia. Stoję tam przez chwilę, nie wiedząc, co począć. Mam wrażenie, że znalazłem się na czymś w rodzaju pokładu obserwacyjnego. Dzięki długim, szklanym oknom rozciąga się stąd panorama Los Angeles.

Stoi tam samotny człowiek. Jego sylwetka, obramowana światłami miasta, jest całkowicie czarna. Przyzywa mnie skinieniem.

- Och, wreszcie jesteś! - woła.

Natychmiast rozpoznaję gładki, przymilny sposób mówienia Kanclerza. Nie tak go sobie wyobrażałem - jest niskim, drobnym, wręcz kruchym człowiekiem o rzadziejących, siwych włosach. Jego męski głos nie pasuje wręcz do ciała. Garbi się nieco, a jego skóra wydaje się tu i ówdzie cienka i przejrzysta, jakby była zrobiona z papieru i mogła popękać pod wpływem dotknięcia. Nie mogę ukryć zaskoczenia. To ma być człowiek, który rządzi korporacjami takimi jak DesCon? To on zastrasza cały naród i negocjuje z precyzją urodzonego manipulanta? Jestem nieco rozczarowany, jeśli mam być szczery. Mam ochotę zacząć go lekceważyć, ale wtedy spoglądam mu w oczy.

I wtedy rozpoznaję Kanclerza, z którym rozmawiałem. Jego oczy nieprzerwanie obliczają, analizują i dedukują. Przeszywa mnie

dreszcz, gdy w nie spoglądam. Kryje się w nich coś niedobrego.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, skąd się bierze moje przeświadczenie. Oczy Kanclerza są sztuczne.

- Nie stój tak - mówi. - Podejdź bliżej. Naciesz się tym pięknym widokiem wraz ze mną, synu. To stąd będziesz wygłaszał odezwę. Niezły punkt obserwacyjny, nie?

Mam na końcu języka ciętą ripostę: „Widok byłby ładniejszy bez tych wszystkich waszych statków”, ale opanowuję pokusę i spełniam jego polecenie. Kanclerz uśmiecha się, gdy staję przy nim, a ja ze wszystkich sił staram się nie patrzeć mu w fałszywe oczy.

- Niech no tylko ci się przyjrzę! Jaki młody i przystojny! - Klepie mnie po plecach. - Dobrze zrobiłeś przychodząc tutaj, wiesz?

Znów wbija wzrok w Los Angeles.

- Widzisz to wszystko? Po co miałbyś zachować lojalność wobec Republiki? Jesteś teraz obywatelem Kolonii i nie będziesz musiał znosić pokrętnego prawa Republiki. Potraktujemy ciebie i twego brata tak dobrze, że wkrótce zaczniesz się zastanawiać, dlaczego tak długo się ociążałeś z decyzją.

Rozglądam się niespostrzeżenie i zapamiętuję możliwe drogi ucieczki.

- Co się stanie z obywatelami Republiki?

Kanclerz uderza palcem po ustach, udając zadumę.

- Senatorzy niestety nie będą raczej uszczęśliwieni obrotem wydarzeń, a co do Elektora... Cóż, wiesz, że w jednym kraju może być tylko jeden prawdziwy rządzący, a przecież ja już tu jestem.

Obdarza mnie przy tym uśmiechem, w którym pojawia się uprzejmość. Stanowi to szokujący kontrast w stosunku do jego słów.

- Obaj mamy więcej ze sobą wspólnego, niż ci się wydaje. Nie jesteśmy okrutnikami. Jesteśmy po prostu ludźmi praktycznymi, a sam wiesz, że niełatwo jest radzić sobie ze zdrajcami.

Po moich plecach spływają dreszcze.

- A Princeps-Adepci? - pytam. - A Patrioci? Co z nimi? To była część naszej umowy, pamięta pan?

- Oczywiście, że pamiętam. - Kanclerz kiwa głową. - Day, gdy dorośniesz, nauczysz się wielu rzeczy o ludziach i społeczeństwie.

Czasami po prostu trzeba postąpić bezwzględnie. Dobra, zanim wpadniesz w panikę, pragnę cię zapewnić, że pannie Iparis nic się nie stanie. Planujemy udzielić jej aktu łaski, pod warunkiem, że zgodzisz się nam pomóc. To część naszej umowy, jak sam powiedziałeś, a ja nie cofam danego słowa. Pozostała dwójka Princepsów zostanie stracona razem z Elektorem.

Zostanie stracona. Jak łatwo powiedzieć coś takiego. Przypominam sobie zakończoną niepowodzeniem próbę zgładzenia Andena i robi mi się niedobrze. Tym razem może już nie mieć tyle szczęścia co poprzednio.

- Macie oszczędzić June - udaje mi się wykrztusić - i nie skrzywdzić Patriotów oraz mojego brata. Nadal nie odpowiedział pan jednak na moje pytanie. Co się stanie z mieszkańcami Republiki?

Kanclerz przygląda mi się, a potem pochyła.

- Rzeknij mi, Day, jedno. Czy sądzisz, że masy mają prawo podejmować decyzję za cały naród?

Spoglądam na panoramę Los Angeles. Znajdujemy się na sporej wysokości. Będę musiał w jakiś sposób spowolnić upadek.

- Prawa, które mają wpływ na cały naród, będą również oddziaływać na każdego z osobna, no nie? - odpowiadam, prowokując go. Mam nadzieję, że wszystko się nagrywa. - A więc ludzie oczywiście mają prawo do decydowania za cały kraj.

- To sprawiedliwe i uczciwe rozumowanie. - Kanclerz kiwa głową. - Ale narody niewiele zyskują dzięki uczciwości, wiesz? Czytałem o narodach, w których każda jednostka otrzymywała na starcie identyczne szanse. W takim społeczeństwie wszyscy ludzie przyczyniają się do większego dobra i nikt nie jest bogatszy bądź uboższy od innego. Myślisz, że taki system się sprawdził? - Kręci głową. - Nie. Zdecydowała o tym natura ludzka, Day. Nauczysz się tego, gdy dorośniesz. Ludzie są niesprawiedliwi, nieuczciwi i kłótniwi z natury. Trzeba postępować z nimi ostrożnie. Trzeba znaleźć jakiś sposób, by uznali, że spełniasz ich wszystkie zachcianki. Masy nie mogą funkcjonować samodzielnie. Potrzebują pomocy. Ludzie nie wiedzą, co dla nich dobre. A co do twego pytania... Chcesz wiedzieć, co się stanie z mieszkańcami Republiki, Day? Dobrze, powiem ci. Społeczeństwo z zachwytem zgodzi się na

integrację z naszym systemem. Dowiedzą się wszystkiego, co trzeba, a my zadbamy o to, by zostali należycie wykorzystani. Będą działać jak dobrze naoliwiona maszyna.

- Wszystkiego, co trzeba?

- Tak. - Kanclerz splata dłonie za plecami i unosi głowę. - Naprawdę wierzysz w to, że ludzie mogą samodzielnie podejmować wszystkie swoje decyzje? Co za przerażająca wizja świata. Przecież ludzie nie zawsze wiedzą, czego naprawdę chcą. Sam powinieneś o tym wiedzieć najlepiej. Dobrze wiesz, jaki wpływ na społeczeństwo wywarło twoje poparcie dla Elektora. Zdajesz sobie też sprawę, jak zadziała odezwa, którą zaraz wygłosisz. - Mówiąc przechyliła lekko głowę. - Zrobisz to, co trzeba.

„Zrobisz to, co trzeba”. Słyszę w tym zdaniu echa filozofii poprzedniego Elektora Republiki, echa czegoś, co najwyraźniej nigdy się nie zmienia, bez względu na kraj, w którym się znajdujesz. Kiwam głową, ale w sercu czuję wahanie. Nie wiem, czy powinienem realizować mój plan.

„On cię kusi” - napominam siebie samego, pochłonięty sprzecznościami. - „Nie jesteś kimś takim jak on! Ty walczysz dla ludzi! Walczysz o coś realnego, czyż nie?”

Muszę się stąd wydostać nim ten człowiek wgrzyzie się głębiej do mego umysłu. Napinam mięśnie, gotów do wygłoszenia mowy. Kątem oka nadal rozglądam się po pomieszczeniu.

- Dobra - mówię sztywno. - Miejmy już to za sobą.

- Więcej entuzjazmu, chłopcze - mówi Kanclerz i cmoka, udając dezaprobatę, a potem spogląda na mnie z powagą. - My naprawdę oczekujemy, że sprzedasz narodowi swój punkt widzenia.

Kiwam głową. Podchodzę do okna, a wtedy dwóch żołnierzy przypina mi mikrofon, przez który mam mówić. Na szybie niespodziewanie pojawia się przejrzysty obraz mojej osoby. Przeszywają mnie dreszcze. Wszędzie stoją żołnierze, którzy nie spuszczają ze mnie oczu, a Kanclerz dołożył wszelkich starań, bym nie wykonał fałszywego ruchu. Każde nieprzemyślane działanie doprowadzi do tego, że skażę siebie i przypuszczalnie wszystkich moich bliskich na śmierć. Trudno. Za późno, by się wycofać.

- Mieszkańcy Republiki - zaczynam. - Stoję tu dziś z Kanclerzem Kolonii na pokładzie jego własnego statku powietrznego. Mam dla

was wszystkich wiadomość.

Mówię ochryplym głosem i muszę odkasznąć parę razy. Przeszuję z nogi na nogę i czuję wypukłość dwóch malutkich ładunków wybuchowych przyczepionych do moich podeszw. Mam ogromną nadzieję, że wiadomości, które zostawiliśmy z Pascao i resztą Sabotażystów w mieście, odniosą skutek, a ludzie są gotowi.

- Wiele razem przeszliśmy - ciągnę. - Ale najpoważniejszym wyzwaniem okazały się ostatnie miesiące. Wiercie mi, wiem o wszystkim. Konieczność przyzwyczajania się do nowego Elektora, wszystkie zmiany, które nastąpiły... Jak sami zapewne już wiecie, mnie też ostatnio kiepsko się układa.

Jakby w odpowiedzi na moje słowa odzywa się ból głowy. Mój głos niesie się daleko, powtarzany przez nadajniki dziesiątków statków Kolonii i setki JumboTronów w mieście. Nabieram tchu, jakbym przemawiał do ludzi po raz ostatni.

- Przypuszczalnie nigdy się już nie spotkamy. Ale ja was znam. Nauczyliście mnie wszystkiego o dobrych rzeczach w życiu. Dzięki wam walczę od lat o moją rodzinę. Mam nadzieję, że wasi bliscy zaznają w życiu wiele szczęścia i nie będą musieli cierpieć tyle, co moi.

Przerywam i odwracam się ku Kanclerzowi, który kiwa głową, zachęcając mnie do kontynuacji. Serce bije mi tak głośno, że ledwie słyszę własny głos.

- Kolonie mają wam wiele do zaoferowania - mówię, a mój głos staje się coraz silniejszy. - Ich statki unoszą się na naszym niebie. Niedługo ujrzyście flagi Kolonii powiewające nad szkołami, do których chodzą wasze dzieci oraz nad waszymi własnymi domami. Ludu Republiki, mam do was ostatnią prośbę, nim się pożegnamy.

Nadszedł czas. Napinam mięśnie nóg i przesuwam lekko stopy. Kanclerz nie spuszcza mnie z oczu.

- Republika jest słaba i zniszczona. - Mrużę oczy. - Ale to wciąż wasza ojczyzna! Walczcie o nią! To wasz kraj, nie ich!

W chwili, gdy dostrzegam wściekłość na twarzy Kanclerza, zrywam się, podbiegam do szyby i kopię w nią ze wszystkich sił. Żołnierze wroga ruszają na mnie ze wszystkich stron. Moje buty uderzają w szybę, a ładunki wybuchowe ukryte w podeszwach



aktywują się z suchym trzaskiem. Nogi przeszywają wibracje, a szkło pęka.

Naraz jestem w powietrzu. Macham rękami i natrafiam na krawędź strzaskanego okna. Gdzieś przemyka pocisk. Ze środka dobiegają wściekle wrzaski Kanclerza. Chyba nie chcą mnie pojmać żywcem. W żyłach tętni mi adrenalina, zalewa mnie gorąco.

Nie ma czasu do stracenia. Czapka zsuwa mi się z głowy, ale poprawiam ją szybko. Nie chcę, by wiatr rozwał moje włosy. Dla strzelca z ziemi stałbym się idealnym celem. Gdy powiew wiatru słabnie, przywieram do ramy okna, szacuję dystans do następnego okna i wyskakuję. Udaje mi się pochwycić cieniutki gzymś i nie bez trudu wciągnąć się na niego. Sapię z wysiłku. Rok temu taki wyczyn nie stanowiłby dla mnie żadnego wyzwania.

Gdy docieram do czwartego okna, słyszę ciche trzaski, a potem pierwszą eksplozję. Przez statek przechodzi drżenie tak silne, że o mały włos tracę oparcie, a gdy spoglądam w dół, widzę kulę ognia w miejscu, gdzie statek jest przycumowany do doku. Patrioci robią to, co do nich należy. Rozlega się druga eksplozja, po której statek przechyla się lekko na wschód. Zaciskam zęby i przyspieszam. Jedną z moich stop ześlizguje się z ramy. W tym samym momencie wieje silny wiatr i tylko cudem udaje mi się uniknąć upadku. Przez długą sekundę moja noga niebezpiecznie majta w powietrzu.

- Szybciej! - strofuję sam siebie. - To ma być ucieczka?

Wyrzucam ramię w powietrze i udaje mi się złapać framugę kolejnego okna, ale wtedy nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Gwałtowny wysiłek wyzwala eksplozję bólu z tyłu głowy. Krzywię się. Nie, tylko nie to! Nie teraz!

Na nic błagania, czuję, jak nadchodzi atak bólu głowy. Jeśli rozgorzeje z pełną mocą, ból będzie tak silny, że spadnę i rozbiję się. Ogarnia mnie rozpacz - udaje mi się znaleźć oparcie dla nóg i schodzę coraz szybciej. Ześlizguję się z najwyższego okna. W ostatniej chwili udaje mi się czegoś złapać. Chwytam się skraju górnego pokładu w chwili, gdy ból głowy osiąga maksimum.

Oślepiający, biały ból. Wiszę na skraju przepaści i walczę z cierpieniem, które odbiera mi siły i grozi upadkiem. Słyszę dwie kolejne eksplozje, które następują szybko jedna po drugiej. Kadłub statku powietrznego pęka z przeciągłym jękiem w kilku miejscach.

Jego załoga próbuje poderwać go do lotu, ale bez skutku, statek dygocze zamiast się wznieść. Jeśli Kanclerz teraz mnie dopadnie, zabije mnie własnoręcznie. Gdzieś w oddali słyszę syrenę alarmową. Żołnierze na górnym pokładzie już wiedzą, że tu zmierzam. Szykują się na moje przybycie.

Mój oddech jest płytki i urywany.

„Otwórz oczy” – nakazuję sobie. – „Musisz je otworzyć”.

Oślepiają mnie łzy, ale mimo to widzę zarys górnego pokładu i biegnących po mnie żołnierzy. Ich krzyki niosą się daleko. Na moment znów tracę pamięć – nie wiem, gdzie jestem, co robię i na czym polega moje zadanie. Wstrząs sprawia, że robi mi się niedobrze. Skupiam wszystkie siły na tym, by nie zwymiotować.

„Myśl, Day. Nie raz już przecież byłeś w kiepskiej sytuacji”.

Pamięć rozplywa się. Po co ja się tu właściwie wspiałem? Nagle mnie olśniewa. Muszę zejść jak najniżej, by zeskoczyć na ziemię. Naraz przypomina mi się reling z cieniutkich łańcuchów, którym obwiedziono skraj pokładu i mój pierwotny plan. Wbijam wzrok w najbliższy z nich. Z ogromnym wysiłkiem wyciągam rękę i próbuję go złapać. Za pierwszym razem moja ręka przeszywa pustkę. Żołnierze już mnie widzą i kilku z nich rusza biegiem w moim kierunku. Zaciskam zęby i próbuję ponownie.

Tym razem się udaje. Łapię łańcuch obiema rękami i szarpnię z całej siły, zrywając go z haczyka. Trzymając go, odpadam od burty statku i lecę w dół. Mam ogromną nadzieję, że łańcuch utrzyma mnie. Słyszę trzask kolejnych rozrywanych haczyków. Łańcuch rozwija się, a ja mknę ku ziemi z oszałamiającą prędkością. Ból głowy jest tak silny, że trudno jest mi skupić się na zaciskaniu dłoni. Dobywam resztek sił i trzymam się z rozpaczą. Włosy łopoczą w powietrzu i uświadamiam sobie, że chyba zgubiłem czapkę. Lecę i lecę. Świat przemyka z szybkością światła. Orzeźwiony huczącym wiatrem, zaczynam logiczniej myśleć. Niespodziewanie jeden z łańcuchów relingu zrywa się, gdy jestem na wysokości dna statku. Tracę dech, ale udaje mi się pochwycić drugi obiema rękami. Kurczowo zaciskając dłonie, mknę teraz wzdłuż burty. Baza przemyka mi pod stopami – mógłbym zeskoczyć, ale jestem zanadto rozpędzony. W pewnym momencie przybliżam się do burty, wyrzucam nogi przed siebie i staram się wyhamować butami. Podeszwy trą o metal z długim przeciągłym piskiem, aż w końcu

zaczynam zwalniać. Po chwili pęd znów mnie odrywa od burty i wiruję wokół własnej osi. Próbuję się opanować, ale wtedy łańcuch pęka i lecę prosto na ścianę piramidy.

Zderzenie wybija mi powietrze z płuc. Przez kilka sekund zjeżdżam po gładkiej, ukośnej ścianie, aż udaje mi się zahamować butami. Zatrzymuję się w końcu, posiniaczony, obolały i całkiem wyczerpany, przeświadczony, że zaraz przeszyją mnie setki kul. Pascao i reszta wiedzą już, że zrobiłem to, co do mnie należało i zaczną detonować ładunki rozmieszczone w bazach morskich. Lepiej brać nogi za pas, bo lada moment wylecę w powietrze. Ta myśl dodaje mi sił. Zrywam się i zjeżdżam w dół najszybciej jak się da. U góry widzę już żołnierzy Kolonii, którzy pędzą, by mnie zatrzymać. Ogarnia mnie rozpacz.

Nigdy w życiu nie uda mi się im uciec. Wiem o tym, ale mimo to dalej się ześlizguję. Muszę jak najszybciej wydostać się poza zasięg eksplozji. Jeszcze kilkadziesiąt metrów. Żołnierze zbiegają się ze wszystkich stron. Napinam mięśnie i udaje mi się klęknąć, po czym zmieniam nieco kierunek zjazdu.

Na pewno mi się nie uda.

W tej samej chwili pod statkiem powietrznym wybuchają dwie bomby. Ziemia aż drży, a kiedy unoszę głowę, widzę ogromną kulę ognia na szczycie bazy, w miejscu dokowania statku. Jak okiem sięgnąć, każda piramida strzela pomarańczowymi płomieniami. Wszystkie bomby zostają zdetonowane w tej samej chwili, a rezultaty są wprost oszałamiające.

Spoglądam na żołnierzy, którzy mnie ścigali. Zatrzymują się, wstrząśnięci i przerażeni. Nad nami z ogłuszającym rykiem znów eksplodują płomienie, a wstrząsy przewracają wszystkich na ziemię. Z trudem łapię równowagę na pochyłej ścianie.

„Szybciej, szybciej, szybciej!”.

Pokonuję ostatnie kilka metrów i ląduję na kolanach na ziemi. Świat wiruje wokół mnie. Słyszę tylko krzyki żołnierzy i ryk ogni opromieniających bazy.

Łapią mnie czyjeś ręce. Próbuję stawić czoła, ale nie mam już siły. Nagle ów ktoś mnie puszcza, a ja słyszę znajomy głos. Kto to?

„Pascao. On ma na imię Pascao”.

Jego szare oczy błyszczą, przymrużone. Łapie mnie za rękę

i ponagla do biegu.

- Fajnie, że wyszedłeś z tego z życiem. Zrobmy teraz wszystko, by tego nie zepsuć.

# JUNE

Z BANK TOWER W CENTRUM MIASTA WIDAĆ GIGANTYCZNE słupy ognia, które opromieniają bazy marynarki wojennej. Ogromne wybuchy zalewają światłem fragment nieba, a ich echo dociera aż tutaj. Szyby w oknach drżą.

Personel szpitala tłoczy się wokół mnie. Zespoły laboratoryjne przygotowują zarówno Tess, jak i Edena do ewakuacji. Nagle dzwoni Pascao.

- Mam Daya! - krzyczy. - Spotkajmy się na zewnątrz.

Kolana uginają się pode mną z ulgi.

„On żyje! Udało mu się!”.

Zaglądam po pokoju Tess, która jest sadzana na wózek inwalidzki i pokazuję jej uniesiony kciuk. Jest bardzo osłabiona, a mimo to uśmiecha się. Na zewnątrz dostrzegam poruszenie. Ogromny cień, który przesłaniał nasz budynek, zaczyna się przesuwac. Statek powietrzny Kolonii oddala się, by wziąć udział w bitwie. Jakby nasz atak poruszył gniazdo os, dziesiątki myśliwców Kolonii startują z jego pokładu oraz pokładów jego odległych, uszkodzonych towarzyszy. Tworzą na niebie formacje i ruszają ku dywizjom Republiki, które już na nich czekają.

„Dalej, Antarktydo... Pospieszcie się, proszę!”.

Wpadam na schody i zbiegam z piętra laboratoryjnego do lobby Bank Tower. Wszędzie panuje chaos. Mijają mnie biegnący żołnierze Republiki, a inni blokują wejście.

- Szpital jest zamknięty! - krzyczy jeden z nich. - Umieszczajcie rannych po drugiej stronie ulicy! Prowadzimy ewakuację!

Ekran na korytarzu pokazuje sceny z walk między naszymi ludźmi i żołnierzami Kolonii na ulicach miasta. Ku memu zdumieniu, regularne wojsko wspierają cywile, uzbrojeni w każdą możliwą broń. Po obu stronach ulicy płoną pożary. U dołu ekranu przewija się napis: „Wszyscy żołnierze Republiki! Kapitulacja została zniesiona!”. Przechodzą mnie ciarki na widok tych scen, choć przecież patrzę na to, co wspólnie zaplanowaliśmy.

Wybiegam na zewnątrz, gdzie ogłusza mnie zgiełk bitwy.

Myśliwce przelatują mi z rykiem nad głową, a inne widzę dokładnie nad Bank Tower, gotowe bronić najwyższego budynku w mieście, gdyby Kolonie spróbowały go zaatakować. Widzę podobne formacje nad innymi ważnymi budynkami w centrum.

- Dalej, Day! - szepczę i rozglądam się, szukając jego jasnych włosów bądź bladych oczu Pascao. Ziemię przeszywają drgania. Za budynkami eksploduje kolejna ogromna kula ognia, a potem pojawia się para myśliwców wroga, ścigana przez nasz samolot. Ryk silników jest tak głośny, że nakrywam uszy dłońmi.

- June? - W słuchawce odzywa się Pascao, ale ledwie go słyszę. - Jesteśmy prawie na miejscu. Gdzie stoisz?

- Przed Bank Tower! - krzyczę do mikrofonu.

- Musimy stąd uciekać! - odpowiada natychmiast. - Dostałem właśnie wiadomość od Hakerów! Kolonie w przeciągu godziny zaatakują budynek...

W tej samej chwili pojawia się wrogi samolot, a sekundę później szczyt Bank Tower rozsadza eksplozja. Żołnierze krzykiem ostrzegają nas przed spadającymi okruchami szkła. Wskakuję z powrotem do środka. Wszędzie dookoła spadają kawałki betonu, rozgniatając samochody i roztrzaskując się na tysiące kawałków.

- June? - W głosie Pascao słychać niepokój. - June, wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest! - wołam. - Pomogę wam w ewakuacji, gdy się spotkamy. Do zobaczenia!

Przerywam połączenie. Trzy minuty później widzę Daya i Pascao, którzy brną przez tłum uciekinierów, zmierzając ku Bank Tower. Potykają się o gruzy. Zrywam się do biegu i przypadam do Daya, który wspiera się na zdrowym ramieniu Pascao.

- Czy któryś z was jest ranny?

- Mnie nic nie jest - odpowiada Pasco. - Ale nie jestem pewien co do niego.

Wskazuje gestem Daya.

- Myślę, że jest przede wszystkim wyczerpany.

Zarzucam sobie ramię Daya na bark. Pascao pomaga mi go wnieść do lobby budynku stojącego kilka przecznic od Bank Tower. Widać stamtąd zarówno szpital, jak i zasłany gruzem plac, na

którym personel medyczny układa w rzędach rannych żołnierzy i uwija się gorączkowo między najbardziej potrzebującymi pomocy.

- Ewakuujemy szpital - mówię, gdy delikatnie kładziemy Daya na ziemię. Krzywi się z bólu, choć nie widzę żadnych ran.

- Nie martw się - pocieszam go, gdy spogląda na mnie z niepokojem - Tess i Eden są właśnie przenoszeni w inne miejsce.

- Powinnaś udać się z nimi - mówi Day. - Walki dopiero co się zaczęły.

- Posłuchasz mnie, jeśli każę ci się uspokoić?

Uśmiecha się krzywo, słysząc moje słowa.

- Czy Antarktydzi nadchodzą z pomocą? - pyta Day. - Czy powiedziałaś Andenowi o lekarstwie...

- Uspokój się - przerywam mu, a potem wstaję i kładę dłoń na ramieniu Pascao. - Pilnuj go. Ja wracam do szpitala, by pomóc przy ewakuacji. Powiem im, by ściągnęli tu jego brata.

Pascao kiwa szybko głową, a ja obrzucam Daya ostatnim spojrzeniem i wybiegam z budynku.

Widzę rzekę ludzi, wybiegających ze szpitala, osłanianych z obu stron przez żołnierzy. Niektórzy uciekinierzy wspierają się na kulach, inni siedzą na wózkach inwalidzkich, jeszcze inni są wynoszeni na noszach. Spięci żołnierze wykrzykują rozkazy, ani na moment nie opuszczając broni. Mijam ich i wpadam do środka, a potem przepycham się do schodów. Przeskakuję po dwa stopnie na raz, aż docieram na piętro laboratoryjne. Drzwi przytrzymuje jakaś pielęgniarka, która kieruje ludzi do windy. Łapię ją za ramię, a ona odwraca się ku mnie, wystraszona.

- Princeps-Adeptka! - wykrztusza i kłania się pospiesznie. - Co pani tu...

- Eden Bataar Wing! - wyrzucam z siebie. Brak mi tchu. - Jest gotów do wyjścia?

- Brat Daya? - pyta. - Tak... Tak, jest w swoim pokoju. Chcemy się dobrze przygotować do jego ewakuacji. Musi siedzieć w wózku, ale...

- A Tess? Ta dziewczyna objęta kwarantanną?

- Już została posłana na dół...

Nie czekam, aż skończy. Wpadam do głównej sali laboratorium

i pędzę korytarzem. Na końcu widzę dwóch lekarzy popychających wózek, na którym siedzi Eden. Wygląda na nieprzytomnego. Opiera głowę na niewielkiej poduszce, a jego czoło zrasza pot.

Przekazuję lekarzom, dokąd mają go zabrać, a potem wszyscy gnamy w stronę windy.

- Spotkacie się tam z Dayem. Pilnujcie ich obu.

Kolejna eksplozja wstrząsa budynkiem i posyła połowę z nas na kolana. Z sufitu sypie się pył i oczy zaczynają mi łzawić. Rozpinam kurtkę, ściągam ją z siebie i zarzucam na Edena, by go osłonić.

- Winda odpada - sapię i kieruję się ku schodom. - Damy radę go znieść?

Jedna z pielęgniarek delikatnie podnosi Edena i tuli go mocno w ramionach. Pospiesznie schodzimy na dół. Z sufitu nadal sypie się tynk, a z zewnątrz dobiegają stłumione okrzyki, wystrzały i echa eksplozji.

Wybiegamy w noc rozświetloną całkowicie pożarami bitwy. Nadal nie ma żadnego sygnału od Andena. Zatrzymujemy się w wejściu, przepuszczając kolejnych uciekinierów, a ja omiatam wzrokiem dachy. Jeden ze strażników rozpoznaje mnie, podbiega i salutuje.

- Princeps-Adeptko! - woła. - Proszę natychmiast udać się do najbliższego schronienia. Wyślemy panią dżipem prosto do Elektora.

- Nie - kręcę głową. - Zostaję tutaj.

Widzę jakiś błysk na dachu. Instynktownie spoglądam w tamtym kierunku i wszyscy padamy na ziemię, gdy w dach nad wejściem trafia jakiś pocisk. Na dachach znaleźli się już snajperzy Kolonii. Kilku naszych otwiera ogień w ich kierunku. Żołnierz, z którym rozmawiałam, kładzie mi rękę na ramieniu.

- A więc proszę ruszać! - krzyczy i gestykuluje gwałtownie.

Pielęgniarka niosąca Edena robi kilka kroków, ale nie spuszcza oczu z koszmaru, rozgrywającego się na dachach. Wyciągam dłoń, by ją zatrzymać.

- Jeszcze nie - mówię. - Poczekaj jeszcze.

Sekundę później nieprzyjacielski pocisk przeszywa któregoś z uciekinierów. Tryska krew, a ludzie naokoło niego rzucają się do ucieczki. W powietrzu rozbrzmiewają wrzaski paniki. Z bijącym



sercem spoglądałam na dachy. Któryś z naszych żołnierzy wreszcie trafia snajpera i widzę, jak ciało w nieprzyjacielskim mundurze spada z dachu pobliskiego budynku. Odwracam wzrok, ale nie mogę powstrzymać fali mdłości.

„Jak my zapewnimy Edenowi bezpieczeństwo?”.

- Zaczekaj! - nakazuję pielęgniarce trzymającej Edena, a potem wskazuję czterech żołnierzy Republiki. - Osłaniajcie mnie.

Gestem nakazuję jednemu z nich, by oddał mi pistolet. Spełnia polecenie bez wahania.

Wchodzę w tłum ludzi i przedzieram się w kierunku budynków. Próbuję naśladować swobodną grację, z jaką Day i Pascao przemieszczają się w tej miejskiej dżungli. Nadal trwa chaotyczna ewakuacja, a żołnierze obu stron mierzą się ze sobą w bezpardonowej walce. Ja zaś kryję się wśród cieni wąskiej uliczki, a tam zaczynam wspinać się po ścianie. Jestem drobna, ubrana na czarno i samotna. Nikt się nie będzie mnie spodziewał. W głowie przeglądam wszystkie lekcje celnego strzelania, których mi udzielono. Jeśli uda mi się pozbyć snajperów, ewakuowani pacjenci będą mieli o wiele większą szansę, by ujść z życiem z tego piekła. W tej samej chwili kolejny wrogi odrzutowiec pikuje nad nami i nad Bank Tower wykwita kolejna eksplozja. Nieustępliwie ściga go nasz myśliwiec, który pluje ogniem i trafia prosto w silnik wrogiego myśliwca. Jego pilot traci panowanie nad maszyną, która wiruje dziko, ciągnąc za sobą smugę dymu. Potem rozlega się ogłuszająca eksplozja, co oznacza, że wróg rozbił się kilka przecznic dalej. Spoglądam na płonący szpital. Nie zostało wiele czasu - ten budynek lada chwila się zawali! Zaciskam zęby i pnę się jak najszybciej. Żałuję, że nie jestem w tym taka dobra jak Pascao czy Day.

W końcu docieram na dach, z którego roztacza się doskonały widok na toczącą się bitwę. Szpital w Bank Tower jest oblegany zarówno z powietrza, jak i z ziemi. Setki żołnierzy Republiki próbują powstrzymać napór nadciągających nieprzerwanym strumieniem sił wroga. Ze szpitala wciąż wybiegają pacjenci i lekarze, zmierzający w kierunku zaimprovizowanych schronień. Towarzyszą im urzędnicy rządowi z wyższych pięter, niektórzy całkiem pokryci białym pyłem i krwią. Zerkam poza krawędź i rozglądam się uważnie.

Nie widzę żadnych strzelców. Podciągam się na dach, dokładając wszelkich starań, by pozostać wśród cieni. Ściskam pistolet z taką siłą, że dłonie mi drętwieją. Uważnie przyglądam się dachom w strefie zagrożenia, aż dostrzegam kilku wrogów kucających na dachu sąsiedniego budynku. Celują w żołnierzy Republiki osłaniających ewakuację. Podkradam się w ciszy ku nim.

Pierwszego wyłączam z gry bez trudu - wyłaniam się zza krawędzi, celuję i naciskam spust. Mam wrażenie, że Metias stoi tuż za mną i pomaga mi w oddaniu strzału, dokładając wszelkich starań, bym nie zadała mu rany śmiertelnej. Trafiony żołnierz pada ze stłumionym wrzaskiem, który tonie w zgiełku bitwy. Podbiegam, łapię jego broń i wyrzucam poza krawędź dachu, a potem walę go w twarz z całej siły, by stracił przytomność. W sekundę później dostrzegam kolejnego żołnierza. Zasłaniam dłonią ucho ze słuchawką i włączam mikrofon.

- Każ pielęgniarce czekać - szepczę rozkazująco do żołnierza przy Bank Tower. - Dam sygnał, gdy...

Rozlega się kolejna eksplozja. Przetaczam się i zalegam nieruchomo na dachu, a gdy otwieram oczy i spoglądam na dół, widzę, że cała ulica jest całkowicie pokryta pyłem i popiołem. Bomby pyłowe? Plac zasłaniają kłęby kurzu i dymu, wśród których widzę uciekinierów, przedzierających się w panice między flankującymi ich żołnierzami i biegnących ku schronieniu. Mało kto zwraca uwagi na krzyki eskorty. Snajperzy Kolonii mają celowniki na podczerwień. Bez problemów widzą to, co się dzieje na dole. W panice spoglądam na szpital. Gdzie jest Eden? Podbiegam do kolejnego przeciwnika i załatwiam go dokładnie tak, jak poprzedniego. Potem skupiam uwagę na trzecim, lecz przeklinam z pasją, gdy uświadamiam sobie, że właśnie skończyła mi się amunicja. Już chcę zejść z dachu, gdy coś przykuwa moją uwagę. Zamieram. Niedaleko ode mnie, na dachu wyższego budynku, klęczy komandor Jameson. Przeszywa mnie zimny dreszcz, gdy dostrzegam broń w jej rękach.

„Nie. Nie!”.

Zabija żołnierzy Republiki pojedynczymi pociskami, nie chybiając ani razu. Potem dostrzega coś, co przykuwa jej uwagę. Moje serce przestaje bić. Najwyraźniej dostrzegła jakiś nowy cel na ziemi. Spoglądam tam, gdzie ona i dostrzegam chłopaka z jasnymi

włosami, przedzierającego się przez tłum uciekinierów ku szpitalowi.

Celuje w Daya.

# DAY

TESS ZOSTAJE WYPROWADZONA JAKO PIERWSZA. WIDZĘ JEJ WIOTKĄ sylwetkę w ramionach pielęgniarki, wynoszącej ją z Bank Tower. Podbiegam do pielęgniarki, przejmuję Tess i niosę ją w tłumie ewakuowanych. Wydaje się na pół przytomna i nieświadoma mojej obecności. Jej głowa zwisa bezwładnie. Zwalniam w połowie drogi do schronienia. Cholera, jestem taki wyczerpany...

Pascaso przejmuję ją ode mnie i trzyma na rękach. Na dachach widać rozbłyski - wróg prowadzi ostrzał.

- Wracaj do wejścia do szpitala! - krzyczy, odwracając się. - Ja się nią zajmę!

Znika, nim mogę zaprotestować.

Odprowadzam go wzrokiem. Chcę mieć pewność, że Tess bezpiecznie opuści plac. Gdy docierają do schronu, znów spoglądam na szpital. Zapewne już zniesiono Edena. Przechyliłam głowę i rozglądam się za jasną czupryną gdzieś w tłumie. Czy June zeszła już na dół? Jej też nie widzę wśród spanikowanych uciekinierów, co budzi we mnie kolejną falę niepokoju.

Potem rozlega się eksplozja i padam na ziemię.

Wszędzie widzę kurz.

„To bomba pyłowa” - uświadamiam sobie, choć tępy ból głowy utrudnia formułowanie myśli. W pierwszej chwili nie widzę nikogo i niczego. Wszędzie panuje zamieszanie, buchają iskry, co chwila rozlega się stłumiony wystrzał. W powietrzu wisi biały pył, przez który widzę ludzi uciekających ku barykadom wzniesionym przez wojsko. Mam wrażenie, że ich nogi poruszają się niczym w zwolnionym tempie, a usta otwarte są do niemych krzyków. Ze znużeniem kręcę głową. Z trudem poruszam kończynami - wydaje mi się, że grzęznę w gęstym mule, a z tyłu czaszki czuję wściekłe pulsowanie, które oznacza, że zaraz zaleje mnie ból. Mrugam, usiłując utrzymać kontrolę nad własnym umysłem. Z rozpaczą wołam Edena, ale nie słyszę nawet własnego głosu. Skoro ja go nie słyszę, to po co to wszystko?

Nagle tłum rzednieje.

I widzę go. To Eden. Zwisa nieprzytomny w ramionach przerażonej pielęgniarki, która błąka się wśród kłębow pyłu i potyka co krok. Zmierza w złym kierunku, prosto ku oddziałom Kolonii, które nadchodzą z lewej strony. Schrony są po prawej! Nie marnuję czasu na myślenie, nie krzyczę, nie waham się ani nie czekam na przerwę w wymianie ognia. Rzucam się biegiem ku niemu.

# JUNE

KOMANDOR JAMESON ZARAZ GO ZASTRZELI. TA KOBIETA słynie z perfekcyjnej celności.

Day pędzi wśród kłębów pyłu na ulicy.

„Day, co ty wyrabiasz?”.

Widzę, jak potyka się i pada. Jestem wysoko na dachach, a mimo to wiem, że ze wszystkich sił próbuje narzucić swemu ciału posłuszeństwo. Jest wyczerpany do cna, a jego ciało przeszywa wściekły ból. On za dużo od siebie wymaga! Zerkam tam, dokąd zmierzał, próbuję ustalić, co przyciągnęło jego uwagę.

Eden. Oczywiście. Niosąca go pielęgniarka przewraca się i pada. Na moment niknie wśród kłębów dymu, a gdy podnosi się, od razu widzę, że całkiem zawładnęło nią przerażenie. Nie odwracając się za siebie, rzuca się do ucieczki. Narasta we mnie wściekłość. Porzuciła Edena, który podnosi się wolno i kaszle. Pozostawiła niewidomego chłopca na pastwę losu!

Zrywam się na równe nogi. Day biegnie w przeciwnym kierunku do całej reszty. Za chwilę znajdzie się w miejscu, w którym stanie się łatwym celem.

Sięgam po broń, ale przypominam sobie, że zabrakło mi amunicji. Odwracam się i pędzę po dachach w kierunku mojej ostatniej ofiary. Nie wyrzuciłam mu przecież broni! Gdy znów odwracam się ku komandor Jameson, widzę, jak składa się do strzału.

„Nie. Nie!”.

Jameson naciska spust.

Kula chybia o kilkanaście centymetrów. Day potyka się, instynktownie nakrywa głowę dłonią, ale zbiera siły i zawzięcie brnie przed siebie. Serce wali mi w piersi.

„Szybciej!”.

Wykonuję daleki sus z jednego dachu na drugi. Na dole widzę Daya, który zbliża się do Edena. Jeszcze kilka kroków i hamuje przy nim, przytula go do piersi. Unoszące się wokół nich kłęby pyłu sprawiają, że trudno jest mi cokolwiek dostrzec. Mam wrażenie, że są duchami w spłowiałych kolorach. Oddycham płytko, z trudem.

Wciąż biegnę w stronę postrzelonego żołnierza. Mam wielką nadzieję, że pył utrudni Jameson celowanie.

Wreszcie przypadam do wrogiego snajpera. Łapię jego karabin i przekonuję się, że została mu tylko jedna kula. Na ulicy Day podnosi Edena, jedną dłonią chroniąc tył jego głowy, a potem zataczając się rusza w stronę schronu. Próbuje wykrzesać resztkę sił ze swego zmaltretowanego ciała, ale i tak porusza się bardzo powoli.

Komandor Jameson znów celuje. Wrzeszczę w duchu i błagam go, by przyspieszył. Zalewa mnie adrenalina. Cała moja uwaga jest teraz skupiona na postaci renegatki niczym strzała na cięciwie łuku. Znów naciska spust. Znów chybia, lecz i tym razem kula odbija się zaledwie kilka centymetrów od Daya. Ten nawet nie unosi głowi. Ścisła Edena mocniej i dalej brnie przed siebie.

Wreszcie jestem niedaleko dachu, na którym czai się Jameson. Wskakuję na niego i ląduję na płaskiej, betonowej powierzchni. Widać stąd również ulicę, ale najważniejsze jest to, że w odległości jakichś trzydziestu metrów kuca Jameson. Jest zwrócona do mnie plecami, częściowo przesłonięta przez kominy i otwory wentylacyjne, w pełni skoncentrowana na wydarzeniach na ulicy.

Strzela ponownie. Z dołu dobiega ochryply wrzask bólu. Znam ten głos. Znam go aż za dobrze. Nie mam czym oddychać. Spoglądam w dół i widzę, jak Day osuwa się na kolana i wypuszcza Edena. Świat wokół mnie cichnie.

Został postrzelony.

Naraz dygocze i podnosi się, a potem raz jeszcze unosi Edena i rusza naprzód. Komandor Jameson strzela ponownie. Unoszę broń i celuję w nią. Jestem teraz tak blisko, że dostrzegam szczegóły kamizelki kuloodpornej. Ręce mi drżą. Mam idealną pozycję – mogę oddać łatwy strzał w jej głowę. Widzę, że Jameson znów przymierza.

Celuję.

Naraz czas zwalnia, a komandor Jameson odwraca się gwałtownie. Wyczuła moją obecność. Mruży oczy i nagle wymierza broń we mnie. Myśli przelatują mi przez głowę z prędkością błyskawicy. Pociągam za spust i posyłam ostatnią kulę prosto w jej głowę.

I chybiam.

Przecież ja nigdy nie chybiam!

Nie ma czasu, by to roztrząsać. Komandor Jameson celuje we mnie. Gdy moja kula przemyka obok jej twarzy, uśmiecha się i sama naciska spust. Rzucam się na ziemię i przetaczam. Widzę jakiś rozbłysk w odległości zaledwie paru centymetrów od mojego ramienia. Skaczę i kryję się za najbliższym kominem. Przywieram do niego plecami. Gdzieś za sobą słyszę zbliżające się kroki ciężkich butów.

„Oddychaj, oddychaj!”.

Przypominam sobie naszą ostatnią konfrontację. Dlaczego mogę się zmierzyć z każdym niebezpieczeństwem tego świata za wyjątkiem komandor Jameson?

- Wyłaź, mała Iparis! Zabawimy się! - woła. Nie odzywam się, a wtedy renegatka wybucha śmiechem. - Wyjdź! Nie chcesz zobaczyć, jak twój piękny chłoptaş wykrwawia się na ulicy?

Dokładnie wie, w jaki sposób mnie zranić, ale ja zaciskam zęby i wypycham wyobrażenie krwawiącego, umierającego Daya z głowy. Nie mam czasu na takie bzdury. Muszę teraz znaleźć sposób na to, by ją rozbroić. Spoglądam na moją bezużyteczną broń. Pora na odrobinę aktorstwa.

Jameson milczy. Słyszę tylko jej miękkie kroki. Zabójczyni mego brata nadchodzi. Zaciskam dłonie na broni.

Jest już bardzo blisko. Zamykam na moment oczy, szeptem dodaję sobie otuchy, a potem zrywam się i wyskakuję z kryjówki. Wymierzam w Jameson, jakbym chciała otworzyć ogień. Robi dokładnie to, czego chciałam - uchyla się lekko. Ja zaś rzucam się prosto na nią.

Kopię ją z wysokości w twarz, najmocniej jak umiem. Z satysfakcją notuję trzask podeszew o jej nos. Cios odrzuca jej głowę w tył. Dłoń trzymająca broń słabnie, a ja wykorzystuję sytuację i rozbrajam ją pojedynczym kopnięciem. Z głośnym łoskotem Jameson pada na powierzchnię dachu. Jej broń stacza się na zasłane dymem ulice.

Boję się teraz zwolnić. Przypadam do leżącej renegatki i uderzam ją łokciem, by odebrać jej przytomność. Pierwszy cios trafia, ale drugi już nie. Jameson łapie mnie jedną ręką za łokieć, drugą zaciska na moim nadgarstku i wykonuje gwałtowny skręt. Padam na



bok. Moje ramię przeszywa wściekły ból. Wiem, że Jameson chce je złamać, ale ubiegam ją, wykonuję obrót i wbijam ostry obcas w ramię. Krzywi się, ale nie puszcza. Uderzam ponownie. Jej chwyt słabnie, a ja wreszcie wyrywam się.

Odskakuję i zwracam się ku niej, a Jameson zrywa się na równe nogi. Zaczynamy się okręzać, ciężko oddychając. Moje ramię boli jak nigdy wcześniej, a po jej twarzy spływa strużka krwi z rany na skroni. Wiem, że nie jestem w stanie wygrać z nią w walce jeden na jeden. Jest wyższa, silniejsza i ma za sobą wiele lat treningów. Mój talent nie jest w stanie zniwelować jej przewagi. Mam nadzieję, że uda mi się znów ją zaskoczyć i znaleźć sposób, by wykorzystać jej siłę przeciwko niej. Krążymy wokół siebie, wyczekując, poszukując jakiejś słabości u przeciwniczki, a cały świat wokół na skurczy się i blednie. Pozwalam, by moja wściekłość przesłoniła strach i użyczyła mi siły.

„A więc zostałyśmy tylko we dwie. Było nam to pisane od zawsze. Czekałam na ten moment od samego początku. Zakończymy to wszystko walką wręcz”.

Komandor Jameson uderza pierwsza. Jej szybkość budzi moje przerażenie. W jednej sekundzie jest przede mną, a w drugiej już obok mnie, a jej pięść pędzi ku mojej twarzy. Nie mam czasu na unik, udaje mi się jedynie zasłonić ramieniem i cios w efekcie uderza mnie pod kątem. Gwiazdy eksplodują mi przed oczami, zataczam się do tyłu. Z trudem unikam kolejnego ciosu. Odtaczam się, usiłując odzyskać panowanie nad sobą i zrywam się na równe nogi. Jameson znów się na mnie rzuca, a wtedy podskakuję i kopię ją w głowę. Trafiam, ale renegatka nie daje się w ten sposób powalić – jest zbyt szybka. Odskakuję więc od niej i wolno cofam się ku krawędzi dachu, bojąc się spuścić ją z oczu.

„Dobrze” – napominam sama siebie. – „Musisz udawać przerażoną”.

Piętą natrafiam na skraj. Spoglądam w dół, a potem na Jameson. Ma problemy z utrzymaniem równowagi, ale wydaje się nieporuszona. Mam szeroko otwarte oczy. Udawanie strachu w takiej sytuacji nie przychodzi mi z wielkim trudem.

Zbliża się do mnie niczym drapieżnik. Nie mówi ani słowa, ale nie musi. Przecież powiedziała już mi wszystko, co powiedzieć chciała. Jej słowa płyną przez mą głowę niczym trucizna:

„Och, mała Iparis, nie masz pojęcia, jak bardzo przypominasz mi mnie samą w twoim wieku. Jesteś wprost rozkoszna. Któregoś dnia dowiesz się, że życie nie zawsze okazuje się takie, jak sobie tego życzysz. Przekonasz się, że nie zawsze dostajesz to, czego pragniesz. Uzmysłowisz sobie, że istnieją siły, na które nie będziesz miała wpływu. Za ich sprawą staniesz się kimś innym. Szkoda, że twój czas właśnie się kończy. Z chęcią patrzyłabym na to, jak się rozwijasz”.

Jej oczy mnie hipnotyzują. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie niczego gorszego.

Rzuca się na mnie.

Mam tylko jedną szansę. Nachylam się, łapię ją za rękę i przerzucam ją sobie nad głowę. Wykorzystuję jej pęd, by posłać ją poza krawędź dachu.

Jameson jednakże udaje się pochwycić mnie za lewe ramię. Szarpie mnie z ogromną siłą, aż kości wyskakują ze stawów. Wrzeszczę z bólu i zataczam się, ze wszystkich sił broniąc się przed upadkiem. Jameson, która wisi teraz na ścianie budynku, nadal trzyma mnie mocno i desperacko szuka oparcia dla stóp. Jej paznokcie wbijają się w moje ciało tak głęboko, że czuję, jak mi zrywa skórę. Łzy napływają mi do oczu. Na dole nasi żołnierze wciąż usiłują jednocześnie kontrolować ewakuację i strzelać do agresorów na dachach.

Krzyczę do nich najgłośniej jak umiem:

- Zastrzelcie ją! Zastrzelcie ją!

Dwóch żołnierzy unosi głowy i patrzy na mnie. Rozpoznają mnie i unoszą broń. W tej samej chwili komandor Jameson spogląda mi w oczy i szczyrzy zęby.

- Wiedziałam, że sama tego nie zrobisz.

Żołnierze otwierają ogień. Ciało Jameson przeszywają konwulsje, a jej dłonie nagle słabną. Naraz leci w dół niczym ustrzelony ptak. Odwracam wzrok, ale mimo to słyszę obrzydliwy chrzęst, z jakim jej ciało zderza się z chodnikiem.

Zginęła. Nie ma jej. Pozostało tylko wspomnienie mojego krzyku, nadal rozbrzmiewające w mojej głowie: „Zastrzelcie ją!”.

Przypominam sobie słowa Metiasa: „Niewielu ludzi zabija ze

słusznym powodów”.

Pospiesznie ocieram łzy z twarzy. Cóż ja właśnie zrobiłam? Na rękach widzę krew – wycieram zdrową dłoń o ubranie, ale nie mogę jej oczyścić. Nie wiem, czy kiedykolwiek mi się to uda.

„To był słuszny powód” – powtarzam w myślach raz za razem.

Przychodzi mi do głowy, że może Jameson sama się zniszczyła, a ja jedynie jej w tym pomogłam, ale myśl wydaje się mało przekonująca.

Ból przestawionego ramienia jest tak przejmujący, że kręci mi się w głowie. Unoszę prawą rękę, łapię lewą, zaciskam zęby i pcham z całej siły. Z moich ust znów wyrzywa się krzyk. Kość przez moment stawia mi opór, aż czuję, jak ramię wskakuje na miejsce. Do oczu znów napływają mi łzy. Nie mogę opanować drżenia rąk, a w uszach słyszę dzwonienie, które tłumi wszystkie inne dźwięki poza biciem serca.

Ile czasu minęło? Kilka godzin? A może sekund?

Wtedy do mojego umysłu wdziera się jasna, przejrzysta logika, przebijając się przez ból. Jak zwykle ratuje mnie z opresji.

„Day potrzebuje twojej pomocy” – szepcze. – „Idź do niego”.

Szukam Daya. Dotarł już na drugą stronę ulicy, gdzie jest bezpieczniej, a od barykad Republiki dzieli go zaledwie parę kroków. Ruszam biegiem w jego stronę i natychmiast zauważam, że inni żołnierze przejęli od niego nieprzytomnego Edena i zabrali go na drugą stronę. Kilku innych pochyla się nad samym Dayem, który osunął się na ziemię. Ich plecy zasłaniają jego postać. Schodzę na dół najszybciej jak mogę, aż docieram do schodów ewakuacyjnych. Zbiegam po metalowych stopniach. Strach do spółki z adrenaliną znieczulają moje rany.

„Proszę” – modlę się w myślach. – „Błagam, niech mu nic nie będzie”.

W tym czasie wokół leżącego Daya zebrał się tłum. Ktoś krzyczy:

– Ruszać się! Cofnijcie się, potrzeba nam miejsca! Niech się pospieszą!

Wzruszenie mnie dławi, nie mogę oddychać. Buty uderzają o asfalt w tym samym tempie co serce. Odpycham ludzi na boki, padam na kolana przy Dayu. Tym, co krzyczał, był Pascao, który

patrzy na mnie z szaleństwem w oczach.

- Zostań przy nim! - woła. - Biegnę po lekarza!

Kiwam głową, a Patriota znika.

Nie dostrzegam stojących dookoła nas ludzi. Widzę tylko drżącego Daya, który ma szeroko otwarte oczy na skutek szoku. Włosy kleją się do spoconej twarzy. Oglądam go uważniej i dostrzegam dwie rany, z których wycieka ciemna krew. Jedna znajduje się w klatce piersiowej, a druga w okolicy biodra. Słyszę jakiś zduszony krzyk. Może to mój? Pochylam się nad nim powoli, jakbym znajdowała się we śnie, i dotykam jego twarzy.

- Day, to ja, June! Jestem przy tobie.

Spogląda na mnie.

- June? - szepcze z trudem. Próbuje unieść dłoń ku mojej twarzy, ale trzęsie się tak mocno, że mu to nie wychodzi. Ujmuję jego głowę w dłonie. Widzę, że płacze.

- Chyba... Chyba mnie trafili...

Dwie osoby z tłumu zaczynają badać jego obrażenia. Naciskają rany, a z ust Daya wyrywa się szloch. Próbuje na nich spojrzeć, ale nie ma siły, by podnieść głowę.

- Pomoc jest w drodze - zapewniam go z przekonaniem i pochylam się, by pocałować go w policzek. - Trzymaj się, dobra? Patrz na mnie. Patrz! Nic ci nie będzie.

- Chyba się... mylisz - mamrocze Day. Mruga, a łzy rozlewają się po twarzy i moczą je dłonie. - A Eden... Nic mu nie jest?

- Nic - szepczę. - Twój brat jest cały i zdrow. Niedługo się zobaczycie.

Day zaczyna odpowiadać, ale słowa więzną mu w ustach. Jego skóra staje się popielata.

„Nie, tylko nie to”.

Odpycham myśli o najgorszym, ale złe przeczucie wisi nad nami niczym czarny cień. Czuję ciężar śmierci nad sobą, wiem, że jej niewidome oczy wpatrują się w duszę Daya. Wiem, że czeka cierpliwie, by zgasić jego światło.

- Nie chcę... umierać - szepcze Day. - Nie chcę zostawić ciebie... Edena...

Uciszam go, przytykając usta do jego drżących warg.

- Edenowi nie stanie się nic złego - odpowiadam łagodnie. Jestem gotowa zrobić wszystko, by nie odszedł. - Skup się, Day. Posłuchaj mnie! Pójdiesz do szpitala. Zaraz pojawi się pomoc, poczekaj chwilę! Krótką chwilę.

Day uśmiecha się do mnie. Na jego twarzy maluje się jednak taki smutek, że moje opanowanie znika i zaczynam płakać. Patrząc w jego jasne, niebieskie oczy i przypominam sobie chłopaka, który bandażował moje rany na ulicach Lake i trzymał się mnie mimo wszystkich przeciwności losu, chłopaka pełnego światła, śmiechu i życia, pełnego żalu, wściekłości i pasji, chłopaka, którego los jest na zawsze splątany z moim.

- Kocham cię - szepcze. - Czy możesz tu zostać przez chwilę?

Mówi coś jeszcze, ale jego głos jest coraz cichszy i nie słyszę ani słowa.

„Nie. Nie! Nie odchodź!”.

Jego oddech staje się coraz płytszy. Widzę, że walczy o zachowanie przytomności, ale z każdą sekundą jego oczy rozpoznają mnie z coraz większym trudem. Przez moment patrzy na coś za moimi plecami, ale gdy odwracam głowę, nie widzę tam nic prócz nieba. Całuję go raz jeszcze i dotykam czołem jego głowy.

- Kocham cię - powtarzam raz za razem. - Nie odchodź.

Zamykam oczy. Łzy skapują na jego policzki.

Kłęczę przy nim i czuję, jak życie powoli z niego wycieka. Ogarnia mnie żal i wściekłość. Nigdy nie byłam szczególnie religijna, lecz teraz, gdy widzę nadbiegających ratowników medycznych, odmawiam rozpaczliwą modlitwę do jakiejś Wyższej Instancji. Nie wiem, do której. Mam po prostu nadzieję, że Ktoś - Ktokolwiek! - nas słucha. Ufam, że przytuli nas i ulituje się nad nami. Słę mą modlitwę ku niebu, krzesząc z siebie resztki pozostałych mi sił.

„Pozwól mu żyć. Proszę, nie zabieraj go z tego świata. Nie pozwól mu umrzeć tu w moich ramionach. Nie daj mu umrzeć po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy. Nie po tym, jak zabrałeś tylu innych. Proszę, błagam Cię, pozwól mu żyć. Gotowa jestem poświęcić wszystko, by tak się stało. Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz. Może śmiejesz się ze mnie, słysząc tak naiwną obietnicę, ale ja nie żartuję i gdzieś to mam, jeśli nie ma ona sensu bądź

wydaje się niemożliwa. Pozwól mu żyć. Proszę. Nie zniosę śmierci kogoś bliskiego po raz drugi”.

Z rozpaczą rozglądam się dookoła, częściowo oślepią własnymi łzami. Widzę jedynie krew, dym, ogień i popiół, a słyszę wrzaski, wystrzały i nienawiść. Mam już tak dość walki, jestem taka sfrustrowana, wściekła i bezradna...

„Powiedz mi, że gdzieś na tym świecie istnieje jeszcze dobro. Powiedz mi, że dla nas wszystkich jest jeszcze jakaś nadzieja”.

Czuję, jak jakieś dłonie łapią mnie za ramiona i odciągają od Daya. Uparcie stawiam im czoła, a wtedy moją ranioną rękę przeszywa ból. Lekarze pochylają się nad ciałem Daya. Oczy ma zamknięte i mam wrażenie, że przestał oddychać. Znow nawiedzają mnie wspomnienia trupa Metiasa. Znow ktoś próbuje mnie odciągnąć, ale odpycham go z całej siły i krzyczę. W tym niekończącym się wrzasku kryje się wszystko, co poszło nie tak, wszystkie krzywdy, które mi wyrządzono.

# DAY

MYŚLĘ, ŻE TO JUNE SIĘ NADE MNĄ POCHYLA, ALE NIE JESTEM w stanie rozróżnić szczegółów jej twarzy. Skupiam się ze wszystkich sił, ale wtedy świat przesłania oślepiająca biel. Ból, który z początku był nie do zniesienia, nie ma już dla mnie znaczenia. Pojawiają się wspomnienia, które gasną po chwili. Widzę siebie podczas pierwszych dni na ulicy, kiedy to włóczyłem się przerażony, z pustym żołądkiem i krwawiącym kolanem. Widzę młodą Tess i Johna w chwili, gdy się dowiedział, że nadal żyję. Widzę dom mamy, uśmiech ojca, Edena jako małego chłopca. Przypominam sobie pierwsze spotkanie z June, jej zadziorną postawę i odważne oczy. A potem, powoli, przestaję pamiętać cokolwiek.

Zawsze skądś wiedziałem, że nie pożyję długo. Takich rzeczy nie da się wyczytać z gwiazd.

Nad ramieniem June pojawia się coś jasnego, co przykuwa moją uwagę. Odwracam głowę, by się temu przyjrzeć. W pierwszej chwili wydaje mi się, że to kula błyszczącego światła, ale po chwili uświadamiam sobie, że to moja matka.

„Mamo” - szepczę.

Wstaję i zbliżam się ku niej. Moje stopy są teraz takie lekkie.

Matka uśmiecha się do mnie. Wydaje się młoda, silna i szczęśliwa, a jej ręce nie są już owinięte bandażami. Włosy lśnią kolorami żyta i śniegu. Podchodzę do niej, a ona delikatnie ujmuje moją twarz gładkimi, zdrowymi dłońmi. Serce przestaje mi bić. Jej dotyk napętnia mnie ciepłem i światłem. Chcę pozostać przy niej na zawsze, chcę by ta chwila nigdy się nie skończyła. Naraz potykam się. Mama łapie mnie w ostatniej chwili i klęczymy razem, spleceni ramionami.

- Mój mały, zaginiony synek - szepcze.

- Tak mi przykro - mówię cicho drżącym głosem. - Tak mi przykro.

- Nic nie mów, moje dziecko.

Opuszczam głowę, a matka całuje mnie w czoło. Znów jestem małym dzieckiem, bezradnym, lecz pełnym nadziei, przepełnionym

miłością. Unoszę wzrok i za jej złocistym, rozmazanym ramieniem dostrzegam me własne ciało, blade i zmaltretowane. Klęczy nad nim jakaś dziewczyna, która dotyka mojej twarzy. Z jej ramienia spływają długie, ciemne włosy. Płacze.

- Czy tata oraz John... - zaczynam.

Mama uśmiecha się w odpowiedzi. Jej oczy są nieprawdopodobnie błękitne. Mam wrażenie, że dostrzegam w nich cały świat - niebo, chmury i wszystko, co znajduje się za nimi.

- Nie martw się - odpowiada. - Nic im nie jest i bardzo cię kochają.

Czuję przemożną ochotę, by udać się w ślad za nią bez względu na to, dokąd pójdzie.

- Tak mi was brakuje - mówię w końcu. - Codziennie czuję ból. Codziennie czuję nieobecność wszystkich tych, którzy kiedyś przy mnie byli.

Mama delikatnie gładzi mi włosy, tak jak dawno temu, gdy byłem małym chłopcem.

- Kochanie, nie ma powodu, byś za nami tęsknił. Przecież my cię nigdy nie opuściliśmy.

Unosi głowę i wskazuje ulicę oraz tłum ludzi, który zgromadził się wokół mego ciała. Widzę, jak zespół ratowników medycznych kładzie mnie na noszach.

- Wracaj do Edena. Czeka na ciebie.

- Wiem - szepczę. Przekrzywiam głowę, próbując dostrzec brata w tłumie ludzi, ale nigdzie go nie widzę. Mama wstaje i puszcza mnie. Trudno mi oddychać.

„Nie. Proszę, nie opuszczaj mnie!”

Wyciągam ku niej dłoń, ale powstrzymuje mnie jakaś niewidzialna bariera. Światło staje się coraz jaśniejsze.

- Dokąd idziesz? Czy mogę pójść z tobą?

Mama uśmiecha się, ale kręci głową.

- Nadal należysz do tej części świata. Kiedyś, gdy będziesz gotów przekroczyć granicę, znów wyjdę ci na spotkanie. Żyj dobrze, Danielu. Zrób wszystko, by twoje wysiłki nie poszły na marne.



# JUNE

PRZEZ PIERWSZE TRZY TYGODNIE POBYTU DAYA W SZPITALU nie opuszczam go ani na chwilę. Inni ludzie pojawiają się i znikają. Towarzyszy mi Tess, która przesiaduje w poczekalni i czeka, aż Day przebudzi się ze śpiączki. Pojawia się Eden, który siedzi z nami do chwili, gdy Lucy każe mu wracać. Odwiedzają go inni Patrioci, głównie Pascao, oraz niekończący się sznur lekarzy, których już po tygodniu zaczęłam rozpoznawać i nazywać po imieniu. Przychodzi tu również Anden, który powrócił z linii frontu z własnymi bliznami. Przed szpitalem nadal obozują ogromne tłumy ludzi, ale Elektor nie ma serca kazać im wracać do domów, choć setki siedzą tu od wielu, wielu dni. Część przebarwiła kosmyk włosów na czerwono. Przez większość czasu tłumy zachowują ciszę, choć bywa, że śpiewają. Przyzwyczaiałam się do ich obecności, a potem zaczęłam czerpać z niej pociechę. Ci ludzie przypominają mi, że Day nadal żyje. Że wciąż walczy.

Wojna między Republiką i Koloniami na razie dobiegła końca. Antarktydzi przybyli nam w końcu z pomocą, uzbrojeni w straszliwą broń najnowszej generacji, która odebrała zarówno Kolonom, jak i Afryce ochotę do dalszej walki. Podpisano rozejm, a Elektor wraz z Kanclerzem zostali osądzeni na forum międzynarodowym. Na obie strony konfliktu nałożono sankcje, a potem rozpoczął się proces pokojowy.

Wciąż jednak widzę pobojuwisko na ulicach miasta, a ludzie myślą o Koloniach z wrogością. Wiem, że trzeba czasu, by rany się zasklepiły. Nie mam pojęcia, jak długo potrwa zawieszenie broni i czy Republika i Kolonie wreszcie uzgodnią trwałe warunki pokojowe. Może nigdy do tego nie dojdzie, ale póki co cieszę się, że walki ustały.

Jedną z pierwszych rzeczy, do której przystąpili lekarze zaraz po zaszyciu okropnych ran postrzałowych Daya, była operacja na jego mózgu. Ze względu na uraz nie mogli dokończyć pełnego trybu leczenia koniecznego do przeprowadzenia zabiegu, ale mimo to przystąpili do niego. To, czy Day był gotowy czy nie, nie miało już żadnego znaczenia. Tak czy owak groziła mu śmierć, a więc operacja nie pociągała za sobą ryzyka. Teraz nie mogę spać po

nocach. Nikt nie wie, czy Day się kiedykolwiek przebudzi i czy będzie sobą, gdy to nastąpi.

Minęły dwa miesiące, a potem trzy.

Nasze nastawienie się zmienia. Coraz częściej czekamy na jego przebudzenie w domach. Tłum przed szpitalem zaczyna się przerzedzać.

Pięć miesięcy. Mija zima.

Nadchodzi marzec. Pewnego czwartkowego poranka o 7:28 przybywam do poczekalni szpitala. O tej porze jak zwykle jestem sama. Eden przebywa w domu z Lucy i odpoczywa zgodnie z zaleceniami lekarskimi. Rośnie i nabiera ciała. Gdyby Day przebudził się teraz, bez wątpienia zwróciłby uwagę na zmiany w jego wyglądzie. Eden bowiem urósł wyższy, a jego twarz nie jest już okrągła i pulchna jak u dziecka. Powoli wkracza w dorosłość.

Nawet Tess jeszcze tu nie ma. Przychodzi do szpitala późnym rankiem i pomaga lekarzom jako asystentka. Czasami wpadam na nią, gdy ma przerwę w pracy. Witamy się uściskiem i toczymy szeptem rozmowę. Bywa, że udaje się jej rozbawić mnie czymś.

- On cię kocha, naprawdę - powiedziała mi wczoraj. - Kochałby cię nawet, gdyby miało go to zniszczyć. Pasujecie do siebie. Jakie to słodkie!

Powiedziała te słowa z nieśmiałym uśmiechem, w którym kryje się odrobina urazy. W jakiś sposób udało jej się na powrót stać się taką, jaką była w chwili naszego poznania, ale jest teraz starsza, wyższa i mądrzejsza.

Trącam ją z sympatią.

- Was z kolei łączy coś, czego nigdy nie ośmielę się zburzyć - odpowiadam. - Choćby nie wiadomo co się stało.

Tess zarumieniła się, a ja ucieszyłam się, że mogę otworzyć przed nią serce. Kochająca Tess to jeden z najładniejszych widoków świata.

- Po prostu bądź dla niego dobra - wyszeptała. - Obiecujesz?

Witam się z pielęgniarką w okienku poczekalni, siadam na tym samym krześle co zawsze i rozglądam się. Jak tu pusto dziś rano. Łapię się na tym, że brak mi towarzystwa Tess. Próbuję skupić się na nagłówkach pokazywanych na monitorze:

„Prezydent Antarktydy Ikari zaaprobował nowy traktat pokojowy

między Republiką i Koloniami. Elektor Primo zapowiada wprowadzenie nowego systemu testowego mającego zastąpić Próby. Miasta na pograniczu między Republiką i Koloniami mają być zwane Zjednoczonymi Miastami, co ma pomóc w rozpoczęciu migracji między oboma krajami, planowanym na drugą połowę przyszłego roku. Senator Mariana Dupree oficjalnie została zatwierdzona jako Princepsa Senatu”.

Uśmiecham się blado, czytając nagłówki. Zeszłej nocy Anden odwiedził mnie w moim mieszkaniu, by przekazać mi wiadomość o nominacji Mariany. Powiedziałam mu, że osobiście przekażę jej gratulacje.

- Jest bardzo dobra w tym, co robi. - powiedziałam. - O wiele lepsza ode mnie. Cieszę się.

Anden uklonił się lekko.

- Moim zdaniem na dłuższą metę to ty okazałabyś się o wiele lepsza od niej - odparł z łagodnym uśmiechem. - Rozumiesz przecież ludzi. Mimo to cieszę się, że robisz to, w czym się czujesz najlepiej. Nasi wojskowi mają szczęście, że mogą z tobą pracować.

Zawahał się i ujął moją dłoń. Pamiętam delikatny materiał jego rękawiczek i srebrny połysk spinek do mankietów.

- Nie będziemy się już często widywać. Może tak będzie dla nas najlepiej, co? Pamiętaj jednak, by czasem mnie odwiedzić, proszę. Chętnie posłucham, co się u ciebie dzieje.

- I vice versa - odpowiadam i ściskam jego dłoń.

Wracam do terażniejszości. Z korytarza, w którym znajduje się pokój Daya, wychodzi jakiś lekarz. Dostrzega mnie, nabiera tchu i podchodzi. Wyprostowuję się i także nabieram tchu. Dawno już nie słyszałam niczego nowego o stanie Daya od doktora Kanna. Serce bije mi szybciej - wieści są dobre czy złe? Przyglądam mu się uważnie w poszukiwaniu wskazówek. Źrenice ma nieco rozszerzone, a na twarzy niepokój, ale nie tak wygląda człowiek, który ma przekazać złe wieści. Chyba dostrzegam nieco radości w jego spojrzeniu. Mój puls staje się coraz szybszy. Co od niego usłyszę? A może nie ma mi nic do powiedzenia? Może po prostu powie mi to co zawsze? „Brak zauważalnych zmian, obawiam się, ale jego stan przynajmniej jest stabilny”. Już się przyzwyczaiłam do takich stwierdzeń.

Doktor Kann zatrzymuje się przede mną. Poprawia okulary i nieświadomie drapie się po starannie przystrzyżonej brodzie.

- Dzień dobry, panno Iparis - mówi.

- Jak się czuje? - pytam. To mój tradycyjny sposób witania się z nim.

Kann uśmiecha się, ale waha. Kolejna osobliwość - a więc zaraz usłyszę coś bardzo ważnego.

- Mam wspaniałe wieści.

Serce mi zamiera.

- Day się obudził jakąś godzinę temu.

- Obudził się? - szepczę.

„Obudził się”.

Wiadomość jest nazbyt przytłaczająca. Nie wiem, czy jestem w stanie ją znieść. Przyglądam się mu z uwagą.

- Ale to nie wszystko, prawda?

Doktor Kann kładzie obie dłonie na moich ramionach.

- Nie chcę pani martwić, panno Iparis, skądże znowu. Day doskonale zniósł operację. Po przebudzeniu poprosił o odrobinę wody i spytał, co u jego brata. Dobrze reaguje na bodźce i myśli logicznie. Przeprowadziliśmy szybko skan jego mózgu.

Z każdym wypowiedzianym zdaniem lekarz staje się coraz bardziej podekscytowany.

- Oczywiście będziemy musieli sprawdzić jego stan ponownie, o wiele bardziej skrupulatnie, ale na pierwszy rzut oka wygląda, że jego stan się znormalizował. Hipokamp wygląda dobrze. Prawie wszystko wskazuje na to, że Day, którego znamy, powrócił.

Łzy zbierają mi się na rzęsach. Day, którego znamy, powrócił. Po pięciu miesiącach oczekiwania wiadomość jest szokująca. W jednej chwili leży nieprzytomny na łóżku i walczy o życie, zarówno w dzień, jak i w nocy, a potem niespodziewanie budzi się. Szast-prast i jest wśród nas. Uśmiechamy się do siebie z doktorem, a potem, ni z tego ni z owego, rozkładam ramiona i ściskam go. Śmieje się i niezgrabnie klepie mnie po głowie, ale ja marzę już tylko o tym, by go znów ujrzeć.

- Można go odwiedzić? - pytam, a potem niespodziewanie

uzmysławiam sobie, co przed chwilą usłyszałam. - Dlaczego powiedział pan „prawie”?

Uśmiech doktora przygasa. Raz jeszcze poprawia okulary.

- Cóż, bo problem, który się pojawił, bez trudu będziemy mogli zlikwidować w trakcie rekonwalescencji. Widzisz, obszar zwany hipokampem wpływa na pamięć, zarówno bliską, jak i daleką. Wygląda na to, że pamięć daleka Daya - wszystkie wspomnienia związane z jego rodziną, bratem Edenem, przyjaciółką Tess i tak dalej - jest nietknięta. Po kilku pytaniach doszliśmy do wniosku, że pamięta bardzo niewiele z tego, co się wydarzyło przez ostatni rok czy dwa. Nazywamy to amnezją wsteczną. Pamięta na przykład śmierć członków swojej rodziny... - Doktor Kann waha się nieco przy tych słowach, ale kontynuuje: - Nie kojarzy jednakże nazwiska komandor Jameson, nie wie też o niedawnej inwazji Kolonii. Najwyraźniej nie pamięta również ciebie.

Mój uśmiech znika.

- On... On nie pamięta mnie?

- Oczywiście dzięki odpowiedniej terapii możemy sobie dać z tym problemem radę. - Doktor Kann zapewnia mnie ponownie. - Jego pamięć bliska działa dobrze. Bez trudu zapamiętuje większość z tego, co mu mówię. Chciałem cię jedynie ostrzec, nim do niego wejdiesz. Nie bój się tego, że może ciebie nie poznać. Nie spiesz się, musisz przedstawić mu się na powrót. Jego wspomnienia stopniowo powrócą. Proces ten może zabrać parę lat.

Kiwam głową. Czuję się, jakby znalazła się w samym środku snu.

- Dobra - szepczę.

- Możesz wejść do niego, jeśli chcesz. - Kann uśmiecha się do mnie, jakby właśnie przekazywał najważniejszą wiadomość w całym wszechświecie, co zresztą nie jest odległe od prawdy. Odchodzi po chwili, a ja stoję oszołomiona w miejscu. Nie mogę pozbierać myśli. Czuję się zagubiona. Potem robię kilka kroków w kierunku korytarza, w którym znajduje się pokój Daya. Ściany korytarza zamykają się nade mną i czuję się, jakbym szła przez zamglony, niewyraźny tunel. Jediną rzeczą, którą pamiętam, jest rozpaczliwa modlitwa, jaką wygłosiłam nad jego ciałem oraz obietnica, którą złożyłam niebiosom w zamian za jego życie. „Proszę, błagam Cię, pozwól mu żyć. Gotowa jestem poświęcić wszystko, by tak się

stało”.

Jestem wstrząśnięta. Rozumiem już, że ktoś odpowiedział na moją modlitwę i powiadomił mnie, na czym ma polegać moja ofiara. Otrzymałam nową szansę – nigdy go już nie skrzywdzę.

Wchodzę do jego pokoju. Day jest przytomny i leży wsparty na poduszkach. Wygląda na o wiele zdrowszego niż wcześniej, gdy przez długie miesiące leżał nieprzytomny, blady w szpitalnym łóżku. Coś się jednak zmieniło. Nic w jego zachowaniu nie wskazuje bowiem na to, że mnie poznaje. Przygląda mi się uprzejmie, ale z dystansem, zupełnie jak wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Nie wie, kim jestem.

Serce mnie boli, gdy podchodzę do jego łóżka. Już wiem, co mam zrobić.

- Cześć – mówi, gdy siadam na skraju jego łóżka. Omiata mnie wzrokiem z ciekawością. - Cześć – odpowiadam łagodnie. - Wiesz, kim jestem? Day wydaje się winny i mój ból nabiera siły. - A powinienem?

Muszę wyteńczyć wszystkie siły, by nie wybuchnąć płaczem. Trudno mi znieść myśl, że Day zapomniał o wszystkim, co się wydarzyło między nami. Nie pamięta naszej wspólnej nocy, nie wie, przez co przeszliśmy, nie jest świadom tego, czym się dzieliliśmy i co utraciliśmy. Nasz związek został wymazany z jego pamięci. Ten Day, którego ja znałam, znikł.

Oczywiście mogłabym mu o wszystkim powiedzieć. Mogłabym mu przypomnieć, że jestem June Iparis, dziewczyną, którą ongiś uratował na ulicach i w której się zakochał. Mogłabym mu powiedzieć o wszystkim, jak przykazał doktor Kann. Być może przywołałoby to jego dawne wspomnienia.

„Powiedz mu, June. Powiedz mu i tyle. Będziesz taka szczęśliwa! Przecież to proste!”.

Ale otwieram usta i nie słyszę żadnego dźwięku. Nie, nie jestem w stanie.

„Bądź dla niego dobra” – poprosiła mnie Tess. - „Obiecujesz?”.

Zawsze będę ranić Daya. Moja obecność zawsze będzie przypominać o koszmarach. Nie ma innej opcji. Przypomina mi się,

jak siedział przy rodzinnym stole kuchennym i szlochał. Teraz los podsunął mi rozwiązanie na srebrnej tacy - Day przetrwał najcięższą próbę w swoim życiu, a ja teraz muszę z niego wyjść. Wpatruje się we mnie jakbym była kimś obcym, ale w jego oczach nie ma już bólu i tragedii, które zawsze towarzyszyły miłości, z jaką na mnie spoglądał. Wreszcie jest wolny.

Uwolnił się od nas. Jestem jedyną powierniczką tego, co się wydarzyło w przeszłości.

Przełykam więc ślinę i pochylam lekko głowę.

- Day - wykrztuszam. - Miło mi cię poznać. Zostałam przysłana przez Republikę. Mam się dowiedzieć, jak się czujesz. Naprawdę wspaniale, że się przebudziłeś. Cały kraj będzie świętował tę wiadomość.

Day uprzejmie kiwa głową, ale wyczuwam jego napięcie.

- Dziękuję - mówi ostrożnie. - Lekarze mówią, że leżałem w śpiączce przez pięć miesięcy. Co się wydarzyło?

- Zostałeś ranny w bitwie między Republiką i Koloniami - odpowiadam, choć wszystkie moje słowa brzmią, jakby wypowiedział je ktoś inny. - Ocaliłeś swojego brata Edena.

- Czy Eden tu jest? - Oczy Daya jaśnieją, gdy rozpoznaje imię. Jego twarz ozdabia piękny uśmiech. Cieszę się, że pamięta swojego brata, a mimo to czuję w sercu ból. Chciałbym, by na wspomnienie o mnie również tak reagował.

- Eden bardzo się ucieszy, gdy się dowie o twoim przebudzeniu. Już po niego posłano i myślę, że zaraz tu przybędzie.

Odpowiadam uśmiechem, który tym razem jest autentyczny, choć nieco gorzki. Day znów mi się przygląda, ale zamykam oczy i kłaniam mu się lekko.

Pora go zostawić.

- Day - mówię, ostrożnie wybierając ostatnie słowa. - Walka u twojego boku była zaszczytem i przywilejem. Ocaliłeś więcej ludzkich istnień, niż ktokolwiek zliczy.

Przez chwilę wpatruję się prosto w jego oczy. Spojrzeniem przekazuję mu wszystko to, czego nigdy nie wypowiem na głos.

- Dziękuję ci za wszystko - szepczę.

Day wydaje się zdumiony emocjami w moim głosie, ale odpowiada

ukłonem.

- To dla mnie był to zaszczyt - odpowiada.

Serce mi pęka, bo w jego głosie brakuje ciepła, które powiedziałyby mi, że pamięta o wszystkim. Na próżno szukam wszelkich przejawów miłości, której tak bardzo mi brak, na którą tak bardzo chciałam sobie zasłużyć. Gdyby wiedział, kim jestem, powiedziałabym mu coś innego, coś, co powinnam była powiedzieć mu wielokrotnie, gdy miałam okazję. Teraz jestem już pewna swojego uczucia, ale jest już za późno. Dla jego dobra skrywam więc te dwa słowa w głębi serca i wstaję. Raz jeszcze spoglądam na jego twarz i starannie zapisuję w pamięci wszystkie jej szczegóły w nadziei, że będę mogła przechować to wspomnienie na zawsze. Salutujemy sobie w ciszy, a potem odwracam się po raz ostatni.

Dwa tygodnie później mieszkańcy Los Angeles zbierają się, by pożegnać Daya odjeżdżającego na dobre. Mam wrażenie, że nie brakuje nikogo. Tego samego dnia, gdy przywitałam się z przebudzonym Dayem, obaj z Edenem zostali zaproszeni przez Antarktydę. Prezydent Ikari wiedział bowiem o niezwykłym inżynierskim talencie Edena i zaproponował mu miejsce na jednej z ich akademii. Day zaś mógł udać się wraz z bratem.

Nie dołączam do zebranych tłumów. Zostaję w moim mieszkaniu i oglądam transmisję na monitorze. Zadowolony Ollie śpi obok mnie. Na ulicach wokół mego bloku gęstnieją tłumy - wszyscy przepychają się, by jak najlepiej widzieć obraz na JumboTronie. Ignoruję wywoływany przez nich zgiełk. Wpatruję się w ekran. Nagłówki mówią: „Daniel Altan Wing wraz z bratem wylatują dziś wieczorem do Ross City na Antarktydzie”. Na ekranie Day macha do ludzi zebranych wokół jego mieszkania, a potem wraz z Edenem zmierzają pod eskortą do czekającego na nich dżipa. Powinnam właściwie nazywać go Danielem, podobnie jak nagłówek. Być może on właściwie jest już Danielem. Przecież nie ma potrzeby korzystać z przydomka. Patrzą, jak pozwala bratu wejść do samochodu, a potem sam do niego wskakuje, przez moment zasłonięty przez innych.

„Jakie to dziwne” - myślę i bezwiednie drapię Olliego po karku. Opuszcza Republikę jako patriota i jej obrońca, który będzie czczony i pamiętany aż po kres życia. Wyłączam monitor i siedzę



w ciemnościach, ciesząc się ciszą. Na zewnątrz ludzie nadal skandują jego imię. Słyszę je do późnych godzin nocnych. Gdy zamieszanie wreszcie cichnie, wstaję z kanapy, nakładam płaszcz i buty, a potem owijam szyję szalikiem i wychodzę na ulicę. Lekki nocny wiatr unosi moje włosy, co chwila jakiś kosmyk zaczepia mi się o rzęsy. Przez dłuższą chwilę włóczę się po ulicach, nie wiedząc, dokąd właściwie zmierzam. Może próbuję odnaleźć drogę do Daya? Ale to przecież nielogicznie. Day wyjechał, a jego nieobecność wywołuje bolesną pustkę w sercu. Oczy łzawią mi od wiatru.

Chodzę przez godzinę, po czym łapię pociąg do sektora Lake. Po dotarciu na miejsce spaceruję wzdłuż brzegu i podziwiam światła centrum oraz nieoświetlony, niewykorzystywany stadion Prób, złowieszczą pamiątkę z przeszłości. Ogromne koła obracają się w wodzie, a ich jednostajny rytm buduje miłą symfonię. Nie wiem, dokąd zmierzam. Wiem tylko tyle, że w tej chwili Lake wydaje mi się przytulniejszy od Ruby. Tu nie jestem sama. Na ulicach tej dzielnicy czuję bicie serca Daya.

Zaczynam odtwarzać trasę pokonaną przed wieloma miesiącami. Mijam te same odrapane budowle i rozsypujące się domy, obok których przechodziłam jako całkowicie inna osoba, pełna nienawiści i wątpliwości, zagubiona i nieświadoma. Czuję się dziwnie, idąc tędy teraz, gdy jestem już całkowicie inna. Znam te okolice, ale czuję się nieswojo.

Po godzinie zatrzymuję się przed jakąś bezimienną alejką, która odchodzi od pustej ulicy. Na końcu alejki wznosi się opuszczony dwunastopiętrowy wieżowiec. Tak jak zapamiętałam, każde z okien zostało zabite deskami, a podłoga na pierwszym piętrze jest zasłana okruchami szkła. Wkraczam w cienie i oddaję się wspomnieniom. To właśnie tutaj Day po raz pierwszy wyciągnął do mnie rękę wśród kłębow pyłu i kurzu i ocalił mnie. Był to początek kilku bezcennych, cudownych nocy, kiedy on był dla mnie po prostu chłopakiem z ulicy, a ja dla niego dziewczyną szukającą pomocy.

Wspomnienia nabierają ostrości.

Niespodziewanie słyszę głos, który każe mi wstać. Odwracam głowę i dostrzegam jakiegoś chłopaka, który wyciąga ku mnie dłoń. Ma jasnoniebieskie oczy, brudną twarz i sfatygowaną czapkę na głowie, ale w tej chwili jest on dla mnie najpiękniejszym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek widziałam w życiu.

Bezwiednie dotarłam do miejsca, w którym rozpoczęła się nasza wspólna podróż. Myślę, że to najważniejsze miejsce, by ją również zakończyć.

Stoję wśród ciemności przez dłuższą chwilę, całkiem zatopiona we wspólnych wspomnieniach. Cisza otula mnie ramionami, przynosząc mi pociechę. Jedną z dłoni szuka blizny, która jest pamiątką po walce z Kaede. Tyle wspomnień, tyle smutku i radości.

Łzy płyną mi po twarzy. Zastanawiam się, co myśli sobie teraz Day, zmierzający w stronę obcego kraju. Zastanawiam się, czy jakaś cząstka jego pamięci, schowana głęboko, również przechowuje strzępy wspomnień tego, przez co razem przeszliśmy. Im dłużej tu stoję, tym większą ulgę czuję. Ciężar z wolna unosi się z mojego serca. Day będzie żył bez przeszkód i ja też. Będziemy szczęśliwi. Być może kiedyś w odległej przyszłości spotkamy się znów. Ja zaś nigdy go nie zapomnę. Dotykam którejs z ścian i wyobrażam sobie, że w ten sposób mogę odnaleźć jego życie oraz jego ciepło. Potem spoglądam ku dachom i nocnemu niebu, gdzie połyskuje kilka bladych gwiazd. Wydaje mi się, że tam właśnie mogę go dostrzec. Wyczuwam jego obecność w każdym kamieniu, którego dotknął, w każdej osobie, której pomógł, w każdej ulicy i alejce, którą zmienił w ciągu ostatnich kilku lat, ponieważ to on jest Republiką, to on jest naszym światłem. Kocham cię, kocham i będę cię kochała, aż znów się spotkamy. Będę nosić cię w moim sercu i ochraniać, płakać nad tym, czego nigdy nie mieliśmy i cieszyć się tym, co nam się przytrafiło. Szkoda, że cię tu nie ma.

Bo zawsze będę cię kochać.

**LOS ANGELES, KALIFORNIA  
REPUBLIKA AMERYKAŃSKA**

\*\*\*

**DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIEJ**

# JUNE

**11 LIPCA, GODZINA 18:36**

**SEKTOR BATALLA, LOS ANGELES**

**TEMPERATURA:**

**78 STOPNI FAHRENHEITA/25 STOPNI CELSJUSZA**

DZIŚ MAM DWUDZIESTE SIÓDMIE URODZINY.

Zazwyczaj świętuję ten dzień bez szczególnej pompy. Na osiemnaste urodziny zaprosiłam Andena, kilku senatorów, Pascao, Tess oraz paru kolegów z Drake'a na obiad w restauracji na szczycie wieżowca w sektorze Ruby. Dziewiętnaste obchodziłam na łodzi w Nowym Jorku, odbudowanej przez Kolonie replice miasta pochłoniętego przez powódzie, którego przedmieścia znajdują się teraz nad brzegiem Atlantyku. Zostałam zaproszona na przyjęcie wyprawiane przez kilku delegatów z Afryki, Kanady i Meksyku. Dwudzieste spędziłam samotnie z Olliem. Pies ułożył łeb na moim kolanie i pochrapywał cicho, a ja oglądałam reportaż o Edenie, który przed czasem zakończył naukę na antarktydzkiej akademii. Usiłowałam wypatrzyć gdzieś Daya, który - czego dowiedziałam się z tego samego programu - został zwerbowany przez antarktydzki wywiad. Dwudzieste pierwsze urodziny obchodziłam hucznie na letnim festiwalu w Vegas, gdzie zostałam zaproszona przez Andena. Skończyło się na całowaniu z nim w moim pokoju hotelowym. Dwudzieste drugie świętowałam z Andenem jako moim oficjalnym chłopakiem. Dwudzieste trzecie zbiegły się z nominacją na najmłodszego w historii Republiki dowódcę sił powietrznych Kalifornii. Dwudzieste czwarte spędziłam bez Olliego. Na dwudzieste piąte Anden zaprosił mnie na obiad, a potem tańczyliśmy razem na pokładzie OR „Constellation”. Dzień dwudziestych szóstych urodzin spędziłam z Pascao i Tess, opowiadając im o tym jak zerwałam z Andenem. Doszliśmy bowiem do wspólnego wniosku, że nie jestem w stanie kochać go tak, jak sobie tego życzy.

Niektóre lata wypełniła mi radość, inne smutek, ale nawet najsmutniejsze chwile zawsze dawało się jakoś znieść. W moim życiu bowiem wydarzyły się o wiele gorsze rzeczy - żadnego

z owych tragicznych wydarzeń nie można było porównać z tym, co się wydarzyło, gdy byłam nastolatką. Moje dwudzieste siódme urodziny będą jednak inne. Obawiałam się tego dnia od dawna, ponieważ wiem, że wrócę wówczas do pewnych wydarzeń z przeszłości, o których ze wszystkich sił próbuję zapomnieć.

Przez większość dnia jestem cicha i zamyślona. Wstaję wcześnie, ćwiczę na bieżni, a potem udaję się do sektora Batalla, by przydzielić dowódców dywizjonów do operacji w różnych miastach. Dziś stoję na czele dwóch najlepszych dywizjonów, by eskortować Andena podczas spotkania z delegatami Kolonii. Nie dzielimy już apartamentu, ale nie zmienia to mojego nastawienia. Anden zawsze będzie moim Elektorem i zaciekle strzegę jego bezpieczeństwa. Rozmowy dziś będą dotyczyć swobodnego przepływu ludności przez naszą wspólną granicę. Leżące wzdłuż niej Zjednoczone Miasta stały się bowiem kwitnącymi ośrodkami, zamieszkałymi zarówno przez obywateli Republiki, jak i Kolonii. Miejsca, które kiedyś dzieliły, teraz nas łączą. Przyglądam się, jak Anden ściska dłonie delegatom Kolonii i pozuje do zdjęć. Jestem dumna z jego dokonań. Działa powoli, ale jego sukcesy są zauważalne. Metias cieszyłby się z tego. Day również.

Późnym popołudniem opuszczam Batalla Hall i kieruję się do białego niczym kość słoniowa budynku na wschodnim skraju placu. Przy wejściu pokazuję identyfikator i wchodzę na dwunaste piętro. Idę tam, gdzie zawsze, a stukot moich butów po marmurowej posadzce niesie się daleko. Zatrzymuję się przed niewielkim grobowcem, na którym wygrawerowano „Kapitan Metias Iparis”.

Stoję tam przez chwilę, a potem siadam po turecku i pochylam lekko głowę.

- Cześć, Metias - mówię cicho. - Dziś mam urodziny. Wiesz, ile mam lat?

Zamykam oczy. Panuje tu taka cisza, że nietrudno mi wyczuć widmową dłoń na moim ramieniu. Jak to czasami bywa w owych cichych chwilach, znów jestem świadoma jego dyskretnej obecności. Wyobrażam sobie, jak spogląda na mnie z uśmiechem, radosny oraz wolny.

- Dwadzieścia siedem! - dodaję szeptem. Głos mnie zawodzi na moment. - Jesteśmy w tym samym wieku.

Po raz pierwszy w życiu nie jestem już jego młodszą siostrzyczką. Od tej pory będę już zawsze od niego starsza. Próbuję myśleć o innych rzeczach. Opowiadam więc duchowi mojego brata o minionym roku, o wyczerpującej pracy, o sukcesach i porażkach w dowodzeniu oddziałami. Jak zwykle mówię mu też, że za nim tęsknię i jak zwykle słyszę szept jego ducha, który mówi mi to samo. Zapewnia mnie, że nadal nade mną czuwa.

Mija godzina. Słońce wreszcie zachodzi, a światło wpadające przez okna zaczyna rzednieć. Wstaję i powoli wychodzę z budynku, odsłuchując po drodze nagrane wiadomości. Tess niedługo kończy dyżur w szpitalu i przypuszczalnie aż się pali, by opowiedzieć mi najnowsze plotki o swoich pacjentach. Przez pierwsze lata po wyjeździe Daya utrzymywali ze sobą bliski kontakt i Tess bez przerwy opowiadała mi o tym, co się u niego dzieje. Mówiła mi o poprawie wzroku Edena, o nowej pracy Daya i o antarktydzkich grach, ale w miarę upływu czasu ich pogawędki stawały się coraz rzadsze. Tess dorosła i rozpoczęła własne życie. Ich rozmowy niebawem ograniczyły się do zwykłych pozdrowień, a potem ustały całkiem.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie brakuje mi jej historyjek o Dayu, ale tego dnia myślę raczej o obiedzie z nią i z Pascao, który już pewnie zmierza tu z uniwersytetu Drake z kolejną porcją anegdot o trenowaniu kadetów. Uśmiecham się na myśl o tym, co od nich usłyszę. Po rozmowie z bratem jest mi nieco lżej na duchu. Przez moment myślę o Dayu. Zastanawiam się, gdzie jest, z kim i czy jest szczęśliwy.

Naprawdę, szczerze, uczciwie liczę na to, że tak jest.

Tego wieczoru w sektorze nie ma wielkiego ruchu - od paru lat nie potrzebujemy tak wielu patroli policji miejskiej - i właściwie idę sama, nie licząc kilku żołnierzy to tu, to tam. Większość lamp ulicznych nie została jeszcze zapalona i w gęstniejących ciemnościach dostrzegam gwiazdy migoczące mi nad głową. Dzięki emanacji z JumboTronów na szarych chodnikach przesuwają się kalejdoskopy barw. Łapię się na tym, że celowo przechodzę dokładnie pod nimi i wyciągam rękę, by patrzeć, jak kolory migoczą mi na skórze. Bez większego zainteresowania przyglądam się nagłówkom, odsłuchując rozmowy. Epolety na moich ramionach podzwaniają cicho.

Zatrzymuję się na wiadomości, którą przesłała mi Tess po południu. Jej wesoły, ciepły głos wypełnia mój umysł:

„Cześć! Zerknij na wiadomości!”.

I to wszystko. Marszczę brwi, a potem śmieję się z jej dowcipu. Wiadomości? Co się takiego stało? Znow zerkam na ekrany, tym razem z większym zainteresowaniem, ale nic nie przykuwa mojej uwagi. Szukam informacji, którą Tess mogła mieć na myśli, ale niczego nie widzę. Naraz moja uwagę przykuwa drobny, mało istotny nagłówek, tak krótki, że zapewne wielokrotnie umknął już mojej uwadze. Mrugam oczami, by mieć pewność, że dobrze go rozumiem, a potem czytam raz jeszcze, nim znika:

„Eden Bataar Wing odwiedza Los Angeles, by ubiegać się o pozycję inżyniera”.

Eden? Spokój, który narzuciłam sobie od rana, nagle pęka. Czytam informację raz za razem, aż przekonuję sama siebie, iż w istocie chodzi tu o młodszego brata Daya. Eden ma tu rozmowę o pracę. Eden i Day są w Los Angeles.

Odruchowo rozglądam się wokół. Są gdzieś tu, chodzą po tych samych ulicach co ja. On tu jest! Kręcę głową z niedowierzaniem, bo w moim sercu znow obudziła się mała, dojrzewająca dziewczynka. Tyle czasu upłynęło, a ja nadal mam nadzieję.

„Uspokój się, June” - mówię sobie, ale serce bije mi jak szalone, a w głowie wciąż słyszę wiadomość od Tess. Znow ruszam przed siebie. Może uda mi się ustalić, gdzie przebywają. Może dowiem się, jak się miewał przez cały ten czas. Postanawiam, że zadzwonię do Tess, gdy dotrę na stację kolejową.

Piętnaście minut później idę skrajem sektora Batalla i z za rogu wyłania się stacja, z której odjeżdżają pociągi do Ruby. Ciemności są już tak gęste, że włączono lampy uliczne. Chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy idzie grupka żołnierzy, nie licząc ich, jestem tu całkiem sama. Ulica skręca, a wtedy widzę dwóch innych ludzi, zmierzających w moim kierunku. Staję jak wryta, a potem marszczę brwi i wyteżam wzrok. Nadal nie wiem, co widzę.

Obaj są młodzi. Odruchowo rejestruję kolejne szczegóły - są wysocy, szczupli, mają jasne włosy, zauważalne na słabo oświetlonej ulicy. Od razu wiem, że są spokrewnieni. Mają podobne twarze i chodzą z tą samą swobodą. Ten po lewej ma okulary i mówi

o czymś z ożywieniem, co chwila odsuwając złociste loki opadające mu na oczy. Dłońmi kreśli w powietrzu jakiś diagram. Rękawy ma podwinięte do łokci, a jego koszula jest luźna i nieco pomięta. Jego twarz rozjaśnia beztroski uśmiech.

Młodzieniec po prawej wydaje się nieco bardziej zdystansowany, ale słucha cierpliwie swojego towarzysza z bujną czupryną. Idzie z rękami w kieszeniach, a w kąciku jego ust płasza uśmiech. Ma inną fryzurę niż kiedyś – włosy są krótkie i rozbrajająco niesforne. Co chwila przeczesuje je dłonią, czym tylko potęguje bałagan.

Jego oczy są niebieskie jak zawsze. Jest starszy, a twarz nastolatka, którego znałam tak dobrze, zastąpiło teraz oblicze młodego mężczyzny, ale za każdym razem, gdy wybucha śmiechem, jaśnieje tym samym ogniem co kiedyś. Bucha życiem i energią.

Serce bije mi jeszcze szybciej, odpędzając oszołomienie.

„To Day i Eden”.

Pochylam głowę, ale kątem oka dostrzegam, że Eden zauważa mnie jako pierwszy. Przerywa w pół zdania, a potem uśmiecha się i zerka na brata.

Wtedy zauważa mnie Day.

Intensywność jego spojrzenia całkiem mnie zaskakuje. Tak długo nie patrzyłam mu w oczy, że teraz nie mogę złapać tchu. Wyprostowuję się i przyspieszam kroku. Muszę się stąd wydostać. W przeciwnym razie chyba nie uda mi się skryć uczuć, które we mnie kotłują.

Mijamy się bez słowa. Mam wrażenie, że moje płuca zaraz eksplodują. Oddycham przez moment szybko, by się uspokoić. Zamykam oczy i słyszę jedynie szum własnej krwi i rytmiczne uderzenia serca. Ich kroki powoli cichną. Zaczynam nad sobą panować. Przęłykam ślinę i odpycham falę wspomnień. Idę ku stacji. Jadę do domu. Nie odwrócę się.

Nie mogę.

Nagle... Nagle słyszę kroki za sobą. Szybkie kroki biegnącego człowieka. Zatrzymuję się, napinam mięśnie i odwracam się, by spojrzeć przez ramię.

To Day.

Dogania mnie. Kilkanaście metrów za nim stoi Eden z dłońmi w



kieszeniach. Day wpatruje się we mnie ze zdziwieniem w oczach, aż po plecach spływa mi impuls elektryczny.

- Przepraszam - mówi.

„Ach, ten głos...”.

Jest niższy i łagodniejszy od tego, który pamiętam, brak w nim już nieokrzesania nastolatka, ale pojawia się elegancja dorosłego mężczyzny.

- Przepraszam, czy my się aby nie znamy?

Przez chwilę nie wiem, co powiedzieć. A co można rzec w takiej sytuacji? Przecież od wielu lat przekonuję siebie samą, że wcale go nie znam.

- Nie - szepczę. - Przykro mi.

Modłę się w duchu, by zaprzeczył.

Day marszczy czoło, nieco zakłopotany. Przeczesuje dłonią włosy, a ja dostrzegam coś błyszczącego na jego palcu. To pierścionek spleciony z drucików. Ze spinaczy biurowych. Wzdycham, zaskoczona. Nadal nosi ów pierścionek, który mu kiedyś dałam!

- Aha - odpowiada. - A więc przepraszam, że ci zawracam głowę. Tylko że... Tylko że kogoś mi przypominasz. Jesteś pewna, że się skądś nie znamy?

W milczeniu szukam jego oczu. Nie potrafię wykrztusić ani słowa. Na jego twarzy pojawia się teraz jakieś dziwne, tajemnicze uczucie. Nie poddaje się, czuję, że ze wszystkich sił usiłuje przypisać mnie do jakiegoś miejsca lub wydarzenia. Moje serce protestuje, nakazuje mi zdradzić mu prawdę, ale ja nadal milczę.

Day wpatruje się w moją twarz łagodnym spojrzeniem, a potem kręci głową.

- Skądś cię znam - szepcze. - Spotkałem cię dawno temu. Nie wiem, gdzie, ale chyba wiem dlaczego.

- A więc dlaczego? - pytam.

Milczy przez chwilę, a potem zbliża się o krok, na tyle blisko, bym ujrzała ową malutką skazę w oku. Śmieje się cicho, a na jego policzkach pojawia się róż.

- Przepraszam, to zabrzmia naprawdę dziwnie...

Czuję się, jakbym zagubiła się we mgle. Ba, jakbym znalazła się

we śnie, z którego boję się obudzić.

- Ja... - zaczyna, a potem przerywa, jakby szukał odpowiednich słów. - Ja od dłuższego czasu szukam czegoś, co chyba zgubiłem.

„Coś, co zgubił”.

Czuję ucisk w gardle i nagły przyływ dzikiej nadziei.

- Nie ma w tym nic dziwnego - słyszę własne słowa.

Day uśmiecha się w odpowiedzi. W jego oczach pojawia się coś słodkiego i tęsknego.

- Gdy cię ujrzałem, miałem wrażenie, że coś odnalazłem. Czy ty jesteś pewna... Czy ty na pewno mnie nie znasz? A może ja znam ciebie?

Nie wiem, co powiedzieć. Ta część mnie, która swego czasu nakazała mi opuścić jego życie, teraz chce, bym zrobiła to ponownie, by ochronić go przed wiedzą, która dawno temu wyrządziła mu krzywdę.

„Dziesięć lat temu... Naprawdę upłynęło aż tyle czasu?”.

Druga część mnie, owa dziewczyna, która kiedyś spotkała go na ulicach, każe mi wyznać mu prawdę. Gdy w końcu otwieram usta, pada z nich:

- Idę na spotkanie z przyjaciółmi.

- Och, przepraszam. - Day odkasłuje, tracąc pewność siebie. - Ja w sumie też. Idę spotkać się z kimś z Ruby, kogo dawno nie widziałem.

„Z kimś z Ruby, kogo dawno nie widział”. Otwieram szerzej oczy. Nagle wiem, skąd się wziął psotny charakter wiadomości zostawionej przez Tess i dlaczego kazała mi śledzić informacje na JumboTronach.

- Czy ów ktoś ma na imię Tess? - pytam niepewnie.

Teraz to Day jest zdumiony. Uśmiecha się zaintrygowany.

- Znasz ją?

Co ja robię? Co się dzieje? To chyba naprawdę jest sen, a ja boję się przebudzić. Śniłam go już zbyt wiele razy. Nie chcę znów się rozczarować.

- Tak - szepczę. - Mam zjeść z nią dziś obiad.

Wpatrujemy się w siebie w milczeniu. Twarz Daya jest teraz poważna, a spojrzenie tak intensywne, że po całym moim ciele rozchodzi się ciepło. Stoimy naprzeciwko siebie przez długą chwilę i po raz pierwszy w życiu nie mam pojęcia, ile minęło czasu.

- Już pamiętam - mówi w końcu. Wpatruję się w jego oczy w poszukiwaniu bólu, smutku oraz udręki, która towarzyszyła mu zawsze, gdy byliśmy razem. Nie widzę ich ani śladu, a dostrzegam coś innego. Zaleczoną ranę, wieczną bliznę, która się wreszcie zasklepiła, rozdział z księgi życia, z którym się w końcu, po wielu latach ostatecznie pogodził. Rozumiem. Ale czy to możliwe? Czy to prawda?

Szukam w jego oczach fragmentów wspomnień. Kawałków naszych wspólnych chwil. Są popękane, niekompletne, porzrzućane daleko od siebie, ale powoli zbliżają się do siebie na mój widok. I wreszcie tworzą całość.

- To ty - szepcze ze zdumieniem.

- Czyżby? - odpowiadam również szeptem. Mój głos drży z emocji, które tłumię od tak dawna.

Day jest tak blisko, a jego oczy są takie jasne.

- Mam nadzieję - mówi cicho - że znów cię poznam. Jeśli tego chcesz, oczywiście. Jest wokół ciebie mgła, którą pragnę rozwiać.

Jego blizny nigdy nie znikną, tego jestem pewna. Ale może... może... z upływem czasu znów staniemy się przyjaciółmi. Uporamy się z przeszłością. Być może powrócimy do miejsca, w którym staliśmy jako młodzi, niewinni ludzie. Może naprawdę możemy się poznać jak inni ludzie - po prostu stanąć naprzeciwko siebie w ciepły wieczór, spojrzeć sobie w oczy i przedstawić się. Słyszę echo dawnego marzenia Daya, które wyłania się teraz z mgieł przeszłości. Być może jednak istnieje coś takiego jak przeznaczenie.

Wciąż czekam, bo nie mam pewności, co począć. Nie mogę zrobić pierwszego kroku. Nie powinnam. To jego zadanie.

Przez chwilę jestem wręcz pewna, że tego nie zrobi.

Potem wyciąga rękę i dotyka mojej dłoni. Ścisza ją jak podczas powitania, a ja czuję, że na powrót jestem z nim połączona. Czuję, jak nasza więź wibruje, czuję, jak przez nasze połączone dłonie przepływa miłość i wspólne przeżycia. Jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki odzyskuję utraconego przed laty przyjaciela.

„Tak miało być”.

Świadomość ta wywołuje u mnie łzy w oczach.

„A może powinniśmy jednak wykonać ów pierwszy krok wspólnie?”.

- Cześć - mówi. - Mam na imię Daniel.

- Cześć - odpowiadam. - A ja jestem June.

# PODZIĘKOWANIA

Koniec ścieżki to miejsce dziwne i pełne zadumy. Przez ostatnich kilka lat oddychałam powietrzem ze świata *Legendy*, a moje życie złało się w jedno z życiem Daya i June. Przez pryzmat ich postaci patrzyłam na własne lęki, nadzieje oraz aspiracje. Dotarłam wreszcie do miejsca, gdzie nasze drogi się rozchodzą. Day i June będą toczyć swoje życie poza granicami nakreślonymi przez trylogię, a mi pozostaje machać do nich zza kulis. Nie wiem, dokąd się udadzą, ale myślę, że będą szczęśliwi.

Oczywiście nie stoję za kulisami sama. Mam przy sobie wszystkich tych, z którymi rozpoczęłam pracę oraz tych, których poznałam później.

Zacznę od mojej cudownej agentki literackiej oraz członków Team NLA: Anity Mumm, Sary Megibow, Lori Bennett oraz Angie. Dziękuję, dziękuję i jeszcze raz dziękuję za to, że wspieraliście mnie na każdym kroku.

Dziękuję moim niezwykłym redaktorkom Jen Besser, Ari Lewin oraz Shaunie Fay, które przepędziły demony czyhające nad trzecim tomem odważnymi okrzykami bojowymi. Udało nam się! Nie mam pojęcia, co bym zrobiła bez waszej pomocy. Uwielbiam was.

Jestem winna ogromną wdzięczność wszystkim ludziom z Putnam Children's, Speak oraz Penguin: Donowi Weisbergowi, Jennifer Loji, Marisie Russell, Laurze Antonacci, Annie Jarzab, Jessice Schoffel, Elyse Marshall, Jill Bailey, Scottie Bowditchowi, Lori Thorn, Lindzie McCarthy, Erin Dempsey, Shancie Newlin, Emily Romero, Erin Gallagher, Mii Garcii, Lisie Kelly, Courtney Wood, Marie Kent, Sarze Ortiz, Elizabeth Zajac, Kristin Gilson oraz Eileen Kreit. Jesteście najlepszymi zespołami, o których mogłabym marzyć.

Dziękuję niezwykłym ludziom w CBS Films, Temple Hill, UTA oraz ALF&L: Wolfgangowi Hammerowi, Grey Munford, Mattowi Gilhooley'owi, Ally Mielnicki, Isaacowi Klausnerowi, Wyckowi Godfreyowi, Marty'emu Bowenowi, Ginie Martinez, Wayne'owi Alexanderowi oraz memu wspaniałemu agentowi filmowemu, Kassie Evashevskiemu. Dziękuję wam za to, że nadal wierzycie w sny pisarki.

Dziękuję ludziom z Wicked Sweet Games: Mattowi Sherwoodowi, Philowi Harveyemu, Kole Hicksowi, Bobby'emu Hernandezowi i oczywiście Elektorowi Primo.

*Cities of Legend* to odjazdowa gra, ponieważ to wy jesteście odjazdowi.

Dziękuję moim niezwykłym wydawcom zagranicznym za to, że zdecydowali się na publikację *Legendy*. Niektórzy nawet przybyli do samej Pasadeny z grupami fanów! (Tak, Ruth, o tobie mówię. Jesteś wspaniała).

Dziękuję moim przyjaciom pisarzom: JJ, Ello, Andrei, Beth, Jess Spotswood, Jess Khoury, Leigh, Sandy, Amie, Ridleyowi, Kami, Margie, Tahereh, Ransomowi, Cindy, Malindzie i wspaniałym paniom z PubCrawl. Wspaniale jest odnaleźć własne plemię. Nie jestem w stanie wyrazić, ile dla mnie znaczą. Dziękuję wam za waszą przyjaźń.

Dziękuję wszystkim przyjaciom, Andre, cioci i wujkowi, memu cudownemu narzeczonemu i przede wszystkim mojej mamie. Obojętnie, co by się działo, zawsze przy mnie stoisz. Kocham cię.

Na koniec zostawiam sobie szczególne podziękowania przeznaczone dla moich czytelników. To dzięki wam mogę robić to, co kocham. Jestem wam bardzo wdzięczna. Dziękuję przede wszystkim moim młodym czytelnikom, bo książki, które sama czytałam jako dziecko, nadal zajmują szczególne, święte miejsce w moim sercu. Czuję się wyróżniona tym, że *Legendzie* przypadł zaszczyt znalezienia się w owych świętych miejscach w waszych sercach. Jestem wzruszona waszymi mailami i listami, które przysyłacie mi od lat. Jesteście wspaniałym pokoleniem i wszyscy dokonacie cudownych rzeczy w przyszłości.

Dziękuję wam za to, że mogę wam opowiadać moje historie. To dla mnie zaszczyt.

---

## Zostań Jeźdźcem w Czasie!



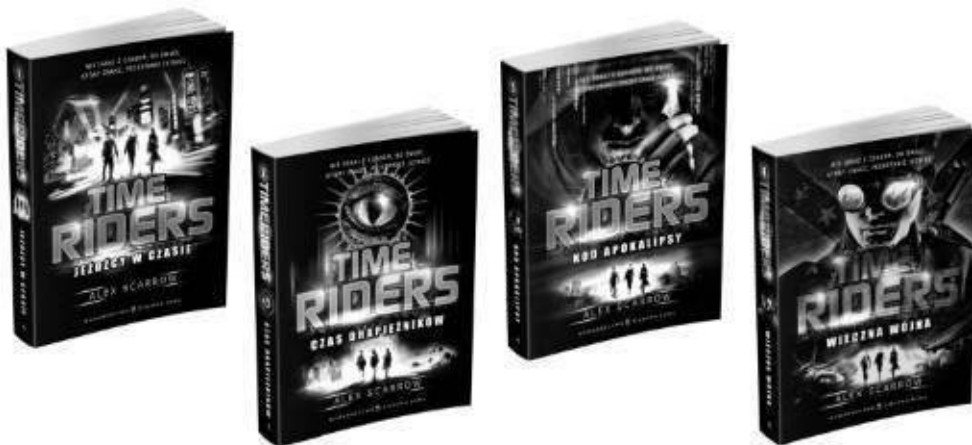
Bestsellerowa seria Alexa Scarrowa  
**Liam O'Connor** powinien utonąć  
w 1912 roku.

**Maddy Carter** powinna zginąć  
w katastrofie lotniczej w 2010 roku.

**Sal Vikram** powinna spłonąć  
w pożarze w 2026 roku.

Jednak każdy z nich otrzymał drugą szansę.

Nie umarli, ale zostali zwerbowani  
do tajnej organizacji, której jedynym celem  
jest ochronić świat przed złymi skutkami  
podróży w czasie.



# Spis treści

DAY

JUNE

DAY

JUNE

DAY

JUNE

DAY

JUNE

DAY

JUNE

DAY

JUNE

DAY

JUNE

DAY

JUNE

DAY

JUNE

DAY

JUNE

DAY

JUNE

DAY

JUNE

DAY

JUNE

DAY

JUNE

DAY

JUNE

JUNE

PODZIĘKOWANIA